

Prószczyński i S-ka

TERRY PRATCHETT PANOWIE I DAMY

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

Panowie i Damy

NOTA OD AUTORA

Ogólnie rzecz biorąc, większość książek ze świata Dysku tworzy zwartą całość i jest kompletnymi opowieściami. Czytanie ich w pewnym określonym porządku pomaga, ale nie jest kluczowe.

Ta jest inna. Nie mogłem zignorować tego, co zdarzyło się wcześniej. Babcia Weatherwax pojawiła się po raz pierwszy w „Równoumagicznieniu”. W „Trzech wiedźmach” została nieoficjalną przewodniczącą maleńkiego sabatu, złożonego z pogodnej i wielokrotnie zamężnej niani Ogg oraz młodej Magrat, tej z ciekącym nosem i rozczochranymi włosami, która ma skłonność do roztkliwiania się nad kroplami deszczu, różami i wąsikami kociąt.

A to, co się zdarzyło, to intryga nie całkiem niepodobna do tej ze sztuki o sławnym szkockim królu. W rezultacie Verence II został władcą dość górzystej, porośniętej lasami krainy Lancre.

Właściwie coś takiego nie powinno się zdarzyć, ponieważ formalnie wcale nie był następcą tronu, ale czarownicom wydał się najlepszym człowiekiem na to stanowisko, a - jak to mówią - wszystko dobre, co się dobrze kończy. Skończyło się też tym, że Magrat osiągnęła bardzo niepewne porozumienie z Verence'em... Rzeczywiście bardzo niepewne, gdyż oboje byli tak wstydliwi, że gdy tylko spotkali się razem, natychmiast zapominali, co mieli sobie powiedzieć. A kiedy któreś z nich zdołało jednak coś wymamrotać, to drugie nie rozumiało i obrażało się, i oboje długo się zastanawiali, co kto miał na myśli. Może to była miłość lub coś bardzo zbliżonego.

W „Wyprawie czarownic” wszystkie trzy musiały wyruszyć przez pół kontynentu, żeby stawić czoło matce chrzestnej (która złożyła Przeznaczeniu propozycję nie do odrzucenia).

To jest historia o tym, co się działo, kiedy wróciły do domu.

A TERAZ CZYTAJCIE DALEJ...

Teraz czytajcie dalej...

Kiedy to się zaczyna?

Jest bardzo niewiele początków. Oczywiście, czasem wydaje się, że coś się zaczyna właśnie w tej chwili: kurtyna idzie w górę, przesuwa się pierwszy pionek, pada pierwszy strzał[1] - ale to nie są początki. Przedstawienie, gra czy wojna to tylko niewielka dziurka w taśmie wydarzeń, która może sięgać tysiące lat w przeszłość. Chodzi o to, że zawsze coś było „przedtem”. I zawsze występuje jakieś „Teraz czytajcie dalej”.

Wiele ludzkiej pomysłowości i energii poświęcono na poszukiwanie ostatecznego Przedtem.

Obecny stan wiedzy można podsumować następująco:

Na początku było nic, które wybuchło.

Inne teorie ostatecznego początku mówią o bogach stwarzających wszechświat z żeber, wnętrzości i jąder swego ojca[2]. Tych teorii jest sporo. Są interesujące nie z powodu tego, co mówią o kosmologii, ale tego, co mówią o ludziach. Jak myślicie, z której części ciała zrobili wasze miasto?

Ale ta opowieść zaczyna się na świecie Dysku, który sunie przez kosmos na grzbietach olbrzymich słoni stojących na skorupie gigantycznego żółwia. I nie jest zbudowany z żadnych kawałków niczyjego ciała.

Ale od czego zacząć?

Tysiące lat temu? Kiedy wielka kaskada gorących kamieni z hukiem runęła z nieba, wybiła dziurę w górze Miedziance i powaliła las na dziesięć mil dookoła?

Krasnoludy odkopały te kamienie, ponieważ były zbudowane z jakiegoś rodzaju żelaza, a krasnoludy - wbrew powszechnej opinii - kochają żelazo bardziej od złota. Tyle że żelaza jest więcej niż złota, więc trudniej śpiewać o nim pieśni. Ale krasnoludy kochają żelazo.

I to właśnie zawierały kamienie: miłość żelaza. Miłość tak silną, że przyciągała do siebie wszystko co żelazne. Trzy krasnoludy, które znalazły pierwszy kamień, uwolniły się dopiero wtedy, kiedy zdołały jakoś zdjąć kolczugowe portki.

Wiele światów - a przynajmniej ich jąder - zbudowanych jest z żelaza. Ale Dysk, niczym naleśnik, jest pozbawiony jądra.

Na Dysku, jeśli zaczarować igłę, będzie wskazywała Oś, gdzie pole magiczne jest najsilniejsze. To oczywiste.

Gdzie indziej, na światach budowanych z mniej bujną wyobraźnią, igła obraca się z powodu miłości żelaza.

W owym czasie krasnoludy i ludzie odczuwali bardzo nagłą potrzebę miłości żelaza.

A teraz przesunmy czas naprzód o tysiąclecia, do punktu o jakieś pięćdziesiąt lat wyprzedzającego wiecznie ruchome „teraz”, na wzgórze, do młodej kobiety, która biegnie. Nie biegnie uciekając przed czymś, ściśle mówiąc, ani nie biegnie dokładnie ku czemuś, ale biegnie akurat tak prędko, żeby utrzymać dystans od młodego mężczyzny - choć oczywiście dystans nie tak wielki, żeby zrezygnował z pogoni. Spomiędzy drzew... w porośniętą wrzosem kotlinkę... gdzie na niewielkim wzniesieniu stoją kamienie.

Są mniej więcej wysokości człowieka i niewiele grubsze niż gruby człowiek.

Jakoś nie wydają się warte zachodu. Jeżeli jest gdzieś kamienny krąg, do którego nie należy się zbliżać, powinny się tam wznosić wielkie, posępne trylity i pradawne kamienne ołtarze, krzyczące mrocznymi wspomnieniami krwawych ofiar, a nie te nieciekawe, grube bryły.

Okaze się potem, że tym razem biegła jednak trochę za szybko, przez co młody człowiek w żartobliwym pościgu zgubi się, zrezygnuje i w końcu powlecze się sam do miasteczka. W tej chwili ona jeszcze o tym nie wie. Stoi więc i z roztargnieniem poprawia kwiaty wplecione we włosy - to był ten rodzaj popołudnia.

Oczywiście wie o kamieniach. Nikomu nigdy się o nich nie mówi. I nikomu nie zakazuje się tu przychodzić, bo ci, którzy powstrzymują się od opowiadania, wiedzą też, jak potężna jest kusicielska siła zakazu. Po prostu chodzenie do kamieni to... to coś, czego się nie robi. Zwłaszcza jeśli jest się miłą dziewczyną.

Ale osoba, którą tutaj widzimy, nie jest miłą dziewczyną w powszechnie przyjętym sensie tego słowa. Przede wszystkim nie jest piękna. Pewien układ szczęki czy łuk nosa mogłyby - przy sprzyjającym wietrze i odpowiednim oświetleniu - być nazwane ładnymi przez uprzejmego kłamcę. Ma też pewien błysk w oczach, zwykle spotykany u osób, które odkryły, że są bardziej inteligentne niż większość ludzi. Choć nie odkryły jeszcze, że jedną z bardziej inteligentnych rzeczy, jakie mogą zrobić, to nie dopuścić, by wzmiankowani ludzie się o tym dowiedzieli. W połączeniu z nosem, nadaje to jej twarzy wyraz koncentracji, silnie wprawiający w zakłopotanie. To nie jest twarz osoby, z którą można by pogadać. Wystarczy otworzyć usta, by znaleźć się w ognisku przenikliwego spojrzenia, które zdaje się mówić: cokolwiek masz do powiedzenia, lepiej, żeby to było interesujące.

W tej chwili owo przenikliwe spojrzenie pada na osiem niedużych głązów na małym wzgórku.

Hmm...

Po chwili dziewczyna zbliża się ostrożnie. Ale nie jest to ostrożność królika gotowego do ucieczki. Tak porusza się łowca.

Dziewczyna opiera ręce na biodrach - nieważne, czy krągłych.

Skowronek śpiewa na gorącym letnim niebie; poza tym nie dobiega tu żaden dźwięk. Kawałek dalej w dolince i wyżej w górach ćwierkają koniki polne, brzęczą pszczoły, a trawa cała żyje mikroszumem. Ale wokół kamieni zawsze panuje cisza.

- Jestem - mówi dziewczyna. - Pokaż mi.

Wewnątrz kręgu pojawia się postać ciemnowłosej kobiety w czerwonej sukni. Krąg można przerzucić kamieniem, ale postaci udaje się jakoś zbliżyć

z wielkiej odległości.

Inni pewnie próbowaliby uciec. Ale dziewczyna nie ucieka, co natychmiast budzi zainteresowanie kobiety w kręgu.

- A więc jesteś prawdziwa?

- Oczywiście. Jak ci na imię, dziewczyno?

- Esmeralda.

- A czego chcesz?

- Niczego nie chcę.

- Każdy czegoś chce. W przeciwnym razie po co byś tu przyszła?

- Chciałam się tylko przekonać, czy jesteś prawdziwa.

- Dla ciebie z pewnością. Masz dobry wzrok.

Dziewczyna prostuje się. Jej dumą można by kruszyć kamienie.

- A teraz, kiedy się już się przekonałaś - mówi dalej kobieta w kręgu - czego tak naprawdę chcesz?

- Niczego.

- Doprawdy? W zeszłym tygodniu poszłaś wysoko w góry, wyżej jeszcze niż Miedzianka, żeby rozmawiać z trollami. Czego od nich chciałaś?

Dziewczyna przechyla głowę.

- Skąd wiesz, że tam byłam?

- Masz to na samym wierzchu umysłu, dziewczyno. Każdy może zobaczyć. Każdy, kto ma... dobry wzrok.

- Ja też kiedyś będę to umiała - oświadcza dumnie dziewczyna.

- Kto wie? Możliwe. Czego chciałaś od trolli?

- Ja... Chciałam tylko z nimi porozmawiać. Wiesz, one myślą, że czas płynie do tyłu. Bo przecież widzi się przeszłość, mówią, a... Kobieta w kręgu parska śmiechem.

- Ale one są głupie jak krasnoludy! Interesują je tylko kamyki. W kamykach nie ma nic ciekawego.

Dziewczyna wykonuje nieokreślony gest, jakby wzruszała jednym ramieniem - może sugeruje, że kamyki też mogą budzić rodzaj zaciekawienia.

- Dlaczego nie możesz wyjść poza krąg głazów? - pyta. Odnosi silne wrażenie, że nie jest to właściwe pytanie. Kobieta starannie je ignoruje.

- Mogę ci pomóc odkryć o wiele więcej niż tylko kamyki - mówi.

- Nie możesz wyjść z kręgu, prawda?

- Pozwól mi dać sobie to, czego pragniesz.

- Ja mogę chodzić, gdzie zechcę, ale ty jesteś uwięziona w kręgu.

- Możesz chodzić, gdzie zechcesz?

- Kiedy zostanę czarownicą, będę mogła. Wszędzie.

- Ale nigdy nie zostaniesz czarownicą.

- Co?

- Mówią, że nie chcesz słuchać. Mówią, że nie potrafisz nad sobą panować. Mówią, że nie masz samodyscypliny. Dziewczyna potrząsa włosami.

- Czyli o tym też wiesz? Pewnie, że mówią takie rzeczy. A ja i tak zostanę czarownicą, choćby nie wiem co. Zawsze można samemu się czegoś dowiedzieć. Nie trzeba słuchać całymi dniami niemądrych staruszek, który

nie wiedzą, co to życie. I wiem, damo z kręgu, że będę najlepszą czarownicą, jaka kiedykolwiek istniała.

- Z moją pomocą może ci się udać - przyznaje kobieta w kręgu. - Ten młody człowiek chyba cię szuka - dodaje łagodnie.

Kolejne jednostronne wzruszenie ramieniem sugeruje, że młody człowiek może sobie szukać przez cały dzień.

- Uda mi się, prawda?

- Możesz być wielką czarownicą. Możesz zostać, kim tylko zechcesz. Czym tylko zechcesz. Wejdź do kręgu. Pokażę ci.

Dziewczyna robi pół kroku w stronę gładów, się ale waha. W tej kobiecie jest coś dziwnego. Uśmiech ma miły i przyjazny, ale głos... zbyt rozpaczliwy, zbyt nagły, zbyt zachłanny.

- Ja i tak dużo się uczę.

- Przejdź do środka. Już! Dziewczyna wciąż się waha.

- Skąd mogę wiedzieć...

- Czas kręgu dobiega końca! Pomyśl, czego możesz się nauczyć! Już!

- Ale...

- Przejdź!

To było wiele lat temu, w przeszłości[3]. A poza tym dziewczyna... jest starsza.

Kraina lodu...

Nie zima, ponieważ zima sugeruje jesień, a może nawet jeden dzień wiosny. To jest kraina lodu, a nie po prostu czas lodu. I trzy postacie na koniach spoglądające nad pokrytym śniegiem zboczem ku kręgowi ośmiu głazów. Z tej strony wydają się o wiele większe.

Trzeba przyglądać się jeźdźcom przez dłuższą chwilę, by zrozumieć, co takiego jest w nich niezwykłego - to znaczy bardziej niezwykłego niż ich ubrania. Gorący oddech wierzchowców wisi w lodowatym powietrzu obłokami pary. Ale oddechy jeźdźców nie.

- Teraz nie będzie porażki - mówi postać w środku, kobieta w czerwonej sukni. - Po takim czasie kraina powita nas z radością. Musi już nienawidzić ludzi.

- Ale tam były czarownice - wtrąca jeden z jej towarzyszy. - Pamiętam czarownice.

- Kiedyś tak- zgadza się kobieta. - Ale teraz... biedactwa, prawdziwe biedactwa. Prawie nie mają już mocy. I ulegają sugestiom. Podatne umysły. Zakradałam się nocami. Wiem, jakie dzisiaj mają czarownice. Zostawcie je mnie.

Królowa uśmiecha się życzliwie w stronę kamiennego kręgu.

- A potem możecie je sobie wziąć - mówi. - Co do mnie, mam ochotę na śmiertelnego małżonka. Na jakiegoś wyjątkowego śmiertelnika. Unia światów... To im pokaże, że tym razem zamierzamy tam zostać.

- Królowi się to nie spodoba.

- A czy kiedykolwiek miało to jakieś znaczenie?

- Nigdy, pani.

- Czas jest właściwy, Lankin. Kręgi się otwierają. Wkrótce zdołamy powrócić.

Drugi jeździec pochyła się nad końskim grzbietem.

- I będę mógł znowu polować? - pyta. - Kiedy? Kiedy?!

- Wkrótce - odpowiada Królowa. - Już wkrótce.

Noc była ciemna tą ciemnością, której nie da się wytłumaczyć zwykłą nieobecnością księżyca i gwiazd, ale ciemnością, która zdaje się napływać skądinąd - tak gęstą i dotykálną, że dałoby się niemal chwycić w rękę garść powietrza i wycisnąć z niego noc.

Taka ciemność skłania owce do przeskakiwania ogrodzeń, a psy do chowania się w budach.

Mimo to wiatr dmuchał ciepły, nie tyle silny, ile raczej głośny - wył po lasach i jęczał w kominach.

W taką noc zwykli ludzie naciągają kołdry na głowę, wyczuwając, że zdarzają się chwile, kiedy świat należy do kogoś innego. Rankiem znowu będzie ludzki. Owszem, zostaną połamane gałęzie, parę zerwanych dachówek... Ale ludzki. A teraz... lepiej się opatulić.

Jeden człowiek nie spał,

Jason Ogg, mistrz kowalski, raz czy dwa wcisnął miechy przy palenisku, raczej dla zasady niż z potrzeby, i usiadł na kowadle. W kuźni zawsze było ciepło, nawet jeśli wiatr świszczwał pod okapami.

Jason Ogg potrafił podkuć wszystko. Kiedyś dla żartu przynieśli mu mrówkę, a on całą noc ze szkłem powiększającym przesiedział nad kowadłem zrobionym z główki szpilki. Mrówka wciąż gdzieś tu była - słyszał ją czasem, jak z tupotem przebiega po podłodze.

Ale dzisiaj... Dzisiaj miał w jakiś sposób zapłacić czynsz. Oczywiście, był właścicielem kuźni - przechodziła z ojca na syna od pokoleń. Ale kuźnia to coś więcej niż tylko cegły, zaprawa i żelazo. Nie wiedział, jak to nazwać, ale to istniało. Było jak różnica między mistrzem kowalskim a kimś, kto po

prostu zarabia na życie, wyginając w skomplikowany sposób żelazo. I miało wiele wspólnego właśnie z żelazem. I jeszcze z tym, że ktoś może być bardzo dobry w swoim fachu. Tak jakby opłata.

Kiedyś, dawno temu, ojciec wziął go na stronę i wytłumaczył, co powinien robić w podobne noce.

Zdarzą się takie chwile, powiedział, takie chwile - a będziesz wiedział, kiedy się zdarzą, choć nikt cię nie uprzedzi - no więc zdarzą się takie chwile, kiedy ktoś przyjdzie podkuć konia. Przyjmij go uprzejmie. Podkuj konia. Nie pozwól myślom błądzić. I nawet nie próbuj myśleć o niczym oprócz podków.

Przez te lata Jason zdążył się przyzwycząić.

Wiatr wzmógł się i gdzieś z zewnątrz dobiegł trzask przewracanego drzewa.

Zagrzechotał skobel.

Ktoś zapukał do drzwi - raz, drugi.

Jason Ogg sięgnął po opaskę i zawiązał sobie oczy. To bardzo ważne, tłumaczył mu ojciec. Pomaga się skupić. Otworzył drzwi.

- Dobry wieczór szanownemu panu - powiedział.

BURZLIWA NOC.

Zapach wilgotnej końskiej sierści. Stukot kopyta o kamienie.

- Herbata parzy się na palenisku, a nasza Dreen upiekła ciasteczka. Są w puszcze z napisem „Pamiontka z Ankh-Morpork”.

DZIĘKUJĘ. U PANA, MAM NADZIEJĘ, WSZYSTKO DOBRZE, PANIE OGG?

- Tak, proszę szanownego pana. Przygotowałem już podkowy. Nie zatrzymam szanownego pana długo. Wiem, że szanowny pan jest... no, zajęty.

Usłyszał kroki zmierzające do starego kuchennego stołka zarezerwowanego dla klientów, a raczej dla właścicieli klientów.

Podkowy, narzędzia i hufnale ułożył na ławie przy kowadle. Wytarł ręce o fartuch. Nie lubił podkuwać na zimno, ale zajmował się kowalstwem, odkąd skończył dziesięć lat. Mógł to robić na ślepo. Sięgnął po raszplę i zabrał się do roboty.

Musiał zresztą przyznać, że był to najposłuszniejszy ze wszystkich koni, jakie w życiu spotkał. Szkoda, że nie mógł go obejrzeć. To na pewno piękny koń, taki koń...

Ojciec uprzedzał go: nie próbuj nawet rzucić okiem.

Usłyszał bulgotanie czajniczka, potem ciche stuknięcia przy mieszaniu i brzęk odkładanej łyżeczki.

Żadnego dźwięku, powiedział tato. Oprócz tych chwil, kiedy chodzi albo mówi, nie usłyszysz od niego żadnego dźwięku. Żadnego cmokania wargami ani niczego w tym rodzaju.

Ani oddechu.

Aha, i jeszcze jedno. Kiedy zdejmiesz stare podkowy, nie rzucaj ich w kąt, żeby potem przetopić z innymi resztkami. Przechowuj je osobno. Roztapiaj osobno. Trzymaj dla nich osobny tygiel i nowe podkowy wykuwaj z tego metalu. Cokolwiek zrobisz, nigdy nie kładź tego żelaza na innej żywej istocie.

Prawdę mówiąc, Jason zachował jeden komplet starych podków na zawody w rzucaniu do celu na różnych wiejskich jarmarkach. Nigdy nie przegrywał, kiedy nimi rzucał. Zwyciężał tak często, że aż się trochę wystraszył i teraz podkowy zwykle wisały na gwoździu za drzwiami.

Czasami wiatr zaklekotał okiennicą albo trzaskały węgle. Seria uderzeń i pisków niedaleko sugerowała, że kurnik na końcu podwórza właśnie rozstał się z gruntem.

Właściciel klienta nalał sobie jeszcze herbaty.

Jason skończył z kolejną podkową i wypuścił końską nogę. Potem wyciągnął rękę. Koń przesunął ciężar ciała i podniósł ostatnie kopyto.

Jeden taki koń na milion. Albo i tego nie...

Wreszcie skończył. Zabawne, lecz nigdy jakoś nie trwało to długo. Jason nie potrzebował zegara, ale podejrzewał, że praca, zajmujące prawie godzinę, była wykonana po paru minutach.

- No już - powiedział. - Gotowe.

DZIĘKUJĘ. MUSZĘ PRYZNAĆ, ŻE TO DOSKONAŁE
CIASTECZKA. JAK WSADZAJĄ DO ŚRODKA TE KAWAŁKI
CZEKOLADY?

- Nie wiem, szanowny panie. - Jason wpatrywał się nieruchomo w wewnętrzną stronę swojej opaski.

PRZECIEŻ CZEKOLADA POWINNA SIĘ ROZPUŚCIĆ PRZY PIE-
CZENIU. JAK TO ROBIĄ, JAK PAN MYŚLI?

- To pewno sekret fachu - odparł Jason. - Nigdy nie pytam o takie rzeczy.

BARDZO SŁUSZNIE. BARDZO ROZSĄDNIE. TERAZ...

Musiał zapytać, choćby po to, by potem zawsze pamiętać, że zapytał.

- Szanowny panie... SŁUCHAM, PANIE OGG.

- Mam jedno pytanie...

TAK, PANIE OGG?

Jason przesunął językiem po wargach.

- Gdybym tak... Gdybym zdjął opaskę, co bym zobaczył?

Już. Stało się.

Coś zastukało po kamieniach podłogi, nastąpiło lekkie zawirowanie w ruchu powietrza - co odpowiedziało Jasonowi, że mówiący stoi teraz przed nim.

CZYJEST PAN CZŁOWIEKIEM WIERZĄCYM, PANIE OGG?

Jason zastanowił się szybko. Lancre nie było państwem religijnym. Zdarzali się Zdziwieni Dnia Dziewiątego i Ściśli Offlianie, ołtarze licznych pomniejszych bóstw stały w okolicy na tej czy innej polance. Jednak on sam nigdy nie odczuwał potrzeby wiary - całkiem jak krasnoludy. Żelazo to żelazo, a ogień to ogień. Jak człowiek zacznie kombinować o problemach metafizycznych, ani się obejrzy, a będzie musiał zeskrobywać z młota własny kciuk.

A W TEJ CHWILI W CO PAN TAK NAPRAWDĘ SZCZERZE WIERZY?

Stoi o parę cali ode mnie, myślał Jason. Mógłbym wyciągnąć rękę i dotknąć...

Poczuł zapach - wcale nie przykry. Właściwie to ledwie go wyczuwał. To był zapach powietrza w starych, zapomnianych pokojach. Gdyby stulecia pachniały, te najstarsze pachniałyby właśnie tak.

PANIE OGG?

Jason przełknął ślinę.

- No więc, szanowny panie... W tej chwili... Tak naprawdę to wierzę w swoją opaskę.

BARDZO DOBRZE. ROZSĄDNY CZŁOWIEK A TERAZ... MUSZĘ JUŻ IŚĆ.

Jason usłyszał, jak podnosi się skobel. Pchnięte wiatrem drzwi odsunęły się ze zgrzytem, potem zastukały na kamieniach nowe podkowy.

JAK ZAWSZE WYKONAŁ PAN DOSKONAŁĄ ROBOTĘ.

- Dziękuję szanownemu panu.

MÓWIĘ TO JAK JEDEN FACHOWIEC DRUGIEMU.

- Dziękuję szanownemu panu.

SPOTKAMY SIĘ ZNOWU.

- Tak, szanowny panie.

KIEDY MÓJ KOŃ ZNÓW BĘDZIE POTRZEBOWAŁ NOWYCH
PODKÓW.

- Tak, szanowny panie.

Jason zamknął drzwi i zasunął sztabę, chociaż kiedy się nad tym zastanowić, prawdopodobnie nie miało to znaczenia.

Ale taki był układ - podkuwał wszystko, co mu sprowadzili, wszystko, a w zamian za to mógł podkuć wszystko. W Lancre zawsze żył kowal i wszyscy wiedzieli, że kowal z Lancre to kowal bardzo potężny.

To starożytny układ i miał coś wspólnego z żelazem.

Wiatr osłabł. Teraz szeptał tylko gdzieś na horyzoncie. Wschodziło słońce.

To była kraina oktarynowych traw. Dobra, rolnicza ziemia - zwłaszcza dla kukurydzy.

A tutaj rozciągało się pole kukurydzy, falującej delikatnie za żywopłotem. Niezbyt duże pole. Właściwie całkiem zwyczajne. Zwyczajne pole z kukurydzą, oczywiście jeśli nie panowała zima, kiedy było na nim widać tylko gołębie i wrony.

Wiatr zamarł.

Kukurydza wciąż falowała. Nie były to zwykłe fale - rozbiegały się od środka pola, jak gdyby ktoś wrzucił kamień do stawu. Powietrze zaskwierczało i wypełniło się głośnym brzęczeniem.

Potem, w samym środku pola, szeleszcząc głośno, młoda, kukurydza przygięła się i legła na ziemi.

W kręgu.

A na niebie roiły się brzęczące gniewnie pszczoły.

Zostało jeszcze kilka tygodni do pełni lata. Królestwo Lancre drzemało w upale, nagrzane powietrze falowało nad lasami i polami.

Trzy punkty pojawiły się na niebie.

Po chwili dało się już w nich rozpoznać trzy kobiety na miotłach. Leciały w sposób, który przywodził na myśl słynne trzy lecące gipsowe kaczki.

Przyjrzyjmy się im uważnie.

Ta pierwsza - nazwijmy ją prowadzącą - siedzi sztywno wyprostowana, nie zważając na opór powietrza, z którym chyba wygrywa. Jej twarz można ogólnie opisać jako uderzającą, nawet przystojną, choć nikt nie nazwałby jej piękną - chyba że chciałby, żeby nos urósł mu na trzy stopy.

Druga jest pulchna, krzywonoga, z twarzą podobną do jabłka, które leżało zbyt długo, promieniejąca niemal nieuleczalnym dobrym humorem. Gra na banjo i - póki nie przyjdzie komuś do głowy lepsze określenie - śpiewa. Piosenka mówi o jeżu.

W przeciwieństwie do miotły pierwszej z kobiet - praktycznie pustej, jeśli nie liczyć tej czy innej sakwy - miotła drugiej wyładowana jest fioletowymi pluszowymi osiołkami, korkociągami w kształcie siusiających chłopców, butelkami wina w słomianych koszach i innymi międzynarodowymi obiektami kulturowymi. Wśród nich leży najbardziej cuchnący i najbardziej złośliwy kot na świecie, w tej chwili uśpiony.

Trzecia i zdecydowanie ostatnia lecąca na miotle jest najmłodsza. Inaczej niż dwie pozostałe, które ubierają się jak kruki, ta ma na sobie jaskrawą, wesołą suknię, która do niej nie pasuje i prawdopodobnie nie pasowałaby już dziesięć lat temu. Leci w nastroju niejasnej, łagodnej nadziei. Ma we włosach kwiaty, ale więdną powoli - tak jak ona.

Trzy czarownice przelatują nad granicami królestwa Lancre, a po chwili także nad miastem Lancre. Zniżają lot nad mokradłami i w końcu lądują w pobliżu stojącego głazu, który przypadkiem wyznacza granice ich terytoriów.

Wróciły.

I wszystko znów jest jak należy.

Przez jakieś pięć minut.

W wygodce zamieszkał borsuk.

Babcia Weatherwax szturchała go miotłą, dopóki nie zrozumiał aluzji i sobie nie poszedł. Potem zdjęła klucz wiszący na gwoździu obok zeszłorocznego egzemplarza *Almanachu i Xięgi Dni*, i ruszyła ścieżką w stronę chatki.

Nie było jej całą zimę. Miała mnóstwo pracy. Trzeba odebrać kozy od pana Skindle, przepędzić z komina pająki, wyłowić żaby ze studni i ogólnie wrócić do interesu pilnowania cudzych interesów, bo aż strach pomyśleć, do

czego mogliby dojść ludzie interesu, gdyby nie mieli w pobliżu czarownicy...

Ale przecież mogła najpierw wyciągnąć się na godzinę.

W czajniku uwił sobie gniazdo drozd - dostał się do kuchni przez wybitą szybę w oknie. Babcia ostrożnie wyniosła czajnik przed dom i wcisnęła go mocno pod okap nad drzwiami, żeby nie dostały się tam łasice. Wodę zagotowała w rondelku.

Potem nakręciła zegar. Czarownice nie korzystają z zegarów, ale trzymała go dla tykania... No, przede wszystkim dla tykania. Dzięki temu dom wydawał się zamieszkały. Zegar należał do jej matki, która nakręcała go codziennie.

Śmierć matki wcale jej nie zaskoczyła. Po pierwsze dlatego, że Esme Weatherwax była czarownicą, a czarownice potrafią zajrzeć w przyszłość. Po drugie, znała się już nieźle na medycynie i umiała rozpoznać objawy. Dlatego mogła się przygotować i wcale nie płakała. Dopiero na drugi dzień, kiedy zegar stanął nagle w samym środku stypy. Upuściła wtedy tacę z kanapkami, a potem musiała wyjść i siedzieć długo sama w wygodce, żeby nikt nie widział.

Akurat znalazła sobie czas, żeby o tym myśleć. Po co wracać do przeszłości?

Zegar tykał. Woda zaczęła bulgotać. Babcia Weatherwax ze skromnego bagażu na miotle wyjęła torbę herbaty i wypłukała imbryk.

Ogień nieco przygasł. Stopniowo ustępowała lepka wilgoć pokoju, w którym od miesięcy nikt nie mieszkał. Wydłużały się cienie.

Nie pora myśleć o przeszłości. Czarownice umieją zajrzeć w przyszłość. Babcia wiedziała, że już niedługo będzie musiała przypilnować własnych spraw...

I wtedy wyjrzała przez okno.

Niania Ogg ostrożnie stanęła na stołku i przejechała palcem nad szafą. Potem obejrzała palec - był nieskazitelnie czysty. - Hmm - mruknęła. - Wydaje się, że jest w miarę czysto.

Synowe aż zadrżały z ulgi.

- Jak dotąd - dodała niania.

Trzy młode kobiety skuliły się w milczącej grozie.

Jej stosunki z synowymi były jedyną skazą na przyjaznym poza tym charakterze niani. Zięciowie to co innego - pamiętała ich imiona, a nawet dni urodzin. Dołączali do rodziny niczym przerośnięte kurczaki wciskające się pod skrzydła starej kwoki. A wnuki były prawdziwym skarbem, co do jednego. Ale każda kobieta tak nieostrożna, by poślubić Ogga, mogła od razu pogodzić się z życiem pełnym psychicznych tortur i nieskończonej domowej służby.

Niania Ogg nigdy sama nie wykonywała robót domowych, ale była źródłem robót domowych dla innych.

Zeszła ze stołka i uśmiechnęła się promiennie.

- Utrzymałyście dom w przyzwoitym porządku - pochwaliła. - Dobra robota.

I nagle jej uśmiech przybladł.

- Pod łóżkiem w gościnnej sypialni - powiedziała. - Tam chyba jeszcze nie sprawdzałam.

Inkwizytorzy usunęliby nianię Ogg ze swych szeregów za nadmierną złośliwość.

Odwróciła się, gdyż do domu weszli inni członkowie rodziny. Jej twarz wykrzywiła się we łzawym uśmiechu, jakim zawsze witała ukochane wnuki.

Jason Ogg wypchnął do przodu swego najmłodszego syna. Był nim Pewsey Ogg, lat cztery. Trzymał coś w rączkach.

- No, co tam masz? - zapytała niania Ogg. - Pokaż nianiusi. Pewsey wyciągnął ręce.

- Słowo daję, jesteś bardzo...

To zdarzyło się właśnie tam, właśnie wtedy, przed samym jej nosem.

No i jeszcze Magrat.

Nie było jej w domu od ośmiu miesięcy.

Teraz ogarniała ją panika. Formalnie rzecz biorąc, była zaręczona z królem, z Verence'em II. Chociaż... właściwie nie zaręczona w ścisłym sensie. Nastąpiło, była tego pewna, ogólne i niewypowiedziane porozumienie, że zaręczyny są określoną możliwością. Fakt, powtarzała mu stale, że jest swobodnym duchem, że absolutnie nie chce się w żaden sposób wiązać, i rzeczywiście tak było, ale... ale...

Ale... jak by to... osiem miesięcy. W ciągu ośmiu miesięcy może się wiele zdarzyć. Powinna wracać tu wprost z Genoi, ale tamte dwie wyraźnie dobrze się bawiły.

Starła kurz z lustra i przyjrzała się sobie krytycznie. Krytycyzm nie wymagał zresztą specjalnego wysiłku. Nieważne, co robiła z włosami, po trzech minutach znowu były splątane, jak ten gumowy wąż ogrodowy zostawiony w szopie[4]. Kupiła sobie nową zieloną suknię, ale to, co tak ładnie wyglądało na gipsowym manekinie, na niej przypominało złożony parasol.

Tymczasem Verence panował już od ośmiu miesięcy. Owszem, Lancre jest małym królestwem i trudno się choćby przeciągnąć bez paszportu, ale Verence był prawdziwym królem. A prawdziwi królowie mają tendencję do

budzenia zainteresowania młodych kobiet planujących karierę w zawodzie królowej.

Zrobiła z suknią, co mogła, i ze złością przesunęła po włosach szczotką.

Po czym ruszyła do zamku.

Służbę wartowniczą na zamku w Lancre obejmował zwykle ten, kto akurat nie miał nic innego do roboty. Dzisiaj pełnił ją najmłodszy syn niani Ogg, Shawn w niedopasowanej kolczudze. Kiedy Magrat go mijala, przyjął postawę, którą zapewne uważał za zasadniczą, po czym odrzucił pikę i pobiegł za nią.

- Może panienka trochę zwolnić? Proszę!

Wyprzedził ją, wbiegł po stopniach do drzwi, chwycił trąbkę wiszącą tam na gwoździu i zatrąbił amatorską fanfarę. Potem zrobił przerażoną minę.

- Proszę tu zaczekać, panienko, o tutaj... Policzyć do pięciu i zapukać - rzucił, wskoczył do środka i zatrzaskał za sobą drzwi.

Magrat odczekała chwilę, po czym sięgnęła do kołatki.

Po kilku sekundach Shawn otworzył drzwi. Był czerwony na twarzy, a na głowie miał włożoną tyłem do przodu pudrowaną perukę.

- Taaak? - zaciągnął, próbując wyglądać jak kamerdyner.

- Ciągłe masz hełm pod peruką - zauważyła uprzejmie Magrat. Shawn zgarbił się. Przewrócił oczami.

- Wszyscy na sianokosach? - domyśliła się Magrat. Shawn zdjął perukę, zdjął hełm i wcisnął perukę z powrotem. Potem z roztargnieniem włożył na nią hełm.

- Tak. A pan Spriggins, kamerdyner, znowu leży. Ma kłopoty ze zdrowiem - wyjaśnił. - Tylko ja zostałem, panienko. I jeszcze mam przed wyjściem podawać przy kolacji, bo pani Scorbic źle się czuje.

- Nie musisz mnie wprowadzać - uspokoiła go Magrat. - Znam drogę.

- Nie, to trzeba zrobić jak należy. Niech panienka idzie powoli i mnie zostawi resztę.

Pobiegł przodem i otworzył podwójne drzwi...

- Paaannaaa Magraaaaa Garrriick!

Po czym pognął do następnych.

Przy trzecich brakowało mu już tchu, ale się nie poddawał.

- Paaannaaa... Magraaaaa... Garrriick... Jegooo Wysookość... króó...
O rany, gdzie on się podział?

Sala tronowa była pusta.

W końcu znaleźli Verence'a II, króla Lancre, w wozowni.

Niektórzy ludzie rodzą się królami. Niektórzy zdobywają królestwo, a przynajmniej arcy-generalissimus-ojciec-narodu-stwo. Ale Verence'owi królestwo zwyczajnie wepchnięto. Nie był wychowany na władcę i zasiadł na tronie dzięki skomplikowanym kombinacjom braterstwa i ojcostwa, które aż nazbyt często zdarzają się w królewskich rodach.

W rzeczywistości wychowano go na błazna - człowieka, którego praca polega na figlach, opowiadaniu dowcipów i na wlewaniu sobie budyniu do spodni. Naturalnie, zyskał w ten sposób poważny, rozsądny stosunek do życia i pewność, że nigdy już z niczego nie będzie się śmiał, zwłaszcza w obecności budyniu.

Pracę władcy podjął więc, mając przewagę ignorancji. Nikt mu nigdy nie mówił, jak być królem, musiał więc sam do tego dojść. Posłał po książki traktujące o tych kwestiach. Verence głęboko wierzył w użyteczność wiedzy pochodzącej z książek.

Teraz oglądał jakieś skomplikowane urządzenie. Miało dwa dyszle, by zaprząć konia, a reszta wyglądała jak bryczka wyładowana wiatrakami.

Podniósł głowę i uśmiechnął się z roztargnieniem.

- O, witaj - powiedział. - A zatem wróciłyście bezpiecznie?

- Um... - zaczęła Magrat.

- To patentowy rotator zasiewów - wyjaśnił Verence. Klepnął machinę.
- Właśnie przyjechał z Ankh-Morpork. Wiesz, trzeba iść z duchem czasu. Coraz bardziej interesuje mnie rozwój rolnictwa i wydajność gleby. Musimy szybko zabrać się za ten nowy system trójpłowy.

Magrat trochę się pogubiła.

- Ale przecież w Lancre są tylko trzy pola - przypomniała. - I nie ma na nich dużo gleby.

- Najważniejsze to zachowywać właściwe proporcje między zbożami, strączkowymi i bulwowymi - oznajmił Verence, podnosząc nieco głos. - Poza tym poważnie się zastanawiam nad koniczyną. Chciałbym wiedzieć, co o tym myślisz!

- Um...

- Uważam też, że trzeba coś zrobić ze świniami! - krzyknął Verence. - Pasiaste lancrańskie! Są bardzo wytrzymałe! Ale można by zwiększyć ich wagę! Przez staranne krzyżowanie! Powiedzmy, z siodłatą stoąską! Kazałem przysłać knura... Shawn, możesz przestać dmuchać w tę przeklętą trąbkę?

Shawn opuścił instrument.

- Ja tylko gram fanfarę, wasza wysokość.

- Tak, tak. Ale nie powinienes tego ciągnąć. Kilka taktów zupełnie wystarczy. - Verence pociągnął nosem. - Coś się pali.

- A niech to... Marchewka! Shawn odbiegł.

- Teraz lepiej. - Verence odetchnął z ulgą. - O czym mówiliśmy?

- Chyba o świniach - odparła Magrat. - Ale tak naprawdę to przyszedł, żeby...

- Najważniejsza jest gleba - oświadczył Verence. - Jeśli gleba jest dobra, cała reszta idzie już łatwo. A przy okazji, zaplanowałem ślub na Letni Dzień, dzień letniego przesilenia. Myślę, że będziesz zadowolona.

Wargi Magrat uformowały wielkie O.

- Oczywiście, możemy go trochę przesunąć, ale nie za dużo, ze względu na zbiory - powiedział Verence.

- Wysłałem już część zaproszeń do bardziej oczywistych gości - powiedział Verence.

- I pomyślałem, że dobrze byłoby wcześniej zorganizować jakiś jarmark czy festiwal - powiedział Verence.

- Poprosiłem Boggiego z Ankh-Morpork, żeby przysłał najlepszego krawca i wybór materiałów. Jedna z pokojówek ma mniej więcej twoje wymiary i sądzę, że będziesz zadowolona z rezultatu - powiedział Verence.

- Pan Żelaznywładsson, krasnolud, przybył z gór specjalnie po to, żeby zrobić koronę - powiedział Verence.

- A mój brat i Słudzy Pana Vitollera nie mogli przyjechać, bo, jak zrozumiałem, objeżdżają teraz Klatch. Ale Hwel, kowal sztuki, napisał specjalne przedstawienie na uroczystość weselną. Coś, czego nawet wieśniacy nie zepsują, jak się wyraził - powiedział Verence.

- Czyli wszystko ustalone? - powiedział Verence. Wreszcie głos Magrat powrócił z jakiejś dalekiej wyprawy, lekko zachrypnięty.

- Czy nie powinienes mnie najpierw poprosić? - spytała gniewnie.

- Co? Tego... Właściwie nie. Nie. Królowie nie proszą. Sprawdziłem w książce. Ja jestem królem, rozumiesz, a ty, bez urazy, poddana. Nie muszę pytać.

Magrat otworzyła już usta, żeby wrzasnąć z wściekłości, ale w końcu jej mózg zaczął funkcjonować. Owszem, stwierdził, oczywiście że możesz nakrzyczeć na niego i odejść dumnie. On prawdopodobnie pobiegnie za tobą.

Bardzo prawdopodobnie.

Hm...

Może jednak nie aż tak prawdopodobnie. Bo chociaż jest miłym człowiekiem o łagodnych, załamanych oczach, jest też królem i sprawdził różne rzeczy w książkach. Ale bardzo prawdopodobnie całkiem prawdopodobnie.

Ale czy postawisz na to resztę swojego życia? Zresztą czy nie tego właśnie chciałaś? Nie na to liczyłaś? Szczerze?

Verence przyglądał się jej z troską.

- Chodzi o czarownictwo? - zapytał. - Nie musisz całkiem rezygnować, naturalnie. Żywię wielki szacunek dla czarownic. Możesz być czarodziejską królową, chociaż to znaczy, że będziesz musiała nosić takie suknie, co to prawie nic nie zakrywają, trzymać koty i częstować ludzi zatrutymi jabłkami. Gdzieś o tym czytałem. Boisz się o czarownictwo, tak?

- Nie - wymamrotała Magrat. - To nie to, że... no... wspominałeś o koronie?

- Musisz nosić koronę - oświadczył Verence. - Wszystkie królowe je noszą. Sprawdziłem w książce.

Mózg wtrącił się znowu. Królowa Magrat, szepnął. I podsunął jej zwierciadło wyobraźni...

- Nie jesteś zła, prawda? - upewnił się Verence.

- Co? Och. Nie. Ja? Skąd.

- To dobrze. Czyli załatwione. Myślę, że omówiliśmy już wszystko.

- Urn...

Verence zatarł ręce.

- Robimy kapitalne rzeczy ze strączkowymi - oznajmił, jak gdyby właśnie nie przewrócił do góry nogami całego jej życia, nawet nie pytając o zgodę. - Fasola, groch... No wiesz. Oraz margiel i wapno, oczywiście. Naukowe gospodarstwo. Chodź, obejrzyj sobie.

Odszedł, podskakując lekko z entuzjazmu.

- Może sprawimy, że to królestwo zacznie wreszcie funkcjonować - rzekł.

Magrat powlokła się za nim.

Czyli wszystko już ustalone. Nie oświadczyły, ale oświadczenie. Nawet w ciemnościach nocy nie próbowała sobie wyobrazić, jak powinna wyglądać ta chwila, ale miała wrażenie, że róże, zachody słońca i słowiki mogłyby mieć w niej swój udział. Koniczyna raczej nie grała zasadniczej roli. Fasola i inne wiążące azot uprawy nie były specjalnie istotne.

Z drugiej strony Magrat była w głębi duszy osobą o wiele bardziej praktyczną, niż się to wydawało tym, którzy dostrzegali tylko jej ckliwy uśmiech i zbiór ponad trzystu elementów okultystycznej biżuterii, z których żaden nie działał.

Czyli tak właśnie wychodzi się za króla... Wszystko jest załatwione. Nie ma białych koni. Przeszłość przeskakuje od razu w przyszłość i niesie człowieka ze sobą.

Może to jest normalne. Królowie mają dużo pracy. Doświadczenia Magrat w poślubianiu ich były mocno ograniczone.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Do starego ogrodu różanego.

Aha... No, to już lepsze.

Tyle że nie było tam żadnych róż. Otoczony murem ogród został pozbawiony alejek i altanek; porastały go wysokie do piersi zielone łądygi z białymi kwiatami. Wśród płatków wściekle pracowały pszczoły.

- Fasola? - domyśliła się Magrat.

- Tak! Pole doświadczalne. Sprowadzam tu farmerów, żeby im pokazać. - Verence westchnął. - Kiwają głowami, mruczą coś pod nosem i uśmiechają się. Ale podejrzewam, że potem wracają do siebie i robią wszystko jak dawniej.

- Wiem - zgodziła się Magrat. - To samo się działo, kiedy próbowałam dawać wykłady o porodach naturalnych.

Verence uniósł brew. Nawet dla niego myśl o Magrat, uczącej porodów te smagłe, płodne kobiety z Lancre, wydawała się odrobinę nierzeczywista.

- Naprawdę? A jak wcześniej rodziły dzieci?

- Byle jak. Po staremu. Spojrzeli na brzęczące zagony.

- Naturalnie, kiedy już będziesz królową, nie zechcesz... - zaczął Verence.

To przyszło delikatne jak pocałunek, lekkie jak muśnięcie słonecznego promienia.

Nie było wiatru, tylko nagły, ciężki bezruch, od którego zatykały się uszy.

Łodygi ugięły się, złamały i legły w kręgu.

Pszczoły zabzyczały głośno i uciekły.

Trzy czarownice jednocześnie dotarły do głazu.

Nie traciły czasu na wyjaśnienia. Pewne rzeczy zwyczajnie się wie.

- W samym środku moich nieszczęsnych ziół! - oznajmiła babcia Weatherwax.

- W pałacowym ogrodzie! - zawołała Magrat.

- Biedny maluch! A trzymał to, żeby mi pokazać! - dodała mania Ogg.

Babcia Weatherwax znieruchomiała.

- O czym ty mówisz, Gytho Ogg?

- Nasz Pewsey hodował dla swojej niani rzeżuchę na flaneli - wyjaśniła cierpliwie niania Ogg. - Pokazuje mi, rozumiecie, i akurat kiedy się schylam, żeby popatrzeć, płask! Krąg zbożowy.

- To poważna sprawa - uznała babcia Weatherwax. - Już od lat nie było tak źle jak teraz. Wszystkie wiemy, co to oznacza, prawda? Musimy...

- Ehm... - przerwała jej Magrat.

- ...teraz zrobić...

- Przepraszam...

Są takie rzeczy, o których jednak muszą człowiekowi powiedzieć.

- Słucham?

- Ja nie wiem, co to oznacza. Wiecie, stara mateczka Whemper...

- ...niechodpoczywawpokoju... - wtrąciły chórem starsze czarownice.

- ...mówiła mi kiedyś, że kręgi są niebezpieczne. Ale nigdy nie wytłumaczyła czemu.

Starsze czarownice porozumiały się wzrokiem.

- Nie mówiła ci o Tancerzach? - spytała babcia Weatherwax.
- Nie mówiła ci o Długim? - spytała niania Ogg.
- Jacy Tancerze? Chodzi o te kamienie na wrzosowisku?
- Teraz musisz wiedzieć tylko tyle - rzekła babcia Weatherwax - że trzeba Je powstrzymać.

- Jakie Je?

Babcia wręcz promieniała niewinnością.

- Kręgi zbożowe, oczywiście.

- O nie - odparła Magrat. - Poznaję po tym, jak to mówisz. Powiedziałaś Je, jakby to było przekleństwo. To nie było zwykłe je, ale Je przez dużej.

Starsze czarownice były wyraźnie zakłopotane.

- I kto to jest Długi? - spytała Magrat.
- Nigdy nie rozmawiamy o Długim - oświadczyła babcia.
- Nie zaszkodzi powiedzieć jej o Tancerzach - wymruczała niania Ogg.
- Tak, ale... no wiesz... znaczy... To przecież Magrat.
- Co to niby ma znaczyć? - zapytała gniewnie Magrat.
- Ty pewnie nie będziesz myślała o Nich tak samo - wyjaśniła babcia. - To tylko chciałam powiedzieć.
- Mówimy o... - zaczęła niania.
- Nie wymieniaj ich nazwy!
- Tak, masz rację. Przepraszam.

- Pomyśl, przecież krąg wcale nie musi trafić na Tancerzy - powiedziała już spokojniej babcia. - Mogą być całkiem przypadkowe.

- Ale jeśli któryś otworzy się wewnątrz... Magrat nie wytrzymała.

- Robicie to specjalnie! Cały czas mówicie szyfrem! Zawsze mnie tak traktujecie! Ale to się skończy, kiedy już zostanę królową! To je uciszyło. Niania Ogg przekrzywiła głowę.

- Doprawdy? A więc młody Verence zadał w końcu to pytanie?

- Tak!

- A kiedy nastąpi radosne wydarzenie? - zapytała lodowatym tonem babcia Weatherwax.

- Za dwa tygodnie - odparła Magrat. - W Letni Dzień.

- Zły wybór. Bardzo zły wybór - mruknęła niania Ogg. - Najkrótsza noc w roku...

- Gytho Ogg!

- Wtedy będziecie moimi poddanymi - oznajmiła Magrat, nie zwracając uwagi na tę wymianę zdań. - Będziecie musiały dygać i w ogóle.

Gdy tylko to powiedziała, uświadomiła sobie, że postępuje niemądrze. Gniew jednak pchał ją dalej.

Babcia Weatherwax zmrużyła oczy.

- Hmm - powiedziała. - Będziemy musiały, tak?

- Tak. A jeśli nie zechcecie, możecie trafić do więzienia!

- Coś podobnego. Ojej, co za nieszczęście. To by mi się wcale a wcale nie podobało.

Wszystkie trzy wiedziały, że lochy na zamku - które zresztą nigdy nie

były jego najbardziej godnym uwagi elementem - są teraz całkiem nieużywane. Verence II był monarchą najbardziej dobrotliwym w całej historii Lancre. Poddani traktowali go z czymś w rodzaju łagodnej pogardy, na jaką są skazani wszyscy, którzy cicho i sumiennie trują się dla wspólnego dobra. Poza tym Verence raczej sam by sobie odrąbał nogę, niż uwięził czarownicę, ponieważ na dłuższą metę byłoby to mniej kłopotliwe i pewnie nie tak bolesne.

- Królowa Magrat, co? - odezwała się niania Ogg, próbując nieco poprawić atmosferę. - Niech mnie. Cóż, przyda się trochę rozjaśnić stary zamek.

- Rozjaśni się, to pewne - burknęła babcia.

- A poza tym nie muszę się już przejmować niczym takim - oświadczyła Magrat. - Cokolwiek by to było. To wasza sprawa. Jestem pewna, że nie będę miała czasu.

- Jestem pewna, że wasza już wkrótce wysokość może robić, co tylko zechce.

- Tak jest! Mogę! A wy, do li... wy możecie sobie znaleźć nową czarownicę dla Lancre! Jasne? Inną ckliwą dziewczynę, żeby harowała za was i nigdy się niczego nie dowiedziała. I możecie sobie rozmawiać tak, żeby to ona niczego nie rozumiała. Ja mam ważniejsze sprawy.

- Ważniejsze niż być czarownicą? - spytała groźnie babcia. Magrat weszła w pułapkę.

- Tak!

- Oj! - mruknęła niania.

- Aha. No cóż, zechcesz chyba nas zostawić, jak sędzę - powiedziała babcia tonem ostrym jak nóż. - Wracasz do pałacu zapewne.

- Tak!

Magrat chwyciła miotłę.

Babcia błyskawicznie wyciągnęła rękę i złapała kij.

- O nie - powiedziała. - Nie w ten sposób. Królowe jeżdżą w złotych karocach i takich różnych. Każdemu co mu się należy. Miotły są dla czarownic.

- Dajcie spokój obie - zaczęła niania Ogg, urodzony mediator. - Zresztą można przecież być i królową, i cza...

- A komu na tym zależy? - Magrat puściła miotłę. - Nie muszę się już więcej przejmować.

Odwróciła się, uniosła suknię i odbiegła. Wkrótce stała się tylko ciemną sylwetką na tle zachodzącego słońca.

- Jesteś głupią babą, Esme - stwierdziła niania. - I tylko dlatego, że wychodzi za mąż...

- Sama wiesz, co by było, gdybyśmy jej powiedziały - odparła babcia Weatherwax. - Wszystko by pomieszała. Szlachetnych, kręgi... Mówiłaby, że to... ładne. Lepiej dla niej, jeśli pozostanie z boku.

- Nie były aktywne przez lata - przypomniała niania. - Będziemy potrzebowały pomocy. Znaczy... Kiedy ostatni raz byłaś koło Tancerzy?

- Wiesz, jak to jest... Kiedy panuje spokój, to się o nich nie myśli.

- Powinnyśmy je czyścić.

- To prawda.

- Polećmy tam zaraz rano - zaproponowała niania.

- Zgoda.

- I lepiej zabierz ze sobą sierp.

W królestwie Lancre nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie człowiek mógłby upuścić piłkę tak, żeby się od niego nie odtoczyła. Większa część powierzchni kraju to podmokłe wrzosowiska i gęsto porośnięte lasem zbocza, otoczone przez ostre, poszarpane góry, gdzie nawet trolle się nie zapuszczają, i doliny tak głębokie, że światło słoneczne trzeba dostarczać rurociągami.

Ścieżka prowadząca na wrzosowisko, gdzie stali kręgiem Tancerze, zarosła mocno, choć od miasta dzieliło je ledwie kilka mil. Myśliwi zapuszczali się tam niekiedy, jedynie przypadkiem. Nie o to chodzi, że brakowało zwierzyny, ale - jak by to...

...stały tam kamienie.

Kamienne kręgi w górach spotykało się często. Druidowie budowali je jako komputery meteorologiczne, a że zwykle taniej jest zbudować nowy 33-MegaLitowy krąg, niż przerobić stary, wszędzie można spotkać mnóstwo porzuconych.

Żaden druid nie zbliżył się nigdy do Tancerzy.

Kamienie nie były specjalnie ukształtowane. Nie były też ustawione w jakiś szczególnie znaczący sposób. Nie chodziło o żadne promienie słońca padające pewnego konkretnego dnia na konkretny kamień. Ktoś zwyczajnie przywłókł tu osiem gładów i ustawił je mniej więcej w okrąg.

Ale wewnątrz panowała inna pogoda. Ludzie mówili, że kiedy zaczyna padać deszcz, w kręgu pierwsze krople spadają kilka sekund później niż na zewnątrz - jak gdyby miały dalszą drogę do pokonania. Kiedy chmura przesłaniała słońce, mijała chwila czy dwie, nim wewnątrz kręgu przygasło światło.

William Scrope miał umrzeć za kilka minut. Trzeba zauważyć, że nie powinien polować na jelenie o tej porze roku, a już szczególnie nie na tego pięknego samca, którego tropił. Tym bardziej że był to piękny samiec z gatunku czerwonych ramtopiańskich, oficjalnie uznanego za zagrożony. Chociaż w tej chwili nie aż tak jak William Scrope.

Jeleń biegł teraz przed nim i przeciskał się przez paprocie tak głośno, że nawet ślepy mógłby go tropić.

Scrope szedł za zwierzyną.

Mgła wciąż wisiała wokół kamieni - nie grubą pokrywą, ale w długich, poszarpanych pasmach.

Jeleń dotarł do kręgu i zatrzymał się. Zrobił kilka kroków w tył, do przodu, znowu w tył. Obejrzał się na Scrope'a.

Scrope uniósł kuszę.

Jeleń odwrócił się i skoczył między głazy.

Od tego momentu wrażenia Scrope'a stały się niejasne. Pierwszym była...

...odległość. Krąg miał parę sążni średnicy i nie powinien nagle mieścić takich odległości.

Potem nadeszła...

...szybkość. Coś wybiegało z kręgu: biały punkcik, coraz większy i większy.

Scrope wiedział, że uniósł kuszę. Ale wyfrunęła mu z rąk, jakby czymś mocno uderzona, i nagle pozostało tylko wrażenie...

...spokoju.

I krótkie wspomnienie bólu.

William Scrope umarł.

William Scrope spojrzał przez swoje dłonie na zgniecione paprocie. Były zgniecione, ponieważ leżało na nich jego ciało.

Jego właśnie zmarłe oczy zbadały wzrokiem otoczenie.

Dla umarłych nie istnieją złudzenia. Umrzeć to jak obudzić się po naprawdę udanej imprezie, kiedy człowiek ma jeszcze sekundę czy dwie niewinnej swobody, nim zacznie sobie przypominać, co robił wczoraj w nocy, a co wydawało się takie logiczne i takie śmieszne. Jeszcze później pamięć podsuwa wspomnienie tego naprawdę rewelacyjnego numeru z kloszem od lampy i dwoma balonami, wszyscy boki zrywali ze śmiechu... Po czym uświadamia sobie, że dzisiaj wielu osobom będzie musiał spojrzeć w oczy, a jest już trzeźwy, i oni też, ale wszyscy pamiętają...

- Oj - powiedział Scrope.

Pejzaż płynął wokół kamieni. Teraz, kiedy Scrope patrzył z zewnątrz, wszystko stało się takie oczywiste...

Oczywiste. Żadnych murów, jedynie drzwi. Żadnych krawędzi, jedynie rogi.

WILLIAMIE SCROPE.

- Tak?

JEŚLI MOŻNA, PRZEJDŹ TĘDY.

- Jesteś myśliwym?

WOLEM MYŚLEĆ O SOBIE JAKO O PODNOSZĄCYM
PORZUCONE OKRUCHY

Śmierć uśmiechnęła się z nadzieją. Scrope zmarszczył swe postfizyczne czoło.

- Znaczy co? Z ciasta?

Śmierć westchnęła. Szkoda marnować metafory dla ludzi.

ZABIERAM LUDZKIE ŻYCIA. TO CHCIAŁEM POWIEDZIEĆ,
oznajmił kwaśnym tonem.

- A dokąd?

O TYM SIĘ PRZEKONAMY PRAWDA?

William Scrope rozpływał się już we mgle.

- To coś, co mnie załatwiło...

TAK?

- Myślałem, że one wymarły.

NIE. TYLKO ODESZŁY

- A dokąd?

Śmierć wyciągnął kościsty palec.

O TAM.

Początkowo Magrat nie zamierzała przeprowadzać się do zamku przed ślubem, bo przecież ludzie zaczną gadać. Owszem, w zamku mieszkało kilkanaście osób, a komnat było mnóstwo, ale przebywałyby pod tym samym dachem, a to zupełnie wystarczy. A raczej nie wystarczy.

To było przedtem. Teraz krew jej zawrzała. Niech sobie gadają. Domyślała się zresztą, kto konkretnie będzie gadał. Które to czarujące osoby. Ha! Niech sobie plotkują do woli.

Wstała wcześniej i spakowała swój majątek. Nie był wielki. Chatka właściwie nie należała do niej, a meble stanowiły element wyposażenia. Czarownice się zmieniały, ale chatki czarownic trwały w nieskończoność, zwykle pod tą samą strzechą, pod którą zaczynały.

Ale do niej przecież należał zestaw magicznych noży, mistyczne kolorowe sznurki, rozmaite puchary i kielichy, a także puzderko pełne bransolet, pierścieni i naszyjników, ciężkich od hermetycznych symboli

kilkunastu różnych religii. Wysypała je wszystkie do worka.

Były też książki. Inne czarownice uważały mateczkę Whemper za mola książkowego - nazbierała ich prawie tuzin. Magrat zawahała się chwilę i w końcu pozwoliła im zostać na półkach.

Potem przysłała kolej na oficjalny szpiczasty kapelusz. I tak nigdy go nie lubiła i starała wkładać jak najrzadziej. Do worka z nim!

Rozglądała się w popłochu, aż zauważyła mały kociołek obok paleniska. To wystarczy. Do worka... Potem starannie zawiązała wylot sznurkiem.

W drodze do pałacu, kiedy przechodziła po moście nad Wąwozem Lancre, wrzuciła worek do rzeki.

Kołysał się chwilę w porywistym nurcie, po czym zatonął. Magrat w sekrecie liczyła na sznur wielobarwnych bąbelków, a może nawet syk. Ale worek zwyczajnie poszedł na dno. Całkiem jakby nie zawierał niczego ważnego.

Inny świat, inny zamek...

Elf przemknął galopem po zamrzniętym mokradle. Para buchała z sierści jego czarnego wierzchowca i z czegoś, co niósł na grzbiecie.

Wjechał na stopnie, a potem do samego holu, gdzie siedziała zatopiona w marzeniach Królowa.

- Panie Lankin?

- Jeleń!

Ciągle jeszcze żył. Elfy doskonale potrafią zachowywać różne stworzenia przy życiu, często całymi tygodniami.

- Spoza kręgu?

- Tak, pani.

- Budzi się. Nie mówiłam?

- Jak długo jeszcze? Kiedy?

- Wkrótce. Wkrótce. Co przeszło na drugą stronę? Elf starał się unikać jej wzroku.

- To był... pani pupilek, Królowo.

- Na pewno nie odbiegnie daleko. - Królowa zaśmiała się. - Na pewno będzie miał dobrą zabawę.

O świcie spadł przelotny deszcz.

Nie ma nic gorszego, niż przedzierać się przez wysokie do ramion mokre paprocie. Chociaż nie, jest. Istnieje ogromna liczba rzeczy, przez które gorzej jest się przedzierać, zwłaszcza jeśli sięgają do ramion. Ale tutaj i teraz, myślała niania Ogg, trudno jest podać więcej niż jeden czy dwa przykłady.

Oczywiście nie lądowały wewnątrz kręgu Tancerzy. Nawet ptaki wolały zmieniać kurs, niż naruszać ich przestrzeń powietrzną. Wędrujące pajęczki babiego lata, unoszące się na cieniutkich niciach pół mili nad ziemią, skręcały dookoła. Chmury rozdzielały się na części i płynęły bokami.

Mgła wisiała wokół kamieni; lepka, wilgotna mgła. Niania cięła paprocie sierpem.

- Jesteś tam, Esme? - mruknęła.

Babcia Weatherwax wysunęła głowę z kępy paproci o kilka stóp dalej.

- Różne rzeczy się tu działy - oznajmiła chłodnym, rzeczowym tonem.

- Na przykład jakie?

- Paprocie i zielsko przy kamieniach są podeptane. Wydaje mi się, że ktoś tu tańczył.

Niania Ogg rozważyła tę kwestię tak skupiona, jak fizyk jądrowy, który się właśnie dowiedział, że ktoś dla rozgrzewki uderzał o siebie dwoma subkrytycznymi kawałkami uranu.

- Przecież nigdy... - zaczęła.

- A jednak. I jeszcze coś.

Trudno było sobie wyobrazić, o co może chodzić w tym przypadku, ale niania mimo to zapytała:

- Tak?

- Ktoś tu zginął.

- No nie... Chyba nie wewnątrz kręgu?

- Nie. Nie bądź głupia. To było na zewnątrz. Wysoki mężczyzna. Miał jedną nogę dłuższą od drugiej. I brodę. Prawdopodobnie myśliwy.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Właśnie na niego nadepnęłam. Promienie słońca przebiły się przez mgłę.

Poranne słońce pieściło już starożytne mury Niewidocznego Uniwersytetu, najwyższej uczelni magicznej, pięćset mil dalej.

Niewielu magów zdawało sobie z tego sprawę.

Dla większości magów z Niewidocznego Uniwersytetu pierwszym posiłkiem był lunch. Ogólnie rzecz biorąc, nie należeli do entuzjastów śniadań. Nadrektor i bibliotekarz byli jedynymi, którzy wiedzieli, jak wygląda świt oglądany z przodu. Zwykle na parę godzin mieli miasteczko akademickie tylko dla siebie.

Bibliotekarz zawsze wstawał wcześniej, ponieważ był orangutanem, a te są z natury rannymi ptaszkami. Tyle że nie wydawał kilku groźnych ryków, żeby inne samce trzymały się z daleka od jego terytorium. Otwierał tylko bibliotekę i karmił książki.

A Mustrum Ridcully, aktualny nadrektor, lubił wędrować po uśpionych korytarzach, czasem skinąć głową komuś ze służby i zostawiać krótkie liściki do podwładnych. Zwykle służyły jedynie temu, by uświadomić im z całą wyrazistością, że on już wstał i pilnuje spraw uniwersytetu, a oni wciąż jeszcze mocno śpią[5].

Dziś jednak miał co innego na głowie. Mniej więcej dosłownie.

To coś było okrągłe. Wokół otaczał je bujny gąszcz. I mógłby przysiąc, że jeszcze wczoraj tego nie było.

Odwracał głowę w tę i w tamtą stronę, zezując w lustrzane odbicie drugiego lustra, które trzymał z tyłu.

Kolejnym pracownikiem naukowym Niewidocznego Uniwersytetu, który wstawał krótko po nadrektorze i bibliotekarzu, był kwestor. Nie dlatego że budził się o świcie, ale już około dziesiątej bardzo ograniczone rezerwy cierpliwości nadrektora ulegały wyczerpaniu, więc stawał u stóp schodów i krzyczał:

- Kwestoor!

...dopóki kwestor się nie zjawiał.

Zdarzało się to tak często, że kwestor, urodzony neurożerca[6],

niejednokrotnie odkrywał, iż wstał i ubrał się przez sen kilka minut przed pierwszym krzykiem. W tym przypadku był ubrany i w połowie drogi do schodów, zanim uniósł powieki.

Ridcully nie tracił czasu na drobiazgi. Zawsze od razu przechodził do spraw poważnych.

- Słucham, nadrektorze - odezwał się smętnie kwestor. Nadrektor zdjął kapelusz.

- Co na to powiesz? - zapytał.

- Hm... hm... Na co, nadrektorze?

- Na to, człowieku! To!

Bliski paniki kwestor wpatrywał się rozpaczliwie w czubek głowy Ridcully'ego.

- Co? Aha... ta łysinka?

- Nie mam żadnej łysinki!

- Hm... w takim razie...

- Chcę powiedzieć, że jeszcze wczoraj jej tam nie było!

- Aha. No tak. Tego... - W pewnym momencie zawsze coś w kwestorze pękało i nie mógł nad sobą zapanować. - Oczywiście, takie rzeczy się zdarzają. Mój dziadek zawsze używał mikstury z miodu i końskiego nawozu, wcierał ją codziennie...

- Ja nie łysieję!

Tik wykrzywił twarz kwestora. Słowa wylewały się z niego same z siebie, jak gdyby bez żadnego uczestnictwa mózgu.

- ...a potem dostał taki aparat ze szklanym prętem i, i, i pocierał go jedwabiem, i...

- Przecież to śmieszne! W mojej rodzinie nikt jeszcze nie wyłysiał, jeśli nie liczyć którejś z ciotek!

- ...i, i, i zaczął zbierać poranną rosę i mył w niej głowę, i, i, i... Ridcully zrezygnował. Nie był człowiekiem okrutnym.

- Co pan na to bierze aktualnie? - zapytał cicho.

- Suszoną, suszoną, suszoną... - jękał się kwestor.

- Te pigułki z suszonej żaby, tak?

- T-t-t-t.

- W lewej kieszeni?

- T-t-t-t.

- W porządku. Już dobrze. Przełknąć.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem.

Kwestor odetchnął.

- J-j-już mi lepiej. Dziękuję, nadrektorze.

- Wyraźnie dzieje się coś niezwykłego, kwestorze. Czuję to w wodzie.

- Na pewno ma pan rację, nadrektorze.

- Kwestorze...

- Słucham, nadrektorze.

- Jest pan członkiem jakiegoś tajnego stowarzyszenia albo czegoś w tym rodzaju?

- Ja? Ależ skąd, nadrektorze.

- W takim razie postąpiłby pan wściekle rozsądnie, zdejmując z głowy kalesony.

- Znasz go? - spytała babcia Weatherwax. Niania Ogg znała w Lancre każdego. Nawet ten nieszczęsny obiekt w paprociach.

- To William Scrope, spod Kromki - odparła. - Jeden z trzech braci. Ożenił się z dziewczyną Palliardów, pamiętasz? Tą, co miała zęby chłodzone powietrzem.

- Mam nadzieję, że biedna kobieta ma odpowiednią czarną suknię.

- Wygląda, jakby ktoś go zakłuł - stwierdziła niania.

Stanowczo, choć delikatnie przewróciła ciało. Zwłoki nie budziły w niej niepokoju. Czarownice zwykle pełnią nie tylko funkcje akuszerki, ale też odprowadzają ludzi do grobu, więc dla wielu mieszkańców Lancre twarz niani Ogg była pierwszym i ostatnim widokiem w życiu. W porównaniu z tym, cała reszta pośrodku wydawała się całkiem nieciekawa.

- Przebity na wylot - oświadczyła. - Na drugą stronę. Niech mnie... Kto mógł zrobić coś takiego?

Obie czarownice spojrzały na kamienny krąg.

- Nie wiem, co to było - odpowiedziała babcia Weatherwax. - Ale wiem, skąd przyszło.

Teraz i niania zauważyła, że paprocie wokół kamieni były mocno podeptane i już całkiem zbrązowiały.

- Mam zamiar zbadać tę sprawę - oznajmiła babcia.

- Lepiej nie wchodzić do...

- Doskonale wiem, gdzie powinnam pójść. Dziękuję ci uprzejmie.

Grupa Tancerzy składała się z ośmiu głązów. Trzy z nich miały własne imiona. Babcia ruszyła wokół kręgu, aż stanęła przy tym, którego nazywano Dudziarzem.

Wyjęła szpilkę -jedną z wielu mocujących do włosów jej szpiczasty kapelusz - i przysunęła ją na sześć cali do powierzchni kamienia. Potem wypuściła i patrzyła, co się stanie.

Po chwili wróciła do niani.

- Wciąż jest w nich moc - powiedziała. - Niewiele, ale krąg jeszcze trzyma.

- Ale kto może być taki głupi, żeby przychodzić tu i tańczyć dookoła? - zastanowiła się niania Ogg. Zdradziecka myśl przemknęła jej przez głowę. - Magrat przez cały czas była przecież z nami w obcych stronach.

- Musimy się tego dowiedzieć. - Babcia uśmiechnęła się groźnie. - A teraz pomóż mi z tym biedakiem. Niania Ogg się schyliła.

- Do licha, ciężki jest. Przydałaby się nam tu młoda Magrat.

- Nie. Jest lekkomyślna. Byle co zawróci jej w głowie.

- Ale miła z niej dziewczyna.

- Ckliwa. Uważa, że można żyć, jakby bajki działały się rzeczywiście, a piosenki mówiły prawdę. Co nie znaczy, że nie życzę jej szczęścia.

- Mam nadzieję, że poradzi sobie jako królowa.

- Nauczyłyśmy ją wszystkiego, co wie.

- To fakt - przyznała niania Ogg, kiedy znikwały już w paprociach. - Nie sądzisz... może...

- Co?

- Może powinniśmy ją nauczyć wszystkiego, co same wiemy?
- To by za długo trwało,
- Rzeczywiście.

Długo trwało, zanim listy dotarły aż do nadrektora. Poczte zabierał spod bramy Niewidocznego Uniwersytetu każdy, kto akurat tamtędy przechodził, po czym zostawiał na półce, używał do zapalania fajki, jako zakładki czy też - w przypadku bibliotekarza - jako legowiska.

Temu listowi wystarczyły dwa dni i był prawie nie zniszczony, jeśli nie liczyć kilku śladów po kubkach i bananowego odcisku palca. Pojawił się na stole razem z resztą poczty, kiedy grono profesorskie spożywało posiłek. Dziekan otworzył go łyżką.

- Ktoś wie, gdzie leży Lancre? - zapytał.
- A co? - Ridcully gwałtownie podniósł głowę.
- Jakiś król się żeni i chce, żebyśmy przyjechali.
- Coś podobnego! - oburzył się wykładowca run współczesnych. - Jakiś marny królik bierze sobie żonę i mamy tam jechać?
- To w górach - odezwał się cicho Ridcully. - Pstrągi dobrze tam biorą, o ile pamiętam. Słowo daję. Lancre. Nie do wiary. Nie myślałem o nim od lat. Wiecie, są tam polodowcowe jeziora, gdzie ryby nigdy nie widziały wędki. Lancre. Tak...
- I to o wiele za daleko - dodał wykładowca run współczesnych. Ridcully nie słuchał.
- Są jelenie. Tysiące sztuk jeleni. I łosie. A wszędzie pełno wilków. Nie zdziwiłbym się, gdyby żyły lwy górskie. Słyszałem, że pojawiły się też

lodowe orły. - Oczy mu błyszczały. - Zostało ich tylko pół tuzina - dodał.

Mustrum Ridcully wiele robił dla zagrożonych gatunków. Na przykład dbał, żeby pozostawały zagrożone.

- To gdzieś na końcu świata - zauważył dziekan. - Akurat na brzegu mapy.

- Kiedyś jeździliśmy tam z wujem na wakacje - powiedział Ridcully. Oczy zaszły mu mgiełką wzruszenia. - Przeżyłem tam wspaniałe chwile. Piękne dni. Jakie tam są lata... i niebo bardziej błękitne niż gdziekolwiek indziej, takie bardzo... i trawa...

Nagle porzucił pejzaże swych wspomnień.

- W takim razie trzeba jechać - stwierdził. - Obowiązek wzywa. To ślub głowy państwa. Ważna ceremonia. Musimy tam posłać kilku magów. Inaczej nie wypada. Nobblyess obliże.

- W każdym razie ja nie jadę - zapewnił dziekan. - Takie wsie są wbrew naturze. Za dużo drzew. Nigdy tego nie znośłem.

- Kwestorowi przydałaby się wycieczka - uznał Ridcully. - Ostatnio zrobił się jakiś nerwowo, nie mam pojęcia dlaczego. - Pochylił się, by spojrzeć wzdłuż stołu. - Kwestoor!

Kwestor upuścił łyżkę do talerza owsianki.

- Widzicie, co mam na myśli? Prawdziwy kłębek nerwów.

MÓWIŁEM, ŻE DOBRZE PANU ZROBI TROCHĘ ŚWIEŻEGO POWIETRZA, KWESTORZE! - Solidnie szturchnął dziekana. - Mam nadzieję, że mu się w głowie nie pomiesza, biedakowi - powiedział głosem, który pewnie uważał za szept. - Za dużo czasu spędza w czterech ścianach, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

Diekan, który wychodził na dwór mniej więcej raz w miesiącu, wzruszył tylko ramionami.

- PEWNIENIE CHCIAŁBY PAN WYJECHAĆ NA PARĘ DNI Z UNIWERSYTETU, CO?! - zawołał nadrektor, kiwając głową i wykrzywiając się obłąkańczo. - Cisza i spokój? Zdrowe życie na wsi?

- Ja, ja, ja, ja bardzo bym chciał, nadrektorze - zapewnił kwestor. Nadzieja rosła na jego twarzy niczym grzyby jesienią.

- Zuch. Odważny człowiek. Pojedzie pan ze mną. - Ridcully uśmiechnął się promiennie.

Twarz kwestora znieruchomiała.

- Musimy zabrać jeszcze kogoś - uznał Ridcully. - Są ochotnicy?

Magowie, co do jednego mieszczuchy, pracownicy pochylił się nad talerzami. Zawsze zresztą pochyłali się nad nimi pracownicy, ale tym razem próbowali unikać spojrzenia nadrektora.

- A może bibliotekarz? - zaproponował wykładowca run współczesnych, rzucając wilkom przypadkową ofiarę. Zabrzmiął pełen ulgi gwar poparcia.

- Dobry wybór - pochwalił dziekan. - Akurat coś dla niego. Otwarty teren. Drzewa. I jeszcze te... no... drzewa.

- Górskie powietrze - podsunął wykładowca run współczesnych.

- Bibliotekarz ostatnio jakoś słabo wygląda - dodał czytelnik niewidzialnych tekstów.

- Tam poczuje się jak w domu - przekonywał wykładowca run współczesnych. - Wszędzie pełno drzew.

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na nadrektora.

- Nie nosi ubrania. - Ridcully wahał się. - I cały czas powtarza „uuk”.

- Czasem nosi taki stary zielony szlafrok - przypomniał dziekan.

- Ale tylko po kąpielu.

Ridcully poskrobał się w brodę. Tak naprawdę to dosyć lubił bibliotekarza, który nigdy się z nim nie kłócił i zawsze dbał o sylwetkę, nawet jeśli ta sylwetka przypominała gruszkę. Dla orangutana była odpowiednia.

Właściwie nikt już nie dostrzegał, że bibliotekarz jest orangutanem, chyba że jakiś gość na Niewidocznym Uniwersytecie powiedział to głośno. Wtedy ktoś odpowiadał: „Ach tak. Chyba jakiś magiczny wypadek, prawda? Jestem pewien, że to coś w tym rodzaju. W jednej chwili człowiek, w następnej już małpa. Właściwie to zabawne... Zupełnie nie pamiętam, jak wyglądał przedtem. Znaczący, musiał chyba być człowiekiem. Zawsze myślę o nim jako o małpie. Jakoś bardziej pasuje”.

Istotnie, zdarzył się kiedyś wypadek wśród potężnych magicznych ksiąg w uniwersyteckiej bibliotece. Wypadek ów, jak się okazało, pchnął genotyp bibliotekarza w dół drzewa ewolucji, a potem z powrotem w górę, jednak po innej gałęzi. Istotna różnica polegała na tym, że teraz mógł wisieć głową dół, trzymając się stopami.

- No dobrze - zgodził się w końcu nadrektor. - Ale podczas ceremonii musi coś na siebie włożyć, choćby ze względu na biedną pannę młodą.

Od strony kvestora dobiegł cichy jęk. Wszyscy się obejrżeli.

Jego łyżka z cichym stukiem wylądowała na posadzce. Była drewniana. Od czasu tego, co teraz określano „nieszczęśliwym wypadkiem przy kolacji”, magowie delikatnie usuwali z jego zasięgu metalowe sztucce.

- A-a-a - bełkotał kvestor, usiłując odsunąć się od stołu.

- Pigułki z suszonej żaby - zarządził nadrektor. - Niech ktoś wyjmie mu je z kieszeni.

Nikt się nie spieszył. W kieszeni maga można trafić na wszystko - ziarnka grochu, jakieś dziwaczne obiekty z nogami, małe eksperymentalne wszechświaty... Wszystko.

Czytelnik niewidzialnych tekstów wyciągnął szyję, by sprawdzić, co poruszyło kolegę.

- Popatrzcie na jego talerz! - zawołał.

W owsiance pojawiło się idealnie koliste wgłębienie.

- Coś podobnego! - zdumiał się dziekan. - Znowu krąg zbożowy. Magowie uspokoili się wyraźnie.

- To draństwo wszędzie się pojawia tego roku - stwierdził nadrektor.

Nie zdjął kapelusza do posiłku, bo kapelusz przytrzymał okład z miodu i końskiego nawozu oraz nieduży generator elektrostatyczny z mysim napędem. Zrobiły go te sprytnie chłopaki z wydziału badań Magii Wysokich Energii. Sprytnie chłopaki... Pewnego dnia może nawet zrozumie chociaż połowę tego, o czym stale paplają...

A tymczasem nie zdejmował kapelusza.

- W dodatku są wyjątkowo mocne - dodał dziekan. - Ogrodnik mówił mi wczoraj, że wyczyniają straszne rzeczy z kapustą.

- Myślałem, że takie rzeczy pojawiają się tylko na polach. - Ridcully zastanowił się chwilę. - Całkowicie normalne zjawisko naturalne.

- Jeśli skala zawirowań osiągnie odpowiednio wysoki poziom, ciśnienie intercontinualne może prawdopodobnie pokonać próg rzeczywistości podstawowej - wyjaśnił czytelnik niewidzialnych tekstów.

Rozmowa ucichła. Wszyscy spojrzeli na tego najbardziej lekceważonego i najmłodszego z grona starszych wykładowców.

Nadrektor popatrzył groźnie.

- Nie chcę, żeby zaczął pan choćby myśleć o wytłumaczeniu tego zjawiska - rzekł. - Znowu zacznie pan opowiadać, że wszechświat jest gumową membraną z ciężarkami, co?

- Właściwie nie...

- A słowo „kwant” znów ciśnie się panu na usta.

- Prawdę mówiąc...

- I pewnie jeszcze „continuuuuum”, jak podejrzewam. Czytelnik niewidzialnych tekstów, młody mag Myślak Stibbons, westchnął ciężko.

- Nie, nadrektorze. Chciałem tylko zauważyć...

- Chyba nie tunele podprzestrzenne, co?

Stibbons zrezygnował. Użycie metafory działało na człowieka tak pozbawionego wyobraźni jak Ridcully niczym płachta na by... niczym umieszczenie czegoś bardzo irytującego przed kimś, kogo to bardzo irytuje.

- Nie mogę pozwolić, żeby włóczył się pan dookoła i wymyślał miliony innych wszechświatów, takich małych, że wcale ich nie widać, i całą resztę tego swojego continuuuuum - oznajmił nadrektor. - Zresztą będę potrzebował kogoś do noszenia wędek i ku... Mojego bagażu - poprawił się szybko.

Niełatwo być czytelnikiem niewidzialnych tekstów[7].

Stibbons wpatrywał się w swój talerz. Nie warto było protestować.

Tak naprawdę chciał od życia tylko tego, żeby spędzić najbliższe sto lat na Niewidocznym Uniwersytecie, zjadać obfite posiłki i nie ruszać się zbyt wiele między nimi. Był pulchnym młodym człowiekiem o cerze barwy czegoś, co żyje pod kamieniem. Inni zawsze mu doradzali, żeby zrobił coś ze swoim życiem. Zgadzał się z tym: chciałby z niego zrobić łóżko.

- Ależ nadrektorze - wtrącił wykładowca run współczesnych. - To jednak wciąż strasznie daleko.

- Bzdura - uciął Ridcully. - Otworzyli nowy trakt aż do Sto Helit. Dylizans co środe, punktualnie. Kwestooor! Och, dajcie mu pigułkę z suszonej żaby albo co... Panie Stibbons, jeśli przez pięć minut zdoła pan

przebywać w naszym wszechświecie, to niech pan zarezerwuje bilety. No! Wszystko ustalone?

Magrat obudziła się.

I wiedziała, że nie jest już czarownicą. Uczucie ogarnęło ją w ramach normalnego remanentu, jaki każde ciało wykonuje w ciągu pierwszych sekund od wynurzenia się z otchłani snów. Ręce: 2, nogi: 2, lęk egzystencjalny: 58%, przypadkowe poczucie winy: 94%, poziom czarownictwa: 00,00.

Kłopot w tym, że nie pamiętała, by kiedyś była kimkolwiek innym. Zawsze była czarownicą. Magrat Garlick, trzecia czarownica - to była jej rola. Ta słabsza.

Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie szło jej najlepiej. Oczywiście, знаła pewne zaklęcia i wychodziły jej całkiem nieźle, znała się na ziołach... Ale nie była czarownicą do szpiku kości, jak tamte. Dopilnowały, żeby o tym pamiętała.

Cóż, musi teraz nauczyć się królowania. Przynajmniej w Lancre będzie jedyną królową. Nikt nie będzie zaglądał jej przez ramię, żeby powtarzać: „Złe trzymasz berło”.

Właśnie...

W nocy ktoś ukradł jej ubranie.

Wstała w nocnej koszuli i ruszyła do drzwi. Była już w połowie drogi, kiedy otworzyły się same.

Poznała drobną, ciemnowłosą dziewczynę, która stanęła w progu, ledwie widoczną zza stosu pościeli. Większość mieszkańców Lancre znała wszystkich innych mieszkańców.

- Millie Chillum?

Pościel zjechała niżej w grzecznym dygnięciu.

- Tak, psze pani.

Magrat uniosła część stosu.

- To ja, Magrat - powiedziała. - Dzień dobry.

- Tak, psze pani. - Znowu dyg.

- Co z tobą, Millie?

- Tak, psze pani. - Dyg, dyg.

- Przecież mówię, że to ja. Nie musisz tak na mnie patrzeć.

- Tak, psze pani.

Nerwowe dygania nie ustawały. Magrat poczuła, że także zaczyna odruchowo uginać kolana. A że nieco spóźniła tempo, w drodze na dół zrównała się z dziewczyną sunącą w górę.

- Jeśli jeszcze raz powiesz „tak, psze pani”, zrobię się bardzo surowa - ostrzegła, gdy się mijały.

- Tak, p... wasza wysokość. Coś zaczęło jej świtać.

- Nie jestem jeszcze królową, Millie. I znasz mnie od dwudziestu lat - wysapała po drodze w górę.

- Tak, psze pani. Ale będzie pani królową. Dlatego mama kazała mi okazywać szacunek.

- Aha. No tak. Trudno, niech będzie. Gdzie moje ubranie?

- Jest tutaj, wasza przewysokość.

- To nie moja suknia. I proszę, przestań tak dygać. Zbiera mi się na mdłości.

- Król zamówił ją aż w Sto Helit, psze pani.

- Zamówił, tak? Kiedy?

- Nie wiem, psze pani.

Wiedział, że wracamy do domu, zdziwiła się Magrat. Skąd? O co tutaj chodzi?

Suknia miała o wiele za dużo koronki, ale i tak okazało się, że to tylko dodatek. Magrat nosiła zwykle prostą suknię, a pod spodem niewiele oprócz samej Magrat. Damy z wyższych sfer nie mogły sobie pozwolić na coś takiego. Millie przyniosła coś w rodzaju rysunku z instrukcją obsługi, lecz nie pomagał wiele.

Przyglądały mu się przez chwilę.

- Więc to jest typowy kostium królowej?

- Nie wiem, psze pani. Wydaje mi się, że jego wysokość wysłał im po prostu dużo pieniędzy i kazał dostarczyć wszystko, co potrzebne. Rozłożyły poszczególne elementy na podłodze.

- Czy to są pantofle?

Na zewnątrz, na blankach, zmienił się strażnik. Ściślej mówiąc, włożył fartuch i zmienił się w ogrodnika. Zszedł z murów i ruszył pielnić fasolę. Wewnątrz trwała dyskusja na temat elegancji.

- Wydaje mi się, że włożyła to pani na odwrót, psze pani. Która część to krynolina?

- Tu piszą: „Wsunąć płytkę A w szczelinę B”.

- Nie mogę znaleźć szczeliny B.

- Teraz wygląda jak juki dla konia. Nie założę tego. A to co?
 - Kreza, psze pani. Mój brat mówi, że w Sto Helit to prawdziwy szal.
 - Znaczy, ludzie dostają od tego obłądu? A to?
 - Myślę, że to brokat.
 - Przypomina teksturę. Czy muszę to wszystko nosić codziennie?
 - Nie mam pojęcia, psze pani.
 - Verence biega dookoła tylko w skórzanych spodniach i starej kurtce.
 - Ale pani jest królową. Królowe nie mogą się tak zachowywać. Wszyscy o tym wiedzą, psze pani. Królom wolno biegać dookoła z tyłkiem wystającym z por... - Millie zakryła sobie dłonią usta.
 - Nic nie szkodzi - uspokoiła ją Magrat. - Jestem pewna, że królowie mają... górę nóg, tak jak wszyscy ludzie. Dokończ, co chciałaś powiedzieć.
- Millie poczerwieniała gwałtownie.
- Znaczy, chciałam, no... Królowa powinna się zachowywać jak dama - wykrztusiła w końcu. - Król ma o tym książki. Etykiety i różne takie.
- Magrat przyjrzała się sobie krytycznie w zwierciadle.
- Do twarzy pani, wasza już niedługo wysokość - oceniła Millie. Magrat okręciła się tam i z powrotem.
 - Włosy mam rozczochrane - oświadczyła po chwili.
 - Nie szkodzi, psze pani. Król mówił, że sprowadzi fryzjera z samego Ankh-Morpork, psze pani. Na ślub.
- Magrat przygładziła pukiel włosów. Zaczynała sobie uświadamiać, że bycie królową oznacza zupełnie nowe życie.

- Coś podobnego - powiedziała. - A teraz co mam robić?

- Nie wiem, psze pani.

- A co robi król?

- Zjadł wcześniej śniadanie i polazł do Kromki, żeby pokazać staremu Muckloe, jak ma hodować świnię z książki.

- A ja? Czym ja mam się zajmować?

Millie zrobiła zdziwioną minę, co zresztą nie wymagało specjalnej zmiany wyrazu twarzy.

- Nie wiem, psze pani. Chyba panowaniem. Spacerowaniem po ogrodzie. Dworem. Wyszywaniem gobelinów. To bardzo popularna rozrywka wśród królowych. No i jeszcze... tego... później jest też podtrzymywanie dynastii...

- Na razie spróbujemy z gobelinami - rzekła stanowczo Magrat.

Ridcully miał pewne kłopoty z bibliotekarzem.

- Tak się składa, że jestem tu nadrektorem!

- Uuk.

- Spodoba ci się tam! Świeże powietrze! Masa drzew! Więcej lasów, niż można pomyśleć!

- Uuk!

- Zejdź tu natychmiast!

- Uuk!

- Książkom nic nie grozi podczas wakacji. Wielcy bogowie, wystarczająco trudno jest zapędzić tu studentów nawet w czasie zajęć!

- Uuk!

Ridcully spojrzał gniewnie na bibliotekarza, który wisiał na palcach stóp z najwyższej półki regału Parazoologii, od Ba do Mn.

- No dobrze - rzekł głosem cichszym nagle i przebiegłym. - Ale w tych okolicznościach to naprawdę szkoda. Słyszałem, że w zamku Lancre mają całkiem niezłą bibliotekę. No, w każdym razie nazywają ją biblioteką. To po prostu kupa starych książek. O ile wiem, nigdy nawet nie widziały katalogu.

- Uuk?

- Tysiące książek. Ktoś mi mówił, że mają nawet inkunibuły. Naprawdę szkoda, że nie chcesz ich obejrzeć.

Głosem Ridcully'ego można by smarować osie.

- Uuk?

- Ale widzę, że twoja decyzja jest nieodwołalna. W takim razie pójdę już. Do zobaczenia.

Ridcully zatrzymał się za drzwiami biblioteki i zaczął liczyć pod nosem. Doszedł do trzech, kiedy bibliotekarz wybiegł prędko, skuszony inkunibulami.

- Czyli zamówić cztery bilety, tak? - upewnił się Ridcully.

Babcia Weatherwax postanowiła wykryć, co się dzieje wokół kamieni. I zabrała się do tego na własny sposób. Ludzie nie doceniają pszczół. Babcia Weatherwax doceniała. Miała w ogródku sześć uli i wiedziała na przykład, że nie ma czegoś takiego jak indywidualna pszczoła. Jest za to inna istota: rój,

której pojedyncze komórki są trochę bardziej ruchliwe niż - powiedzmy - pospolity ślimak. Roje widzą wszystko, a wyczuwają jeszcze więcej i zachowują wspomnienie przez lata, choć pamięci używają zwykle zewnętrznej i zbudowanej z wosku. Plaster miodu to pamięć ula. Ułożenie komórek z jajeczkami, komórek z pyłkiem, komórek królowej, komórek z miodem, różne odmiany miodu - to wszystko tworzy rejestry pamięci.

Są także wielkie, tłuste trutnie. Ludzie uważają, że trutnie fruwać sobie tylko przez cały rok wokół ula, czekając na te kilka krótkich minut, kiedy królowa w ogóle zauważy ich istnienie. Ale to nie tłumaczy, dlaczego mają więcej organów zmysłów niż budynek dyrekcji CIA.

Właściwie babcia nie hodowała pszczół. Co roku podbierała im trochę starego wosku na świece, od czasu do czasu jakiś funt miodu, jeśli ule uznały, że mogą się nim podzielić. Głównie jednak służyły jej do tego, żeby miała z kim porozmawiać.

Dzisiaj, po raz pierwszy od powrotu do domu, poszła do uli. I spojrzała.

Pszczoły wylewały się na zewnątrz. Brzęczenie skrzydeł wypełniało spokojny zwykle kawałek ogrodu za krzakami malin. Brązowe ciała śmigały przez powietrze niczym poziomy grad.

Babcia chciała wiedzieć dlaczego.

Pszczoły były jej jedyną porażką. Nie istniał w Lancre umysł, którego nie umiałaby Pożyczyć. Mogła nawet spojrzeć na świat oczami dżdżownicy[8]. Ale rój - umysł zbudowany z tysięcy ruchomych części - przekraczał jej możliwości. Stanowił najtrudniejszą próbę. Raz po raz usiłowała dosiąść jednego z rojów, spojrzeć dziesięcioma tysiącami par fasetowych oczu jednocześnie... Uzyskiwała tyle, że męczyła ją migrena i miała potem ochotę kochać się z kwiatami.

Dużo jednak można odgadnąć z samej obserwacji pszczół. Ich loty, kierunki, zachowanie strażniczek ula...

Te pszczoły wydawały się bardzo zaniepokojone.

Dlatego poszła się położyć tak, jak tylko ona potrafiła.

Niania Ogg podeszła do problemu inaczej. Jej sposób nie miał wiele wspólnego z czarownictwem, ale bardzo wiele z ogólną oggowatością. Przez jakiś czas siedziała w swej nieskazitelnie czystej kuchni, popijała rum, paliła cuchnącą fajkę i wpatrywała się w obrazki na ścianie. Namalowały je najmłodsze wnuki w kilkunastu kolorach błota, a przedstawiały kleksowate cienkie figurki i słowo BABCIA kleksowato wykleksowane błotnistymi kleksowymi literami.

Zadowolony z powrotu do domu kot Greebo leżał przed nią z czterema łapami wyciągniętymi w górę i znakomicie udawał coś znalezionego w rynsztoku.

Wreszcie niania Ogg wstała i zamyślona ruszyła do kuźni Jasona.

Kuźnia na wsi zawsze pełni ważną funkcję. Służy za pokój spotkań, salę narad, a przede wszystkim punkt wymiany plotek. Wewnątrz siedziało kilku mężczyzn zabijających czas pomiędzy typowymi w Lancre zajęciami, takimi jak kłusownictwo i obserwacja, jak pracują kobiety.

- Jasonie, chcę z tobą zamienić słówko.

Kuźnia opustoszała jak za dotknięciem różdżki. Coś chyba wyczuli w jej głosie... Niania zdążyła jeszcze wyciągnąć rękę i złapać za ramię mężczyznę, który chyłkiem usiłował się wymknąć.

- Tak się cieszę, że pana spotykam, panie Quarney - powiedziała. - Niech się pan tak nie spieszy. W sklepie bez kłopotów, jak sądzę?

Jedyny sklepikarz w Lancre spojrzał na nią jak kulawa mysz na atletycznego kota. Mimo to próbował walczyć.

- Och, fatalnie, pani Ogg. Przerazająco. Interesy idą fatalnie.

- Czyli jak zwykle, co?

Pan Quarney zrobił błagalną minę. Wiedział, że nie wydostanie się stąd, nie dając czegoś w zamian, ale przynajmniej chciał wiedzieć, co to takiego.

- No dobrze - rzekła niania. - Znasz wdowę Scrope? Mieszka pod Kromką.

Quarney otworzył usta.

- Ona nie jest wdową - zaprotestował. - Ona przecież...

- Założymy się o pół dolara? - zaproponowała niania Ogg. Usta Quarneya pozostały otwarte, a twarz wokół nich ułożyła się w wyraz fascynacji i grozy.

- Dlatego ma dostać kredyt, dopóki nie postawi farmy na nogi - oznajmiła wśród ciszy niania.

Quarney bez słowa kiwnął głową.

- To samo odnosi się do całej reszty, która podsłuchuje za drzwiami! - zawołała głośniejszym głosem niania. - Kawał mięsa dostarczony na próg raz w tygodniu na pewno jej nie urazi, prawda? Przyda się też jakaś pomoc w czasie zbiorów. Wiem, że mogę na was polegać. A teraz zmykajcie...

Odbiegli, pozostawiając nianię Ogg stojącą w drzwiach z tryumfalnym uśmiechem.

Jason Ogg spojrzał na nią bezradnie - dwustufuntowy mężczyzna zredukowany nagle do czteroletniego chłopca.

- Jason!

- Muszę dołożyć do ognia, bo...

- A więc? - Niania nie zwracała uwagi na jego słowa. - Co się działo w tej okolicy, mój chłopcze, kiedy mnie nie było?

Jason z roztargnieniem pogrzebał w ogniu żelazną sztabą.

- No... Mieliśmy huragan w Noc Strzeżenia Wiedźm, aż jedna kwoka matki Peason zniosła trzy razy to samo jajo, a krowa starego Poorchicka urodziła siedmiogłowego węża, i jeszcze w Kromce spadł deszcz żab...

- Czyli właściwie normalnie. - Niania Ogg bez emocji, choć znacząco nabiła fajkę.

- I całkiem spokojnie - dodał Jason.

Wyciągnął sztabę z ognia i położył na kowadle. Uniósł młot.

- Wiesz przecież, że prędzej czy później sama do tego dojdę - powiedziała niania.

Jason nie odwrócił głowy, ale młot znieruchomiał w powietrzu.

- Zawsze się dowiaduję - mówiła spokojnie niania.

Żelazo ostygło od barwy jasnej słomy do jaskrawej czerwieni.

- I wiesz, że jak powiesz mamusi, od razu się lepiej poczujesz.

Żelazo wystygło od czerwieni do całkowitej czerni. Ale Jason, choć przyzwyczajony do panującego w kuźni żaru, wyraźnie zlany był potem.

- Trzeba kuć żelazo póki gorące - zauważyła niania.

- To nie moja wina, mamó! Jak miałem im przeszkodzić? Niania usiadła na stołku i uśmiechnęła się z satysfakcją.

- O jakich „im” mówisz, drogi synu?

- Ta młoda Diamanda i Perdita, i jeszcze ta ruda dziewczyna z Głupiego Ośła, i parę innych. Mówiłem staremu Peasonowi, mówiłem, że będziesz miała coś do powiedzenia, tłumaczyłem, że pani Weatherwax się w... będzie na pewno zdenerwowana, kiedy się dowie - tłumaczył Jason. - Ale one się tylko śmiały. I powiedziały, że same mogą się nauczyć

czarownictwa.

Niania pokiwała głową. Właściwie to miały rację. Można samemu nauczyć się czarownictwa. Ale i nauczyciel, i uczeń muszą być odpowiednimi osobami.

- Diamanda? - zastanowiła się. - Nie pamiętam nikogo takiego.

- Tak naprawdę to jest Lucy Tockley - wyjaśnił Jason. - Twierdzi, że Diamanda jest bardziej... bardziej czarownicowa.

- Aha. To ta, która nosi taki duży, miękki filcowy kapelusz?

- Tak, mamó.

- I maluje paznokcie na czarno?

- Tak, mamó.

- Stary Tockley posyłał ją do szkół, zgadza się?

- Tak, mamó. Wróciła, jak was nie było.

- Aha.

Niania Ogg odpaliła fajkę od paleniska. Filcowy kapelusz, czarne paznokcie i edukacja. Ładne rzeczy.

- Ile jest tych dziewczuch? - spytała.

- Jakieś pół tuzina. Ale one mają talent, mamó.

- Tak?

- I przecież nie robiły nic złego.

Niania Ogg wpatrzyła się z zadumą w żar paleniska.

Milczenie niani Ogg miało w sobie jakąś bezdenność, a także pewien

element kierunkowy. Jason nie wątpił, że milczenie skierowane jest do niego.

Nie potrafił tego wytrzymać. Jak zwykle spróbował je czymś wypełnić.

- Ta Diamanda odebrała wykształcenie - zauważył. - Zna parę ślicznych słów. Milczenie.

- A sama mówiłaś, pamiętasz, że ostatnio brakuje młodych dziewcząt, które by chciały się uczyć czarownictwa - przypomniał Jason. Chwycił żelazną sztabę i dla zachowania pozorów kilka razy uderzył ją młotem.

W jego stronę popłynęła kolejna porcja milczenia.

- One chodzą i tańczą w górach przy każdej pełni. Niania Ogg wyjęła z ust fajkę i dokładnie przyjrzała się cybuchowi.

- Ludzie gadają... - Jason zniżył głos - że tańczą tam całkiem.

- Całkiem co? - zdziwiła się niania.

- No wiesz, mamó. Całkiem goło.

- Niech mnie. Coś podobnego. Ktoś widział, gdzie chodzą?

- Nie. Tkacz, ten dekarz, mówił, że zawsze jakoś mu znikają.

- Jason...

- Tak, mamó?

- One tańczyły wokół kamieni. Jason uderzył się w palec.

W górach i lasach w Lancre żyła pewna liczba bogów. Jeden z nich znany był jako Herne Łowiony. Był bogiem pogoni i łowów. Mniej więcej. Większość bóstw powstaje i trwa dzięki wierze i nadziei. Łowcy tańczą w

zwierzęcych skórach i powołują bogów polowania, zwykle rubasznych, hałaśliwych i taktownych jak fala przypiływu. Ale to nie jedyne bóstwa łowów. Ofiary także mają okultystyczne prawo głosu, gdy dudni krew i szczekają psy. Herne był bogiem ściganych, łwionych i wszystkich małych zwierzątek, których ostatecznym przeznaczeniem jest urywany, rozpaczliwy pisk.

Miał jakieś trzy stopy wzrostu, królicze uszy i bardzo małe rogi. Ale osiągał też znakomitą szybkość i w tej chwili w pełni tę umiejętność wykorzystywał, pędząc na ślepo przez las.

- Nadchodzą! Przybywają! Oni wracają!

- Kto? - zapytał Jason, trzymając palec w korycie z wodą. Niania Ogg westchnęła.

- Oni - wyjaśniła. - Przecież sam wiesz. No, Oni. Nie mamy pewności, ale...

- Jacy Oni?

Niania zawahała się. O pewnych rzeczach nie mówiło się przecież zwyczajnym ludziom. Z drugiej strony Jason był przecież kowalem, a to znaczy, że wcale nie był zwyczajny. Kowale muszą dochowywać sekretów. W dodatku należał do rodziny. Niania Ogg miała burzliwą młodość, a liczenie nie wychodziło jej najlepiej, ale była właściwie pewna, że to jej syn.

- Widzisz - zaczęła, gestykulując niezrozumiale - te kamienie... Tancerze... Rozumiesz, za dawnych czasów... No wiesz, dawno, dawno temu...

Przerwała i raz jeszcze próbowała wyjaśnić fundamentalnie fraktalną naturę rzeczywistości.

- To tak... Niektóre miejsca są... cieńsze od innych. Tam kiedyś istniały

bramy, chociaż właściwie nie bramy, sama nigdy nie mogłam tego zrozumieć, nie bramy jako takie, ale raczej miejsca, gdzie świat jest cieńszy... W każdym razie chodzi o to, że Tancerze... to coś w rodzaju ogrodzenia... Bo my, ale wiesz, kiedy mówię „my”, to znaczy ludzie tysiące lat temu... Znaczą, to nie są zwykłe kamienie, tylko jakieś żelazo z gromu, ale... Zdarzają się takie jakby przypływy, kiedy światy są bliżej siebie, a wtedy prawie że można przejść między nimi... Krótko mówiąc, jeśli ludzie będą się włóczyć koło kamieni i urządzać tam zabawy, to Oni wrócą. Dlatego trzeba uważać.

- Jacy Oni?

- Na tym polega problem - odparła smętnie niania. - Jeśli ci powiem, wszystko przekreślisz. Oni żyją po drugiej stronie Tancerzy.

Syn przyglądał się jej w skupieniu. Po chwili lekki uśmiech zrozumienia przemknął mu po twarzy.

- Aha. Już wiem. Słyszałem, że magowie w Ankh ciągle przypadkiem wyrrywają dziury w materii rzeczywistości, co ją tam trzymają, a potem jakieś okropne stwory wyłazą z Piekielnych Wymiarów. Wielkie paskudy, mają po dziesięć oczu i więcej nóg niż zespół tańca morris. - Ścisnął swój młot nr 5. - Nie przejmuj się, mamó. Jak tylko wystawią tu głowy, zaraz je...

- Nie, to nie to. Tamte żyją na zewnątrz. Ale Oni żyją... zaraz obok.

Jason nie pojmował.

Niania wzruszyła ramionami. Prędzej czy później i tak musi komuś powiedzieć.

- Panowie i Damy - rzekła.

- A kto to jest?

Rozejrzała się. Była przecież w kuźni. Kuźnia stała tutaj, zanim jeszcze wzniesiono zamek, zanim w ogóle powstało królestwo. Wszędzie wisały podkowy. Żelazo wniknęło w same ściany. Kuźnia nie była miejscem, gdzie

żelazo po prostu leży, ale miejscem, gdzie umiera i odradza się na nowo. Jeśli tutaj nie można wymówić pewnych słów, to już nigdzie.

Mimo to wołała tego nie robić.

- No wiesz - powiedziała. - Piękny Lud. Szlachetni. Gwiazdziści. Promieniści. Wiesz przecież.

- Co?

Niania na wszelki wypadek oparła dłoń o kowadło i wymówiła słowo.

Zmarszczone czoło Jasona wygładziło się z prędkością wschodu słońca.

- Oni? - upewnił się. - Ale przecież są dobrzy i...

- Widzisz? - przerwała mu niania. - Wiedziałam, że wszystko przekręcisz.

- Ile? - nie dowierzał Ridcully. Woźnica wzruszył ramionami.

- Bierzecie czy nie?

- Przykro mi, panie nadrektorze - wtrącił Stibbons. - To jedyny dyliżans.

- Pięćdziesiąt dolarów od osoby to rozbój w biały dzień!

- Nie - zaprzeczył woźnica cierpliwie i wyjaśnił autorytatywnym głosem człowieka doświadczonego: - Rozbój w biały dzień jest wtedy, kiedy ktoś wychodzi na drogę i mierzy do nas z łuku, a potem jego koledzy wyskakują zza drzew i skał, i zabierają wszystkie nasze pieniądze i bagaże. Istnieje też rozbój w ciemną noc, całkiem podobny do rozboju w biały dzień, tyle że podpalają dyliżans, żeby widzieć, co rabują. Rozbój w szary zmierzch

za to, taki typowy rozbój w szary zmierzch, polega na...

- Chcesz powiedzieć - upewnił się Ridcully - że rabunek jest wliczony w cenę?

- Gildia Bandytów - wyjaśnił woźnica. - Czterdzieści dolarów od głowy. Stała stawka.

- A co będzie, jeśli nie zapłacimy?

- To na stałe kończycie bez głowy. Magowie zebrali się w ciasną grupkę.

- Mam sto pięćdziesiąt dolarów - oznajmił Ridcully. - Nie możemy wyjść z sejfu więcej, bo kwestor zjadł wczoraj klucz.

- Czy mogę wypróbować pewien sposób? - zapytał Myślak.

- Zgoda.

Myślak obdarzył woźnicę promiennym uśmiechem.

- Zwierzęta jadą za darmo? - zapytał.

- Uuk?

Niania Ogg sunęła kilka stóp nad leśną dróżką. Brała zakręty tak ostro, że butami zaczepiała o liście. Zeskoczyła przed chatką babci Weatherwax, zanim jeszcze wyłączyła miotłę, która przefrunęła kawałek i wbiła się w wygodkę.

Drzwi były otwarte. Niania Ogg zajrzała do spiżarni, po czym wbiegła na wąskie schody.

Babcia Weatherwax leżała wyciągnięta sztywno na łóżku. Twarz miała

szarą, a skórę zimną.

Znajdowano ją już w takim stanie i wtedy robił się rwetes. Teraz więc uspokajała gości, choć kusila los, zawsze trzymając w sztywnych palcach małą kartkę z ręcznie wykonanym napisem:

NIE JESTEM MARTFA.

Okno stało otworem, podparte kawałkiem drewna.

- Aha - powiedziała niania, głównie po to, żeby dodać sobie odwagi. - Widzę, że wyszłaś. No to, no to, no to postawię wodę, dobrze, i zaczekam, aż wrócisz.

Talent Esme do Pożyczania zawsze ją niepokoił. Dobrze jest przejmować umysły zwierząt i różnych innych, ale zbyt wiele czarownic nie wracało z takich wypraw. Przez kilka lat niania wykładała kawałki tłuszczu i skórki boczku dla pewnej sikorki, bo na pewno była to stara babcia Prostalute, która kiedyś wyruszyła na Pożyczanie i nigdy nie powróciła. O ile czarownica może cokolwiek uznać za nienaturalne, niania Ogg to właśnie za nienaturalne uznawała.

Wróciła do spiżarni i spuściła wiadro do studni. Tym razem pamiętała, że zanim postawi kociołek na ogniu, trzeba wyłowić kijanki.

Potem zaczęła obserwować ogród.

Po chwili coś małego przemknęło nad ziemią w stronę otwartego okna na pięterku.

Niania nalala herbaty. Starannie nabrała łyżeczkę cukru, wysypała resztę do swojego kubka, wysypała do cukiernicy łyżeczkę, postawiła kubki na tacy i wspięła się na schody.

Babcia Weatherwax siedziała na łóżku.

Niania rozejrzała się. Z belki pod sufitem zwisał duży nietoperz.

Babcia Weatherwax roztarta uszy.

- Ustaw pod nim nocnik, Gytho - poprosiła. - Te łobuzy lubią sobie ulżyć na dywan.

Niania sięgnęła po najbardziej dyskretny element zastawy sypialnej babci Weatherwax i pchnęła go nogą po dywanie.

- Przyniosłam ci herbatę.

- Bardzo dobrze. Ciągłe czuję ćmy w ustach.

- Myślałam, że nocą wybierasz sowę.

- Tak, ale potem przez parę dni człowiek próbuje kręcić głową dookoła - wyjaśniła babcia. - Nietoperz przynajmniej zawsze patrzy w tę samą stronę. Próbowałam też królików, ale mają fatalną pamięć. Poza tym sama wiesz, o czym bez przerwy myślą. Są z tego znane.

- O trawie.

- Właśnie.

- Odkryłaś coś? - spytała niania.

- Chodzi tam z pół tuzina ludzi. Zawsze podczas pełni - odparła babcia.
- Dziewczyny, sądząc po figurze. Z nietoperzami widzi się tylko sylwetki.

- Dobrze sobie poradziłaś - pochwaliła ją ostrożnie niania. - Dziewczyny z okolicy, jak przypuszczam?

- Pewnie tak. Nie używały mioteł. Niania Ogg westchnęła.

- To Agnes Nitt, córka starej Trzypensówki - powiedziała. - I dziewczucha Tockleyów. I parę innych.

Babcia Weatherwax patrzyła na nią z otwartymi ustami.

- Spytałam naszego Jasona - wyjaśniła niania. - Przepraszam. Nietoperz beknął. Babcia elegancko zasłoniła usta dłonią.

- Jestem stara i głupia, prawda? - odezwała się po chwili.

- Nie, skąd - uspokoiła ją niania. - Pożyczanie to trudna sztuka, a ty jesteś w niej świetna.

- Zrozumiała jestem i tyle. Dawno temu też bym pomyślała, żeby kogoś spytać, zamiast włóczyć się jako nietoperz.

- Nasz Jason by ci nie powiedział. Zdradził wszystko mnie, bo wie, że zmieniałbym mu życie w piekło. Po to przecież są matki.

- Tracę rozeznanie, ot co. Starzeję się, Gytho.

- Jesteś tak stara, jak się czujesz. Zawsze to powtarzam.

- O to mi właśnie chodziło. Niania Ogg zmartwiła się wyraźnie.

- Pomyśl - ciągnęła babcia. - Gdyby tu była Magrat, zobaczyłaby, że postępuję niemądrze.

- Na razie siedzi bezpiecznie w zamku - uspokoiła ją niania. - Uczy się, jak być królową.

- Królowanie ma przynajmniej tę zaletę - zauważyła babcia - że nikt nic nie powie, jeśli zrobisz coś nie tak. To musi być słuszne, bo właśnie ty tak robisz.

- Zabawna rzecz z tym królowaniem - zgodziła się niania. - Działa jak magia. Bierzesz dziewczuchę z tyłkiem jak dwa prosiaki w worku i powietrzem w głowie, a potem wychodzi za jakiegoś króla czy księcia albo kogoś i nagle staje się promienną księżniczką. Zabawna historia.

- Ale kłaniać się przed nią nie będę. To pewne.

- I tak się nikomu nie kłaniasz. Nie kłaniałaś się staremu królowi. Młodemu Verence'owi ledwie skiniesz głową. Nikomu i tyle.

- Zgadza się! - zawołała babcia. - Na tym polega bycie czarownicą.

Nastrój niani poprawił się trochę. Babcia jako stara kobieta budziła niepokój. W normalnym stanie ledwie powstrzymywanego gniewu przypominała dawną siebie.

Babcia wstała.

- Dziewucha starego Tockleya, tak?

- Tak jest.

- Jej matka była z Keeble'ów? Wspaniała kobieta, o ile dobrze pamiętam.

- Tak, ale kiedy umarła, Tockley wysłał córkę do szkół w Sto Lat

- Nie pochwałam szkół. Przeszkadzają w edukacji. To przez te wszystkie książki. Książki? Po co komu one? Za dużo się ostatnio czyta. Kiedy byłyśmy młode, nikt nie miał czasu na czytanie.

- Byłyśmy zajęte, bo trzeba było sobie samemu szukać rozrywki.

- Właśnie. Idziemy. Nie ma wiele czasu.

- Nie rozumiem.

- To nie tylko dziewczęta. Jest tam jeszcze coś. Jakiś umysł kręci się w pobliżu.

Babcia zadrżała. Uświadamiała sobie tę obecność w taki sam sposób, w jaki skradający się przez góry łowca zgaduje, że w pobliżu jest inny łowca. Poznaje to po ciszy tam, gdzie powinien zabrzmieć dźwięk, po zdeptanym żdźble, po gniewie pszczoł...

Niani Ogg nigdy nie podobało się Pożyczanie, a Magrat nie chciała nawet spróbować. Stare czarownice po drugiej stronie gór miały zbyt wiele kłopotów we własnym ciele, żeby szukać jeszcze w cudzych. Dlatego babcia przyzwyczaiła się, że przestrzeń mentalną ma tylko dla siebie.

Jakiś umysł krążył po królestwie, a babcia Weatherwax zupełnie go nie rozumiała.

Sama Pożyczała. Trzeba było zachowywać ostrożność - takie doznania są jak narkotyki. Można dosiadać umysłów zwierząt i ptaków, choć nigdy pszczoł, kierować nimi delikatnie, widzieć ich oczami. Babcia Weatherwax wiele razy przeskakiwała po kanałach świadomości wokół siebie. To była część jej samej, element sedna czarownictwa. Widzieć oczami innych...

...oczami komarów, dostrzegając powolne rytmy czasu w szybkim rytmie jednego dnia, umysły mknące szybko jak błyskawice...

...nasłuchiwać ciałem żuka, kiedy świat stawał się trójwymiarowym systemem wibracji...

...widzieć nosem psa, każdy zapach jako kolor...

Wszystko jednak miało swoją cenę. Nikt nie żądał zapłaty, ale sam brak żądania był nakazem moralnym. Człowiek starał się nie oganiać zbyt gwałtownie, ostrożnie kopał ziemię, karmił psa. Płacił. Dbał o to nie dlatego, że to dobre albo miłosierne, ale dlatego że słuszne. Nie zostawiał niczego prócz wspomnień, nie brał niczego prócz przeżyć...

Ale ta inna wędrująca inteligencja... wchodziła i wychodziła z innego umysłu jak piła łańcuchowa, biorąc, biorąc, biorąc. Babcia wyczuwała jej kształt - kształt drapieżcy, czyste okrucieństwo i obojętna niezyczliwość. Umysł pełen inteligencji, która wykorzystuje wszelkie żywe istoty i rani je, bo to zabawne.

Potrafiła nazwać taki umysł.

Elf.

Wysoko w koronach drzew trzeszczały gałęzie.

Babcia i niania kroczyły przez las. W każdym razie babcia kroczyła. Niania podbiegała.

- Panowie i Damy usiłują znaleźć przejście - mówiła babcia. - I jest coś jeszcze. Coś już się przedostało. Jakieś zwierzę z drugiej strony. Scrope ścigał jelenia, który wskoczył do kręgu, a to coś musiało tam czekać. Zawsze słyszałam, że coś może wyjść, jeśli coś przejdzie w drugą stronę...

- Jakie coś?

- Sama wiesz, jaki wzrok mają nietoperze. Widziałam tylko wielki cień. To coś zabiło starego Scrope'a. I wciąż tu jest. To nie... niejedno z Panów i Dam, ale jednak coś z Krainy El... z tamtego miejsca.

Niania rozejrzała się w mroku. W lesie nocą jest bardzo dużo cieni.

- Nie boisz się? - zapytała.

Babcia Weatherwax splótła palce dłoni.

- Nie. Ale mam nadzieję, że ono się boi.

- To prawda, co o tobie mówią. Zrozumiała jesteś, Esmeraldo Weatherwax.

- Kto to powiedział?

- Ty, na przykład. Całkiem niedawno.

- Nie czułam się najlepiej.

Ktoś inny mógłby powiedzieć: nie byłam wtedy sobą. Ale babcia Weatherwax nie miała nikogo, kim mogłaby być. Obie czarownice szły szybko, pokonując wiatr. Z kryjówki w ciernistym gąszczu obserwował je jednorożec.

Diamanda Tockley rzeczywiście nosiła miękki czarny kapelusz. Miała też woalkę.

Perdita Nitt, która, zanim popadła w czarownictwo, była zwykłą Agnes Nitt, także nosiła czarny kapelusz z woalką, ponieważ tak robiła Diamanda. Obie miały po siedemnaście lat. Żałowała, że nie jest naturalnie koścista jak Diamanda, ale skoro człowiek nie może być chudy, to może przynajmniej niezdrowo wyglądać. Aby więc ukryć swoją naturalnie różową cerę, Perdita używała białego pudru w takich ilościach, że gdyby nagle się odwróciła, jej twarz znalazłaby się pewnie z tyłu głowy.

Zaliczyły już Wznoszenie Stożka Mocy, trochę czarów ze świecami i trochę wróżenia. Teraz Diamanda pokazywała im, co się robi z kartami.

Twierdziła, że zawierają esencję mądrości Starożytnych. Perdita odkryła, że zastanawia się zdradziecko, kim właściwie są ci Starożytni. Na pewno kimś innym niż starzy ludzie, którzy byli głupi, jak uważała Diamanda. Ale nie tłumaczyła, dlaczego ci Starożytni mieli być niby mądrzejsi niż, powiedzmy, ludzie dzisiejsi.

Perdita nie rozumiała też, na czym polega Zasada Kobiecości. Ani tej historii z Wewnętrzną Jaźnią. Zaczynała podejrzewać, że wcale tej Jaźni nie posiada.

I chciałyby umieć tak sobie malować oczy jak Diamanda.

I chciałyby nosić wysokie obcasy jak Diamanda.

Amanita DeVice powiedziała jej, że Diamanda sypia w prawdziwej trumnie.

Chciałyby też mieć dość odwagi, żeby wytatuować sobie na ramieniu czaszkę i sztylet, jak Amanita, nawet jeśli to zwykły atrament i Amanita musiała go zmywać codziennie wieczorem, żeby mama nie zobaczyła.

Cichy, złośliwy głosik wewnętrznej jaźni Perdity podpowiadał, że Amanita to nie najlepiej wybrane imię.

Zresztą Perdita też nie.

I mówił jeszcze, że może Perdita nie powinna mieszać się w sprawy, których nie rozumie.

Kłopot w tym, że oznaczało to praktycznie wszystko.

Chciałaby też nosić czarną koronkę jak Diamanda.

Diamanda miała wyniki.

Perdita nigdy by w to nie uwierzyła. Oczywiście, wiedziała o czarownicach: to stare kobiety, które ubierają się jak wrony, z wyjątkiem Magrat Garlick, która jest - szczerze mówiąc - psychiczna i stale wygląda, jakby miała wybuchnąć płaczem. Perdita pamiętała, jak to Magrat na przyjęcie w Noc Strzeżenia Wiedźm przyniosła kiedyś gitarę; śpiewała smętne ludowe piosenki i miała zamknięte oczy w taki sposób, jakby naprawdę w to wszystko wierzyła. Nie potrafiła grać, ale to nieważne, bo śpiewać też nie potrafiła. Ludzie klaskali, bo właściwie co jeszcze mogli zrobić?

Za to Diamanda czytała książki. Umiała różne rzeczy. Przywoływanie mocy z kamieni, na przykład - naprawdę działało.

W tej chwili pokazywała im karty.

Wiatr wzmógł się znowu, grzechotał okiennicami i wdmuchiwał sadze do komina. Perdita miała wrażenie, że rozrzucił wszystkie cienie w kąty pokoju...

- Uważasz, siostró? - spytała zimno Diamanda. I jeszcze coś. Trzeba było się zwracać do siebie „siostró”, w dowód braterstwa.

- Tak, Diamando - zapewniła pokornie.

- To jest Księżyc - powtórzyła Diamanda. - Dla tych, które nie uważały. - Podniosła kartę. - I co tu widzimy? Ty, Muscaro.

- Ee... Jest na niej obrazek księżycy? - odpowiedziała Muscara (née Susan) z nadzieją w głosie.

- Oczywiście, że to nie jest księżyc. To amimetyczna konwencja, nie powiązana z tradycyjnym systemem referencji... właściwie - poinformowała Diamanda.

- Aha.

Podmuch wstrząsnął domkiem. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i huknęły o ścianę, odsłaniając widok na zachmurzone niebo z sierpem amimetycznej konwencji.

Diamanda skinęła dłonią. Błysnęło oktarynowe światło i drzwi się zatrzasnęły. Diamanda uśmiechnęła się w sposób, który Perdita uważała za obojętny i wyniosły.

Umieściła kartę na czarnym aksamicie przed sobą.

Perdita spoglądała na nią smętnie. Wszystko było bardzo ładne; barwne karty przypominały tekturowe klejnoty i miały ciekawe nazwy. Ale ten zdradziecki głosik w umyśle szeptał: Skąd, u licha, mogą coś wiedzieć o przyszłości? Tektura nie jest zbyt inteligentna.

Z drugiej strony sabat naprawdę pomagał ludziom... mniej więcej. Przywoływał moc i takie różne. Ojej, a jeśli zaraz mnie zapyta?

Perdita uświadomiła sobie, że się martwi. Działo się coś niedobrego. Właśnie teraz. Nie wiedziała, co to takiego, ale stało się niedobre w tym momencie. Podniosła głowę.

- Pokój temu domowi - powiedziała babcia Weatherwax.

Dokładnie takim tonem ludzie mawiają „A teraz pokosztujesz ołowiu, Kincaid” albo „Pewnie się zastanawiasz, czy po całym tym zamieszaniu zostały mi jeszcze jakieś klosze i balony”.

Diamanda w zdumieniu otworzyła usta.

- Nie, całkiem źle to robisz. Nie chcesz chyba się wygłupić z taką ręką - stwierdziła niania Ogg, zaglądając jej przez ramię. - Masz tu podwójnego Cebulę.

- Kim jesteście?

Zjawiły się nagle. W jednej chwili nic, tylko cienie, myślała Perdita, a po sekundzie stoją tutaj, namacalne i solidne.

- Skąd tyle kredy na podłodze? - spytała niania Ogg. - Nabrudziłyście okropnie. I te pogańskie napisy... Co nie znaczy, że mam coś przeciwko poganom - dodała. Zastanowiła się chwilę. - Właściwie sama do nich należę. Ale nie można pisać na podłodze. Dlaczego akurat na podłodze? - Szturchnęła Perditę. - Nigdy tego porządnie nie zmyjesz. Kreda wciska się w słoje.

- Tego... to magiczny krąg - wyjaśnił Perdita. - Ee... dobry wieczór, pani Ogg. I ten... nie dopuszcza złych wpływów. Babcia Weatherwax pochyliła się lekko.

- Powiedz mi, moja droga - zwróciła się do Diamandy - czy sądzisz, że to działa?

Pochyliła się bardziej.

Diamanda odchyliła się do tyłu.

A potem wyprostowała się z wolna. W rezultacie stały nos w nos.

- Kto to jest? - spytała Diamanda samym kącikiem ust.

- To jest, no... babcia Weatherwax - wyjaśniła Perdita. - I tego... ona jest czarownicą. No...

- Który poziom? - spytała Diamanda.

Niania Ogg rozejrzała się nerwowo, szukając jakiejś osłony. Babcia Weatherwax zmarszczyła brew.

- Poziomy, co? - mruknęła. - No cóż, przypuszczam, że jestem na poziomie pierwszym.

- Początkująca? - domyśliła się Diamanda.

- Do licha... Wiesz co? - szepnęła niania Ogg do Perdity. - Jeżeli przewrócimy stół, możemy się za nim schować. Żaden kłopot.

Ale w głębi duszy myślała: Esme nie potrafi się oprzeć wyzwaniu. Żadna z nas nie potrafi. Nie jest czarownicą ta, której brak pewności siebie. Jednak nie stajemy się coraz młodsze. Być czarownicą na szczycie to jak być szermierzem do wynajęcia. Myślisz, że jesteś dobra, ale wiesz, że musi w końcu zjawić się ktoś młodszy, kto ćwiczy codziennie, kto doskonali swą sztukę, aż pewnego dnia, kiedy idziesz sobie spokojnie drogą, słyszysz za sobą: „Sięgaj po swoją ropuchę” albo coś podobnego.

Nawet Esme. Prędzej czy później spotka kogoś, kto w czarownictwie jest od niej szybszy.

- O tak - przyznała spokojnie babcia. - Zaczynam. Codziennie dopiero zaczynam.

Ale jeszcze nie dzisiaj, pomyślała niania Ogg.

- Nie przestraszysz mnie, głupia starucho - oświadczyła Diamanda. - O tak. Wiem wszystko o tym, jak wy, stare, straszycie zabobonnych wieśniaków. Mruczycie, patrzycie zezem. Wszystko tkwi tylko w myśli. Zwykła prosta psychologia. To nie jest prawdziwe czarownictwo.

- Ja tego, no... może pójde do spiżarni i sprawdzę, czy nie można by nabrać wody do jakichś wiader, dobrze? - odezwała się niania Ogg do nikogo konkretnego.

- A ty, jak sądzę, wiesz o czarownictwie wszystko - powiedziała babcia Weatherwax.

- Istotnie, studiuję - przyznała Diamanda. Niania Ogg dostrzegła nagle, że zdjęła kapelusz i nerwowo przygryza rondo.

- I spodziewam się, że jesteś w tym rzeczywiście dobra.

- Całkiem dobra.

- Pokaż.

Jest dobra, myślała niania Ogg. Wytrzymuje spojrzenie Esme już ponad minutę. Po minucie rezygnowały zwykle nawet węże.

Gdyby mucha przemknęła przez kilka cali przestrzeni, gdzie krzyżowały się ich spojrzenia, stanęłaby w ogniu.

- Nauczyłam się swojej sztuki od niani Gripes - oświadczyła babcia Weatherwax. - Która nauczyła się od mateczki Heggety, która uczyła się u panny Plumb, a ona od Czarnej Alis, która...

- Chcesz zatem powiedzieć - przerwała jej Diamanda, ładując słowa w zdanie niczym naboje do komory - że nikt właściwie nie nauczył się niczego nowego?

Ciszę, która zapadła, zakłócało tylko mamrotanie niani Ogg:

- A niech to, przegryzłam rondo. Na wylot.

- Rozumiem - rzekła babcia.

- Popatrz - rzuciła pośpiesznie niania Ogg, szturchając drzącą Perdite. - Podszewkę i wszystko. Dwa dolary i wyleczenie świni, tyle musiałam dać za ten kapelusz. A dwóch dolarów i leku dla świni już prędko nie zobaczę.

- Możesz więc odejść, stara kobieto - oznajmiła Diamanda.

- Ale powinniśmy spotkać się znowu.

Stara czarownica i młoda czarownica mierzyły się wzrokiem.

- Północ? - zaproponowała Diamanda.

- Północ? Nic szczególnego w północy nie widzę. Praktycznie każdy może być czarownicą o północy. Może w południe?

- Oczywiście. O co walczymy?

- Walczymy? - zdziwiła się babcia Weatherwax. - Ależ my nie walczymy. Zwyczajnie pokazujemy sobie nawzajem, co potrafimy. Z czystej przyjaźni.

Wstała.

- Muszę już iść - dodała. - My, starzy ludzie, musimy się wysypiać. Wiesz, jak to jest.

- A co dostanie zwycięzca? - chciała wiedzieć Diamanda.

W jej głosie pojawił się ślad niepewności. Bardzo delikatny - w skali Richtera zwątpienia odpowiadał plastikowemu kubkowi spadającemu o pięć mil dalej z niskiej półki na dywan, ale jednak był.

- Och, zwycięzca dostaje zwycięstwo. O to przecież chodzi. Nie musisz nas odprowadzać. W końcu nie ty nas wpuściłaś. Drzwi odskoczyły znowu.

- Zwykła psychokineza - stwierdziła Diamanda.

- No tak. W takim razie wszystko jest jasne - rzuciła jeszcze babcia, znikając w ciemności. - To wszystko tłumaczy, oczywiście.

Kiedyś, zanim jeszcze wynaleźli wszechświaty równoległe, istniały tylko oczywiste, proste kierunki: Góra i Dół, Prawo i Lewo, Przód i Tył, Przeszłość i Przyszłość... Ale zwykłe kierunki nie wystarczają w multiwersum, które ma wymiarów o wiele za dużo, by ktokolwiek znalazł tam drogę. Dlatego trzeba było wymyślić nowe kierunki, żeby jednak dało się tę drogę odszukać.

Na przykład: na wschód od Słońca, na zachód od Księżyca. Albo: za Północnym Wiatrem. Albo: w dal za dalą.

Albo: tam i z powrotem.

Albo: poza polami, które znamy.

A czasami istnieje też skrót. Drzwi albo brama. Jakieś stojące głązy, drzewo rozszczepione piorunem, szafa na dokumenty.

Często po prostu miejsce na wrzosowisku...

Punkt, gdzie „tam” jest już prawie „tutaj”.

Prawie, ale nie całkiem. Przeciek jest dostatecznie silny, żeby kołysały się wahadélka, a ludzie o zdolnościach pozazmysłowych cierpieli na paskudne bóle głowy, żeby jakiś dom zyskał reputację nawiedzonego, a czasem żeby dzbanek przeleciał przez pokój. Dostatecznie silny, żeby trutnie trzymały straż.

A tak. Trutnie.

Zdarzają się niekiedy tak zwane zgromadzenia trutni. W letnie dni trutnie z uli w promieniu kilku mil zlatują się do pewnego punktu i latają wkoło, brzęcząc jak maleńkie systemy wczesnego ostrzegania, którymi są w istocie.

Pszczoły są wyczulone. Ten świat należy do ludzi, ale pszczoły to stworzenia porządku. Nienawiść do chaosu mają zakodowaną w genach.

Gdyby ludzie dowiedzieli się, gdzie jest taki punkt, gdyby mieli trochę doświadczenia ze skutkami splątania „tam” i „tutaj”, wtedy mogliby - gdyby wiedzieli jak - oznaczyć takie miejsce pewnymi kamieniami.

W nadziei że dostatecznie wielu wścibskich durniów uzna to za ostrzeżenie i będzie się trzymać z daleka.

- I co o tym myślisz? - spytała babcia Weatherwax, kiedy szły już w stronę domu.

- Ta mała, pulchna i cicha ma trochę wrodzonego talentu - odparła niania Ogg. - Wyczułam to. Cała reszta trzyma się tego, bo szuka podniecenia. Tak uważam. Bawią się w czarownice. No wiesz, mistyczne tablice, karty, czarne koronkowe rękawiczki bez palców i majstrowanie w okultyzmie.

- Nie podoba mi się to majstrowanie w okultyzmie - oświadczyła stanowczo babcia. - Jak już człowiek wlezie w ten okultyzm, to zaraz zacznie wierzyć w duchy. A jak już uwierzy w duchy, zacznie wierzyć w demony i ani się obejrzy, a będzie już wierzył w bogów. Wtedy ma prawdziwe kłopoty.

- Przecież one wszystkie istnieją - zauważyła niania.

- Ale to nie powód, żeby tak sobie w nie wierzyć. To tylko je zachęca.

Babcia Weatherwax zwolniła tempo marszu.

- A co z nią? - spytała.

- O co z nią dokładnie ci chodzi?

- Wyczułaś tam moc?

- Jeszcze jak. Aż mi włosy dęba stanęły.

- Ktoś dał jej tę moc i wiem kto. Taka chuda dziewczucha z głową pełną różnych książkowych pomysłów, aż tu nagle dostaje moc i nie wie, jak jej używać. Karty! Świece! To nie jest czarownictwo, to są zabawy! Majstrowanie w okultyzmie... Zauważyłaś, że ma czarne paznokcie?

- No wiesz, moje też nie są zbyt czyste...

- Ona ma pomalowane.

- Jak byłam młodsza, to sobie malowałam na czerwono paznokcie u nóg - westchnęła tęsknie niania.

- U nóg to co innego. I czerwony to też co innego. Zresztą robiłaś tak, żeby wyglądać kusząco.

- I działało.

- Ha!

Przez chwilę szły w milczeniu.

- Czułam tam sporą moc - odezwała się wreszcie niania Ogg.

- Tak, wiem.

- Wielką.

- Tak.

- Nie mówię, że nie mogłabyś jej pokonać - zapewniła szybko niania. - Tego nie twierdzę. Ale nie wydaje mi się, żebym ja potrafiła, a nawet tobie nie pójdzie łatwo. Żeby ją pokonać, będziesz musiała ją skrzywdzić.

- Tracę zdolność oceny, tak?

- Ależ ja...

- Rozdrażniła mnie, Gytho. Nie mogłam się powstrzymać. Teraz muszę stanąć do pojedynku z siedemnastoletnią dziewczuchą i jeśli wygram, będę złośliwą, starą wiedźmą, która znęca się nad dziećmi. A jeśli przegram...

Kopnęła w stertę zeschniętych liści.

- Nie umiem nad sobą zapanować. W tym cały kłopot. Niania Ogg milczała.

- I tracę cierpliwość przy najdrobniejszym...

- Tak, ale...

- Jeszcze nie skończyłam!

- Przepraszam, Esme.

W górze przefrunął nietoperz. Babcia skinęła mu głową.

- Słyszałaś, jak radzi sobie Magrat? - zapytała głosem, który wymuszona swoboda ścisnęła niczym gorset.

- Przyzwyczajają się. Nasz Shawn mi mówił.

- To dobrze.

Dotarły na rozstaje; biały pył lśnił delikatnie w świetle księżyca. Jedna droga wiodła do Lancre, gdzie mieszkała niania Ogg. Druga po chwili zniknęła w lesie, zmieniała się w dukt, potem w ścieżkę, aż w końcu docierała do chatki babci Weatherwax.

- Rychłoż my dwie się zejdziem znów? - spytała niania Ogg.

- Posłuchaj - rzekła babcia Weatherwax. - Ona już jest poza tym, rozumiesz? Będzie szczęśliwsza jako królowa!

- Przecież nic nie mówiłam - zauważyła cicho niania.

- Wiem, że nie. Słyszę wyraźnie, jak w ogóle nic nie mówisz. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś milczał tak głośno jak ty, a nie był martwy.

- No to zobaczymy się koło jedenastej?

- Dobrze.

Wiatr dmuchnął mocniej, gdy babcia ruszyła drogą w swoją stronę.

Wiedziała, że jest rozdrażniona. Miała po prostu zbyt wiele do zrobienia. Załatwiła sprawę Magrat, a niania sama o siebie zadba, ale Panowie i Damy... nie spodziewała się ich.

Kłopot w tym...

Kłopoty w tym, że babcia Weatherwax miała przeczucie, że niedługo umrze. I to zaczęło jej działać na nerwy.

Świadomość czasu własnej śmierci to jedna z tych niezwykłych premii, jakie zyskuje prawdziwy użytkownik magii. I zwykle rzeczywiście jest to premia.

Niejeden mag odszedł z tego świata szczęśliwy, dopijając resztki zapasów z piwniczki i całkiem przypadkiem będąc winien wielu osobom duże sumy pieniędzy.

Babcia Weatherwax zawsze się zastanawiała, jakie to uczucie, co takiego widzi się nagle przed sobą. I okazało się, że to... pustka.

Ludzie wyobrażają sobie, że ich życie przypomina punkt sunący od przeszłości w przyszłość, z pamięcią rozciągniętą z tyłu niczym psychiczny ogon komety. Pamięć jednak sięga nie tylko do tyłu, ale i w przód. Tyle że większość ludzi nie potrafi jej opanować, więc przyszłe wspomnienia pojawiają się jako znaki, przeczucia, intuicje i sny. Czarownice za to radzą sobie świetnie i kiedy nagle trafiają na pustkę w miejscu, gdzie powinny być kosmyki przyszłości, działa to na nie tak, jak na pilota linii lotniczej nagle wyjście z chmur i zobaczenie spoglądających z góry Szerpów.

Zostało jej jeszcze kilka dni, a potem koniec. Spodziewała się zawsze, że będzie miała trochę czasu dla siebie, że uporządkuje ogródek i posprząta chatę - żeby następna czarownica, która tu zamieszka, nie wzięła jej za flejtucha. Potem zamierzała wybrać przyzwoite miejsce na grób, a na koniec spędzić trochę czasu w fotelu na biegunach. Planowała nic wtedy nie robić, tylko patrzeć na drzewa i myśleć o przeszłości. Ale teraz... nie ma takiej szansy.

Miała też inne problemy. Chyba zawodziła ją pamięć. Może tak właśnie to wyglądało. Może człowiek pod koniec tak jakby wypływał z siebie, niczym stara niania Gripes, która przed śmiercią zwykle kładła kota na piecu i wystawiała czajnik na noc za drzwi.

Babcia zapaliła świecę. W szufladzie kredensu trzymała pudełko.

Otworzyła je na kuchennym stole i wyjęła starannie złożoną kartkę papieru. Było tam też pióro i atrament.

Po chwili namysłu zaczęła pisać:

...Dla mojej przy dołki Gythy Ogg zostawiam łóżko me oraz chodnik, co zrobił dla mnie kowal z Gupiego Osła, i jeszcze komplet ze dzbanka, miski i jak go nazwać, na co zawsze łakomie spoglądała. Takóż moją miotłę, która działać będzie pewnie jako pogoda, gdy tylko pracy nieco jej poświęcić.

Magrat Garlick zostawiam pozostałą zawartość pudełka tego, mój srebrny serwis do herbaty z dzbankiem na mleko w kształcie krowy humerystycznej, która pamiątką rodową jest, takóż zeggardo matki mojej należący, ale nakazuje, by zawsze go nakręcała, kiedy bowiem zeggar staje...

Na zewnątrz rozległ się hałas.

Gdyby ktokolwiek siedział z nią w pokoju, babcia Weatherwax śmiało otworzyłaby drzwi. Była jednak sama. Ostrożnie sięgnęła po pogrzebacz, podeszła do drzwi zadziwiająco bezszelestnie, biorąc pod uwagę charakter jej butów, i nasłuchiwała.

Coś było w ogrodzie.

Nie był to wielki ogród. Rosły tam zioła i krzewy owocowe, był kawałek trawnika i oczywiście ule. Nic nie odgradzało go od lasu - miejscowe zwierzaki wiedziały, że lepiej nie wchodzić do ogródka czarownicy.

Babcia powoli uchyliła drzwi.

Księżyc zachodził. Srebrzyste światło zmieniało świat w monochromatyczny obraz.

Na trawniku stał jednorożec. Poczula jego smród.

Ruszyła, trzymając przed sobą pogrzebacz. Jednorożec cofnął się i uderzył kopytem o ziemię.

Babcia wyraźniej zobaczyła przyszłość. Wiedziała już kiedy. Teraz zaczynała rozumieć jak.

- No tak - mruknęła pod nosem. - Wiem, skąd przyszedłeś. Do licha, i możesz tam wracać.

Zwierzę dźgnęło rogiem w jej stronę, ale machnęła groźnie po-grzebaczem.

- Nie lubisz żelaza, co? Biegnij teraz z powrotem do swojej pani i powiedz jej, że tu, w Lancre, wiemy o żelazie wszystko. A ja wiem o niej. Ma się trzymać z daleka, rozumiesz? To mój dom!

Wtedy świecił księżyc. Teraz nastał dzień.

Na tym, co uchodziło za główny rynek w Lancre, zebrał się już spory tłum. W okolicy niewiele się działo, a pojedynek dwóch czarownic zawsze warto obejrzeć.

Babcia Weatherwax zjawiała się za kwadrans dwunasta. Niania Ogg czekała już na ławeczce obok tawerny. Na szyi zawiesiła sobie ręcznik i przyniosła wiadro wody z pływającą w nim gąbką.

- Po co to? - zdziwiła się babcia.

- Przyda się na przerwę. I przygotowałam ci talerz pomarańczy. Podniosła talerz. Babcia parsknęła.

- Wyglądasz, jakby przydało ci się coś do jedzenia - stwierdziła niania.
- Za to nie wyglądasz, jakbyś dzisiaj w ogóle coś jadła.

Zerknęła na buty babci i zabłocony skraj długiej czarnej sukni. Do materiału przylgnęły strzępki paproci i gałązki wrzосу.

- Ty głupia starucho! - syknęła. - Coś ty robiła?
- Musiałam...
- Byłaś przy kamieniach, co? Próbowalaś odepchnąć Szlachetnych?
- Oczywiście - przyznała babcia.

Głos miała mocny. Nie chwiała się. Ale głos miała mocny i nie chwiała się, ponieważ ciało babci Weatherwax znajdowało się w żelaznym uścisku woli babci Weatherwax.

- Ktoś musiał - dodała.
- Mogłaś przyjść i mnie poprosić!
- Ty byś mi to wybiła z głowy. Niania nachyliła się do niej.
- Dobrze się czujesz, Esme?
- Świetnie! Naprawdę świetnie! Nic mi nie jest, jasne?
- Czy ty w ogóle spałaś?
- Wiesz...
- Nie spałaś, prawda? I wydaje ci się, że możesz tak sobie tu przyjść i spuścić manto tej dziewczynie, tak?
- Nie wiem.

Niania Ogg w skupieniu przyjrzała się koleżance.

- Nie wiesz, tak? - mruknęła już łagodniej. - Trudno. Lepiej usiądź tu na chwilę, zanim się przewrócisz. Possij pomarańczę. One przyjdą za parę minut.
- Ona nie przyjdzie - stwierdziła babcia. - Spóźni się.

- Skąd wiesz?

- Po co ma przychodzić, skoro jeszcze nie wszyscy się zebrali, żeby ją oglądać? To głowologia.

Rzeczywiście, młodociany sabat przybył kwadrans po dwunastej i zajął pozycje na stopniach pięciokąta targowego po drugiej stronie placu.

- Przyjrzyj się im - rzuciła babcia Weatherwax. - Znowu wszystkie na czarno.

- Przecież my też chodzimy w czerni - zauważyła rozsądnie niania.

- Tylko dlatego że to eleganckie i praktyczne. Nie dlatego że romantyczne. Nie ma co, Panowie i Damy równie dobrze mogliby już tu być.

Po kilku porozumiewawczych spojrzeniach niania Ogg ruszyła na rynek i na środku spotkała się z Perdita. Młoda przyszła czarownica wyglądała pod makijażem na dość zmartwioną. Nerwowo ścisnęła w dłoni czarną koronkową chusteczkę.

- Dzień dobry, pani Ogg - powiedziała.

- Witaj, Agnes.

- Hm... Co teraz?

Niania Ogg wyjęła fajkę z ust i poskrobała się nią w ucho.

- Nie wiem. Myślę, że wy decydujecie.

- Diamanda pyta, dlaczego to musi nastąpić tutaj i teraz?

- Żeby wszyscy widzieli. O to przecież chodzi, prawda? Nie ma czego ukrywać. Każdy musi wiedzieć, która jest lepsza w czarownictwie. Całe miasto. Każdy zobaczy, jak zwycięzca zwycięża, a przegrany przegrywa. W ten sposób nie będzie potem kłótni.

Perditą zerknęła w stronę tawerny. Babcia Weatherwax drzemała.

- Spokojna pewność siebie - wyjaśniła niania Ogg, krzyżując palce za plecami.

- Tego... A co się stanie z pokonaną?

- Właściwie nic. Na ogół wyjeżdża z okolicy. Nie możesz być czarownicą, jeśli ludzie widzieli twoją porażkę.

- Diamanda mówi, że nie chce za mocno skrzywdzić starszej pani - oświadczyła Perdita. - Chce tylko udzielić jej lekcji.

- To miło. Esme szybko się uczy.

- Hm... Wolałabym, żeby do tego nie doszło, pani Ogg.

- To ładnie z twojej strony.

- Diamanda mówi, że spojrzenie pani Weatherwax naprawdę robi wrażenie, pani Ogg.

- To miło.

- Dlatego próba ma polegać na... na patrzeniu, pani Ogg. Niania wsadziła sobie fajkę do ust.

- Chodzi o zawody, kto pierwszy mrugnie albo spojrzy w bok?

- Eee... Tak.

- Dobrze. - Niania pomyślała chwilę i wzruszyła ramionami. - Dobrze. Ale najpierw wyrysujemy magiczny krąg. Nie chcemy przecież, żeby ktoś ucierpiał, prawda?

- Zamierza pani użyć Run Skorhiańskich i oktogramu Potrójnej Inwokacji? - upewniła się Perdita. Niania Ogg przekrzywiła głowę.

- Nigdy o nich nie słyszałam, moja kochana. Ja tam zawsze rysuje magiczny krąg o tak...

Odsunęła się bokiem od pulchnej dziewczyny, ciągnąc po piasku czubek buta. Zatoczyła nierówne koło średnicy mniej więcej piętnastu stóp i znów stanęła obok Perdity.

- Już. Gotowe. Narysowałam.

- To ma być magiczny krąg?

- Oczywiście. Inaczej ktoś mógłby doznać krzywdy. Kiedy walczą czarownice, dookoła strzela pełno magii.

- Ale pani nawet nie śpiewała ani nic!

- Naprawdę?

- Musi przecież być inkantacja...

- Nie wiem. Nigdy nie była mi potrzebna.

- Aha.

- Jeśli koniecznie chcesz, mogę ci zaśpiewać śmieszoną piosenkę - zaproponowała niania.

- Eee, nie. Hm... - Perdita nigdy nie słyszała śpiewu niani, ale plotki szybko się rozchodzą.

- Podoba mi się ta twoja koronkowa czarna chustka - oświadczyła niania Ogg, ani odrobinę nie speszona. - Dobra, żeby nie pokazywać nerwów.

Perdita jak zahipnotyzowana wpatrywała się w magiczny krąg.

- Eee... To może zaczniemy?

- Zgoda.

Niania Ogg podbiegła do ławki i szturchnęła babcię pod żebro.

- Obudź się!

Babcia Weatherwax uniosła powieki.

- Wcale nie spałam. Chciałam, żeby oczy mi wypoczęły.

- Masz tylko pokonać ją spojrzeniem!

- Przynajmniej rozumie, jak ważne jest spojrzenie. Ha! Za kogo ona się uważa? Przecież patrzę na ludzi przez całe życie.

- Tak. To właśnie mnie martwi... Aaach... Kto jest nianusi małym skalbem?

Przybyła pozostała część klanu Oggów.

Babcia Weatherwax osobiście nie lubiła małego Pewseya. W ogóle nie lubiła małych dzieci i pewnie dlatego ich stosunki tak dobrze się układały. W przypadku Pewseya uważała, że nikt nie powinien chodzić po mieście w samej kamizelce, nawet jeśli ma tylko cztery lata. W dodatku dzieciakowi bez przerwy ciekło z nosa i stale wymagał chusteczek, a przy ich braku - korka.

Za to niania Ogg miękła jak wosk w rękach każdego z wnuków, nawet takiego lepkiego jak Pewsey.

- Ciem ciuciu - oznajmił Pewsey dziwnie głębokim głosem, jaki zdarza się czasem u dzieci.

- Za chwilę, moja kaczuszeko. Widzisz, że rozmawiam z panią - pisnęła niania Ogg.

- Ciem ciuciu telaz.

- Zmykaj, mój skarbie najśłodszy. Nana jest teraz zajęta. Pewsey szarpnął mocno za spódnice niani.

- Telaz ciuciu, telaz!

Babcia Weatherwax schyliła się, aż jej imponujący nos znalazł się mniej więcej na poziomie ciekącego nosa Pewseya.

- Jeśli zaraz sobie nie pójdziesz - rzekła groźnie - osobiście urwę ci głowę i nakarmię nią węże.

- No proszę! - zawołała niania Ogg. - W Klatchu wiele jest biednych dzieci, które byłyby wdzięczne za taką klątwę.

Po sekundzie czy dwóch niepewności mała buzia Pewseya rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

- Smieszna pani - stwierdził.

- Coś ci powiem. - Niania pogłaskała go po głowie, po czym odruchowo wytarła dłoń o spódnicę. - Widzisz te miłe panie po drugiej stronie rynku? Mają mnóstwo cukierków.

Pewsey poczłapał przez plac.

- To wojna biologiczna, ot co - uznała babcia Weatherwax.

- Chodźmy - rzekła niania. - Nasz Jason postawił w kręgu dwa krzesła. Na pewno dobrze się czujesz?

- Wytrzymam.

Perdita Nitt znowu podeszła ze smętną miną.

- Przepaszam... Pani Ogg...

- Słucham cię, kochana?

- Tego... Diamanda mówi, że pani nie zrozumiała. Mówi, że nie będą mierzyć się wzrokiem ze sobą...

Magrat nudziła się. Jako czarownica nie знаła tego uczucia. Była stale oszołomiona, zawsze przepracowana, ale znudzona - nigdy.

Powtarzała sobie, że będzie lepiej, kiedy już naprawdę zostanie królową, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego. Tymczasem włóczyła się bez celu po licznych zamkowych komnatach, a szelest jej sukni stał się prawie niesłyszalny wobec huku działających w tle turbin znudzenia: hum-drum, hum-drum, hum-drum...

Cały ranek poświęciła na naukę wyszywania gobelinów, ponieważ Millie zapewniła ją, że tym właśnie zajmują się królowe. Próbką z napisem „Bogostawieństwo temu domowi” wciąż leżała porzucona na krześle.

W Długiej Galerii wisiały ogromne gobeliny przedstawiające dawne bitwy, wyhaftowane przez poprzednie znudzone osoby na królewskich stanowiskach. Zadziwiające, jak udało się przekonać walczących, żeby tak długo stali nieruchomo. Magrat obejrzała też wiele, bardzo wiele portretów samych królowych: wszystkie urodziwe, wszystkie pięknie ubrane zgodnie z modą swoich czasów, wszystkie potwornie znudzone.

W końcu wróciła do solarium. Była to wielka komnata na szczycie głównej wieży. W teorii zbudowano ją, by chwytła promienie i ciepło słońca. I rzeczywiście. Chwytła także wiatr i deszcz. Stanowiła coś w rodzaju sieci na wszystko, co akurat niebo rzucało na ziemię.

Magrat szarpnęła sznur dzwonka, który w zasadzie powinien wezwać służącą. Nic się nie stało. Pociągnęła jeszcze kilka razy, po czym - w głębi duszy wdzięczna za jakiekolwiek zajęcie - zeszła do kuchni. Chętnie spędzałaby tam więcej czasu, bo zawsze było tu ciepło i zwykle znalazł się ktoś, z kim mogła porozmawiać, ale noblyess obliże - królowe musiały mieszkać Nad Schodami.

Pod Schodami znalazła tylko Shawna Ogga, który czyścił piekarnik w wielkim żelaznym piecu i myślał ponuro, że nie jest to odpowiednie zajęcie dla wojskowych.

- Gdzie są wszyscy?

Shawn podskoczył i uderzył głową o piec.

- Au... Przepraszam, panienko. Tego... wszyscy poszli na rynek,

panienko. Ja zostałem, bo pani Scorbic obiecała, że obedrze mnie ze skóry, jeśli nie wyczyszczę tego paskudztwa.

- A co się dzieje na rynku?

- Podobno dwie czarownice mają się zmierzyć. Na poważnie.

- Co? Chyba nie twoja matka i babcia Weatherwax?

- Nie, panienko. Jakaś nowa czarownica.

- W Lancre? Nowa czarownica?

- Tak powiedziała mama.

- Muszę to zobaczyć.

- To chyba nie jest dobry pomysł... - ostrzegł Shawn. Magrat wyprostowała się dumnie.

- Tak się składa, że jesteśmy tu królową - oznajmiła. - Prawie. Więc nie mów nam, co możemy, a czego nie, bo zostaniesz odesłany do czyszczenia wychodków.

- Ale ja przecież czyszczę wychodki - zauważył rozsądnie Shawn. - Nawet w garderobie...

- Ten musi zniknąć, i to szybko. - Magrat zadrżała. - Widzieliśmy go.

- To mi nie przeszkadza, panienko. Będę miał wolne środy - stwierdził Shawn. - Ale w takim razie musisz zaczekać, aż zejść do zbrojowni po mój róg, żeby zagrać fanfarę.

- Nie potrzebujemy fanfary, dziękujemy.

- Nie możesz wychodzić bez fanfary, panienko.

- Potrafimy same zagrać. Dziękujemy.

- Tak, panienko.
- Panienko co?
- Panienko królowo.
- No. I nie zapominaj o tym.

Magrat dotarła na miejsce biegiem, a przynajmniej czymś . tak zbliżonym do biegu, jak to tylko możliwe w królewskiej sukni, która powinna mieć kółka. Zobaczyła krąg kilkuset gapiów, a obok zamyśloną nianię Ogg.

- Co się dzieje, nianiu? Niania obejrzała się.

- Ojej, przepraszam. Nie słyszałam fanfary - powiedziała. - Dygnęłabym, ale moje nogi...

Magrat spojrzała ponad jej ramieniem na dwie osoby siedzące pośrodku kręgu.

- Co one robią?
- Zawody w patrzeniu.
- Przecież patrzą na niebo.

- Niech lichy porwie tę Diamandę! Doprowadziła do tego, że Esme usiłuje wytrzymać spojrzenie słońca. Żadnego mrugania, żadnego odwracania wzroku...

- Jak długo już tam siedzą?
- Koło godzimy - mruknęła ponuro niania.

- To okropne!

- To głupie i tyle. Nie mam pojęcia, co w Esme wstąpiło. Tak jakby tylko moc się liczyła w czarownictwie! Przecież wie! Czarownictwo to nie moc, to sposób panowania nad nią.

Nad kręgiem połyskiwała bladozłota mgiełka, efekt opadu magicznego.

- O zachodzie słońca będą musiały przerwać - zauważyła Magrat.

- Esme nie wytrzyma do zachodu - odparła niania. - Spójrz na nią. Ledwie siedzi.

- Mogłabyś chyba użyć magii, żeby...

- Mów rozsądnie. Gdyby Esme to odkryła, przegoniłaby mnie kopniakami dookoła królestwa. Zresztą inne by zauważyły.

- To może stworzyłybyśmy jakąś niedużą chmurkę albo coś w tym rodzaju? - zaproponowała Magrat.

- Nie! To oszustwo!

- Przecież zawsze oszukujesz.

- Oszukuję dla siebie. Nie można oszukiwać za innych. Babcia Weatherwax osunęła się nieco.

- Mogłabym to przerwać - stwierdziła Magrat.

- Zyskałabyś wroga na całe życie.

- Myślałam, że babcia i tak jest moim wrogiem na całe życie.

- Jeśli tak uważasz, dziewczyno, to niczego nie rozumiesz. Pewnego dnia przekonasz się, że Esme Weatherwax jest najlepszą przyjaciółką, jaką w życiu miałaś.

- Ale przecież musimy coś zrobić! Nie masz żadnego pomysłu? Niania

Ogg w zadumie spoglądała na krąg. Od czasu do czasu nad cybuchem jej fajki wykwiłała smużka dymu.

Magiczny pojedynek został potem opisany w księdze Ptaśwista Legendy tudzież Podania Ramtopów w taki sposób: Pojedynek od dziewięciu dziesiątek minut trwał już, gdy chłopie małe nagle przez rynek przebiegło i wstąpiło w krąg magiczny, po czym upadło z krzykiem strasznym i błyskiem. Stara czarownica obejrzała się, wstała z krzesła, podniosła dziecię, po czym zaniósła go do babki jego i wróciła na miejsce. Jednakże młoda czarownica nie odwróciła ocz swych ode Słońca. Ale inne młode czarownice przerwały pojedynek, wołając w głos: Patrzcież, Diamanda zwyciężyła, a to z powodu tego, iż Weatherwax odwróciła głowę. Na co babka chłopięcia odezwała się gromko: Ach tak? Spróbujcież innego numeru, bo ten nie przejdzie. Nie jestże to turniej mocy, a turniej czarownictwa. Czyż nie domyślacie się nawet, kim jest czarownica ?

Czy czarownica to ktoś, kto obejrzy się, kiedy słyszy krzyk dziecka? A miejscowi odpowiedzieli chórem: Taak!

- To było wspaniałe - mówiła pani Quarney, żona sklepikarza. - Całe miasto klaskało. Prawdziwie mistyczna jedność.

Były w tylnej sali w tawernie. Babcia Weatherwax leżała na ławce z wilgotnym ręcznikiem na twarzy.

- Rzeczywiście tak było, to prawda - zgodziła się Magrat.
- Wszyscy mówią, że dziewczyna nie mogła się pozbierać.
- Rzeczywiście - zgodziła się Magrat.

- Poszła sobie z nosem na temblaku, ot co.

- Tak - zgodziła się Magrat.

- Czy chłopcu nic się nie stało?

Wszyscy spojrzeli na małego Pewseya, który siedział w podejrzanym kałuży na podłodze, z torbą cukierków i lepkiem pierścieniem wokół buzi.

- Zdrowy jak deszcz - uspokoiła ich niania Ogg. - Nic gorszego od lekkiego oparzenia słonecznego. Wrzeszczy jak zarzynany przy każdym drobiazgu, słodkie maleństwo - dodała z dumą, jakby mówiła o niezwykłym talencie.

- Gytho - odezwała się spod ręcznika babcia.

- Słucham.

- Wiesz, że normalnie nie tykam nawet mocnych trunków, ale wspominałaś kiedyś o wykorzystaniu brandy w celach leczniczych.

- Już biegnę.

Babcia uniosła ręcznik i jednym okiem spojrzała na Magrat.

- Dzień dobry, wasza przewysokość - powiedziała. - Przyszłaś okazać mi łaskawość, tak?

- Dobra robota - pochwaliła ją zimno Magrat. - Czy możemy zamienić słówko, nią... pani Ogg?

- Już się robi, wasza królewskość.

W zaułku obok tawerny Magrat odwróciła się nagle, otwierając usta.

- Ty...

Niania podniosła rękę.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - rzekła. - Ale maluchowi nic naprawdę nie groziło.

- Ale ty...

- Ja? - zdziwiła się niania. -Ja właściwie nic nie zrobiłam. Przecież one nie wiedziały, że Pewsey wbiegnie do kręgu, prawda? Obie zachowały się tak, jak by to zrobiły naprawdę. Uczciwa gra.

- No, w pewnym sensie. Ale ty...

- Nikt nie oszukiwał.

Magrat umilkła. Niania poklepała ją po ramieniu.

- Nie powiesz nikomu, że widziałaś, jak macham do niego torbą cukierków, prawda?

- Nie, nianiu.

- Grzeczna już wkrótce królowa.

- Nianiu...

- Tak?

Magrat nabrała tchu.

- Skąd Verence wiedział, że wracamy?

Miała wrażenie, że niania zastanawia się o kilka sekund za długo.

- Nie mam pojęcia - odparła w końcu. - Królowie też są trochę magiczni. Umieją leczyć łupież i takie tam. Pewnie obudził się któregoś dnia i jego królewska prerogatywa coś mu podpowiedziała.

Kłopot z nianią polegał na tym, że zawsze wyglądała tak, jakby kłamała. Miała dość pragmatyczny stosunek do prawdy: mówiła ją, kiedy to było wygodne i nie miała czasu na wymyślanie czegoś ciekawszego.

- Masz sporo zajęć, co? - zapytała.

- Dziękujemy. Radzimy sobie bardzo dobrze - zapewniła Magrat z czymś, co powinno być królewską wyniosłością.

- Kto jeszcze? - zdziwiła się niania.

- Co kto jeszcze?

- Kto jeszcze sobie radzi?

- Ja!

- Czemu od razu nie mówiłaś? - Niania zachowywała kamienną twarz.
- Najważniejsze, że masz coś do roboty.

- On wiedział, że wracamy - nie ustępowała Magrat. - Rozesłał nawet zaproszenia. A przy okazji, jest też dla ciebie.

- Wiemy. Dostałyśmy je rano. Ma takie fikuśne wycinanki na brzegach, złote litery i wszystko. Kto to jest Eresvap?

Magrat już dawno nauczyła się pojmować wizję świata niani.

- RSVP - wyjaśniła. - To znaczy, że powinnaś zawiadomić, czy przyjdiesz.

- Och, przyjdziemy na pewno. Nie zostaniemy w domu - zapewniła niania. - Czy nasz Jason przesłał ci już swoje zaproszenie? Pewnie nie. Nie ma lekkiej ręki do pióra.

- Zaprasza mnie na co? - Magrat miała już dość liczby mnogiej.

- Czy Verence wam nie mówił? To specjalna sztuka napisana specjalnie dla was.

- A tak... Rozrywka.

- Właśnie. Odbędzie się w wigilię Nocy Letniej.

- To będzie coś specjalnego, w wigilię Nocy Letniej - oznajmił Jason Ogg.

Drzwi kuźni zostały zaryglowane. Wewnątrz siedziało ośmiu członków Lancrańskiego Zespołu Tańca Morris, sześciokrotnych zwycięzców Otwartych Mistrzostw Morrisa Piętnastu Gór[9]. Teraz starali się opanować nową formę wyrazu artystycznego.

- Czuję się jak głupek - stwierdził Bestialstwo Woźnica, jedyny piekarz w Lancre. - W sukience? Mam tylko nadzieję, że żona mnie nie zobaczy.

- Tu stoi... - Wielki paluch Jasona Ogga sunął z wahaniem wzdłuż linii - że to prze... piękna opowieść o miłości Królowej Elfów... To będziesz ty, Bestialstwo...

- Bardzo ci dziękuję.

- ...do człowieka śmiertelnego. Plus humory-styczne in-ter-lu-dium z Komicznymi Rękodzielnikami...

- Co to są Rękodzielnicy? - zapytał Tkacz, dekarz.

- Nie wiem. To chyba rodzaj studni... - Jason podrapał się po głowie. - Tak. W mieście. Naprawiałem kiedyś pompę do takiej. Oni nie mają normalnych rzek, więc taka studnia to dla nich „rzeka w dzielnicy”.

- A co w nich jest komicznego?

- Może ludzie komicznie do nich wpadają?

- Dlaczego nie możemy zatańczyć morrisa, jak zwykle? - zdziwił się Obidiah Cieśla, krawiec[10].

- Morris jest dobry na co dzień - wyjaśnił Jason. - Teraz trzeba pokazać coś kulturalnego. Ta sztuka przyjechała aż z Ankh-Morpork.

- Moglibyśmy pokazać taniec kijów i wiader - zaproponował Piekarz, tkacz.

- Nikt już nigdy nie będzie tu tańczył kijów i wiader - oświadczył Jason. - Pan Thrum ciągle kuleje, a minęły już przecież trzy miesiące.

Tkacz, dekarz, przyjrzał się swojemu egzemplarzowi tekstu.

- Tu jest napisane „Wszyscy wychodzą”. To co mamy tam robić?

- Nie podoba mi się mój kawałek - stwierdził Cieśla. - Jest za krótki.

- Żal mi twojej nieszczęsnej żony - wtrącił odruchowo Tkacz.

- Dlaczego? - zdziwił się Jason[11].

- I dlaczego musi tam być lew? - nie rozumiał Piekarz, tkacz.

- Bo to przedstawienie! - zirytował się Jason. - Nikt by go nie chciał oglądać, gdyby tam był... gdyby był osioł! Już widzę, jak ludzie przychodzą na sztukę, bo pokazuje osła. Tę sztukę napisał prawdziwy pisarz. Wyobrażam sobie, jak to prawdziwy pisarz wsadza w przedstawienie osła! Mówił, że chętnie się dowie, jak nam poszło. A teraz zamknijcie się wszyscy.

- Wcale się nie czuję jak Królowa Elfów - jęknął Bestialstwo Woźnica[12].

- Przyzwyczaisz się - zapewnił Tkacz.

- Mam nadzieję, że nie.

- I musimy robić próby - poinformował Jason.

- Nie ma miejsca - stwierdził Dekarz, woźnica.

- Ja w każdym razie nie mam zamiaru ćwiczyć tam, gdzie ktoś mnie może zobaczyć - oznajmił Bestialstwo. - Nawet jeśli pójdziemy gdzieś do lasu, ludzie i tak będą się gapić. Ja w sukience!

- Nie poznają cię, jak będziesz miał charakteryzację - uspokoił go Tkacz.

- Charakteryzację?

- Tak. I perukę - dodał Krawiec, drugi tkacz.

- On ma rację - poparł kolegę Tkacz. - Jeśli już mamy robić z siebie głupków, lepiej żeby nikt nas nie podglądał, dopóki nie będziemy w tym dobrzy.

- Może gdzieś z boku od traktu? - zaproponował Dekarz, woźnica.

- Gdzieś za miastem - zgodził się Druciarz, druciarz.

- Gdzie nikt nie chodzi - dodał Woźnica. Jason poskrobał się po brodzie niczym tarka. Na pewno uda się coś wymyślić.

- A kto będzie grał, jak już wszyscy wyjdą? - zapytał Tkacz. - Bo tutaj jeszcze coś gadają.

Dylizans toczył się przez monotonne równiny. Kraina pomiędzy Ankh-Morpork i Ramtopami była żyzna, dobrze zagospodarowana i nudna, nudna, nudna. Podróże poszerzają umysł. Ten pejzaż poszerzał umysł, ponieważ umysł wypływał przez uszy jak owsianka. W takim pejzażu, jeśli człowiek zobaczył w oddali postać ścinającą kapustę, śledził ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za horyzontem, ponieważ oko zwyczajnie nie miało nic innego do roboty.

- Czy wypatrzył ktoś - powiedział kwestor - takie jedno coś, co się zaczyna na... H?

- Uuk.

- Nie.

- Horyzont! - zawołał Myślak.

- Zgadłeś.

- Oczywiście, że zgadłem. Jak mogłem nie zgadnąć? Mieliśmy N na Niebo, K na Kapustę, U na... na Uuk, i nie zostało już nic więcej.

- Nie gram więcej, jeśli masz ciągle zgadywać. - Kwestor naciągnął kapelusz na uszy i spróbował zwinąć się na twardym siedzeniu.

- W Lancre będzie ciekawiej - obiecał nadrektor. - Jedyne kawałki płaskiego terenu, jaki tam mają, trzymają w muzeum. Myślak nie odpowiedział.

- Kiedyś wyjeżdżałem tam na całe lato. - Ridcully westchnął. - I wiecie... wszystko mogło ułożyć się inaczej.

Rozejrzał się. Jeśli człowiek zamierza się zwierzyć z intymnych fragmentów swego życiorysu, chce mieć pewność, że będzie wysłuchany.

Bibliotekarz wyglądał przez okno na podskakującą równinę. Dąsał się. Miało to wiele wspólnego z zapiętą na szyi nową, jasnoniebieską obrożą z wypisanym słowem PONGO. Ktoś jeszcze miał za to zapłacić.

Kwestor usiłował wykorzystać kapelusz tak jak ślimak muszlę.

- Była tam dziewczyna...

Myślak Stibbons, którego okrutny los uczynił jedynym słuchaczem, zdziwił się wyraźnie. Zdawał sobie sprawę, że technicznie nawet nadrektor był kiedyś młody. W końcu to tylko kwestia czasu. Zdrowy rozsądek sugerował, że magowie nie zaczynają swego istnienia w wieku siedemdziesięciu lat i z wagą dwustu sześćdziesięciu funtów. Ale nawet zdrowy rozsądek wymagał czasem przypomnienia.

- Czy była piękna, panie nadrektorze? - zapytał Myślak, bo uznał, że powinien się odezwać.

- Nie. Nie, tego bym nie powiedział. Uderzająca... Tak, to właściwe

słowo. Wysoka. Włosy tak jasne, że prawie białe. Oczy jak świdry, naprawdę.

Myślak zastanowił się.

- Nie chodzi chyba o tego krasnoluda, który prowadzi delikatesy przy...

- Chodzi o to, że człowiek stale miał wrażenie, jakby mogła go przejrzeć na wylot - odparł Ridcully, trochę bardziej ostro niż zamierzał. - A jak biegała...

Zamilkł znowu, zapatrzony w kronikę wspomnień.

- Wie pan, pewnie bym się z nią ożenił. Stibbons milczał. Kiedy jest się korkiem w strumieniu czyjejs świadomości, można tylko wirować i podskakiwać na falach.

- Co to było za lato - mruczał Ridcully. - Właściwie bardzo podobne do tego. Kręgi zbożowe rozpryskiwały się gęsto jak krople deszczu. A ja... no cóż, miałem wątpliwości. Magia jakoś nie wydawała się wystarczająca. Byłem trochę... zagubiony. Zrezygnowałbym z tego wszystkiego dla niej. Z każdego nieszczęsnego oktoqramu i zaklęcia. Bez namysłu. Wie pan, kiedy się mówi różne rzeczy w stylu, jej śmiech był niczym górski strumień”?

- Osobiście nie jestem zorientowany - odparł Myślak. - Ale czytywałem poezję...

- Kupa bzdur, taka poezja. Słuchałem górskich strumieni i one robią tylko „chlup - chlup, bul - bul”. I są w nich różne takie, no wie pan, jakieś insekty z małymi... Mniejsza z tym. To wcale nie przypomina śmiechu. Coś jakby „miała usta jak wiśnie”. Małe, okrągłe i z pestką w środku? Ha!

Zamknął oczy. Myślak odczekał chwilę.

- I co się stało z tą dziewczyną? - zapytał.

- Co?

- Z tą dziewczyną, o której pan opowiadał.

- Jaką dziewczyną?

- Tą dziewczyną.

- Ach, tą. Odmówiła mi. Powiedziała, że są inne rzeczy, którymi chce się zająć. I że jest jeszcze dużo czasu. Znowu zapadła cisza.

- I co potem? - zachęcił nadrektora Myślak.

- Potem? A jak pan myśli? Wyjechałem na uniwersytet. Zaczął się semestr. Pisałem do niej listy, ale nigdy nie odpowiedziała. Może w ogóle do niej nie dotarły; tam pewnie zjadają pocztę. Następnego roku studiowałem przez całe lato i nie miałem czasu, żeby tam wrócić. Nigdy już nie wróciłem. Egzaminy i w ogóle. Teraz już pewnie nie żyje albo jest grubą starą babą z gromadą dzieciaków. Ale ożeniłbym się z nią natychmiast. Bez namysłu. - Ridcully poskrobał się po głowie. - Nie mogę sobie przypomnieć, jak miała na imię.

Wyciągnął nogi, opierając je o kvestora.

- Zabawne - mruknął. - Nawet nie pamiętam jej imienia. Hm... Mogłaby konia prześcignąć...

- Na kolana i płacić!

Dyliżans zahamował ze zgrzytem.

Ridcully otworzył jedno oko.

- Co się dzieje? - zapytał.

Myślak ocknął się ze snu o ustach jak górskie strumienie i wyjrzał przez okno.

- Wydaje mi się - powiedział - że to bardzo niski rozbójnik.

Woźnica spojrzał z góry na niedużą postać stojącą na drodze. Pod tym kątem trudno było cokolwiek zauważyć z powodu niskiego wzrostu i szerokiego kapelusza rozbójnika.

Miał wrażenie, że patrzy na elegancko ubrany grzyb z wetkniętym piórkiem.

- Muszę przeprosić za to zatrzymanie - powiedział bardzo niski rozbójnik. - Niestety, cierpię na pewne niedostatki.

Woźnica westchnął i odłożył lejce. Właściwie zorganizowane przez Gildię Bandytów napady to co innego, ale niech go licho porwie, jeśli pozwoli sobie grozić opryszkowi, który sięga mu do pasa i nawet nie ma kuszy.

- Ty mały draniu - powiedział. - Zaraz łeb ci utracę - Przyjrzał się uważnie. - A co tam masz na plecach? Garb?

- Widzę, że zauważyłeś moją drabinę - odparł niski rozbójnik. - Pozwól, że zademonstruję...

- Co się dzieje? - zapytał Ridcully z wnętrza dyliżansu.

- Hm... Jakiś krasnolud właśnie wszedł na niską drabinę i kopnął woźnicę na środek drogi - poinformował Myślak.

- Takich rzeczy nie widuje się codziennie - ucieszył się nadrektor. Wyglądał na zadowolonego. Jak dotąd, podróż była dość nieciekawa.

- A teraz idzie w naszą stronę.

- To świetnie.

Rozbójnik przekroczył jęczącego woźnicę i zbliżył się do dyliżansu. Za sobą ciągnął drabinę. Otworzył drzwiczki.

- Pieniądze albo, przykro mi to mówić... Błysk oktarynowego płomienia zdmuchnął mu z głowy kapelusz. Wyraz twarzy krasnoluda nie uległ zmianie.

- Mam nadzieję, że pozwolą mi panowie przeformułować moje żądania.

Ridcully zmierzył wzrokiem elegancko ubranego przybysza od góry do dołu, a raczej od dołu jeszcze bardziej do dołu.

- Nie wyglądasz na krasnoluda - stwierdził. - To znaczy, jeśli nie liczyć wzrostu.

- Nie wyglądam na krasnoluda jeśli nie liczyć wzrostu?

- To znaczy, zdradzasz pewne wyraźne braki w dziedzinie hełmów i okutych butów - wyjaśnił Ridcully.

Krasnolud skłonił się i z brudnego, ale zdobionego koronką rękawa wyjął niewielki kartonik.

- Moja wizytówka - oświadczył. Było tam napisane:

Gamo Casanunda

DRUGI NAJWIĘKSZY KOCHANEK ŚWIATA

„Nigdy nie zasypiamy”

ZNAKOMITY SZERMIERZ ŻOŁNIERZ FORTUNY

BEZCZELNY KŁAMCA NAPRAWA DRABIN

Myślak zajrzał nadrektorowi przez ramię.

- Naprawdę jesteś bezczelnym kłamcą?

- Nie.
- W takim razie dlaczego napadasz na podróżnych?
- Niestety, zostałem obrabowany przez bandytów.
- Ale tutaj piszesz - wtrącił Ridcully - że jesteś świetnym szermierzem.
- Mieli przewagę liczebną.
- Ilu ich było?
- Trzy miliony.
- Wskakuj.

Casanunda wrzucił do środka swoją drabinę, po czym rozejrzał się w półmroku.

- Czy tam śpi małpa?
- Tak.

Bibliotekarz otworzył jedno oko.

- A co z zapachem?
- Nie będzie mu przeszkadzał.
- Czy nie powinienś przeprosić woźnicy? - spytał Myślak.
- Nie, ale jeśli chce, mogę go kopnąć mocniej.

- A to jest kwestor - poinformował Ridcully, wskazując na eksponat B, który spał snem człowieka po niemal śmiertelnej dawce pigułek z suszonej żaby. - Hej, kwestorze! Kwestooooor! Nic z tego zgasł jak światło. Wepchnij go pod ławkę. Grasz w Okalecz Pana Cebulę?

- Nie za dobrze.

- Kapitalnie.

Pół godziny później Ridcully był krasnoludowi winien osiem tysięcy dolarów.

- Przecież zaznaczyłem to na wizytówce - przypomniał mu Casanunda.
- „Bezczelny kłamca”. O tutaj.

- Tak, ale myślałem, że kłamiesz.

Ridcully westchnął i - ku zdumieniu Myślaka - wydobył z jakichś zakamarków sakiewkę pełną monet. Były to duże monety, wyglądały podejrzenie realistycznie i złoto.

Casanunda mógł być z zawodu lubieżnym żołnierzem fortuny, ale genetycznie pozostał krasnoludem, a pewne rzeczy krasnoludy po prostu wiedzą.

- Hm... - wymruczał. - Nie ma pan przypadkiem „bezczelnego kłamcy” na wizytówce?

- Nie! - zapewnił podniecony Ridcully.

- Chodzi o to, że umiem rozpoznać czekoladowe pieniądze.

- A wiecie - odezwał się Myślak, gdy dyliżans podskakiwał na drodze przez wąwóz - przypomina mi to pewną słynną zagadkę logiczną.

- Jaką zagadkę logiczną? - zapytał nadrektor.

- No więc - zaczął Myślak, zadowolony z uwagi -jak się zdaje, żył kiedyś taki jeden człowiek, który musiał przejść przez jedne z dwojga drzwi i nie wiedział, które wybrać. Strażnik przy pierwszych drzwiach zawsze mówił prawdę, a ten przy drugich zawsze kłamał.

Na dodatek za jednymi drzwiami czekała pewna śmierć, a za drugimi wolność. Ten człowiek nie wiedział, który strażnik jest który i mógł im zadać tylko jedno pytanie. Zatem: o co zapytał?

Dyżurny podskoczył na wyboju. Bibliotekarz przewrócił się na drugi bok.

- Dla mnie to brzmi jak pomysł lorda Hargona Psychotycznego z Quirmu - stwierdził po chwili Ridcully.

- Rzeczywiście - zgodził się Casanunda. - To był prawdziwy szatan, jeśli chodzi o takie dowcipy. Ilu studentów zmieści się do żelaznej dziewicy i takie różne.

- Czyli to było u niego, tak? - spytał Ridcully.

- Co? - zdziwił się Myślak. - Nie wiem.

- Dlaczego? Przecież zna pan mnóstwo szczegółów.

- Nie wydaje mi się, żeby to się działo gdziekolwiek. To tylko zagadka.

- Chwileczkę! - zawołał Casanunda. - Chyba ją rozwiązałem. Jedno pytanie, tak?

- Tak. - Myślak odetchnął z ulgą.

- I może zapytać dowolnego ze strażników?

- Tak.

- No to w porządku. W takim razie podchodzi się do tego mniejszego i mówi: „Powiedz mi, które drzwi prowadzą na wolność, jeśli nie chcesz się przyjrzeć barwie własnych nerek, a przy okazji, przejdę przez nie za tobą, więc gdybyś liczył na nagrodę Wielkiego Spryciarza, nie zapominaj, kto pójdzie pierwszy”.

- Nie, nie, nie!

- Mnie wydaje się to bardzo logiczne - pochwalił Ridcully. - Rozsądny pomysł.

- Ale nie masz broni!

- Owszem, mam - zapewnił Casanunda. - Wyrwałem ją strażnikowi, kiedy zastanawiał się nad pytaniem.

- Niegłupie - stwierdził Ridcully. - To, panie Stibbons, prawdziwie logiczna odpowiedź. Wiele mógłby się pan nauczyć od tego człowieka...

- ...krasróluda...

- ...przepraszam, krasróluda. On nie opowiada bez przerwy o pasożytniczych wszechświatach.

- Paralelnych - burknął Myślak, w którym zrodziło się silne podejrzenie, że nadrektor myli te słowa celowo. - Zresztą mówi się: równoległe.

- W takim razie które są pasożytnicze?

- Nie ma takich! To znaczy: nie ma takich wszechświatów, nadrektorze[13]. Są paralelne, czyli równoległe wszechświaty, nadrektorze. Wszechświaty, gdzie rzeczy nie zdarzyły się tak, jak... - zawahał się. - Pamięta pan tę dziewczynę?

- Jaką dziewczynę?

- Tę, z którą chciał się pan ożenić.

- Skąd pan o tym wie?

- Opowiadał pan o niej zaraz po obiedzie.

- Naprawdę? Niemądrze z mojej strony. Ale mniejsza. Co z nią?

- No więc... w pewnym sensie naprawdę się pan z nią ożenił - oświadczył Myślak.

Ridcully pokręcił głową.

- Nie. Jestem pewien, że się nie ożeniłem. Takich rzeczy się nie zapomina.

- Ale to było nie w tym wszechświecie... Bibliotekarz otworzył oko.

- Chce pan powiedzieć, że przeskoczyłem do innego wszechświata, żeby się ożenić? - upewnił się Ridcully.

- Nie. Chcę powiedzieć, że ożenił się pan w innym wszechświecie, ale nie w tym wszechświecie - odparł Myślak.

- Naprawdę? Z odpowiednią ceremonią i w ogóle?

- Tak!

- Hm... - Ridcully pogłodził brodę. - Jest pan pewien?

- Pewien, nadrektorze.

- Coś podobnego! Nic nie wiedziałem. Myślak poczuł, że wreszcie do czegoś dochodzą.

- Ale...

- Tak?

- Dlaczego nic nie pamiętam? Myślak był na to przygotowany.

- Ponieważ pan w tamtym wszechświecie jest kimś innym niż pan tutaj. To inny pan się ożenił. Pewnie gdzieś się osiedlił i jest już pradziadkiem.

- Nigdy nie pisze, to pewne - stwierdził Ridcully. - I w dodatku, łobuz jeden, nie zaprosił mnie na ślub.

- Kto?

- On.

- Ale on jest panem!

- Jest? Akurat. Przecież ja bym o sobie pomyślał. Co za drań!

Nie chodzi o to, że Ridcully był głupi. Prawdziwie głupi mag ma oczekiwaną długość życia porównywalną ze szklanym młotkiem. Ridcully dysponował całkiem potężnym intelektem, ale potężnym jak lokomotywa, która jedzie po szynach, a zatem sterowanie nią jest prawie niemożliwe.

Owszem, istnieją takie obiekty jak wszechświaty równoległe, choć „równoległe” nie jest tu najlepszym określeniem - wszechświaty nurkują i obiegają się spiralami niczym czółenka w jakiejś zwariowanej maszynie tkackiej albo eskadra Yossarianów z uszkodzeniami błędniaka.

W dodatku wszechświaty się rozgałęziają. Ale - i to jest ważne - nie przez cały czas. Wszechświatowi nie zależy, czy ktoś rozdepcze motyla. Jest mnóstwo innych motyli. Bogowie może i dostrzegają spadającego wróbelka, ale nie starają się go pochwycić.

Zastrzelić dyktatora i zapobiec wojnie? Ale dyktator jest tylko czubkiem ropyjącego pęcherza społecznej materii, z której biorą się dyktatorzy. Jeśli zastrzeli się jednego, inny za chwilę zajmie jego miejsce. Zastrzelić jego także? A może wystrzelać wszystkich i napaść na Polskę? Za pięćdziesiąt lat, trzydzieści lat, nawet za dziesięć lat świat wróci prawie dokładnie na dawny kurs. Historia zawsze miała ogromną bezwładność.

Prawie zawsze...

W czasie kręgu, kiedy ściany między „tym” i „tamtym” są cieńsze, kiedy następują wszelkiego rodzaju niezwykle przecieki... Tak, wtedy dokonują się wybory, wtedy można posłać rozkołysany wszechświat inną nogawką dobrze znanych Spodni Czasu.

Ale istnieją także ślepe zaułki, wszechświaty odcięte od przeszłości i przyszłości. Muszą kraść przeszłość i przyszłość innym wszechświatom. Ich jedyną nadzieją jest przyczepić się do dynamicznych wszechświatów, gdy je mijają, tak jak remora przysysa się do przepływającego rekina. To są właśnie wszechświaty pasożytnicze. Mają swoją szansę, kiedy kręgi zbożowe

rozpryskują się niczym krople deszczu...

Zamek w Lancre był większy, niż to potrzebne. To nie znaczy, że samo Lancre było kiedyś większe - niegościnne góry otaczały je ciasno z trzech stron, a mniej lub bardziej strome urwisko zajmowało miejsce, gdzie leżałaby czwarta strona, gdyby nie było tam stromego urwiska. O ile ktokolwiek wiedział, góry nie należały do nikogo. Były po prostu górami.

Zamek rozciągał się wszędzie. Nikt się nie orientował, jak daleko prowadzą korytarze piwnic.

Obecnie wszyscy mieszkali w wieżach i halach niedaleko bramy.

- Popatrz tylko na krenelaże - powiedziała Magrat.

- Co, psze pani?

- Te wycięte zęby na szczycie murów. Można stamtąd powstrzymać całą armię.

- Do tego przecież służy zamek, prawda, psze pani? Magrat westchnęła.

- Czy mogłabyś darować sobie „psze pani”? To ci odbiera pewność siebie.

- Słucham, psze pani?

- Pomyśl, z kim właściwie można tu walczyć? Nawet trolle nie zdołają przejść przez góry, a ktoś, kto nadchodzi drogą, sam się prosi o zrzucenie kamieni na głowę. Poza tym wystarczy tylko zwalić most nad Lancre.

- Nie wiem, psze pani. Królowie chyba muszą mieć zamki.

- Czy ty nigdy się nad niczym nie zastanawiasz, głupia dziewucho?

- A co komu z tego przyjdzie, psze pani? Nazwałam ją głupią dziewuchą, myślała Magrat. Wnikają we mnie królewskie maniere.

- No dobrze. Do czego doszliśmy?

- Będziemy potrzebować czterech tysięcy łokci niebieskiego perkalu w białe kwiatki - odparła Millie.

- A przecież nie zmierzaliśmy jeszcze nawet połowy okien - westchnęła Magrat, zwijając taśmę mierniczą.

Spojrzała w głąb Długiej Galerii. Tym, co ją wyróżniało, co zwracało uwagę, pierwszą rzeczą, jaką ktokolwiek zauważał, było to, że jest bardzo, bardzo długa. Pewne wyraźne cechy łączyły ją z Głównym Holem czy Głębokimi Lochami - nazwa stanowiła idealnie ścisły opis. I jeszcze, jak by to ujęła niania Ogg, trzeba będzie dla niej paskudnie dużo wykładziny.

- Po co? Po co zamek w Lancre? - spytała Magrat, zwracając się przede wszystkim do siebie, gdyż rozmowa z Millie była jak rozmowa ze sobą. - Przecież nigdy z nikim nie walczyliśmy, chyba że przed tawerną w sobotni wieczór.

- Nie wiem, psze pani - odpowiedziała jej Millie. Magrat westchnęła znowu.

- Gdzie dzisiaj jest król?

- Otwiera parlament, psze pani.

- Ha! Parlament!

To kolejny pomysł Verence'a. Próbował wprowadzić w Lancre efebianską demokrację, dając wszystkim prawo głosu. No, przynajmniej każdemu, kto „dobrej jest opinii, męskiej natury, ma lat czterdzieści i dom posiada wart więcej niż tszy i pół kozy rocznie”, bo przecież nie warto przesadzać i udzielać głosu ludziom, którzy są biedakami, przestępcami, szaleńcami albo kobietami, i którzy wykorzystaliby ten głos w sposób nieodpowiedzialny. Udało mu się, mniej więcej, chociaż członkowie

parlamentu zjawiali się tylko wtedy, gdy przyszła im ochota, a i tak nikt nigdy niczego nie zapisywał, poza tym wszyscy się zgadzali na wszystko, co mówił Verence, bo przecież był królem. Jaki jest sens posiadania króla, uważali, jeśli trzeba się rządzić samemu? Powinien robić, co do niego należy, nawet jeśli nie radzi sobie z ortografią. Przecież jego nikt nie prosi, żeby kładł dachy albo doił krowy.

- Nudzę się, Millie. Nudzę się, nudzę, nudzę. Przejdę się do ogrodu.

- Mam zawołać Shawna z trąbką?

- Nie, jeśli chcesz zachować życie.

Nie wszystkie ogrody przekopano dla prowadzenia eksperymentów rolniczych. Pozostał na przykład ogród ziołowy. Dla fachowego oka Magrat przedstawiał się skromnie, gdyż pozostawiono tylko zioła służące jako przyprawy. I nawet w tym zakresie repertuar pani Scorbic kończył się na mięcie i szałwi. Nie rosła tu nawet gałązka werbeny, krwawnika czy portek starucha.

Był też słynny, a w każdym razie słynny w przyszłości labirynt. Verence zasadził go, bo słyszał, że porządne zamki powinny mieć labirynty. Wszyscy się zgadzali, że kiedy tylko krzewy wyrosną powyżej swej obecnej wysokości około stopy, będzie to rzeczywiście bardzo słynny labirynt i nawet będzie można się w nim zgubić bez zamykania oczu i schylania się do ziemi.

Magrat sunęła smętnie po zwirowej drodze; jej ciężka, szeroka suknia pozostawiała gładki ślad.

Jakiś krzyk rozległ się z drugiej strony żywopłotu, ale Magrat rozpoznała głos. Pewne tradycje zamku Lancre zdążyła już opanować.

- Dzień dobry, Hodgesaargh - powiedziała.

Zamkowy sokolnik wyszedł zza rogu, ocierając twarz chusteczką. Na drugiej ręce, z pazurami wbitymi w skórę niczym narzędzie tortur, siedział ptak. Złe czerwone oczka spoglądały na Magrat znad ostrego jak brzytwy dzioba.

- Mam nowego sokoła - oznajmił Hodgesaargh z dumą. - To lancrański krukojastrząb. Nikt ich dotąd nie oswoił. Tresuję go. Nauczyłem go już, żeby nie dziobał mojaaaauuuuu!

Rozpaczliwie uderzał sokołem o mur, aż ptak wypuścił jego nos.

Ściśle mówiąc, Hodgesaargh nie było prawdziwym nazwiskiem sokolnika. Z drugiej strony, jeśli uznać, że prawdziwe nazwisko to to, którym człowiek się przedstawia, na pewno nazywał się Hodgesaargh.

Działo się tak dlatego, że jastrzębie i sokoły w zamkowych klatkach były ptakami z Lancre, a zatem prezentowały pewną umysłową niezależność. W wyniku starannego krzyżowania i tresury Hodgesaargh zdołał je nauczyć, by wypuszczały czyjś przegub. Teraz pracował nad tym, by nie atakowały wściekle osoby, która przed chwilą je trzymała - to znaczy nieodmiennie Hodgesaargha. Mimo to był człowiekiem niezwykle optymistycznym i dobrotliwym, który żył marzeniem o dniu, gdy jego sokoły okażą się najlepsze w świecie. Sokoły żyły marzeniem o dniu, kiedy dobiorą mu się do drugiego ucha.

- Widzę, że świetnie panu idzie - pochwaliła go Magrat. - Nie wydaje się panu jednak, że lepsze wyniki osiągnie pan okrucieństwem?

- Ależ skąd, panienko - obruszył się Hodgesaargh. - Trzeba okazywać łagodność. Wtedy buduje się więź. Jeżeli człowiekowi nie ufają, to aarrgh...

- W takim razie nie będę przeszkadzać - powiedziała Magrat, gdy pióra wzleciały w powietrze.

Jakoś nie była zdziwiona, kiedy dowiedziała się, że w sokolnictwie obowiązuje ścisły podział klasowy i płciowy. Verence, jako król, mógł polować z sokołem białozorem, cokolwiek to było, u licha. Hrabiom z okolicy przysługiwały sokoły wędrowne, a kapłanom krogulce. Poddanym pozwalano najwyżej na kij do rzucania[14]. Magrat zastanawiała się, co dostałaby niania Ogg - zapewne małego kurczaka na sprężynie.

Nie przewidziano specjalnego sokoła dla czarownic, ale jako królowa mogła jeździć na łowy z jastrzębiem, czyli smętkiem kłapodziobym. Ptak

był mały, krótkowzroczny i wolał chodzić piechotą. Mdlał na widok krwi. Około dwudziestu jastrzębi mogło zabić chorego gołębia. Magrat spędziła godzinę, trzymając jednego z nich na ręku. Ptak sapał ciężko, aż w końcu zasnął głową w dół.

Ale przynajmniej Hodgesaargh miał zajęcie. W zamku pełno było ludzi wykonujących jakieś prace. Każdy robił coś pożytecznego - z wyjątkiem Magrat. Ona miała tylko istnieć. Oczywiście, wszyscy z nią rozmawiali, pod warunkiem że odezwała się pierwsza, ale zawsze przerywała im coś ważnego. Do niej należało tylko zapewnienie ciągłości dynastii, co do którego Verence posłał po specjalną książkę, nie...

- Lepiej tam zostać, dziewczyno. Nie podchodź bliżej. Magrat zjeżyła się.

- Dziewczyno? Tak się składa, że jesteśmy prawie że królewskiej krwi, przez małżeństwo!

- Możliwe, ale pszczoły o tym nie wiedzą - powiedział głos.

Magrat stanęła.

Przekroczyła granicę tego, co było ogrodami z punktu widzenia rodziny królewskiej, a przeszła do tego, czym były ogrody z punktu widzenia innych ludzi - poza świat żywopłotów, przyszczyżonych krzewów i ziół, w świat starych szop, stosów donic, kompostu i - właśnie tutaj - uli.

Jeden z nich miał uniesiony dach. Obok, w chmurze brunatnego dymu, paląc swoją specjalną pszczelarską fajkę, stał pan Brooks.

- Och! - zawołała. - To pan, panie Brooks.

Formalnie pan Brooks był królewskim pszczelarzem. Ale stosunki z nim należały do delikatnych. Na przykład, choć do większości służby zwracano się po nazwisku, pan Brooks dzielił z kucharką i kamerdynerem przywilej tytułowania go panem. To dlatego że pan Brooks posiadał tajemną moc: wiedział wszystko o przepływie miodu i godach królowych. Znał się na rojach i umiał niszczyć gniazda os. Cieszył się powszechnym szacunkiem,

zarezerwowanym dla ludzi - jak czarownice i kowale - których odpowiedzialność nie ogranicza się do świata codziennej harówki i zwykłej rzeczywistości. Należał do tych, którzy wiedzą to, czego inni nie wiedzą, o tym, czego inni nie potrafią zgłębić. Na ogół można go było znaleźć, jak robił coś dziwnego z ulami, szedł przez królestwo w pogoni za rojem albo palił fajkę w swojej sekretnej szopie, pachnącej starym miodem i trucizną na osy. Nikt nie narażał się panu Brooksowi, jeśli nie chciał odkryć roju w swojej wygodce, gdy on tymczasem chichotał w szopie. Teraz starannie zamknął pokrywę ula i odszedł. Kilka pszczoł wyleciało z dziur w jego pszczelarskiej masce.

- Dzień dobry, wasza wysokość - rzekł ugodowo.

- Dzień dobry, panie Brooks. Co pan robił?

Pan Brooks otworzył drzwi swojej sekretnej szopy i pogrzebał we wnętrzu.

- Późno się roją - wyjaśnił. - Tylko sprawdzałem, co u nich. Masz ochotę na herbatę, dziewczyno?

Pan Brooks nie uznawał ceremonii. Traktował wszystkich jak równych, a nawet jak trochę gorszych. To pewnie skutek rządzenia tysiącami, każdego dnia. Przynajmniej mogła z nim rozmawiać. Pan

Brooks zawsze wydawał się jej kimś tak bliskim czarownicy, jak to tylko możliwe, gdy wciąż pozostaje się mężczyzną.

Szopa była pełna kawałków uli, tajemniczych narzędzi tortur służących do wydobywania miodu, starych słoików. Pośrodku stał mały piecyk, a na nim wypuszczał parę przybrudzony imbryk obok wielkiego rondla.

Jej milczenie uznał widać za przyjęcie zaproszenia, bo nalał dwa kubki.

- Ziołowa? - spytała drżącym głosem.

- Niech mnie licho, jeśli wiem. To zwykłe brunatne liście z puszki.

Magrat zajrzała niepewnie do kubka, który czysta tanina zabarwiła na

brązowo. Wzięła się w garść. Będąc królową, trzeba pamiętać - wiedziała o tym - by wprawiać poddanych w swobodny nastrój. Rozejrzała się, szukając pomysłu na swobodne pytanie.

- Praca pszczelarza musi być bardzo ciekawa - powiedziała.

- Tak. Jest ciekawa.

- Często się zastanawialiśmy...

- Nad czym?

- Jak właściwie pan je doi?

Jednorożec biegł przez las. Czuł się ślepy i zagubiony. Niebo było tu niebieskie, nie płonęło wszystkimi kolorami zorzy. I mijał czas. Dla stworzenia, które nie urodziło się poddanym władzy czasu, było to uczucie niezbyt odległe od spadania. Czuł też w umyśle swoją panią. To było jeszcze gorsze od upływu czasu.

Krótko mówiąc, był obłąkany.

Magrat słuchała z otwartymi ustami.

- Myślałam, że królowe się rodzą - powiedziała.

- Ależ skąd - obruszył się pan Brooks. - Nie ma czegoś takiego jak królewskie jajeczko. To pszczoły decydują, żeby jedną z nich karmić jak królową. Przynoszą jej mleczko.

- A co się dzieje, jeśli nie przynoszą?

- Wtedy staje się zwykłą robotnicą, wasza wysokość - wyjaśnił pan Brooks z podejrzanym republikańskim uśmiechem. Ma szczęście, pomyślała Magrat.

- A kiedy już mają nową królową, co się dzieje ze starą?

- Zwykle się wyroi. Odleci i zabierze ze sobą nową kolonię. Widziałem już w życiu tysiące rojów, to prawda, ale nigdy roju królewskiego.

- Co to jest rój królewski?

- Trudno powiedzieć z całą pewnością. Można go znaleźć w starych książkach o pszczołach. To rój rojów. Coś, co warto zobaczyć.

- Stary pszczelarz rozmarzył się przez chwilę. - Oczywiście – podjął - prawdziwa zabawa zaczyna się wtedy, kiedy pogoda nie sprzyja i stara królowa nie może się wyroić. - Zaczął kreślić dłońmi niewielkie kręgi. - Wtedy obie królowe... to jest stara, tak, a to nowa... zaczynają tropić się między plastrami; deszcz bębni o dach ula, a wokół toczy się normalna praca. - Pan Brooks ilustrował opowieść gestami. - Wszystkie pszczoły biegają wśród plastrów, brzęczą trutnie, a one przez cały czas wyczuwają siebie nawzajem, bo wiedzą, i w końcu widzą się, a wtedy...

- Co? Co? - Magrat pochyliła się, by lepiej słyszeć.

- Tnij! Kłuj!

Magrat uderzyła głową o ścianę szopy.

- W ulu może być tylko jedna królowa - dokończył spokojnie pan Brooks.

Magrat spojrzała na ule. Zawsze uspokajał ją ten widok - aż do dzisiaj.

- Wiele razy po kilku deszczowych dniach znajdowałem martwą królową przed ulem - ciągnął z zadowoleniem pan Brooks. - Nie mogą znieść innej w pobliżu. A bitwa toczy się jak zawsze: stara królowa jest sprytniejsza, ale nowa naprawdę ma o co walczyć.

- Nie rozumiem.

- Jeśli chce się rozmnażać.

- Aha.

- Ale naprawdę ciekawie robi się jesienią - mówił dalej pan Brooks. - Ul nie potrzebuje zimą darmozjadów, rozumiesz, a trutnie tylko fruwać i nic właściwie nie robią. Więc robotnice ściągają wszystkie trutnie na dół, do wejścia ula, i odgryzają...

- Proszę przestać! - zawołała Magrat. - To okropne! Myślałam, że pszczelarstwo jest... no, miłe.

- Oczywiście, tak się dzieje o tej porze roku, kiedy pszczoły się zużywają. Widzisz, taka zwykła pszczoła, znaczy, ona pracuje, aż już nie może. I widzi się dużo starych robotnic pełzających przed ulem, bo...

- Dość! Naprawdę, tego już za wiele. Wie pan, że jestem królową. Prawie.

- Przepraszam, panienko. - Pan Brooks trochę się zmartwił. - Myślałam, że chcesz się czegoś dowiedzieć o pszczelarstwie.

- Tak, ale nie tego!

Magrat dumnie wyszła z szopy.

- No, nie wiem - mruknął pan Brooks. - Dobrze jest zbliżyć się do natury.

Z uśmiechem pokręcił głową, patrząc, jak Magrat znika za żywopłotem.

- W ulu może być tylko jedna królowa - mruknął. - Tnij! Kłuj! Hę, hę...

Gdzieś z daleka dobiegł krzyk Hodgesaargha, do którego właśnie zbliżyła się natura.

Kręgi zbożowe otwierały się wszędzie. Teraz wszechświaty ustawiły się w linii. Zaprzestały swego tańca gotowanego spaghetti i aby pokonać szykanę historii, pędziły łeb w łeb w swym wyścigu po gumowej membranie nieopanowanego czasu.

W takich chwilach - co Myślak Stibbons niejasno przeczuwał - wpływały na siebie nawzajem. Strugi rzeczywistości strzelały tam i z powrotem, a wszechświaty przepychały się w walce o jak najlepszą pozycję.

Ktoś, kto ćwiczyłby umysł, żeby stał się najlepszym możliwym odbiornikiem, i w takiej chwili uruchomił go, podkreślając wzmocnienie aż do urwania gałki, mógłby odebrać naprawdę niezwykle sygnały...

Tykał zegar.

Babcia Weatherwax siedziała przy otwartym pudełku i czytała. Od czasu do czasu przerywała, zamykała oczy i szczypała się w nos.

Nie wiedzieć, co niesie przyszłość, to dostatecznie nieprzyjemne uczucie, ale przynajmniej rozumiała przyczynę. Teraz jednak doświadczała przebłysków dejami. Trwały już od tygodnia... Tyle że nie były to jej deja vu. W takiej formie przytrafiały jej się po raz pierwszy - obrazy wspomnień, które nie mogły istnieć. Nie mogły. Była przecież Esme Weatherwax, osobą rozsądną i solidną jak cegła, zawsze była, nigdy przecież... Ktoś zapukał do drzwi.

Zamrugła, zadowolona, że może uwolnić się od tych myśli. Sekundę czy dwie zajęło jej skoncentrowanie się na teraźniejszości. Potem złożyła kartkę papieru, wsunęła ją do koperty, włożyła kopertę do pliku innych, a plik do pudełka, zamknęła pudełko na mały kluczyk, który zawiesiła nad

kominkiem, i dopiero wtedy podeszła do drzwi. Przeprowadziła jeszcze szybką kontrolę, czy przypadkiem w roztargnieniu nie zdjęła z siebie ubrania ani nic w tym rodzaju, po czym otworzyła.

- Dobry wieczór - powiedziała niania Ogg. Trzymała misę przykrytą ściereczką. - Przyniosłam ci trochę...

Babcia Weatherwax patrzyła ponad jej ramieniem.

- Kto to jest? - zapytała.

Trójka dziewcząt była wyraźnie zakłopotana.

- Widzisz, przyszedł do mnie i... - zaczęła tłumaczyć niania.

- Nie mów - przerwała jej babcia. - Pozwól, że sama zgadnę. - Wyszła za próg i zmierzyła wzrokiem całą trójkę. - No, no... coś podobnego! Trzy dziewczęta, które chciałyby zostać czarownicami, mam rację? - Jej głos zabrzmiał falsetem. - „Och, prosimy, pani Ogg, wiemy już, że błędziłyśmy, chcemy nauczyć się prawdziwego czarownictwa”. Tak?

- Tak - przyznała niania. - Coś w tym rodzaju. Ale...

- Tu chodzi o czarownictwo - powiedziała surowo babcia. - To nie... to nie... nie gra w kasztany. Za co mnie to spotyka? Przeszła wzdłuż krótkiego szeregu drżących dziewcząt.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Magenta Frottige, proszę pani.

- Złożę się, że mama woła na ciebie inaczej. Magenta spuściła głowę.

- Woła na mnie Violet, proszę pani.

- To ładniejszy kolor niż magenta - uznała babcia. - Chciałaś być trochę tajemnicza, co? Żeby wszyscy myśleli, że poznałaś okultyzm. Potrafisz czarować? Twoja przyjaciółka nauczyła cię czegoś? Zrzuć mi kapelusz.

- Co, proszę pani?

Babcia Weatherwax odstaąpiła o krok i obróciła się powoli.

- Zrzuć go. Nie będę ci przeszkadzać. No, dalej. Magenta w odcieniu fioletu przeszła w czerwień.

- Tego... Nigdy jakoś sobie nie radziłam z tym psychoczymstam...

- Co za pech. No cóż, zobaczmy pozostałe. Jak ci na imię?

- Amanita, proszę pani.

- Jakie śliczne imię. Pokaż co potrafisz. Amanita rozejrzała się nerwowo.

- Ja, tego... Chyba nie potrafię, kiedy pani na mnie patrzy...

- Jaka szkoda. A ty, na końcu?

- Agnes Nitt - odpowiedziała Agnes, która orientowała się szybciej niż jej koleżanki i zrozumiała, że nie warto się upierać przy Perdicie.

- No dalej. Spróbuj. Agnes skoncentrowała się.

- Co za nieszczęście, co za nieszczęście - westchnęła babcia. - A kapelusz wciąż mam na głowie. Pokaż im, Gytho.

Niania Ogg westchnęła także, podniosła kawałek ułamanej gałęzi i cisnęła w stronę babcinego kapelusza. Babcia złapała patyk w locie.

- Ale... Ale... -jąkała się Amanita. - Mówiła pani, że mamy użyć czarów.

- Nie, nie mówiłam.

- Przecież każdy mógłby to zrobić - zaprotestowała Magenta.

- Owszem, ale przecież nie o to chodzi. Problem w tym, że wy nie

zrobiłyście. - Babcia uśmiechnęła się, co było u niej czymś niezwykłym. - Słuchajcie, nie chcę być dla was niemą. Jesteście młode. Świat pełen jest rzeczy, którymi możecie się zająć. Wcale nie chcecie być czarownicami. Nie chciałybyście, gdybyście wiedziały, co to oznacza. A teraz idźcie już. Wracajcie do domu. Nie próbujcie się bawić paranormalnym, dopóki nie wiecie, co jest normalne. No już. Uciekajcie.

- Ale to zwykłe oszustwo! - zaprotestowała Magenta. - Tak jak mówiła Diamanda! Pani używa tylko słów i sztuczek...

Babcia podniosła rękę. Ptaki w drzewach umilkły nagle.

- Gytho!

Niania Ogg obronnym gestem chwyciła oburącz rondo swojego kapelusza.

- Daj spokój, Esme, dałam za niego całe dwa dolary...

Huk gromu odbił się echem wśród drzew. Strzępki podszewki spłynęły łagodnie z nieba.

Babcia wyciągnęła palec w stronę dziewcząt, które usiłowały się odsunąć.

- Moje drogie - powiedziała. - Dlaczego nie odwiedzicie swojej przyjaciółki? Przegrała. Zapewne nie jest w tej chwili szczęśliwa. To nieodpowiedni moment, żeby zostawiać ludzi samych sobie.

Wciąż wpatrywały się w nią nieruchomo, jakby zafascynowane wyciągniętym palcem.

- Przed chwilą poprosiłam, żebyście wracały do domu. Całkiem spokojnym głosem. Czy wolicie, żebym krzyknęła? Odwróciły się i pobiegły. Niania Ogg wsunęła rękę w rondo trafionego kapelusza.

- Całe wieki szykowałam to lekarstwo dla świń - mamrotała. - Potrzebne jest osiem rodzajów liści. Liście wierzby, liście wrotczy, liście portków starucha... Zbierałam je cały dzień. W końcu liście nie rosną na

drzewach...

Babcia Weatherwax patrzyła za znikającymi w lesie dziewczętami. Niania Ogg umilkła.

- Jak za dawnych czasów, co? - odezwała się po chwili. - Pamiętam, gdy miałam piętnaście lat i stałam przed starą Biddy Spective, a ona mówiła tym swoim głosem: „Chcesz zostać... kim?”. Byłam tak przerażona, że prawie...

- Ja nigdy przed nikim nie stałam - odparła chłodno babcia Weatherwax. - Biwakowałam w ogrodzie starej niani Gripes, dopóki nie obiecała, że nauczy mnie wszystkiego, co wie. Ha... Trwało to tydzień, a i tak miałam wolne popołudnia.

- Chcesz powiedzieć, że nie zostałam wybrana? - zdumiała się niania.

- Ja? Nie, sama wybrałam. - Babcia zwróciła ku niej twarz, którą niania nieprędko zdoła zapomnieć, choć pewnie będzie próbować. - Ja wybrałam, Gytho Ogg. I chcę, żebyś o tym wiedziała. Cokolwiek się stanie, nigdy niczego nie żałowałam. Nie żałowałam ani jednej decyzji. Jasne?

- Skoro tak mówisz, Esme...

Czym jest magia?

Istnieje tłumaczenie magów, dostępne w dwóch wersjach, zależnie od wieku maga. Starsi magowie mówią o świecach, kręgach, planetach, gwiazdach, bananach, inkantacjach, runach i znaczeniu spożywania przynajmniej czterech solidnych posiłków dziennie. Młodszy magowie, zwłaszcza ci bladzi, którzy prawie przez cały czas przesiadają w budynku Magii Wysokich Energii[15], długo opowiadają o zawirowaniach w morficznej naturze wszechświata, o własności zasadniczej niepermanencji nawet najbardziej z pozoru sztywnych struktur czasoprzestrzeni,

nieprawdopodobieństwie rzeczywistości i tak dalej. Oznacza to tylko, że trafili na coś gorącego i wymyślają fizykę po drodze...

Zbliżała się północ. Diamanda biegła w górę w stronę Tancerzy; ciernie i wrzosały się jej sukni. Dręczyło ją nieustępliwe uczucie poniżenia. Głupie, złośliwe staruchy! I głupi ludzie! Przecież wygrała. Zgodnie z zasadami to ona zwyciężyła. Ale wszyscy tylko się z niej śmiali.

To bolało. Wspomnienie tych szeroko uśmiechniętych, głupawych gąb. I wszyscy poparli te okropne staruchy, które nie miały pojęcia o istocie czarownictwa ani o tym, czym może się stać. Jeszcze im pokaże.

Przed nią wyrastali Tancerze - czarne sylwetki na tle rozjaśnionych księżycem chmur.

Niania zajrzała pod łóżko, na wypadek gdyby chował się tam jakiś mężczyzna. A nuż sprzyjałoby jej szczęście? Zamierzała wcześniej się dziś położyć. Miała za sobą wyjątkowo ciężki dzień.

Obok łóżka stał słój ze słodyczami i butelka przezroczystej cieczy ze skomplikowanego destylatora za szopą na drewno. Ściśle biorąc, nie była to whisky, i ściśle biorąc nie był to gin, ale za to przezroczysta ciecz miała dokładnie 90° zawartości alkoholu i dawała pocieszenie w przykrych chwilach około trzeciej nad ranem, kiedy człowiek budzi się i nie pamięta, kim jest. Po szklaneczce przezroczystej cieczy wprowadzie dalej nie pamiętał, ale to już nie przeszkadzało, bo i tak był kimś innym.

Niania poprawiła cztery poduszki, kopnęła w kąt ciepłe bambosze i naciągnęła na głowę pierzynę, tworząc niedużą, ciepłą i lekko cuchnącą jaskinię. Ssała cukierka. Niania Ogg miała już tylko jeden ząb, który od wielu

lat znosił wszystko, czego od niego żądała. Na pewno nie przejmie się jakimś cukierkiem przed snem.

Po kilku sekundach uczucie nacisku na stopy poinformowało ją, że kot Greebo zajął swoje zwyczajowe miejsce w nogach. Greebo zawsze spał w łóżku niani; co rano przyjaźnie usiłował wydrapać jej oczy, co działało jak najlepszy budzik. Zawsze jednak zostawiała otwarte okno, na wypadek gdyby w nocy chciał wyjść i wypruć czemuś flaki. Bogowie z nim.

Tak, tak... Elfy (nie słyszały, jeśli wypowiadało się to słowo w myślach, przynajmniej dopóki nie znalazły się naprawdę blisko). Szczerze mówiąc, sądziła, że już ich więcej nie zobaczy. Ile to już? Pewnie setki lat, może i tysiące. Czarownice nie lubiły o tym wspominać, ponieważ popełniły wielki błąd w sprawie elfów. Owszem, w końcu przejrzały drani, ale niewiele brakowało. A było w tamtych czasach wiele czarownic. Powstrzymywały elfy na każdym kroku, sprawiły, że świat stał się dla nich zbyt gorący. Walczyły z nimi żelazem. Nic elfickiego nie znesie żelaza. Ono je oślepia albo coś w tym rodzaju. Oślepia je całe.

Teraz czarownic pozostało już niewiele. Prawdziwych czarownic. Ale co gorsza, ludzie chyba jakoś zapomnieli, co to znaczy mieć wokół siebie elfy. Życie było wtedy o wiele ciekawsze, ale zwykle dlatego, że było krótsze. I barwne, jeśli ktoś lubił barwę krwi. Doszło do tego, że ludzie bali się nawet otwarcie wspominać tych drani.

Mówiło się: Promienni. Mówiło się: Piękny Lud. A potem się spluwało i dotykało żelaza. Ale po kilku pokoleniach wszyscy zapomnieli o pluciu i żelazie, zapomnieli, dlaczego tak nazywali te istoty. Pamiętali tylko, że były piękne.

Tak, za tamtych czasów żyło wiele czarownic. Zbyt wiele kobiet znajdowało pustą kołyskę, zbyt wielu mężów nie wracało z polowania... na którym to oni byli zwierzną.

Elfy! Te dranie! A jednak...jednak... robiły jakieś sztuczki z pamięcią.

Niania Ogg przewróciła się na drugi bok. Greebo zamruczał z oburzeniem.

Weźmy na przykład takie krasnoludy i trolle. Ludzie mówią: Nie można wierzyć tym trollom. Są w porządku, jeśli widzi się je przed sobą. Niektóre, owszem, są w miarę przyzwoite na swój sposób, ale i tak tchórzliwe i głupie. A co do krasnoludów, to chciwe i chytre z nich pokraki. Fakt, trzeba przyznać, że czasem spotyka się któregoś z tych małych łobuzów, który nie jest taki zły, ale ogólnie nie są lepsze od trolli, a właściwie to...

...są takie jak my.

Ale nie wyglądają pięknie i brakuje im stylu. A my jesteśmy głupi i pamięć płata nam figle, więc pamiętamy urodę elfów, pamiętamy, jak się poruszały, ale zapominamy, kim były. Jesteśmy jak myszy, które powtarzają: „Mówcie co chcecie, ale koty naprawdę mają styl”.

Ludzie nigdy nie trzęśli się w łózkach ze strachu przed krasnoludami. Nie przed trollami chowali się w komórkach pod schodami. Czasem rzeczywiście przeganiiali je z kurników, ale krasnoludy i trolle nie były niczym więcej niż piekielnym utrapieniem. Nie były grozą wśród nocy.

Pamiętamy tylko, że elfy śpiewały. Zapominamy, o czym były te pieśni.

Niania Ogg odwróciła się znowu. Z końca łóżka dobiegł cichy szelest i stłumiony jęk, gdy Greebo spadł na podłogę.

Niania usiadła.

- Zakładaj mocne łapy, mój mały - powiedziała. - Wychodzimy.

W kuchni zatrzymała się, zdjęła jedno z żelazek grzejących się na piecu i przywiązała do niego kawał sznura do bielizny.

Przez całe życie chodziła nocą po Lancre i nigdy nie przyszło jej do głowy, by nosić ze sobą jakąś broń. Owszem, na ogół była rozpoznawalna jako czarownica i natrętny intruz pewnie uciekłby po chwili, niosąc swoje kluczowe elementy w papierowej torbie. Ale poczucie bezpieczeństwa dotyczyło wszystkich kobiet w Lancre. Zresztą mężczyzn także.

Teraz wyczuwała własny strach.

Elfy rzeczywiście wracały, rzucając przed sobą długie cienie.

Diamanda dotarła na szczyt wzgórza. Zatrzymała się. Jej zdaniem ta stara wiedźma, Esme Weatherwax, zdolna była do tego, by ją śledzić. Na pewno ktoś szedł za nią przez las. Nikogo wokół nie było. Odwróciła się.

- Dobry wieczór, panienko.

- Ty! Więc jednak mnie śledziłaś!

Babcia wstała z cienia Dudziarza, gdzie siedziała dotąd całkiem niewidoczna w ciemności.

- Nauczyłam się tego od ojca - wyjaśniła. - Kiedy szedł na polowanie, mawiał: Zły myśliwy ściga, dobry myśliwy czeka.

- Tak? A więc polujesz na mnie?

- Nie. Tylko czekałam. Wiedziałam, że się tu zjawisz. Nie miałaś dokąd pójść. Przyszłaś, żeby ją wezwać, prawda? Pokaż ręce.

To nie była prośba, ale rozkaz. Diamanda poczuła, że ręce przesuwają się do przodu bez jej woli. Nie zdążyła ich cofnąć. Starucha chwyciła dziewczynę za przeguby i ścisnęła mocno. Jej skóra przypominała w dotyku szorstki worek.

- Nigdy w życiu ciężko nie pracowałaś, co? - stwierdziła uprzejmie. - Nie ścinałaś kapusty pokrytej lodem, nie kopałaś grobu, nie doiłaś krowy ani nie układałaś zwłok.

- Nie trzeba tego robić, żeby być czarownicą - burknęła Diamanda.

- Czy mówiłam coś takiego? Ale coś ci opowiem. O pięknej kobiecie w

czerwieni, z gwiazdami we włosach. I pewnie z księżycami także. I głosem w twojej głowie, gdy zasypiasz. I mocy, kiedy tu przychodzisz. Przypuszczam, że zaproponowała ci wielką moc. Wszystko co zechcesz. Całkiem za darmo.

Diamanda milczała.

- Bo widzisz, to zdarzało się już wcześniej. Zawsze jest ktoś, kto posłucha. - Oczy babci Weatherwax przesłoniła mgiełka wspomnień. - Kiedy jesteś samotna, ludzie dookoła wydają się tak głupi, że nie da się opisać, a świat wokół pełen jest sekretów, których nikt nie chce ci zdradzić...

- Czytasz w moich myślach?

- Twoich? - Babcia ocknęła się jakby; głos stracił ton rozmarzenia. - Hm... Kwiaty i różne takie. Tańce bez majtek... Zabawy z kartami i kawałkami sznurka... To pewnie działało. Na pewien czas dała ci moc. Och, musiała się śmiać. Potem jest mniejsza moc za wyższą cenę. A jeszcze później moc znika, ale płacisz codziennie. One zawsze biorą więcej, niż dają. I w końcu zabierają wszystko. To, co chcą od nas dostać, to nasz strach. To, czego pragną najbardziej, to nasza wiara. Jeśli je wezwiesz, przyjdą. Otworzysz im tunel, jeśli zawołasz je tutaj, w czasie kręgu, kiedy świat jest tak cienki, że usłyszą. Moc Tancerzy i tak już osłabła. A ja nie pozwolę, żeby... Panowie i Damy... wrócili.

Diamanda otworzyła usta.

-Jeszcze nie skończyłam. Jesteś mądrą dziewczyną. Czeka na ciebie wiele zajęć. Ale nie chcesz być czarownicą. To nie jest lekkie życie.

- Obłąkana starucho, wszystko pokręciłaś! Elfy nie są takie...

- Nie wymawiaj tego słowa. Przychodzą, gdy je zawołać.

- To dobrze. Elf, elf, elf! Elf... Babcia uderzyła ją w twarz. Mocno.

- Nawet ty sama wiesz, że to głupie i dziecinne - powiedziała. - A teraz mnie posłuchaj. Jeśli chcesz tu zostać, musisz skończyć z tym raz na zawsze. Możesz też wyjechać gdzieś, poszukać lepszej przyszłości, zostać wielką

damą... Stać cię na to. Może za dziesięć lat wrócisz tu obładowana klejnotami, będziesz patrzeć z góry na nas, którzy zostaliśmy w domu. Bardzo dobrze. Ale jeśli zostaniesz i nadal będziesz próbowała wzywać... Panów i Damy, to znowu staniemy naprzeciw siebie. Ale nie będzie już głupich zabaw ze światłem, tylko prawdziwe czarownictwo. Nie sztuczki z księżycami i kręgami, ale śmiertelna sztuka z kości i z krwi, i z głowy. A o tym nie masz pojęcia. I nie ma tam miejsca na litość.

Diamanda podniosła głowę. Na policzku miała czerwoną plamę w miejscu, gdzie uderzyła ją babcia.

- Odejść stąd? - spytała.

Babcia zareagowała o sekundę za późno. Diamanda skoczyła między kamienie.

- Głupi dzieciaku! Nie tędy!

Postać dziewczyny stawiała się już coraz mniejsza, choć wydawało się, że wciąż dzieli je ledwie kilka stóp.

- A niech to!

Babcia rzuciła się za nią. Usłyszała trzask rozdieranej kieszeni. Pogrzebacz, który ze sobą zabrała, zakreślił się w powietrzu i zadzwonił o któregoś z Tancerzy. Poczula serię szarpnięć i brzęknięć, gdy gwoździe wyrywały się z podeszew jej butów i frunęły ku kamieniom.

Żelazo nie może przekroczyć kamiennego kręgu. Żadne żelazo.

Babcia pędziła już po darni, gdy uświadomiła sobie, co to znaczy. Ale trudno. Dokonała wyboru.

Ogarnęło ją wrażenie przemieszczenia; kierunki tańczyły i kręciły się wokół niej. A potem śnieg pod nogami... Był biały - musiał być biały, bo to przecież śnieg. Ale sunęły po nim fale kolorów, odbijając dzikie korowody wiecznej zorzy na niebie.

Diamanda potykała się. Buciki miała odpowiednie na lato w mieście, z

pewnością nie na warstwę śniegu powyżej kostek. Za to buty babci Weatherwax, nawet bez gwoździ, przetrwałyby spacer po gorącej lawie.

Mimo to mięśnie, które tymi butami poruszały, czyniły to już zbyt długo. Diamanda zwiększała dystans.

Płatki śniegu padały z nocnego nieba. Niedaleko kamieni czekał krąg jeźdźców. Królowa stała nieco z przodu. Każda czarownica знаła ją, a przynajmniej jej kształt.

Diamanda potknęła się i upadła. Po chwili zdołała się podnieść do pozycji na klęczkach.

Babcia znieruchomiała.

Koń Królowej zarżał.

- Klęknij przed swoją Królową - rozkazał elf.

Miała czerwoną suknię, a we włosach miedzianą koronę.

- Nie. Nie klęknę - odparła babcia Weatherwax.

- Jesteś w mojej krainie, kobieto - odezwała się Królowa. - Nie wkraczasz tutaj ani nie odchodzisz bez mojej zgody. Uklęknieś!

- Przychodzę i odchodzę, nikogo nie prosząc o zgodę - oświadczyła babcia. - Nigdy tego nie robiłam i nie mani zamiaru teraz zaczynać.

Położyła dłoń na ramieniu Diamandy.

- Masz te swoje elfy - powiedziała. - Piękne są, prawda?

Wojownicy mieli prawie siedem stóp wzrostu. Nie nosili ubrań, raczej strzępy związane razem: kawałki futra, spiżowe płytki, sznury jaskrawych piór. Niebieskie i zielone tatuaże pokrywały im prawie całą odsłoniętą skórę. Kilku trzymało naciągnięte łuki, a groty strzał podążały za każdym ruchem babci.

Głowy otaczały im jak aureole sztywne od tłuszczu włosy. I chociaż twarze mieli rzeczywiście najpiękniejsze, jakie Diamanda w życiu widziała, zaczęła ją dręczyć niejasna myśl, że jest w nich coś subtelnie niewłaściwego, jakiś element, który nie całkiem pasuje do reszty.

- Jedyne powód, że jeszcze żyjemy - mówiła babcia za jej plecami - to ten, że żywe jesteśmy zabawniejsze niż martwe.

- Wiesz przecież, że nie powinnaś słuchać tej pokracznej staruszki - rzekła Królowa. - Co może ci ofiarować?

- Coś więcej niż tylko śnieg w środku lata - odparła babcia. - Spójrz na ich oczy. Przyjrzyj się oczom. Królowa zeskoczyła z konia.

- Podaj mi dłoń, dziecko.

Diamanda ostrożnie wyciągnęła rękę.

Rzeczywiście, mieli coś w oczach... Ale nie kształt czy kolor. Nie zauważyła złośliwych błysków. Ale było...

...spojrzenie. Takie, jakie widziałby mikrob, gdyby mógł od dołu popatrzeć w mikroskop. To spojrzenie mówiło: Jesteś niczym. Mówiło: Jesteś skażona, nie masz żadnej wartości. Mówiło: Jesteś zwierzęciem. Mówiło: Możesz być zwierzątkiem pokojowym, a możesz być zwierzyną; i nie do ciebie należy wybór.

Spróbowała cofnąć dłoń.

- Wynoś się z jej umysłu, starucho!

Twarz babci zlana była potem.

- Nie siedzę w jej umyśle, elfie. To ciebie tam nie wpuszczam. Królowa uśmiechnęła się. Był to najcudowniejszy uśmiech, jaki widziała Diamanda.

- Ty też masz pewną moc. Zadziwiające. Nie sądziłam, że do czegoś dojdiesz, Esmeraldo Weatherwax. Ale tutaj na nic ci się to nie przyda. Zabijcie je obie. Ale nie równocześnie. Niech ta druga patrzy.

Wspięła się na siodło, zawróciła wierzchowca i pogalopowała przed siebie.

Dwa elfy zsiadły i wyjęły zza pasów wąskie spiżowe sztylety.

- No, to by było na tyle - stwierdziła babcia Weatherwax, gdy wojownicy podeszli bliżej. Ściszyła głos. - Kiedy nadejdzie chwila, uciekaj.

- Jaka chwila?

- Sama zobaczysz.

Po czym padła na kolana przed nadchodzącymi elfami.

- O ja nieszczęsna, darujcie mi życie, jestem tylko biedną staruszką, a w dodatku chudą! - jęczała. - Oszczędź mnie, szlachetny panie! Olaboga!

Skuliła się i szlochała. Diamanda przyglądała jej się zdumiona - także tym, jak ktokolwiek mógł sądzić, że poskutkują takie lamenty.

Elfy dawno już nie spotykały się z ludźmi. Jeden schylił się i szarpnął babcię za ramię, tylko po to, by dostać solidny, oburęczny cios w takie miejsce, iż niania Ogg byłaby zaskoczona, że Esme Weatherwax w ogóle wie o jego istnieniu.

Diamanda już biegła. Babcia łokciem trafiła drugiego elfa w pierś i rzuciła się w pogoń.

Za sobą słyszała wesoły śmiech wojowników.

Diamanda była zaskoczona babcią Weatherwax udającą bezbronną staruszkę. Zdziwiła się jeszcze bardziej widząc, że babcia ją dogania. Ale babcia miała więcej powodów do ucieczki niż dziewczyna.

- Mają konie!

Babcia przytaknęła. To prawda, że konie biegają szybciej od ludzi, choć nie każdy się orientuje, że twierdzenie to jest prawdziwe tylko dla średnich dystansów. Na krótkim dystansie zdeterminowany człowiek może

wyprzedzić konia, ponieważ ma dwa razy mniej nóg do kierowania.

Babcia chwyciła Diamandę za ramię.

- Kieruj się do szczeliny między Dudziarzem a Doboszem!

- Które to?

- Nawet tego nie wiesz?

Człowiek może wyprzedzić konia, to prawda. Ale babcię dręczyła świadomość, że nikt nie zdoła wyprzedzić strzały.

Coś świsnęło jej koło ucha.

Kamienny krąg wydawał się wcale nie zbliżać.

Nic z tego. To nie powinno być możliwe. Próbowiła takich rzeczy, tylko kiedy leżała spokojnie, a przynajmniej kiedy miała się o co oprzeć.

Spróbowała teraz...

Ścigały je cztery elfy. Nawet nie pomyślała, żeby zajrzeć w ich umysły. Ale konie... Tak, konie...

Były drapieżnikami, z umysłami niczym groty strzał.

Zasada Pożyczania brzmi: nie ranisz, dosiadasz tylko ich umysłów; w żaden sposób nie mieszasz obiektu do swoich celów...

Właściwie nie tyle zasada, ile raczej ogólna wskazówka.

Strzała z kamiennym grotem przebiła babci kapelusz.

A tak naprawdę to nawet nie wskazówka.

Ani...

Do licha!

Wcisnęła się w umysł pierwszego konia poprzez warstwy ledwie kontrolowanego szaleństwa, które tkwi nawet w mózgu zwykłego konia. Przez moment patrzyła jego przekrwionymi oczami na własną postać zataczającą się na śniegu. Przez moment usiłowała zapanować nad sześcioma nogami jednocześnie, z czego dwoma w osobnym ciele.

Pod względem trudności granie jakiejś melodii na instrumencie muzycznym i równoczesne śpiewanie całkiem innej[16] jest niczym niespieszny spacer po łące w porównaniu z tym, czego usiłowała dokonać.

Wiedziała, że wytrzyma najwyżej kilka sekund, a potem całkowity chaos ogarnie jej umysł i ciało. Ale potrzebowała nie więcej niż sekundy. Pozwoliła, by powstał zamęt, po czym zrzuciła go w całości do końskiego umysłu. Wycofała się gwałtownie i przejęła kontrolę nad własnym ciałem w chwili, gdy zaczynało upadek.

Koń przeżywał straszne chwile. Nie był pewien, czym jest ani jak się tu znalazł. Co ważniejsze, nie wiedział, ile ma nóg. Mógł wybierać między dwoma a czterema, możliwe nawet, że sześcioma. Zdecydował się na trzy.

Babcia usłyszała, jak rzy szaleńczo i pada. Sądząc po odgłosach, powalił jeszcze parę innych.

Zaryzykowała spojrzenie w stronę Diamandy...

...której obok nie było.

Leżała w śniegu trochę z tyłu i z wysiłkiem próbowała się podnieść. Twarz miała białą jak śnieg.

Z jej ramienia sterczała strzała.

Babcia zawróciła, chwyciła dziewczynę i szarpnięciem postawiła na nogi.

- Chodź! Już niedaleko!

- Ni mogę biec... zimno...

Diamanda runęła na twarz. Babcia, stękając z wysiłku, przerzuciła ją sobie przez ramię.

Jeszcze parę kroków i wystarczy, że przewróci się do przodu...

Szponiasta dłoń chwyciła ją za spódnicę...

Trzy postacie upadły i potoczyły się w zielone paprocie.

Elf poderwał się pierwszy i rozejrzał tryumfalnie. Trzymał już długi miedziany nóż. Patrzył teraz na babcię, która wylądowała na plecach. Czuła jego ostry zapach, kiedy podniósł broń. Rozpaczliwie szukała przejścia do jego umysłu...

Coś przeleciało przed nią.

Sznur zaczepił o szyję elfa i zacisnął się; coś ciężkiego świsnęło w powietrzu. Wojownik spojrzał ze zgrozą na żelazko, które przeleciało kilka stóp przed jego twarzą, potem koło ucha, zwiększając prędkość w coraz ciaśniejszej spirali. Wreszcie trafiło go ciężko w tył głowy, uniosło w powietrze i rzuciło bezwładnego na ziemię.

W polu widzenia babci pojawiła się niania Ogg.

- Ależ ten elf cuchnie - powiedziała. - Można go wyczuć o milę.

Babcia wstała niezgrabnie. W kręgu była tylko trawa. Żadnego śniegu, żadnych elfów.

Obejrzała się na Diamandę. Niania także. Dziewczyna leżała nieprzytomna.

- Strzała elfów - wyjaśniła babcia.

- Niech to lichy!

- Grot wciąż tkwi w ranie. Niania podrapała się po głowie.

- Chyba dam radę go wyciągnąć, żaden kłopot - stwierdziła. - Nie wiem

tylko, co z trucizną. Mogłybyśmy założyć jej opaskę uciskową wokół zranionej części ciała.

- Świetnie. Najlepiej na szyi.

Babcia usiadła ciężko, opierając brodę o kolana. Bolały ją ramiona.

- Czekaj, muszę złapać oddech - powiedziała.

Obrazy przepływały w umyśle. Znowu się zaczynało. Wiedziała, że istnieje coś takiego jak alternatywne przyszłości, w końcu to właśnie oznacza przyszłość. Nigdy jednak nie słyszała o alternatywnych przeszłościach. Jeśli się skupiła, przypominała sobie, że właśnie przeszła przez kamienie. Niestety, pamiętała też inne rzeczy. Pamiętała, jak leżała w łóżku we własnym domu, ale to był prawdziwy dom, nie chatka, lecz przecież była sobą, miała swoje wspomnienia... A w tej chwili dręczyło ją niepokojące uczucie, że właśnie śpi.

Usiłowała skupić chmurne spojrzenie na niani. W Gycie Ogg było coś uspokajająco solidnego.

Niania W)jęła scyzoryk.

- Co ty wyprawiasz?

- Chcę ulżyć jego cierpieniom, Esme.

- Nie wygląda mi na cierpiącego. Oczy niani błysnęły chytrze.

- Mogę to zaraz naprawić, Esme.

- Nie będziesz go chyba torturować tylko dlatego, że leży bezbronny, Gytho.

- Do licha, Esme, nie mam zamiaru czekać, aż wstanie.

- Gytho!

- Sama wiesz, że porywały dzieci. Nie pozwolę, żeby znowu zaczęły.

Na samą myśl, że ktoś mógłby porwać naszego Pewseya...

- Nawet elfy nie są takie głupie. Nigdy w życiu nie widziałam takiego lepkiego dziecka.

Babcia pochyliła się nad Diamanda i delikatnie uniosła jej powiekę.

- Jak trup - stwierdziła. - Poszła się bawić z duszkami.

Podniosła dziewczynę.

- Zbierajmy się. Ja poniosę ją, ty weźmiesz pana Blaszanego Dzwoneczka.

- Bardzo odważnie się zachowałeś, niosąc ją na ramieniu - pochwaliła ją niania Ogg. - A jeszcze te elfy strzelały z łuków...

- Dzięki temu trudniej im było trafić we mnie - wyjaśniła babcia. Niania Ogg była wstrząśnięta.

- Co? Nie wierzę, że tak pomyślałeś.

- Widzisz, ona już została trafiona. Gdyby trafili i mnie, żadna z nas by się nie wydostała - odparła z prostotą babcia.

- Ale to... to... objaw braku serca, Esme.

- Braku serca może, ale na pewno nie braku głowy. Nigdy nie twierdziłam, że jestem miła, tylko że rozsądna. I nie patrz tak na mnie. Idziemy, czy masz zamiar stać tu z otwartym ustami przez całą noc?

Niania zamknęła usta, po czym otworzyła je z powrotem, by zapytać:

- Ale co chcesz zrobić?

- Wiesz, jak ją wyleczyć?

- Ja? Nie.

- Właśnie. Ja też nie. Ale znam kogoś, kto wie. A elfa możemy wrzucić do lochu. Jest tam mnóstwo żelaznych prętów. To powinno go uciszyć.

- Jak w ogóle się przedostał?

- Trzymał mnie. Nie wiem, jak to działa. Może kamienie... moc kamieni otwiera się, żeby przepuścić ludzi albo co. Dopóki jego przyjaciele tkwią wewnątrz, nie interesuje mnie to szczególnie.

Niania bez specjalnego wysiłku zarzuciła sobie nieprzytomnego elfa na ramiona[17].

- Cuchnie gorzej niż ściółka w koziej zagrodzie. - Skrzywiła się. - Trzeba będzie wziąć w domu kąpiel.

- Oj - mruknęła babcia. - Jest coraz gorzej.

Czym jest magia?

Istnieje tłumaczenie czarownic, dostępne w dwóch wersjach, zależnie od wieku czarownicy. Starsze czarownice rzadko kiedy ubierają to w słowa, ale w głębi serca mogą podejrzewać, że wszechświat tak naprawdę w ogóle nie wie, co się, u licha, dzieje, i składa się z zylionów trylionów bilionów możliwości. Może stać się każdą z nich, jeśli umysł wyćwiczony i silny kwantową oznaczonością wsunie się w szczelinę i przekręci. I jeśli naprawdę chcemy, żeby czyjś kapelusz eksplodował, trzeba tylko przekręcić się do takiego wszechświata, gdzie duża liczba molekuł kapelusza postanowi równocześnie rozbiec się w różne strony.

Młode czarownice za to mówią o tym przez cały czas. Wierzą, że magia łączy się z kryształami, mistycznymi siłami i tańcami bez majtek.

Wszystkie mogą mieć rację jednocześnie. Tak to już jest z kwantami.

Był wczesny ranek. Shawn Ogg trzymał wartę na murach zamku Lancre - jedynej przeszkodzie stojącej pomiędzy mieszkańcami a potężnymi hordami barbarzyńców, które mogły akurat trafić w te okolice.

Podobało mu się wojskowe życie. Czasami chciałby nawet, by atakowała jakaś nieduża horda, a on mógłby wtedy zostać bohaterem. Marzył, że poprowadzi armię do bitwy, i żałował, że król jej nie ma.

Krótki krzyk był znakiem, że Hodgesaargh częstuje swoich podopiecznych porannym palcem.

Shawn nie zwrócił na to uwagi; podobne krzyki należały do tła akustycznego zamku. Zabijał właśnie czas sprawdzając, jak długo potrafi wstrzymać oddech.

Znał mnóstwo sposobów zabijania czasu, ponieważ służba wartownicza w Lancre tego właśnie przede wszystkim wymagała. Znał na przykład Porządne Czyszczenie Dziurek w Nosie - bardzo dobre. Albo Puszczanie Wiatrów do Rytmu. Albo Stanie na Jednej Nodze. Ze Wstrzymywania Oddechu i Liczenia korzystał, kiedy nie mógł wymyślić niczego lepszego, a ostatnie posiłki nie były zbyt bogate w węglowodany.

Usłyszał kilka głośnych zgrzytów kołatki w dole. Kołatka tak zardzewiała, że aby jakoś wydobyć z niej dźwięk, trzeba było podnieść pierścień do góry - wtedy zgrzytała, po czym z całej siły ściągnąć go w dół - wtedy zgrzytała po raz drugi. Jeśli gość miał szczęście, uzyskiwał też cichy stuk.

Shawn nabrał tchu i wychylił się za blanki.

- Stój! Kto idzie? - zawołał. Z dołu dobiegł dźwięczny głos:

- To ja. Twoja mama.

- Dzień dobry, mamó. Dzień dobry, pani Weatherwax.

- Wpuść nas, synku.

- Przyjaciół czy wróg?

- Co?

- Muszę zapytać, mamo. Jestem na służbie. A ty masz wtedy odpowiedzieć: przyjaciel.

- Jestem twoją matką!

- Trzeba to robić jak należy, mamo - wyjaśnił Shawn ponurym tonem człowieka, który wie, że przegra niezależnie od tego, co się za chwilę stanie.
- Inaczej służba nie ma sensu.

- Chłopcze, lada chwila to będzie wróg!

- Oj, mamo...

- No dobrze. Przyjaciel.

- Owszem, ale może tylko tak mówisz...

- Wpuść nas natychmiast, Shawnie Ogg!

Shawn zasalutował, uderzając się w głowę drzewcem piki.

- Tak jest, pani Weatherwax.

Jego okrągła, szczerą twarz zniknęła znad muru. Po minucie czy dwóch usłyszały zgrzyt podnoszonej brony.

- Jak to zrobiłaś? - zdziwiła się niania Ogg.

- To proste - odparła babcia. - On wie, że nie doprowadzisz tej jego durnej łepetyny do eksplozji.

- No tak... Ale ja wiem, że ty też nie.

- Nie, wcale nie wiesz. Wiesz tylko, że dotąd tego nie zrobiłam.

Magrat sądziła, że takie rzeczy zdarzają się tylko w anegdotach, ale okazało się, że to prawda. W głównym holu zamku w Lancre był tylko jeden długi, bardzo długi stół, a ona i Verence siedzieli na jego końcach.

Wynikało to z etykiety.

Król musiał zajmować miejsce u szczytu stołu. To oczywiste. Ale gdy ona siadała obok, oboje czuli się zakłopotani, bo musieli się odwracać, żeby porozmawiać. Przeciwnie końce i krzyki były jedynym rozwiązaniem.

Kłopot sprawiała też logistyka kredensu. I znowu, najprostsza możliwość - że oboje wstają i sami się częstują, czym zechcą - nie wchodziła w grę. Gdyby królowie mieli sami nakładać sobie jedzenie na własne talerze, cały system monarchii runąłby z hukiem.

Niestety, oznaczało to, że obsługiwać ich musi pan Spriggins, kamerdyner. Miał słabą pamięć, tik nerwowy i chore kolano. Dysponował rodzajem średniowiecznej windy, łączącej hol z kuchnią i zgrzytającą jak wóz drabiniasty. Szyb windy działał jak pochłaniacz termiczny: gorące posiłki docierały zimne, zimne docierały jeszcze zimniejsze. Nikt nie wiedział, co by się stało z lodami; prawdopodobnie wymagałyby przeformułowania praw termodynamiki.

Poza tym kucharka nie mogła jakoś przyswoić idei wegetarianizmu. Tradycyjna zamkowa kuchnia była aż ciężka od blokujących arterie dań, tak pełnych tłuszczów nasyconych, że wydzielały je w postaci wielkich, trzęsących się kropli. Warzywa istniały tylko po to, by zetrzeć nimi nadmiar sosu, a poza tym i tak podawano je rozgotowane do jednolitej żółtej barwy. Magrat usiłowała wytłumaczyć coś pani Scorbic, kucharce, ale trzy podbródki kobiety tak groźnie się zakołysały na sam dźwięk słowa „witaminy”, że Magrat przeprosiła i wycofała się z kuchni.

W tej chwili zadowalała się jabłkiem. Kucharka wiedziała o istnieniu jabłek: były to duże, opieczone w cieście przedmioty z usuniętym mięszem,

napełnione rodzynekami i śmietaną. Magrat musiała więc wykradać surowe ze stryżku. Planowała też, że wykryje, gdzie kucharka trzyma marchewki.

Verence był ledwie widoczny za srebrnymi lichtarzami i stosem ksiąg obrachunkowych.

Od czasu do czasu podnosili głowy i uśmiechali się do siebie. Przynajmniej wyglądało to na uśmiech, bo z tej odległości trudno mieć pewność.

Chyba właśnie coś powiedział...

Magrat uniosła do ust złożone dłonie.

- Słucham?

- Potrzebujemy...

- Nie rozumiem!

- Co?

- Co?

W końcu Magrat wstała i zaczęła, aż Spriggins, czerwony na twarzy z wysiłku, przysunął jej krzesło do Verence'a. Mogłaby przenieść je sama, ale królowym to nie uchodzi.

- Powinniśmy mieć nadwornego poetę - wyjaśnił Verence, wsuwając zakładkę do książki. - Każde królestwo powinno ich mieć. Piszą wiersze na specjalne okazje.

- Tak?

- Pomyślałem, że może pani Ogg? Słyszałem, że zna sporo zabawnych piosenek.

Magrat zachowała powagę.

- Ja... hm... przypuszczam, że zna wiele rymów do pewnych słów - przyznała.

- Jak się zdaje, obecnie średnia pensja to cztery pensy rocznie i comber worka. - Verence sprawdził w książce. - A może worek combru?

- Co właściwie miałyby robić? - zainteresowała się Magrat.

- Tu piszą, że rolą nadwornego poety jest recytowanie wierszy podczas ceremonii państwowych.

Magrat widziała już kilka zabawnych recytacji niani Ogg, zwłaszcza połączonych z gestykulacją. Z powagą skinęła głową.

- Pod warunkiem - rzekła - i chcę być absolutnie pewna, że dobrze mnie zrozumiałeś, pod warunkiem że obejmie to stanowisko po ślubie.

- Ojej... Naprawdę?

- Po ślubie.

- Och.

- Zaufaj mi.

- Ależ oczywiście, jeśli to ma ci sprawić przyjemność...

Jakieś hałasy rozległy się za podwójnymi drzwiami, po chwili otworzonymi gwałtownie. Wkroczyły niania Ogg i babcia Weatherwax z Shawnem, który usiłował je wyprzedzić.

- Ależ mamó! Powinienem wejść pierwszy i powiedzieć, kto to jest!

- Same powiemy, kim jesteśmy. Witam wasze wysokości - rzuciła niania.

- Pokój temu zamkowi - dodała babcia. - Magrat, potrzebne jest leczenie. Tutaj.

Dramatycznym gestem zrzuciła na podłogę lichtarz i trochę zastawy, po czym ułożyła na stole Diamandę. Co prawda kilka akków stołu było całkiem pustych i pozbawionych nakryć, ale co za sens starać się o odpowiednie wejście, jeśli człowiek nie jest gotów narobić bałaganu.

- Przecież walczyłyście wczoraj! - zawołała Magrat.

- To bez różnicy - odparła babcia. - Dzień dobry, wasza wysokość.

Król Verence skinął głową. Inni królowie pewnie wołaliby strażę, ale Verence nie, ponieważ sam był człowiekiem rozsądnym, to była babcia Weatherwax, a zresztą i tak jedynym strażnikiem był Shawn Ogg, który usiłował wyprostować swoją trąbkę.

Niania Ogg ruszyła w stronę kredensu. Nie dlatego że należała do osób bezdusznych, ale od kilku godzin była na nogach, a tu pozostało sporo śniadania, którym nikt się jakoś nie interesował.

- Co się jej stało? - spytała Magrat, dokładnie oglądając ranę. Babcia rozejrzała się po sali. Rycerskie zbroje, tarcze na ścianach, pordzewiałe miecze i piki... Chyba dość żelaza.

- Postrzelił ją elf.

- Ale... - zawołali równocześnie Magrat i Verence.

- Nie ma teraz czasu na pytania. Postrzelił ją elf. Tą ich okropną strzałą. Od tego umysł zaczyna wędrować całkiem sam. Możesz coś poradzić?

Mimo swego łagodnego charakteru Magrat poczuła, że rozpala się w niej iskra słusznego gniewu.

- Aha! Więc nagle znów jestem czarownicą, kiedy... Babcia Weatherwax westchnęła ciężko.

- Na to też nie ma czasu - powiedziała. - Ja tylko pytani. Wystarczy, że powiesz „nie”. Wtedy ją zabiorę i nie będę ci już sprawiać kłopotów.

Jej spokojny głos tak zaskoczył Magrat, że zapomniała o gniewie.

- Nie powiedziałaś nie. Ja tylko...

- To dobrze.

Seria głośnych brzęknięć była znakiem, że niania Ogg zagląda pod srebrne pokrywy tac.

- Hej, są tu jajka na trzy sposoby!

- Nie ma gorączki - stwierdziła Magrat. - Tętno powolne. Źrenice nie reagują. Shawn!

- Tak, panno królowo?

- Gotowane, jajecznicą i sadzone! To jest prawdziwa elegancja.

- Biegnij do mojej chatki i przynieś wszystkie książki, jakie znajdziesz. Jestem pewna, babciu, że gdzieś już o tym czytałam. Shawn! Shawn zatrzymał się w pół drogi do drzwi.

- Tak, panno królowo?

- Po drodze zajrzyj do kuchni i poproś, żeby zagotowali dużo wody. Możemy przynajmniej zacząć od oczyszczenia rany. Ale przecież elfy...

- W takim razie cię z nią zostawię. - Babcia odwróciła się. - Wasza wysokość, czy moglibyśmy zamienić kilka słów? Na dole jest coś, co wasza wysokość powinien zobaczyć.

- Będę potrzebowała kogoś do pomocy - uprzedziła Magrat.

- Niania się tym zajmie.

- To ja - wybełkotała niewyraźnie niania w fontannie okruchów.

- Coś ty zjadła?

- Kanapkę z jajecznicą i keczupem - odparła z zachwytem niania.

- Lepiej poproś kucharkę, żeby też ci coś ugotowała. - Magrat podwinęła rękawy. - Idź do niej i przy okazji spytaj, czy nie ma spleśniałego chleba.

Podstawową jednostką organizacyjną magów jest Obrządek albo Collegium. Albo, oczywiście, Uniwersytet. Podstawową jednostką organizacyjną czarownic jest czarownica, ale podstawową ciągłą jednostką, jak to już powiedziano, jest chatka.

Chatka czarownicy to dość specyficzny obiekt architektoniczny. Nie jest właściwie zbudowany, ale raczej składany przez lata, kiedy naprawiane obszary nakładają się na siebie niczym skarpeta zrobiona z samych cer. Komin skręca się jak korkociąg. Dach kryje strzecha tak stara, że rosną w niej małe, ale zdrowe drzewa, podłogi to serpentyny skrzypiące jak kliper herbaciany w czasie sztormu. Jeśli przynajmniej dwie ściany nie są podparte drewnianymi belkami, nie mamy do czynienia z chatką czarownicy, ale ze zwykłym domkiem jakiejś głupiej staruchy, która czyta z fusów i gada do swojego kota.

Chatki mają tendencję do przyciągania podobnych typów czarownic. To naturalne. Każda czarownica w ciągu swego życia szkoli jedną lub dwie młode, a kiedy z natury śmiertelnego czasu chatka opustoszeje, jedna z nich się tam wprowadza, co jest jedynym sensownym rozwiązaniem. W chatce Magrat mieszkaly zwykle czarownice skłonne do rozmyślań, które dostrzegały różne rzeczy i notowały, jakie zioła lepiej od innych pomagają na bóle głowy, spisywały urywki starych legend i temu podobne drobiazgi.

W chatce leżało kilkanaście książek wypełnionych drobnym pismem i rysunkami. Czasem między stronicami leżał zasuszony starannie jakiś interesujący kwiatek albo niezwykła żaba.

To była chatka czarownic dociekliwych, czarownic badawczych. Oko jakiej jaszczurki? Jaki gatunek morskiego rekina pręgowanego? Przepis na magiczny napój może wymagać miłości bezczynnej, ale o którą konkretnie

chodziło z trzydziestu siedmiu pospolitych roślin, nazywanych tak w różnych regionach kontynentu?

Babcia Weatherwax była lepszą czarownicą od Magrat, gdyż wiedziała, że w czarownictwie zupełnie nie ma znaczenia, która konkretnie. Można spokojnie użyć nawet zwykłej trawy.

Magrat była lepszym lekarzem niż babcia, ponieważ sądziła, że to ma znaczenie.

Dylizans zahamował i zatrzymał się przed barykadą na drodze.

Herszt bandytów poprawił opaskę. Miał dwoje zdrowych oczu, ale ludzie zwykle czują szacunek dla munduru. Wolnym krokiem zbliżył się do powozu.

- Dzień dobry, Jim. Co tam dzisiaj mamy?

- Ehm... Mogą być kłopoty - odparł woźnica. - Jedzie paru magów. I krasnolud. I mała. - Poskrobał czuprynę i skrzywił się. -

Tak. Stanowczo mała. A nie żadne inne ze stworzeń podobnych z grubsza do ludzi, ale porośniętych sierścią.

- Dobrze się czujesz, Jim?

- Wiozę ich od samego Ankh-Morpork. Tylko mi nie opowiadaj o pigułkach z suszonej żaby. Herszt uniósł brew.

- Dobrze. Nie będę.

Zastukał w drzwiczki. Okno zsunęło się w dół.

- Nie chciałbym, żebyście myśleli, że to rabunek - powiedział herszt. - Myślcie raczej o tym zdarzeniu jak o barwnej anegdocie, którą z

przyjemnością będziecie opowiadali wnukom.

- To on! - zawołał jakiś głos z wnętrza. - Ukradł mi konia! Przez okno wysunęła się laska maga. Herszt wyraźnie zobaczył gałkę na jej czubku.

- Po co te nerwy? - odezwał się spokojnie. - Znam zasady. Magom nie wolno używać czarów przeciwko ludności cywilnej, chyba że w sytuacji bezpośredniego zagrożenia ży...

Błysnęło oktarynowe światło.

- Właściwie to nie jest zasada - wyjaśnił Ridcully. - Raczej ogólna wskazówka. - Zwrócił się do Myślaka Stibbonsa. - Interesujące wykorzystanie Morficznego Rezonatora Stacklady'ego, zauważył pan, mam nadzieję.

Myślak wyrzwał z powozu.

Wódz bandytów zmienił się w dynię, choć - zgodnie z regułami uniwersalnego humoru - wciąż miał kapelusz.

- A teraz - rzekł Ridcully głośniejszym głosem - byłbym zobowiązany, gdyby wszyscy, którzy chowają się za kamieniami i różnymi takimi, wyszli teraz na drogę, żebym mógł ich zobaczyć. Bardzo dobrze. Panie Stibbons, niech pan i bibliotekarz przejdą się z kapeluszem.

- Ale to przecież rozbój! - zaprotestował woźnica. - I zmieniliście go w owoc!

- W warzywo - sprostował Ridcully. - Zresztą przejdzie mu za parę godzin.

- A mnie są winni konia - przypomniał Casanunda.

Bandyci płacili, niechętnie przekazując pieniądze Stibbonsowi i niechętnie, ale bardzo szybko, przekazując pieniądze bibliotekarzowi.

- Zebrałem prawie trzysta dolarów, nadrektorze - poinformował Myślak.

- I jeszcze koń. Nie zapomnijcie. A właściwie to dwa konie. Właśnie sobie przypomniałem o tym drugim.

- Doskonale. Podróż nam się zwróciła. Gdyby więc ci panowie zechcieli usunąć blokadę, moglibyśmy ruszać dalej.

- Tak naprawdę to były trzy konie! Zupełnie zapomniałem o tym trzecim!

- Nie tak powinniście się zachowywać! - protestował woźnica. - Mieliście być obrabowani!

Ridcully zepchnął go z kozła.

- Jesteśmy na wakacjach - wyjaśnił.

Dylizans potoczył się dalej. Bandyci usłyszeli jeszcze cichnący krzyk:

- I cztery konie, pamiętajcie!

Po chwili powóz zniknął za zakrętem.

W dyni uformowały się usta.

- Pojechali?

- Tak, szefie.

- Przetoczcie mnie do cienia, dobrze? I żeby nikt nigdy nie wspominał o tej historii. Może ktoś ma pigułki z suszonej żaby?

Verence II szanował czarownice. To one oddały mu tron. Był tego właściwie pewien, choć nie całkiem rozumiał, jak to się stało. A wobec babci Weatherwax żywił lęk. Podążał za nią pokornie w stronę lochów, podbiegając co chwilę, by dotrzymać jej kroku.

- Co się dzieje, pani Weatherwax?
- Muszę ci coś pokazać.
- Wspominała pani o elfach.
- Zgadza się.
- Myślałem, że elfy występują w baśniach.
- Tak?
- Znaczy... no wie pani... w bajaniach starych kobiet.
- I co?

Babcia Weatherwax zdawała się generować pole żyroskopowe - jeśli człowiek zaczął być wytrącony z równowagi, pilnowała, żeby w tym stanie pozostał.

Spróbował jeszcze raz.

- Nie istnieją. To właśnie chciałem powiedzieć.

Babcia dotarła do drzwi lochu. Były zbudowane głównie z poczerńiałego od starości dębu, ale sporą część górnej połowy stanowiła żelazna kratka.

- Tam.

Verence zajrzał do środka.

- Wielcy bogowie!

- Kazałam Shawnowi otworzyć nam te drzwi. Nie sędzę, żeby ktoś zauważył, jak wchodzimy. Nikomu nie mów. Gdyby krasnoludy i trolle coś odkryły, wyrywałyby kamienie z murów, żeby go wyciągnąć.

- Po co? Żeby go zabić?

- Oczywiście. Mają lepszą pamięć niż ludzie.

- A co niby ja mam z nim robić?

- Na razie trzymaj go tutaj pod kluczem. Skąd mam wiedzieć? Muszę pomyśleć.

Verence raz jeszcze spojrzał na elfa, który leżał zwinięty w kłębek na środku celi.

- To ma być elf? Przecież... Przecież to tylko wysoki, chudy człowiek z lisią twarzą. Mniej więcej. Myślałem, że one powinny być... piękne.

- Są piękne, jeśli są przytomne. - Babcia machnęła ręką. - Promieniują tym... no... Kiedy ludzie na nich patrzą, widzą piękno, widzą coś, czemu chcieliby sprawić przyjemność. One mogą wyglądać dokładnie tak, jak chciałbyś je widzieć. To się nazywa urok. Od razu można poznać, kiedy w pobliżu zjawia się elfy. Ludzie dziwacznie się zachowują. Przestają jasno myśleć. Czy ty o niczym nie wiesz?

- Myślałem... że elfy to tylko bajka. Jak Zębowa Wróżka.

- Nie ma co lekceważyć Zębowej Wróżki. To ciężko pracująca kobieta. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak sobie daje radę z drabiną i w ogóle. Nie. Elfy są rzeczywiste. Jak by to... Posłuchaj.

Odwróciła się i wystawiła palec.

- System feudalny. Jasne?

- Co?

- System feudalny! Uważaj, co mówię. Król na szczycie, potem baronowie i kto tam jeszcze, a niżej cała reszta... Czarownice trochę z boku - dodała dyplomatycznie. Złożyła dłonie. - System feudalny. Jak te szpiczaste budowle, w których kazali się chować pogańscy królowie. Rozumiesz?

- Tak.

- No właśnie. Tak widzą to elfy. Kiedy przedostaną się do świata, wszyscy znajdują się na samym dole. Niewolnicy. Gorzej niż niewolnicy. Gorzej nawet niż zwierzęta. Elfy biorą, co chcą, a chcą wszystkiego. Ale najgorsze, zupełnie najgorsze jest... że czytają w myślach. Słyszą, co myślisz, więc w samoobronie myślisz to, czego by chciały. Urok. A to oznacza okratowane nocą okna, jedzenie dla elfów, trzy obroty, zanim zaczniesz o nich mówić, i podkowy nad drzwiami.

- Myślałem, że to wszystko to takie, no, wie pani... - Król uśmiechnął się niepewnie. - Zwyczaje ludowe.

- A jak myślisz, dlaczego ludzie się do nich przyzwyczaili? Oczywiście, że zwyczaje ludowe, głupku jeden.

- Tak się składa, że jestem królem - przypomniał z wyrzutem Verence.

- Ty głupi królu, wasza wysokość.

- Dziękuję.

- Chciałam powiedzieć, że to jeszcze nie znaczy, że to nieprawda. Może z latami historia zaczyna się plątać, ludzie zapominają szczegóły, zapominają, dlaczego coś robią. Tak jak z tymi podkowami.

- Pamiętam, że u babci wisiła taka nad drzwiami.

- No właśnie. To nie ma nic wspólnego z kształtem. Ale kiedy się mieszka w starej chacie i jest się biedakiem, to właśnie najłatwiejszy sposób zdobycia kawał żelaza z dziurkami.

- Aha.

- Z elfami chodzi o to, że brak im... no... - Babcia z irytacją pstryknęła palcami. - Zaczyna się na M.

- Manier?

- Hm... To prawda, ale nie.

- Muskułów? Mięsa? Mistyki?

- Nie. Nie. Nie. To jakby... rozumieć punkt widzenia kogoś innego.

Verence spróbował spojrzeć na świat z perspektywy babci Weatherwax. Zaświtało mu pewne podejrzenie.

- Empatii?

- O właśnie. Wcale. Nawet myśliwy, dobry myśliwy, współczuje zwierzyń. Dlatego jest dobrym myśliwym. Elfy to co innego. Są okrutne dla zabawy, nie potrafią zrozumieć czegoś takiego jak litość. Nie pojmują, że coś poza nimi samymi może mieć jakieś uczucia. Często się śmieją, zwłaszcza kiedy przyłapią samotnego człowieka, krasnoluda albo trolla. Trolle mogą być zbudowane z kamienia, wasza wysokość, ale zapewniam cię, że w porównaniu z elfami troll jest twoim bratem. W głowie, znaczy się.

- Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałem?

- Urok. Elfy są piękne. Mają... styl. - Wypluła to słowo. - Urodę. Grację. Tylko to się liczy. Gdyby koty wyglądały jak żaby, zdawalibyśmy sobie sprawę, jakie to paskudne, okrutne małe dranie. Styl. To pamiętają ludzie. Pamiętają urok. A cała reszta, cała prawda zmienia się... w opowieści starych bab.

- Magrat nigdy o elfach nie wspominała. Babcia wahała się przez chwilę.

- Magrat nie wie o nich dużo - przyznała w końcu. - Zresztą nie jest jeszcze nawet młodą babą. W tych czasach rzadko mówi się o elfach. Niedobrze jest o nich mówić. Lepiej żeby wszyscy zapomnieli. One... przychodzą na wołanie. Nie takie wołanie jak „cip, cip”. Chodzi o wołanie w ludzkich myślach. Wystarczy, że ludzie po prostu zechcą, by tu były.

Verence zamachał rękami.

- Wciąż jeszcze uczę się monarchii - oświadczył. - Nie rozumiem tego wszystkiego.

- Nie musisz rozumieć. Jesteś królem. Posłuchaj. Wiesz o słabszych miejscach świata? Tych, gdzie styka się z innymi światami?

- Nie.

- Jedno takie jest na wrzosowiskach. Dlatego właśnie ustawiono wokół Tancerzy. Tworzą coś w rodzaju muru.

- Aha.

- Ale czasem bariera między światami jest słabsza, rozumiesz? Jak przypływ. W czasie kręgu.

- Aha.

- I jeżeli wtedy ludzie zaczną postępować głupio, Tancerze mogą nie utrzymać zamkniętego przejścia. Bo tam, gdzie świat jest cienki, nawet niewłaściwa myśl może stworzyć połączenie.

- Aha.

Verence uznał, że rozmowa zatoczyła krąg i znowu dotarła do obszarów, gdzie mógłby zaznaczyć swój w niej udział.

- Głupio? - zapytał.

- Wołając je. Przyciągając je.

- Aha. No to co mam zrobić?

- Króluj sobie dalej. Myślę, że nic nam nie grozi. Powstrzymałam dziewczęta, więc kanały nie powinny się otwierać. Trzymaj to tutaj pod kluczem i nic nie mów Magrat. Po co ma się martwić? Coś się przedostało, ale mam to na oku. - Babcia z posępną satysfakcją zatarła ręce. - Chyba wszystko załatwiłam - rzekła.

Zamrugała. Uszczypnęła się w nos.

- Co przed chwilą powiedziałam? - spytała.

- Uhm... Powiedziała pani, że wszystko pani załatwiła - przypomniał jej król.

Babcia Weatherwax zamrugała znowu.

- Rzeczywiście - przyznała. - Tak mówiłam. Zgadza się. I jestem w zamku, prawda? Tak.

- Dobrze się pani czuje, pani Weatherwax? - Głos króla pełen był troski.

- Świetnie. Doskonale. W zamku. Dzieci zdrowe?

- Słucham? Zamrugała jeszcze raz.

- Co?

- Nie wygląda pani dobrze...

Babcia skrzywiła się i potrząsnęła głową.

- Tak. Zamek. Ja to ja, ty to ty. Gytha jest na górze z Magrat. Zgadza się. - Skupiła wzrok na królu. - To tylko... przemęczenie. Nie ma się czym martwić. Zupełnie nie ma się czym martwić.

Niania Ogg z powątpiewaniem obserwowała przygotowania Magrat.

- Okład ze spleśniałego chleba nie wydaje mi się specjalnie magiczny - stwierdziła.

- Mateczka Whemper zaklinała się na taki chleb. Ale nie wiem, co możemy poradzić na śpiączkę.

Magrat z nadzieją przeglądała stare, kruche stronic. Jej poprzedniczki w chacie zapisywały wszystko, co im przyszło do głowy, więc całkiem

ważne zaklęcia mieszały się z komentarzami na temat stanu ich stóp.

- Tutaj stoi tak: „Te małe i szpiczaste kamienie czasem znajduwane, znane są jako Elfie Strzały, jako że są grotami strzał Elfów z Czasów Minionych”. Tyle tylko znalazłam. I jeszcze rysunek. Ale widziałam te kamienie w okolicy.

- Jest ich mnóstwo - zgodziła się niania Ogg, bandażując ramię Diamandy. - Bez przerwy wykopuję je w ogródku.

- Ale przecież elfy nie strzelają do ludzi. Elfy są dobre!

- Pewnie strzelały do Esme i tej dziewczyny dla zabawy, co?

- Ale...

- Posłuchaj, moja droga. Masz być królową, tak? To poważne zajęcie. Więc ty pilnuj króla, a my z Esme przypilnujemy... innych spraw.

- Być królową? To tylko gobeliny i spacer po zamku w niewygodnych sukniach! Znam babcię! Ona nie lubi niczego, co... co ma styl i grację. Jest taka cierpka.

- Śmiem twierdzić, że ma swoje powody - odparła uprzejmie niania. - No to dziewczyna jest już połatana. Co teraz z nią zrobimy?

- Mamy dziesiątki sypialni. I wszystkie są przygotowane dla gości. Możemy ją gdzieś położyć. Ehm... Nianiu?

- Słucham?

- Czy chciałabyś być druhną?

- Nie bardzo, moja kochana. Trochę już jestem za stara na takie rzeczy.
- Niania zawahała się. - A czy nie chciałabyś mnie o coś zapytać?

- Nie rozumiem.

- No bo jeśli twoja mama nie żyje, a nie masz innych krewniaczek...

Magrat była wyraźnie zdziwiona.

- Po ślubie - odpowiedziała niania. - Chodzi o to, co nastąpi po ślubie.

- Ach, to... Nie, większość załatwi kucharz. Verence sprowadzi go specjalnie na wesele. Nasza kucharka nie radzi sobie z kanapkami i przekąskami.

Niania w skupieniu wpatrywała się w sufit.

- A potem? - spytała. - Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Zamówiłam dużo dziewcząt do sprzątania. Nie martw się. Pomyślałam o wszystkim. Naprawdę chciałabym, żebyście z babcią nie traktowały mnie, jakbym o niczym nie miała pojęcia.

Niania odkasznęła.

- Twój narzeczony... Bywał trochę w świecie, jak sądzę? Na pewno spotykał się z dziesiątkami młodych kobiet.

- Dlaczego tak mówisz? Nie, nie wydaje mi się. Błazny niewiele mają z prywatnego życia, a odkąd został królem, ma mnóstwo pracy. Jest trochę nieśmiały wobec kobiet.

Niania zrezygnowała.

- Co tam - mruknęła. - Na pewno jakoś to rozwiążecie, gdy już... Wrócił król z babcią Weatherwax.

- Jak dziewczyna? - spytała babcia.

- Wyjęłyśmy strzałę i oczyściłyśmy ranę - odpowiedziała Magrat. - Ale nie chce się zbudzić. Lepiej niech zostanie tutaj.

- Jesteś pewna? - Babcia wahała się. - Trzeba na nią uważać. Mam wolny pokój.

- Nie powinno się jej ruszać - oświadczyła stanowczo Magrat.

- One ją naznaczyły. Jesteś pewna, że sobie z tym poradzisz?

- Jestem pewna, że to bardzo brzydka rana.

- Właściwie nie myślałam o ranie - rzekła babcia. - Została przez nich dotknięta. To miałam na myśli. Jest...

- Na pewno poradzę sobie z chorą osobą. Wiesz, nie jestem taka całkiem głupia.

- Nie powinna zostawać sama - upierała się babcia.

- Będzie tu mnóstwo ludzi - uspokoił ją Verence. -Jutro zaczną się zjeżdżać goście.

- Być sama to nie to samo, co nie mieć wokół ludzi.

- To jest zamek, babciu.

- Rzeczywiście. No tak. W takim razie nie będziemy dłużej przeszkadzać. Idziemy, Gytho.

Niania Ogg poczęstowała się jeszcze wystygłym jagnięcym kotлетem spod jednej ze srebrnych pokryw i pomachała nim królewskiej parze.

- Wesołej zabawy - rzuciła. - Na ile to możliwe.

- Gytho!

- Już idę.

Elfy są przedziwne. Budzą zadziwienie.

Elfy są cudowne. Sprawiają cuda.

Elfy są fantastyczne. Tworzą fantazje. Elfy są urocze. Rzucają urok. Elfy są czarowne. Splatają czary. Ich uroda powala. Strzałą.

Kłopot ze słowami polega na tym, że ich znaczenie może się wić jak wąż. A jeśli ktoś chce znaleźć węże, powinien ich szukać za słowami, które zmieniły swój sens.

Nikt nigdy nie powiedział, że elfy są miłe. Elfy są złe.

- To by było wszystko - powiedziała niania Ogg, gdy obie czarownice przeszły przez zwodzony most zamku. - Dobra robota, Esme.

- Jeszcze nie koniec - odparła babcia Weatherwax.

- Sama mówiłaś, że teraz nie mogą się przedostać. Nikt już nie będzie przy kamieniach próbował żadnej magii, to pewne.

- Tak, ale czas kręgu potrwa jeszcze dzień albo dwa. Wszystko może się zdarzyć.

- Ta Diamanda nic nie robi, a wszystkie inne porządnie wystraszyłaś. - Niania Ogg cisnęła jagnięcą kość do suchej fosy. - I nikt więcej już ich nie zawoła.

- Wciąż pozostał ten jeden w lochu.

- Chcesz się go pozbyć? Mogę posłać naszego Shawna po króla Żelaznywładssona na Miedziance. Albo sama wskoczę na miotłę i rzucę słówko Królowi Gór. Zanim się obejrzysz, krasnoludy i trolle załatwią sprawę. Koniec kłopotów.

Babcia nie zwracała na nią uwagi.

- Jest coś jeszcze - powiedziała. - Coś, o czym nie pomyślałyśmy. Ona wciąż będzie szukała drogi.

Dotarły na rynek. Babcia Weatherwax rozejrzała się dookoła. Oczywiście, Verence został królem, co jest właściwe i słuszne, a to jego państwo, co też jest właściwe i słuszne. Ale w głębszym sensie królestwo należało do niej. I do Gythy Ogg, naturalnie. Władza Verence'a dotyczyła tylko dzieł ludzkich; nawet krasnoludy i trolle nie uznawały w nim króla, choć wyrażały to niezwykle uprzejmie. Ale gdy chodzi o drzewa, skały i glebę, babcia uważała, że są jej. I była wyczulona na nastroje krainy.

Kraina wciąż była pod obserwacją. Babcia wyczuwała czujność. Dostatecznie dokładne badanie zmienia obiekt badania, a tutaj obserwacji podlegało całe królestwo. Całe państwo było atakowane, a ona sama z rozplatającym się umysłem...

- Zabawne - rzuciła niania Ogg, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Kiedy tak siedziałam rano przy Tancerzach, przypominałam sobie coś dziwnego...

- O czym ty mówisz?

- Pamiętam, kiedy byłam młoda, żyła taka dziewczyna podobna do Diamandy. Gniewna, niecierpliwa, utalentowana, prawdziwy wrzód na siedzeniu dla starszych czarownic. Może ją przypadkiem pamiętasz?

Minęły kuźnię Jasona rozbrzmiewającą uderzeniami młota.

- Nigdy nie zapomniałam - odpowiedziała cicho babcia.

- Zabawne, jak wszystko zatacza kręgi...

- Nie zatacza. Nie byłam taka jak ona. Sama wiesz, jakie czarownice tu mieszkają. Niczego nie chciały zmieniać. Zwykłe zaklinaczki kurzajek i tyle. A ja nie byłam wobec nich niegrzeczna. Byłam tylko... stanowcza. Szczera. Broniałam swojego zdania. Być czarownicą oznacza między innymi trzymać się swojego zdania... Śmiejesz się...

- To tylko wiatr. Słowo.

- Ona to całkiem inna sprawa. Nikt nie może mi przecież zarzucić, że

nie jestem otwarta na nowe idee.

- Jesteś powszechnie znana z otwartości na nowe idee - zapewniła niania Ogg. - Zawsze powtarzam: Ech, ta Esme Weatherwax, zawsze otwarta na nowe idee.

- Właśnie. - Babcia Weatherwax spojrzała na porośnięte lasem góry wokół miasta i zmarszczyła czoło. - Kłopot w tym, że dzisiejsze dziewczęta nie potrafią skupić myśli i nie dać się rozproszyć. Popatrz na Magrat: zawsze roztrzępana. To przeszkadza w robieniu tego, co należy. - Przystanęła nagle. - Czuję ją, Gytho. Czuję Królową Wrózek. Potrafi sięgnąć umysłem poza kamienie. Niech лихо porwie tę dziewczuchę! Znalazła wejście. Jest teraz wszędzie. Gdziekolwiek skieruję myśli, wszędzie ją czuję.

- Wszystko będzie dobrze. - Niania poklepała ją po ramieniu. - Zobaczysz.

- Ona szuka drogi - powtórzyła babcia.

- Miłego dnia, bracia. I gdzież ów radosny dzionek spędzimy? - powitał kolegów piekarz Woźnica. Reszta zespołu tańca morris z Lancre spojrzała na niego ogromnie zdziwiona.

- Brałeś jakieś leki czy co? - spytał dekarz Tkacz.

- Staram się tylko zrozumieć ducha gry - wyjaśnił Woźnica. - Tak właśnie mówią prości rzemieślnicy.

- Kto to są prości rzemieślnicy? - zdziwił się tkacz Piekarz.

- To chyba ci sami co Komiczni Rękodzielnicy - odparł piekarz Woźnica.

- Pytałem mamę, co to za rękodzielnicy - wtrącił Jason.

- I co?

- To my.

- I prostymi rzemieślnikami też jesteśmy?

- Chyba tak.

- O w tyłek...

- Na pewno nie gadamy tak jak te łobuzy w sztuce - zapewnił kolegów Woźnica. - Nigdy w życiu nie powiedziałem niczego podobnego do „fol-de-rol”. I nie rozumiem żadnego z tych tutaj żartów.

- Nie musisz rozumieć żartów. To przedstawienie - przypomniał mu Jason.

- O w majtki! - zaklął tkacz Piekarz.

- Bądźcie cicho. I pchajcie wózek.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możemy pokazać tańca kijów i wiader... - burczał Krawiec, drugi tkacz.

- Nie będzie żadnych kijów i wiader! Nie chcę w ogóle słuchać o tańcu kijów i wiader. Wciąż mnie strzyka w kolanie! Więc przestańcie nawet mówić o kijach i wiadrach.

- Niech to w brzucho! - zawołał Piekarz, który niełatwo rezygnował ze swoich pomysłów.

Wózek z rekwizytami podskakiwał i ślizgał się po zarośniętej ścieżce.

Jason musiał przyznać, że taniec morris jest o wiele łatwiejszy od teatru. Ludzie nie przyłazą cały czas na próby, nie gapią się i nie chichoczą. Małe dzieci nie dogadują. Tkacz i Dekarz prawie otwarcie zaczęli się już buntować i mylili słowa. Wieczory wypełniały im bezustanne poszukiwania miejsca odpowiedniego na próby.

Nawet w lesie nie mogli zostać sami. Zadziwiające, ile osób akurat przypadkiem przechodziło w pobliżu.

Tkacz puścił wózek i otarł czoło.

- Można by sądzić, że Porażony Dąb będzie bezpieczny - powiedział. - Pięć mil od najbliższej ścieżki. I co? Już po paru minutach nie można się przecisnąć przez smolarzy, pustelników, traperów, zbieraczy żywicy, myśliwych, trolli, łapaczy ptaków, budowniczych płotów, świniopasów, zbieraczy trufli, krasnoludy, włóczęgów i podejrzanych drani w szerokich płaszczach. Dziwne, że w lesie zostało jeszcze miejsce dla drzew.

Dotarli do skrzyżowania, jeśli można tak je określić.

- Nie pamiętam tej dróżki - zdziwił się Cieśla, kłusownik. - A myślałem, że znam wszystkie.

- To dlatego że oglądasz je tylko po ciemku - wyjaśnił Jason.

- Tak, wszyscy wiedzą, że radość przeżywasz czystą, wychodząc w noc gwiaździstą - zaśmiał się Dekarz, woźnica.

- Radości doznaję w każdą noc - mruknął Jason.

- Chłopaki - ucieszył się Piekarz, tkacz. - Coraz lepiej nam wychodzi to proste rzemieślnictwo.

- Jedźmy w prawo - zdecydował Jason.

- Nie, tam są same ciernie i rzepy.

- No to w lewo.

- Strasznie kręta ścieżka - zauważył Tkacz.

- No to może prosto? - zaproponował Woźnica.

Jason spojrział przed siebie.

Środkowa droga, właściwie niewiele szersza od zwierzęcej ścieżki, wiła się w cieniu pod drzewami. Wokół gęsto rosły paprocie. Budziła wrażenie głębokiej, żywej zieloności, sugerującej użycie słowa „gęstwa”[18].

Jego kowalskie zmysły stanęły dęba i wrzasnęły chórem.

- Tam nie - rzekł krótko.

- Daj spokój - odparł lekceważąco Tkacz. - Co ci się nie podoba?

- Bo ta ścieżka prowadzi do Tancerzy - wyjaśnił Jason. - Mama mówiła, że nikt nie powinien chodzić do Tancerzy, bo młode kobiety tam tańczą goło.

- Tak, ale to już się skończyło - uspokoił go Dekarz. - Wkroczyła babcia Weatherwax i kazała im wszystkim włożyć majtki.

- Zresztą one już tam nie tańczą - dodał Woźnica. - Dlatego jest tam cicho i spokojnie. Dobre miejsce na próby.

- Mama powiedziała, że nikomu nie wolno tam chodzić - upierał się Jason, choć już nie tak stanowczo.

- No tak, ale jej pewnie chodziło o... no wiesz... z magicznymi zamiarami. A nie ma nic magicznego w bieganiu dookoła w perukach i całej reszcie.

- Właśnie - zgodził się Dekarz. - A nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- I jeszcze coś - dodał Tkacz. - Gdyby jakieś młode kobiety miały ochotę zakraść się tam i potańczyć bez majtek, na pewno je zobaczymy.

Nastąpiła chwila pełnego zadumy milczenia.

- Uważam - rzekł z mocą Dekarz, wyrażając pogląd prawie całego zespołu - że jesteśmy to winni społeczeństwu.

- Niby tak... - Jason wahał się. - Ale mama mówiła...

- Twoja mama zawsze potrafiła mówić - stwierdził Tkacz. - Ojciec opowiadał, że kiedy był młody, twoja mama rzadko w ogóle...

- No dobrze - zgodził się Jason, ustępując przed większością. - Chyba nic złego nie robimy. My tylko udajemy. Takie... przedstawienie. Przecież to nic prawdziwego. Ale pamiętajcie, żadnych tańców. A zwłaszcza, i chcę, żeby wszyscy to sobie zapamiętali, zwłaszcza Kijów i Wiader.

- Oczywiście, będziemy udawać - zgodził się Tkacz. - I pilnować przy okazji.

- To nasz obowiązek wobec społeczeństwa - powtórzył Dekarz.

- Udawanie na pewno nie zaszkodzi - mruknął niepewnie Jason.

Brzdęk, bing, klang, dzyń... Dźwięki odbijały się echem po całym Lancre. Dorośli mężczyźni, okopujący grządki w ogródkach, ciskali szpadle i pędem biegli do domów...

Brzdęk, bing, klang, dzyń...

Kobiety stawały w drzwiach i rozpaczliwie wołały dzieci, by natychmiast wracały...

BANG - niech to licho - dzyń, bing...

Trzaskały zamykane okiennice. Niektórzy mężczyźni pod okiem przerażonych rodzin zalewali ogień i próbowali wcisnąć do komina worki z dobytkiem...

Niania Ogg mieszkała sama, ponieważ twierdziła, że starzy ludzie też mają swoją dumę i lubią niezależność. Poza tym z jednej strony mieszkał Jason i jego żona, jakiejtambyło, i łatwo można było ich sprowadzić metodą uderzenia butem o ścianę. A z drugiej strony mieszkał Shawn i niania kazała mu umocować długi sznurek z żelaznymi pojemnikami na końcu, na

wypadek gdyby jego obecność była pożądana. Ale stosowała te środki tylko w sytuacjach alarmowych, na przykład kiedy chciała napić się herbaty albo gdy się jej nudziło.

Brzdęk - do demonów - klang...

Niania Ogg nie miała łazienki, ale miała blaszaną balie, wiszącą zwykle na gwoździu na tylnej ścianie wygodki. Teraz wciągała ją do domu. Po odbiciu od kilku drzew i ogrodowych krasnali dotarła prawie do granicy ogródka.

Przy piecu czekały już trzy wielkie czarne kotły pełne wrzątku. Obok leżało pół tuzina ręczników, gąbka, pumeks, mydło, drugie mydło, gdyby pierwsze gdzieś się zapodziało, chochla do wyławiania pajaków, pełna wody gumowa kaczka z zalaną świstawką, nożyk do odcisków, duża szczotka, mała szczotka, szczotka na patyku, żeby sięgnąć do trudno dostępnych miejsc, banjo, takie coś z rurkami i kranikami, co to nikt nie wiedział, do czego służy, oraz flakon płynu do kąpieli Klatchiańskie Noce, którego jedna kropla łuszczyła farbę.

Brzęk, klang, bum...

Wszyscy w Lancre, wiedzeni instynktem samozachowawczym, i nauczyli się rozpoznawać przedkapielowe działania niani.

- Przecież to nie kwiecień - dziwili się sąsiedzi, zaciągając zasłony.

W domku na wzgórzu, powyżej chatki niani, pani Skindle chwyciła męża za ramię.

- Koza została na dworze!

- Zwariowałaś? Nie wyjdę z domu! Nie teraz!

- Przecież wiesz, jak to się skończyło poprzednio. Sparaliżowało ją z jednej strony i nie mogliśmy jej ściągnąć z dachu!

Pan Skindle wysunął głowę za drzwi. Na dworze było spokojnie. Zbyt spokojnie.

- Chyba nalewa już wodę - powiedział.

- Masz jeszcze minutę, może dwie - ponaglała go żona. - Biegnij, bo przez całe tygodnie będziemy pili tylko jogurt.

Pan Skindle zdjął z gwoździa rzemień i przekradł się do kozy uwiązanej do żywopłotu. Ona także poznawała kąpielowy rytuał i aż zesztywniała z strachu.

Nie warto było jej ciągnąć. Po kilku próbach chwycił ją na ręce.

Rozległ się daleki, ale natrętny chlupot i brzdęk pumeksu obijającego się o ścianki balii.

Pan Skindle ruszył biegiem.

Wtedy zadźwięczało dostrajane banjo.

Świat wstrzymał oddech.

I wreszcie, niczym tornado sunące przez prerię, napłynął dźwięk.

- AAAaaaeEEEEEE...

Trzy doniczki przed drzwiami pękły jedna po drugiej. Odłamek świsnął panu Skindle koło ucha.

- ...laaassskaaa maaagaaa maaa naczubkugałkę, naczubkugałkę...

Wrzucił kozę do środka i skoczył za nią. Żona czekała w gotowości i natychmiast zatrzęsnęła drzwiami.

Cała rodzina, nie wyłączając kozy, schowała się pod stołem.

Nie chodzi o to, że niania Ogg śpiewała źle, ale potrafiła zaśpiewać takie nuty, które, wzmocnione przez blaszaną balię i wodę, przestawały być dźwiękiem, a zmieniały się w rodzaj natrętnej obecności.

Wielu było śpiewaków, którzy wysokimi nutami potrafili rozbijać szkło, ale górne C niani Ogg mogło je wyczyścić do połysku.

Członkowie zespołu tańca morris z Lancre siedzieli ponuro na trawie, podając sobie z rąk do rąk gliniany dzban. Próba nie była udana.

- Nie wychodzi - stwierdził krótko Dekarz.

- Wcale nie jest śmieszne, ot co - dodał Tkacz. - Jakoś nie widzę, żeby król umarł ze śmiechu, jak zaczniemy odgrywać bandę ręcznych rzemieślników, którym granie całkiem nie idzie.

- Po prostu nie radzicie sobie z rolami - orzekł Jason.

- Bo mamy sobie nie radzić - przypomniał mu Tkacz.

- Tak, ale wam nie wychodzi granie kogoś, komu nie wychodzi granie - ocenił Druciarz. - Nie wiem jak, ale nie wychodzi. Trudno się spodziewać, żeby wszyscy możni panowie i damy...

Nad wrzosowiskiem przemknął podmuch pachnący latem i śniegiem.

- ...śmiali się, bo nie umiemy grać takich, co nie umieją grać.

- Nie wiem, co niby jest takiego śmiesznego w bandzie prostych rękodzielników próbujących wystawić sztukę - mruknął Tkacz. Jason wzruszył ramionami.

- Tu pisze, że wszyscy szlachetni...

Ostry powiew, metaliczny posmak śniegu...

- ...państwo w Ankh-Morpork śmiali się całymi tygodniami. Trzy miesiące wystawiali tę sztukę na Broad-Wayu.

- A co to jest Broad-Way?

- To takie miejsce, gdzie są wszystkie teatry. Disk, Słudzy Lorda Wynkina, Niedźwiedzia Nora...

- Oni tam śmieją się z byle czego - uznał Tkacz. - Zresztą wszystkich nas tutaj uważają za prostaków. Myślą, że stale powtarzamy „łojaju”, śpiewamy durne ludowe piosenki i mamy w mózgu po trzy komórki, tulące się do siebie z zimna, bo bez przerwy pijemy jabłkownik.

- Właśnie. Podaj dzban.

- Zarozumiałe miastowe dranie.

- Czy oni wiedzą, jak to jest, tkwić po pachę w krowim tyłku w zimową noc? No?

- Czy chociaż jeden... Zaraz, o czym ty gadasz? Przecież nie masz krowy!

- Nie, ale wiem, jak to jest.

- Nie mają pojęcia, jakie to uczucie, kiedy człowiekowi zassa jeden gumiak na podwórzu pełnym łajna? Czy znają ten przerażający moment, kiedy przesuwa się nogę dookoła i wie, że gdziekolwiek postawi się stopę, wierzchnia warstwa na pewno się załamie? Gliniany dzban chlupotał cicho, przekazywany z ręki do niepewnej ręki.

- Prawda. Szczera prawda. A widział kto, jak tańczą morrisa? Wystarczy popatrzeć, żeby człowiek miał ochotę odwiesić chustkę.

- Co, morris w mieście?

- No, w każdym razie w Sto Helit. Banda podstarzałych magów i kupców. Oglądałem ich przez godzinę i nikt nawet nie zajęczał.

- Zarozumiałe miastowe dranie. Przejeżdżają tutaj, odbierają nam pracę...

- Nie bądź głupi. Oni nawet nie wiedzą, co to znaczy uczciwa praca.

Dzban zabulgotał, ale głębszym tonem, sugerującym, że zawiera już sporo pustej przestrzeni.

- Założę się, że nigdy nie tkwili po pachę...

- Chodzi o to. Chodzi o to. Chodzi. O to chodzi. Ha! Wszyscy się wyśmiewają z uczciwych prostych rękodzielników, tak? Znaczy się. Znaczy. Znaczy. O czym niby jest ta sztuka? Znaczy się. Znaczy. Się. No. To jest o paru rękami dzielnych prostaczkach, znaczy prostakach takich, którzy nie umieją nawet zagrać sztuki o panach i damach...

Chłód w powietrzu, ostry jak sople lodu...

- Trzeba czegoś więcej.

- No właśnie. No właśnie.

- Elementu mitycznego.

- I o to chodzi, i o to chodzi. Tak jest. Tak właśnie jest. Właśnie. Trzeba takiej akcji, żeby mogli ją sobie gwizdać wracając do domów. Otóż to.

- Dlatego trzeba to zrobić tutaj, na świeżym powietrzu. Z widokiem na niebo i góry.

Jason Ogg zmarszczył czoło. I tak było zwykle zmarszczone, kiedy starał się rozstrzygnąć złożone sprawy tego świata - tylko z żelazem zawsze wiedział, jak postępować. Z wysiłkiem wystawił drżący palec i spróbował policzyć swych kolegów aktorów. Dzban był już prawie pusty, więc czynność wymagała znacznej koncentracji. Wydawało się, że przeciętnie siedzi tu - oprócz niego - siedem osób. Miał jednak niejasne, choć silne wrażenie, że coś się nie zgadza.

- Tutaj - powiedział niepewnie.

- Świetny pomysł - pochwalił Tkacz.

- A to nie ty wymyśliłeś?

- Myślałem, że ty.

- A ja, że ty.

- Czy to ważne, kto co powiedział? - wtrącił Dekarz. - To całkiem dobry pomysł. Jakiś taki... akuratny.

- O co chodziło z tym mitycznym czymś tam?

- A co to znaczy?

- To coś, co musi wystąpić - wyjaśnił Tkacz, ekspert teatralny. - Bardzo ważne jest to coś mityczne.

- Mama mówiła, że nikomu nie wolno... - zaczął Jason.

- Nie będzie tańców ani nic - zapewnił Woźnica. - Rozumiem, że nie życzysz sobie żadnych ludzi, którzy włóczą się po okolicy i robią jakieś czary. Ale nic chyba nie zaszkodzi, jak wszyscy tu przyjdą. Znaczą się król i cała reszta. Twoja mama też. Ha, chciałbym zobaczyć, jak któraś dziewczyna bez majtek spróbuje się przemknąć!

- Kiedy to chyba nie zwykle...

- I ta druga też tu będzie - dodał Tkacz.

Przez chwilę rozważali kwestię babci Weatherwax.

- O żeż, ona to umie człowieka nastraszyć, nie ma co - mruknął Dekarz.
- Kiedy tak spojrzysz przez człowieka na wylot... Oczywiście, słowa nie dam na nią powiedzieć - dodał głośno. - Wspaniała kobieta. - Po czym dokończył szeptem: - Ale mówią, że skrada się po nocach jako zając albo i nietoperz. Zmienia postać i w ogóle. Co prawda ja tam nie wierzę w takie bzdury. - Podniósł głos i zaraz zniżył go znowu. - Star Weezen z Kromki opowiadał kiedyś, że postrzelił w nogę zająca, a na drugi dzień ona mijając go na drodze, powiedziała „Au” i tak mu przyłożyła po łbie...

- A mnie mówił ojciec - dodał Tkacz - że kiedyś prowadził naszą starą krowę na targ, a ona zachorowała i zaległa na drodze niedaleko jej chaty, i nie mógł jej ruszyć. No to poszedł do chaty, zastukał do drzwi, a ona otworzyła i zanim zdążył głowę rozewrzeć, mówi: „Twoja krowa jest chora, Tkacz”. Ot, tak sobie. A potem...

- To ta stara łaciata krowa, co ją miał twój ojciec?

- Nie. To mój stryj miał łaciata krowę, myśmy mieli taką z ukruszonym rogiem. W każdym razie...

- Przysięgłbym, że była łaciata. Pamiętam, tato popatrzył na nią kiedyś zza żywopłotu i powiada: piękne łaty na tej krowie, dzisiaj już takich nie robią. To było jeszcze wtedy, kiedy mieliście to pole przy Cabbowej Studni.

- Nigdy nie mieliśmy tam pola. To mój kuzyn miał pole - wyjaśnił Tkacz. - W każdym razie...

- Jesteś pewien?

- W każdym razie! - rzekł z naciskiem Tkacz. - Powiada: „Zaczekaj tu, dam ci jakieś lekarstwo”. Poszła do kuchni i wróciła z takim dwoma czerwonymi pigułkami. I...

- A jak jej się ukruszył? - spytał Woźnica.

- I dała mu jedną. I mówi: „Zrobisz tak, że podniesiesz krowie ogon i wciśniesz tę pigułkę tam, gdzie słońce nie dochodzi, a za pół minuty poderwie się i pobiegnie szybko jak nigdy”. Tata podziękował i już wychodził, ale zapytał jeszcze: „A po co ta druga pigułka?”. Ona popatrzyła tylko i mówi: „Chyba chcesz ją dogonić, prawda?”.

- To będzie w tej głębokiej dolinie niedaleko Kromki - stwierdził Woźnica.

Spojrzeli na niego wszyscy.

- O czym ty właściwie mówisz? - zdziwił się Tkacz.

- Jest schowana za górą. - Woźnica z przekonaniem kiwnął głową. - Stale w cieniu. Pewnie o to jej chodziło. To miejsce, gdzie słońce nie dochodzi. Kawał drogi trzeba przejść z tą pigułą, ale tak chyba już jest z czarownicami.

Tkacz mrugnął porozumiewawczo do kolegów.

- Posłuchaj - rzekł spokojnie. - Jej chodziło o... no, o to miejsce, gdzie mała schowała orzech. Woźnica pokręcił głową.

- W Kromce nie ma mała - stwierdził. I nagle rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. - Ach, rozumiem. Ona była głupia!

- Ci, co piszą sztuki w Ankh - uznał Piekarz - chłopie, dużo o nas wiedzą, nie ma co. Dajcie dzbanek.

Jason rozejrzał się jeszcze raz. Był coraz bardziej niespokojny. Ręce, które codziennie stykały się z żelazem, świerzbiały.

- Chyba powinniśmy wracać do domu, chłopcy - wybełkotał.

- To ładna noc - odparł Piekarz, nie ruszając się z miejsca. - Patrz, jak mrugają gwiazdy.

- Ale zrobiło się trochę zimno - zauważył Jason.

- Pachnie jakby śniegiem - dodał Woźnica.

- Rzeczywiście - zgodził się Piekarz. - Śnieg w środku lata. Tak to jest w miejscach, gdzie słońce nie dochodzi.

- Cicho bądź, cicho bądź, cicho - uciszał go Jason.

- Co z tobą?

- Coś tu jest nie takie. Nie powinniśmy tu być. Nie czujecie tego?

- Nie marudź, chłopie - uspokoił go Tkacz. - Ładnie jest. Czuję tylko powietrze. A w dzbanku zostało jeszcze trochę jabłkownika. Piekarz oparł się

wygodnie.

- Pamiętam taką starą historię o tym miejscu - powiedział. - Jakiś człowiek zasnął tu kiedyś, jak był na polowaniu. Dzban zabulgotał w półmroku.

- Co z tego? - zdziwił się Woźnica. -Ja też tak potrafię. Zasypiam każdej nocy, regularnie.

- Ale ten człowiek, jak wrócił do domu, to jego żona mieszkała z kimś innym, a dzieci dorosły i w ogóle go nie poznawały.

- Mnie to się zdarza prawie codziennie - oznajmił posępnie Tkacz.

Piekarz pociągnął nosem.

- Wiecie, tu rzeczywiście pachnie tak jakby śniegiem. No wiecie... Taki ostry zapach.

Dekarz wyciągnął się, opierając głowę na ramieniu.

- Coś wam powiem - oświadczył. - Gdyby moja stara wyszła za kogoś innego, a moje wielkie bachory poszły sobie i przestały wyjadać wszystko ze spiżarni, to raz-dwa zjawiłbym się tutaj z kocem. Kto ma dzbanek?

Jason pociągnął solidnie leku na nerwy i odkrył, że czuje się lepiej, kiedy alkohol rozpuszcza mu synapsy.

Podjął jednak próbę.

- Chłopaki - wybełkotał. - Mamy drugi zzzbanek, co to się ssstudzi w wodopoju koło kuzzz... kuźni, so wy na to? Może byśmy tam possli? Chłopaki? Chłopaki?

Odpowiedziało mu ciche pochrapywanie.

- No, chopcy... Jason wstał. Gwiazdy zawirowały.

Jason upadł powoli. Dzbanek wysliznął mu się z rąk i potoczył po

trawie.

Gwiazdy migotały. Wiatr był zimny i pachniał śniegiem.

Król jadł samotnie, to znaczy, że siedział na jednym końcu stołu, a Magrat na drugim. Na ogół jednak spotykali się na ostatni kieliszek wina przy kominku. W takich chwilach trudno im było rozmawiać. Żadne z nich nie przywykło do spędzania - powiedzmy - miłych chwil w towarzystwie innej osoby. Konwersacje stawały się więc nieco wymuszone. I najczęściej dotyczyły ślubu. W królewskich rodach jest to naprawdę trudna sprawa. Na przykład, młoda para zwykle wszystko już ma. Tradycyjna lista prezentów z kompletem garnków i serwisem na dwanaście osób wydaje się trochę nie na miejscu u kogoś, kto ma zamek, a w nim mnóstwo umeblowanych pokoi, zamkniętych od tak dawna, że pająki stworzyły już odrębne gatunki, zgodnie ze ścisłymi zasadami ewolucji. Nie można też po prostu zmienić skali i poprosić o Armię w Czerwonych Mundurach z Białymi Aplikacjami, żeby pasowała do tapet w kuchni. Pary królewskie dostają na ogół w prezencie albo rzeczy bardzo małe, jak precyzyjnie skonstruowane nakręcane jajka, albo bardzo duże i nieporęczne, jak księstwa.

Istnieje też poważny problem z listą gości. Nawet na zwykłym ślubie bywa ciężko z krewnymi, którzy ślinią się i przeklinają; z braćmi, którzy po jednym drinku robią się agresywni; i z ludźmi, którzy Nie Rozmawiają z innymi ludźmi z powodu tego, Co Kiedyś Powiedzieli o Naszej Sharon. Królewskie pary mają do czynienia z całymi państwami, które Zerwały Stosunki Dyplomatyczne po tym, co Książę Krwi Powiedział o Naszej Sharon. Verence jakoś sobie z tym poradził, ale musiał jeszcze zmierzyć się z problemem różnych ras. Trolle i krasnoludy w Lancre żyły w zgodzie z prostej przyczyny: nie miały ze sobą do czynienia. Ale gdy zbyt wiele ich się zbierze pod jednym dachem, zwłaszcza kiedy wino płynie szeroką strugą, a już szczególnie kiedy płynie w stronę krasnoludów, zaraz niektórzy zaczynają Łamać Komuś Ręce z powodu - mniej więcej - tego, co Jego Przodkowie Powiedzieli o Naszej Sharon. Były też inne sprawy...

- Co z tą dziewczyną, którą tu przyniosły?
- Kazałam Millie na nią uważać. A one co robią?
- Nie wiem.
- Przecież jesteś królem, prawda?
- Ale one są czarownicami. Nie lubię zadawać im pytań.
- Czemu nie?
- Bo mogłyby mi odpowiedzieć. I co bym wtedy zrobił?
- O czym babcia chciała z tobą porozmawiać?
- E... no wiesz... o różnych sprawach.
- Ale chyba nie o... o seksie?

Verence zrobił minę człowieka, który spodziewa się frontalnego ataku i nagle odkrywa, że paskudne rzeczy dzieją się za jego plecami.

- Nie! Czemu tak sądzisz?
- Niania próbowała udzielić mi matczynej rady. Ledwie mi się udało zachować powagę. Słowo daję, traktują mnie jak duże dziecko.
- Nie. Nic w tym rodzaju.

Siedzieli po bokach wielkiego kominka, oboje purpurowi z za-
kłopotania.

Po chwili odezwała się Magrat.

- Ehm... Posłałeś po tę książkę, prawda? No wiesz... tę z rycinami.
- A tak. Oczywiście, posłałem.

- Powinna już dotrzeć.

- Poczta przychodzi raz na tydzień. Myślę, że przywiozła ją jutro. Mam już dość biegania tam co tydzień, żeby Shawn nie odebrał jej pierwszy.

- Jesteś królem. Mógłbyś mu zakazać.

- Nie chcę. Jest taki gorliwy.

Wielki kłoc pękł na dwoje na parze żelaznych stojaków.

- Naprawdę można dostać książki o... o tym?

- Książki można dostać o wszystkim.

Spoglądali w ogień. Verence myślał: Nie chce zostać królową, od razu widać, ale zostaje się królową, kiedy się wychodzi za króla, wszystkie książki o tym piszą...

A Magrat myślała: Był o wiele miłszy, kiedy jeszcze nosił dzwoneczki na czapce i sypiał na podłodze przed drzwiami swego pana; wtedy umiałam z nim rozmawiać...

Verence klasnął w dłonie.

- No, to na dzisiaj już wszystko. Jutro czeka nas pracowity dzień. Przyjeżdżają goście i w ogóle.

- Tak. To będzie długi dzień.

- Prawie najdłuższy. Cha, cha.

- Tak.

- Chyba włożyli nam już do łóżek grzałki.

- Czy Shawn nauczył się wreszcie, jak się to robi?

- Mam nadzieję. Nie stać nas już na kolejne materace. Hol był wielki.

Cienie zbierały się w kątach i tłoczyły z obu końców.

- Przypuszczam - powiedziała wolno Magrat, wpatrując się w ogień - że nie mieli tu w Lancre zbyt wielu książek. Aż do teraz.

- Czytelnictwo to wspaniała rzecz.

- Jakoś radzili sobie bez nich.

- Tak, ale nie w sposób właściwy. Gospodarstwa były tu naprawdę prymitywne.

Magrat spoglądała na płomienie. Gospodyństwa też nie wyglądały najlepiej, myślała.

- Pójdziemy już chyba do łóżek, jak uważasz?

- Tak sądzę.

Verence zdjął dwa srebrne lichterze i zapalił świece. Jedną wręczył Magrat.

- No to dobranoc.

- Dobranoc.

Pocałowali się i odeszli do swoich pokojów.

Prześcieradło w łóżku Magrat właśnie zaczynało brązowieć. Wyjęła spod kołdry grzałkę i wyrzuciła przez okno.

Spojrzała niechętnie w stronę garderoby.

Magrat była prawdopodobnie jedyną osobą w całym królestwie, która martwiła się o to, czy rzeczy ulegają biodegradacji. Wszyscy inni mieli po prostu nadzieję, że rzeczy wytrzymają możliwie długo, wiedzieli też, że i tak prawie wszystko zgnije, jeśli zostawi się to na dostatecznie długi czas.

W domu... poprawka: w chatce, w której kiedyś mieszkała, na końcu

ogrodu stała wygodka. Magrat aprobowała takie rozwiązanie. Wraz z wiadrem popiołu, egzemplarzem zeszłorocznego Almanachu na gwoździu i wycięciem w kształcie winnego grona na drzwiach, wygodka skutecznie spełniała swoje zadania. Raz na parę miesięcy Magrat musiała tylko wykopać duży dół i sprowadzić kogoś, żeby pomógł jej przesunąć samą konstrukcję.

Garderoba wyglądała jak niewielkie zadaszone pomieszczenie wewnątrz muru, z drewnianym siedzeniem umieszczonym nad dużą kwadratową dziurą, prowadzącą głęboko, na sam dół zamkowych murów. Był tam otwór, przez który raz w tygodniu działała biodegradacja - metodą procesu organodynamicznego, znanego także jako Shawn Ogg i jego taczki. Tyle Magrat rozumiała. Jakoś to wszystko pasowało do jej wyobrażenia arystokracji i pospólstwa. Szokowały ją za to kołki.

Służyły do wieszania w garderobie ubrań. Millie wyjaśniła jej, że tu właśnie przechowywano kosztowne futra i okrycia. Mole płoszył przeciąg z dziury oraz... zapach[19].

Z tym przynajmniej Magrat skończyła.

Teraz leżała w łóżku i patrzyła w sufit.

Oczywiście, chciała wyjść za Verence'a, mimo jego cofniętego podbródka i lekko załzawionych oczu. W ciemności nocy wiedziała, że nie może być zbyt wybredna; w jej sytuacji zdobycie uczuć króla to prawdziwie szczęśliwy los.

Tyle że naprawdę wolała go, kiedy był jeszcze błaznem. Naprawdę jest coś atrakcyjnego w mężczyźnie, który dzwoni lekko przy każdym ruchu.

Tyle że widziała przed sobą przyszłość pełną marnych haftów i tęskiego spoglądania przez okno.

Tyle że miała już po dziurki w nosie wszystkich książek o etykiecie, genealogii i Herbarza rodów Piętnastu Gór i równin StoNiemózziego.

Żeby być królową, trzeba wiedzieć o takich rzeczach. W Długiej Galerii zebrano masę książek na te tematy, a Magrat nie zbadła jeszcze

dalszego końca. Jak się zwracać do kuzyna trzeciego stopnia hrabiego? Co oznaczają obrazki na tarczach, wszystkie te lwy passanti REGARDANFI Ubrania też nie były lepsze. Magrat ustaliła granicę na kornecie, ale nie była też zachwycona wysokim, szpiczastym kapeluszem z wiszącą na czubku chustką. Pewnie wyglądał pięknie na lady Szalotce, ale na Magrat sprawiał wrażenie, jakby ktoś upuścił jej na głowę wielki rożek z lodami.

Niania Ogg siedziała w szlafroku przy kominku, pykała z fajki i zamyślona obcinała paznokcie u nóg. Od czasu do czasu rozlegał się cichy brzęk i stuk rykoszetów z dalszych zakątków izby; raz zadzwoniła rozbita lampa naftowa.

Babcia Weatherwax leżała w łóżku, nieruchoma i zimna. W dłoniach pokrytych siatką niebieskich żyłek trzymała kartkę ze słowami: NIE JESTEM MARTWA... Jej umysł sunął przez las i szukał, szukał... Kłopot polegał na tym, że nie mogła dotrzeć tam, gdzie nie było oczu do patrzenia ani uszu do słuchania.

Dlatego nie zobaczyła zagłębienia w pobliżu kamieni, gdzie spało ośmiu mężczyzn. I śniło...

Lancre oddzielone jest od reszty ludzkich krain mostem nad wąwozem Lancre, ponad płytką, lecz morderczo bystrą i zdradziecką rzeką Lancre[20]. Dylizans zatrzymał się na dalszym końcu mostu. Drogę zagraadzał szlaban nierówno pomalowany w czerwono-czarno-białe pasy.

Woźnica zadął w róg.

- Co jest? - Ridcully wychylił się przez okno.

- Trollowy most.

- O żeż...

Po chwili spod mostu dobiegły grzmiące dźwięki i przez balustradę wgramolił się troll. Jak na trolla, miał na sobie nadmiar odzieży: oprócz ustawowej przepaski biodrowej, nosił też hełm. Co prawda hełm był przeznaczony dla ludzkiej głowy, a na o wiele większej głowie trolla utrzymywał się z pomocą sznurka, ale określenie „nosił” mniej więcej oddaje sytuację.

- Co się dzieje? - Kwestor obudził się nagle.

- Na moście stoi troll - wyjaśnił Ridcully. - Ale stoi pod hełmem, więc chyba występuje oficjalnie. Na pewno będzie miał poważne kłopoty, jeśli kogoś zje[21]. Raczej nie ma się czym martwić.

Kwestor zachichotał, bo dotarł właśnie do krzywej wznoszącej tej kolejki górskiej, jaką podróżował obecnie jego umysł.

Głowa trolla pojawiła się w okienku dyliżansu.

- Dzień dobry waszym miłościom - powiedział. - Kontrola celna.

- Dawno już nie ćwoczyłem - paplał radośnie kwestor. - Owszem, w dzień Duchowego Ciasta kulaliśmy do celu gotowane jajka, ale...

- Chodzi o to - przerwał mu troll - czy wiecie jakieś piwo, wódki, wina, inne napoje alkoholowe, zioła halucynogenne albo książki o treści lubieżnej bądź rozwiązłej.

Ridcully odciągnął kwestora od okienka.

- Nie - zapewnił.

- Nie?

- Nie.

- Na pewno?

- Tak.

- A chcecie trochę?

- Nie mamy nawet - zawołał kwestor, mimo wysiłków nadrektora, żeby usiąść mu na głowie - żadnych koziołków.

Są ludzie, którzy zagwiżdżą YankeeDoodle w zatłoczonym barze w Atlancie. Ale nawet tacy ludzie uznaliby za nietaktowne wspomnianie o koziołkach w obecności trolla.

Wyraz jego twarzy zmienił się powoli, jakby połowa góry ulegała lodowcowej erozji. Myślak usiłował schować się pod siedzenie.

- Więc może pobrykamy sobie dalej, dobrze? - Głos kwestora dobiegał teraz nieco przytłumiony.

- On nie chciał - zapewnił szybko nadrektor. - Suszona żaba przez niego przemawia.

- Nie chcesz mnie zjeść - oświadczył kwestor. - Wolisz mojego brata, który jest o wiele mfmfph mfmfph...

- No tak - rzekł grzmiąco troll. - Wydaje mi się... - W tym momencie zauważył Casanundę. - Och nie! - zawołał. - Przemyt krasnoludów, co?

- Nie bądź śmieszny - uspokajał go Ridcully. - Nie ma czegoś takiego jak przemyt krasnoludów.

- Nie? To niby co tam macie?

- Jestem olbrzymem - wyjaśnił Casanunda.

- Olbrzymy są o wiele większe.

- Chorowałem.

Troll był zakłopotany. Dla jego gatunku takie procesy myślowe wymagały zwykle doktoratu. Ale wyraźnie szukał kłopotów. I znalazł je na dachu powozu, gdzie opalał się bibliotekarz.

- Co jest w tym worku na górze?

- To nie jest worek. To bibliotekarz. Troll dźgnął paluchem masę rudej sierści.

- Uuk...

- Co? Jakiś małpiszon?

- Uuuk?

Kilka minut później podróżni wychylili się przez balustradę, spoglądając w zadumie na płynącą daleko w dole rzekę.

- Często się to zdarza? - spytał Casanunda.

- Ostatnio coraz rzadziej - odparł Ridcully. - To tak jak... Jakie to słowo, Stibbons? Takie rozmnażanie się i przekazywanie różnych rzeczy dzieciakom?

- Ewolucja - wyjaśnił Myślak. Fale wciąż chlupotały o brzegi.

- Właśnie. Na przykład mój ojciec miał kamizelkę haftowaną w pawie, zostawił mi ją i teraz jest moja. Nazywają to dziedziczeniem...

- Nie, wcale nie... - zaczął Myślak bez nadziei, że Ridcully go wysłucha.

- W każdym razie u nas w domu już prawie wszyscy wiedzą, jaka jest różnica między małpą a małpiszonem. Ewolucja, tak jest. Trudno się rozmnażać, kiedy człowieka boli głowa, bo stuka nią o chodnik.

Fale się wygładziły.

- Myślicie, że trolle umieją pływać? - zainteresował się Casanunda.

- Nie. Idą na dno i ruszają do brzegu pieszo. - Ridcully odwrócił się i oparł łokcie o balustradę. - Wiecie, to miejsce budzi wspomnienia. Rzeka Lancre... Żyją tu pstrągi, które mogą odgryźć rękę.

- Nie tylko pstrągi - zauważył Myślak, obserwując wynurzający się z wody hełm.

- A wyżej w górach są przejrzyste jeziora - mówił dalej Ridcully. - Pełne... pełne... przejrzystości i różnych innych. Można się kąpać nago i nikt nie zobaczy. I podmokłe łąki pełne... wody, rozumiecie, i kwiatów, i takich tam. - Westchnął. - Właśnie na tym moście powiedziała mi, że...

- Wydostał się na brzeg - oznajmił Myślak. Troll nie poruszał się zbyt szybko, ponieważ bibliotekarz nonszalancko wyważał z balustrady duży kamień.

- Na tym moście spytałem...

- Wielką ma tę maczugę - rzekł Casanunda.

- Ten most, można powiedzieć, to miejsce, gdzie niewiele brakowało...

- Mógłbyś przestać trzymać ten kamień tak prowokująco? - spytał Myślak.

- Uuk.

- Tak by było lepiej.

- Na tym właśnie moście, jeśli to kogoś interesuje, całe moje życie potoczyło się ina...

- Może po prostu jedźmy dalej - zaproponował Myślak. - Przed nim strome zbocze.

- Ma szczęście, że tu nie dotarł, co? - rzucił Casanunda. Myślak odwrócił bibliotekarza i pchnął go w stronę dyliżansu.

- To ten most, gdzie... Ridcully obejrzał się.

- Jedzie pan czy nie? - zapytał Casanunda, trzymając w rękach lejce.

- Szczerze powiem, że właśnie przeżyłem cudowną chwilę romantycznych, nostalgicznych wspomnień - oznajmił Ridcully. - Ale nikt z was nawet nie zauważył.

Myślak przytrzymał mu drzwiczki.

- Wie pan, co o tym mówią, nadrektorze. Nie można dwa razy przekroczyć tej samej rzeki.

Ridcully spojrzał na niego zdumiony.

- Dlaczego nie? Przecież to jest most!

Na dachu dyliżansu bibliotekarz sięgnął po trąbkę pocztową, odruchowo odgryzł czubek - nigdy nie wiadomo, co się trafi - i dmuchnął tak mocno, że się wyprostowała. Trwał wczesny ranek i ulice miasteczka Lancre były jeszcze prawie puste. Farmerzy wstali już kilka godzin wcześniej, żeby pokłąć, ponarzekać, podsypać czegoś krowom i wrócić do łóżek. Głos trąbki odbijał się od ścian domów. Ridcully wyskoczył z powozu i odetchnął głęboko.

- Czujecie to? - zapytał. - Prawdziwe świeże, górskie powietrze. - Uderzył się pięścią w pierś.

- Właśnie wdepnąłem w coś wiejskiego - mruknął Myślak. - Gdzie jest zamek?

- Chyba tam, to wielkie, czarne i wysokie, wyrastające nad miastem - domyślił się Casanunda.

Nadrektor stanął na środku rynku, rozłożył ramiona i obrócił się powoli

dookoła.

- Widzicie tę tawernę? - powiedział. - Gdybym dostawał pensa za każdym razem, kiedy mnie stąd wyrzucali, byłbym teraz bogaty... no, bogatszy o pięć dolarów i trzydzieści osiem pensów. Tam jest stara kuźnia, a dalej dom pani Parsifleur, gdzie mieliśmy kwaterę. Widzicie ten szczyt? To Miedzianka. Wspiąłem się tam kiedyś ze starym Kredowcem, trollem. Wspaniałe dni. A widzicie ten las, o tam, na wzgórzu? Tam właśnie powiedziała... - Przycichł nagle. - Słowo daję, wszystko teraz powraca. Cóż to było za lato. Dzisiaj już takich nie robią. - Westchnął. - Wiecie, dużo bym oddał, żeby jeszcze raz przespacerować się z nią przez ten las. O tylu sprawach nie... Mniejsza z tym. Chodźmy.

Myślak rozejrzał się uważnie. On sam urodził się i wychował w Ankh-Morpork. Jeśli o niego chodziło, wieś to coś, co przytrafia się tylko innym, z których większość ma po cztery nogi. W jego opinii wieś była niczym pierwotny chaos, zanim jeszcze stworzony został wszechświat, to znaczy coś cywilizowanego, coś z murami i brukiem.

- To jest stolica? - upewnił się.

- Mniej więcej - potwierdził Casanunda, który wobec miejsc niewybrukowanych żywił podobne uczucia.

- Założę się, że nie mają tu ani jednych delikatesów - stwierdził Myślak.

- A piwo... - mówił Ridcully. - Tutejsze piwo... Musicie spróbować tutejszego piwa. I jeszcze takie coś, co nazywają jabłkownikiem. Robią to z jabłek i... niech mnie licho, jeśli wiem, co jeszcze dodają, ale nie należy tego nalewać do metalowych kubków. Powinien pan skosztować, panie Stibbons. Od tego włosy panu wyrosną na piersi. A panu... - Zwrócił się do następnego pasażera dyliżansu, którym okazał się bibliotekarz.

- Uuk?

- No, ja, tego... Myślę, że w twoim przypadku można pić, na co tylko przyjdzie ochota.

Ściągnął z dachu worek z pocztą.

- Co powinniśmy z tym zrobić?

Usłyszał za sobą powolne kroki. Obejrzał się i zobaczył niskiego, rumianego młodego człowieka w niedopasowanej workowatej kolczudze. Wyglądał w niej jak jaszczurka, która niedawno bardzo szybko straciła dużo na wadze.

- Gdzie woźnica? - zdziwił się Shawn Ogg.

- Zachorował - wyjaśnił Ridcully. - Miał ostry atak bandytów. Co tu się robi z pocztą?

- Ja zabieram wszystko dla pałacu. Worek z resztą wieszamy zwykle na gwoździu koło tawerny, żeby ludzie sami mogli się obsłużyć.

- To chyba niezbyt bezpieczne - zauważył Myślak.

- Nie, dlaczego? To solidny gwoździec. - Shawn grzebał w worku.

- Chodzi o to, że ludzie mogą kraść listy.

- Nie, tego by nie zrobili, nigdy w życiu. Któraś z czarownic przyszła wtedy i popatrzyła na nich znacząco.

Shawn wcisnął pod pachę kilka przesyłek, po czym zawiesił worek na wspomnianym już gwoździu.

- Tak, to kolejna rzecz, którą tu mieli - przypomniał sobie Ridcully. - Czarownice! Opowiem wam o tutejszych czarownicach...

- Nasza mama jest czarownicą - rzucił konwersacyjnym tonem Shawn, przeglądając pocztę.

- To rzeczywiście wyjątkowe kobiety. Trudno spotkać wspanialsze - rzekł Ridcully, z minimalnym zaledwie zgrzytem myślowej skrzyni biegów. - Wcale nie banda wścibskich, opętanych władzą staruch, jak zapewne obito się wam o uszy.

- Przyjechaliście na ślub?

- Oczywiście. Jestem nadrektorem Niewidocznego Uniwersytetu. To pan Stibbons, mag, a to... Gdzie się podział? A, tutaj jesteś... To jest pan Casanunda.

- Hrabia - poprawił go Casanunda. - Jestem hrabią.

- Naprawdę? Nic nie wspomniałeś.

- Tak jakoś wyszło. To nie jest pierwsza rzecz, o której się mówi po poznaniu.

Ridcully zmrużył oczy.

- Myślałem, że krasnoludy nie używają tytułów - powiedział.

- Wyświadczyłem małą przysługę królowej Agantii ze Skundu.

- Naprawdę? A niech mnie. Jak małą?

- Nie aż tak małą.

- Coś takiego... To jest kwestor, a to bibliotekarz. - Ridcully cofnął się o krok, pomachał rękami i bezgłośnie uformował wargami słowa: Nie mów małpison.

- Miło mi panów poznać - powiedział grzecznie Shawn. Ridcully uznał, że coś się tu nie zgadza.

- Bibliotekarz - powtórzył.

- Tak. Mówił pan. - Shawn skinął orangutanowi głową. - Jak się pan miewa?

- Uuk.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego tak wygląda.

- Nie, proszę pana.

- Nie?

- Mama zawsze powtarza, że nikt nie poradzi na to, jak został stworzony.

- Niezwykła kobieta. A jak się nazywa?

- Gytha Ogg.

- Ogg? Ogg? Nazwisko nie jest mi obce. Jakaś krewna Trzeźwości Ogga?

- To mój ojciec, proszę pana.

- Na bogów! Syn starego Trzeźwości! Jak się czuje ten łobuz?

- Nie wiem, proszę pana, bo nie żyje.

- Przykro mi. Jak dawno?

- Będzie ze trzydzieści lat - ocenił Shawn.

- Zaraz... nie wyglądasz mi na starszego niż dwa... - zaczął Myślak, ale Ridcully dźgnął go mocno łokciem pod żebro.

- To wieś - syknął. - Pewne rzeczy ludzie robią tu inaczej. I częściej.

Znów spojrzał na uprzejmą, rumianą twarz Shawna.

- Miasto zaczyna się chyba budzić - zauważył. Rzeczywiście, wokół rynku otwierały się okiennice. - Zjemy śniadanie w tawernie. Zawsze podawali cudowne śniadania. - Raz jeszcze odetchnął głęboko i rozpromienił się. - To właśnie nazywam świeżym powietrzem - rzekł.

Shawn rozejrzał się uważnie.

- Rzeczywiście, proszę pana - zgodził się. - My też je tak nazywamy.

Nagle usłyszeli tupot stóp kogoś biegnącego co tchu, potem nastąpił moment ciszy i zza rogu wynurzył się król Verence II. Szedł powoli i z godnością, a twarz miał bardzo zaczerwienioną.

- Daje tutaj ten zdrowy rumieniec - stwierdził wesoło Ridcully.

- To król! - syknął Shawn. - A ja nie wziąłem trąbki!

- Ehem... - odezwał się Verence. - Poczta już dotarła, Shawn?

- Tak jest, sire - odparł Shawn, zakłopotany prawie tak samo jak król. - Mam ją tutaj. Proszę się nie martwić. Otworzę przesyłki i wasza wysokość za chwilę znajdzie je na swoim biurku.

- Hm...

- Coś się stało, sire?

- Hm... Myślę, że może... Shawn rozrywał już opakowania.

- Tu jest książka o etykietach, na którą wasza wysokość czekał, ta o hodowli świń, a ta... Co to może być?

Verence spróbował wyrwać paczkę, Shawn odruchowo ją przytrzymał, papier pękł i gruby tom opadł na bruk. Wiatr przewracał stronicę, ukazując ryciny.

Spojrzeli w dół.

- Łaa... - powiedział Shawn.

- Niech mnie licho - dodał Ridcully.

- Ehem... - wtrącił król.

- Uuk?

Shawn bardzo, ale to bardzo ostrożnie podniósł książkę i przerzucił kilka stron.

- Hej, popatrzcie tutaj! On to robi stopami! Nie miałem pojęcia, że tak można. - Szturchnął Myślaka Stibbonsa. - Niech pan zobaczy.

Ridcully zerknął na króla.

- Dobrze się pan czuje, wasza królewska mość? Verence przestępował z nogi na nogę.

- Em...

- A tutaj, spójrzcie, jest taki, że obaj robią to kijami...

- Co? - zdziwił się Verence.

- Ojej... - westchnął Shawn. - Dziękuję waszej wysokości. Naprawdę mi się przyda. Znaczący, nauczyłem się paru rzeczy tu i tam, ale... Verence wyrwał mu książkę i zajrzał na stronę tytułową.

- Sztuka militarna! Militarna? Jestem pewien, że zamawiałem Sztukę miło...

- Wasza wysokość?

Przez jedną krótką chwilę Verence walczył o odzyskanie równowagi psychicznej. Zwyciężył.

- A tak. Rzeczywiście. Uhm. No cóż, ma się rozumieć... Widzicie, panowie, dobrze przeszkolona armia jest... jest kluczowa dla bezpieczeństwa państwa. Otóż to. Świetnie. Magrat i ja uznaliśmy... Tak. To dla ciebie, Shawn.

- Natychmiast zaczynam ćwiczyć, sire.

- To dobrze. Hm.

Jason Ogg przebudził się i natychmiast tego pożałował. Postawmy sprawę jasno. Wielu próbowało opisać uczucie kaca. W tym celu często wykorzystywany jest motyw tańczących słoni i podobne elementy. Jednak takie opisy nigdy nie skutkują. Zawsze trącą jakimś ho, ho, posłuchajcie tylko, chłopcy, ho, ho, prawdziwy kacowy macho, ho, ho, gospodarzu, jeszcze dziewiętnaście kufli piwa, wicie chłopaki, wczoraj przyrządziliśmy taką mieszankę, że ho, ho...

W każdym razie nie da się opisać kaca po jabłkowniku. Najlepszy fragment to uczucie, że zęby rozpuściły się i rozsmarowały po języku.

Po długiej chwili kował usiadł i otworzył oczy[22].

Ubranie miał mokre od rosy, a głowę pełną smug cienia i szeptów.

Popatrzył na kamienie.

Dojrzał dzban po jabłkowniku leżący wśród wrzosów. Po chwili sięgnął po niego i potrząsnął na próbę. Dzbany były puste.

Jason butem trącił Woźnicę w żebra.

- Zbudź się, ofermo. Leżeliśmy tu całą noc. Jeden po drugim tancerze morrisa dokonywali krótkiej, ale bolesnej podróży do świadomości.

- Jak dziś wrócę do domu, oberwę kijem od naszej Evy - jęknął Woźnica.

- Może nie - pocieszył go Dekarz, który na czworakach szukał swojego kapelusza. - Może kiedy trafisz do domu, okaże się, że wyszła za kogoś innego.

- Może minęło już sto lat - westchnął z nadzieją Woźnica.

- Niech to licha; mam nadzieję, że tak. - Tkacz rozpromienił się nagle. - Zainwestowałem siedem pennów w Banku Oszczędnościowym w Ohulan. Zostanę milionerem na procencie skomplikowanym. Będę bogaty jak Kreozot.

- Co to za Kreozot? - zdziwił się Dekarz.

- Sławny bogaty gnojek - wyjaśnił Piekarz, wyławiając z kałuży swój but. - Zagraniczny.

- Czy to nie ten, co to zmieniał w złoto wszystko, czego się dotknął? - zapytał Woźnica.

- Nie, tamten to ktoś inny. Jakiś król czy ktoś taki. Takie rzeczy przytrafiają się w obcych stronach. W jednej chwili jesteś zdrow jak rydz, w następnej wszystko, czego dotkniesz, zmienia się w złoto. Jego to wręcz prześladowało.

Woźnica zdziwił się bardzo.

- Jak sobie radził, kiedy musiał...

- Niech to będzie dla ciebie lekcją, młody Woźnico - rzekł Piekarz. - Zostań tutaj, gdzie ludzie są rozsądni, a nie włócz się po zagranicach, gdzie nagle może wpaść ci w ręce wielka fortuna i nie będziesz miał jej na co wydać.

- Przespaliśmy tu całą noc - przypomniał niepewnie Jason. -To niebezpieczne, nie ma co.

- Szczera prawda, Ogg - przyznał Woźnica. - Mam wrażenie, że coś poszło do toalety w moim uchu.

- Mówiłem o tym, że dziwne rzeczy mogą przyjść człowiekowi do głowy.

- Właśnie o to mi chodzi.

Jason zamrugnął. Był pewien, że śnił. Pamiętał sny. Nie pamiętał tylko, o czym były. Ale wciąż pozostało wrażenie głosów przemawiających mu w głowie, zbyt odległych, by je zrozumieć.

- Co tam - mruknął, wstając przy trzeciej próbie. - Pewnie nic złego się nie stało. Wracajmy do domu, sprawdzimy, które mamy stulecie.

- A właściwie które mamy stulecie? - zapytał Dekarz.

- Wiek Nietoperza, tak? - upewnił się Piekarz.

- Może już nie - mruknął Woźnica z nadzieją.

Okazało się, że istotnie trwa Wiek Nietoperza. W Lancre rzadko przydawały się jednostki czasu krótsze niż godzina albo dłuższe niż rok, ale ludzie wieszali wokół rynku sznury chorągiewek, a spora grupa wznosiła słup. Ktoś przybijał bardzo marnie odmalowane podobizny Verence'a i Magrat z podpisem: „Nieh Bogowie Bogosławią Ich Wysokości”.

Nie zamieniając ani słowa więcej, tancerze morrisa rozdzielili się i podążyli swoimi drogami.

Zając kicał wśród porannej mgły, aż dotarł do chwiejnej starej chatki na łące między drzewami. Stał przy pieńku między wygodką a Ziołami. Większość leśnych zwierząt unikała Ziół, bo zwierzęta, które w ostatnich pięćdziesięciu latach nie unikały Ziół, przejawiały skłonność do nieposiadania potomstwa. Kilka kosmyków mgły falowało na wietrze, co mogło dziwić, ponieważ nie było żadnego wiatru.

Zając usiadł na pniu.

Wtedy nastąpiło wrażenie ruchu. Coś opuściło zająca i popłynęło w powietrzu w kierunku okna na piętrze. Było niewidzialne, przynajmniej dla normalnego wzroku.

Zając się zmienił. Do tej pory poruszał się celowo. Teraz zeskoczył z pieńka i zaczął czyścić sobie uszy.

Po chwili otworzyły się drzwi kuchenne i sztywnym krokiem wyszła babcia Weatherwax, niosąc misę mleka z rozmoczonym chlebem. Postawiła ją na stopniu i wróciła, nie oglądając się nawet. Zamknęła za sobą drzwi.

Zając podbiegł bliżej.

Trudno powiedzieć, czy zwierzęta pojmują zobowiązania lub naturę transakcji. Ale to bez znaczenia. Zobowiązania wbudowane są w czarownictwo. Jeśli człowiek chce naprawdę zirytować czarownicę, powinien wyświadczyć jej przysługę, za którą nie można się odwdzięczyć. Niedopełnione zobowiązanie będzie ją dręczyć jak złamany paznokieć.

Babcia Weatherwax dosiadała umysłu zająca przez całą noc. Teraz była mu coś winna - przez kilka dni przed drzwiami będzie czekało mleko i chleb.

Trzeba odpłacać dobro i zło. Istnieje więcej niż jeden rodzaj zobowiązań. Tego właśnie ludzie nigdy nie potrafią zrozumieć, mówiła sobie, wracając do kuchni. Magrat nie rozumiała, ta nowa dziewczyna też nie. Rzeczy muszą się równoważyć. Nie można postanowić, że będzie się dobrą czarownicą albo złą czarownicą. W dłuższym okresie nigdy nic z tego nie wychodzi. Można tylko starać się być czarownicą, ze wszystkich sił.

Usiadła przy wygasłym piecu i z trudem opanowała odruch, by przeczesać uszy.

One gdzieś się przebiły. Wyczuwała to w drzewach, w umysłach małych zwierzątek. Ona coś planowała. I to wkrótce. Oczywiście, środek lata nie był specjalnie istotny w sensie okultystycznym, ale był ważny w ludzkich umysłach. A właśnie w ludzkich umysłach elfy miały moc.

Babcia wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała zmierzyć się z Królową. Nie z Magrat, ale z prawdziwą Królową.

I że przegra.

Przez całe życie panowała nad tym, co działo się wewnątrz jej umysłu. Była dumna, że jest najlepsza w tej dziedzinie.

Ale już nie. Akurat kiedy najbardziej tego potrzebowała, nie mogła ufać własnemu umysłowi. Wyczuwała sondowania Królowej - pamiętała wrażenie jej myśli, choć minęły dziesiątki lat. Zachowała też umiejętność Pożyczenia. Ale ona sama... Gdyby nie zostawiała małych liścików do siebie,

zupełnie by się zagubiła. Być czarownicą to dokładnie wiedzieć, kim się jest i gdzie się jest, a ona traciła świadomość jednego i drugiego. Wczoraj zauważyła nagle, że zastawiła stół na dwie osoby. Próbowwała wejść do pokoju, którego nie było. A przecież już niedługo miała walczyć z elfem.

Jeśli człowiek walczył z elfem i przegrywał... to ginął. Jeśli miał szczęście.

Rozchichotana Millie Chillum przyniosła Magrat śniadanie do łóżka.

- Goście zaczynają już zjeżdżać, psze pani. Na rynku wszędzie wiszą flagi i takie różne. A Shawn znalazł powóz koronacyjny!

- Jak można zgubić powóz?

- Był zamknięty w jakichś nieużywanych stajniach. W tej chwili Shawn maluje go na złoto.

- Przecież ślub odbędzie się tutaj - przypomniała Magrat. -Nigdzie nie musimy jechać.

- Król powiedział, że może oboje przejedziecie się kawałek. Może aż do Głupiego Ośła, z Shawnem jako eskortą wojskową. Żeby ludzie mogli machać i krzyczeć „hurra”. A potem wróćcie do zamku.

Magrat wciągnęła szlafrok i podeszła do okna. Mogła stąd wyrzec za mury, aż na rynek, już teraz pełen ludzi. I tak wypadał dzisiaj dzień targowy, ale ludzie ustawiali ławy, a z boku stał już ozdobiony wstążkami słup. Zauważyła nawet kilka krasnoludów i trolli, uprzejmie trzymających się z dala od siebie.

- Jakaś mała przeszła właśnie przez rynek... - zdziwiła się Magrat.

- Cały świat przybywa do Lancre - oświadczyła Millie, która raz w życiu wyprawiała się aż do Kromki.

Magrat spostrzegła w oddali portret swój i swego narzeczonego.

- To głupie - mruknęła do siebie, ale Millie usłyszała ją i była zaszokowana.

- O co może pani chodzić, psze pani? Magrat odwróciła się.

- O to wszystko! To dla mnie! Millie cofnęła się, nagle wystraszona.

- Jestem przecież zwykłą Magrat Garlick! Królowie powinni się żenić z księżniczkami, hrabiankami! Z takimi, które są przyzwyczajone! Nie chcę, żeby ludzie wiwatowali tylko dlatego, że przejeżdżam w karocy! A już zwłaszcza nie ci, których znam przez całe życie! To wszystko... - Nerwowym gestem objęła znienawidzoną garderobę, wielkie łóżce z baldachimem, przebieralnię pełną sztywnych i kosztownych sukien. - To wszystko się dla mnie nie nadaje! To dobre dla... dla jakiegoś symbolu! Kiedy byłaś mała, bawiłaś się wycinankami? No wiesz, tymi figurkami. Wycinało się lalkę i zakładało na nią wycinane ubrania. Mogła się stać, kim tylko zechciałaś. To właśnie ja! Całkiem jak... jak u pszczół! Zmieniają mnie w królową, czy mi się to podoba, czy nie! To właśnie się ze mną teraz dzieje!

- Jestem pewna, że król kupił pani te wszystkie śliczne suknie, ponieważ...

- Nie chodzi tylko o suknie. Chodzi o ludzi, którzy będą krzyczeli „hurra”, kiedy... kiedy ktokolwiek przejedzie w karocy.

- Ale to pani pokochała króla, psze pani - przypomniała mężnie Millie.

Magrat zawahała się. Właściwie nigdy nie analizowała swoich uczuć.

- Nie - rzekła w końcu. - Wtedy nie był jeszcze królem. Nikt nie wiedział, że zostanie królem. Był tylko smutnym, miłym człowiekiem w czapce z dzwoneczkami. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Millie cofnęła się jeszcze o krok.

- To na pewno nerwy, psze pani - wykrztusiła. - Wszyscy się denerwują przed własnym ślubem. Czy mam... czy mam przynieść ziołowej...

- Nie jestem nerwowa! I sama mogę sobie zaparzyć ziołową herbatę, jeśli akurat przyjdzie mi na nią ochota!

- Kucharki są bardzo czułe na punkcie tego, kto zagląda do ich ogródków ziołowych, psze pani.

- Widziałam te zioła! Tylko przywiedła szałwia i pożółkła pietruszka! Jeśli nie można czegoś wetknąć kurczakowi w tyłek, ona nie uważa tego za zioło! Poza tym... kto niby jest królową w tej okolicy?

- Myślałam, że nie chce pani być, psze pani - odparła Millie.

Magrat spojrzała na nią. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby sprzeczała się sama ze sobą.

Millie nie była zapewne najlepiej poinformowaną dziewczyną na świecie, ale z pewnością nie była głupia. Rzuciła się do drzwi i zamknęła je za sobą akurat w chwili, kiedy taca ze śniadaniem uderzyła o ścianę.

Magrat usiadła na łóżku, kryjąc twarz w dłoniach. Nie chciała zostać królową. Być królową to jak być aktorką, a udawanie kogoś innego nigdy Magrat nie wychodziło. Skoro już o tym mowa, zawsze uważała, że nawet bycie Magrat jej nie wychodzi.

Z miasta dobiegał gwar przedślubnych przygotowań. Będą ludowe tańce - chyba nie ma sposobu, żeby do tego nie dopuścić; prawdopodobnie zostaną też popołnione śpiewy ludowe. Wystąpią tańczące niedźwiedzie i żonglerzy, a miejscowi rozegrają zawody we wspinaczce na natłuszczony słup, które z niewiadomych przyczyn zawsze wygrywała niania Ogg. I jeszcze świńskie kręgle. I Szczęśliwy Połów, który zwykle prowadziła niania Ogg; wielkiego męstwa wymagało zanurzenie ręki w balii z otrębami, gdzie wygrane ukryła czarownica obdarzona specyficznym poczuciem humoru. Magrat zawsze lubiła takie festyny.

Aż do dzisiaj.

No cóż, wciąż jeszcze mogła zrobić to i owo.

Ubrała się w swą zwyczajną sukienkę - po raz ostatni. Wyszła i przebiegła kuchennymi schodami do opacznej wieży, gdzie w komnacie leżała chora Diamanda.

Magrat przykazała Shawnowi, żeby rozpałił porządnym ogień na kominku. Diamanda wciąż spała spokojnym, nieprzespanym snem.

Magrat nie mogła nie zauważyć, że dziewczyna jest niezwykle piękna i - jak słyszała - tak odważna, że sprzeciwiła się samej babci Weatherwax. Nie mogła się doczekać, aż chora wróci do sił. Wtedy będzie mogła zazdrościć jej należycie.

Rana goiła się całkiem dobrze, chociaż...

Magrat podeszła do dzwonka w kącie i szarpnęła mocno. Po minucie czy dwóch zjawił się zaspany Shawn. Miał na rękach złotą farbę.

- Co to jest? - spytała groźnie Magrat.

- Um... Wolałbym nie mówić, psze pani.

- Tak się składa, że jesteśmy... już prawie... królową.

- Tak, ale król powiedział... Właściwie to babcia powiedziała...

- Babcia Weatherwax przypadkiem nie rządzi w tym królestwie. - Magrat nienawidziła siebie, kiedy mówiła tym tonem, ale jakoś skutkowało. - A zresztą nie ma jej tutaj. My za to jesteśmy. I jeśli nie wyjaśnisz nam, o co tu chodzi, dopilnuję, żebyś wykonywał wszystkie brudne prace w zamku.

- I tak wykonuję wszystkie brudne prace - zauważył Shawn.

- Dopilnuję, żeby znalazły się brudniejsze. Magrat chwyciła pierwsze zawiniątko. Były to pasy płótna owinięte wokół czegoś, co okazało się żelazną sztabą.

- Leżą dookoła łóżka - rzekła, - Po co?

Shawn spuścił głowę. Na butach też miał złotą farbę.

- No więc... mama powiedziała...

- Tak?

- Mama kazała mi przypilnować, żeby dookoła tej dziewczyny leżało żelazo. Więc ja i Millie przynieśliśmy z kuźni parę sztab i owinęliśmy je, a Millie ułożyła wszystko na miejscach.

- Po co?

- Żeby nie dopuścić... Panów i Dam, psze pani.

- Co? To przecież głupie przesady! Zresztą wszyscy wiedzą, że elfy są dobre, niezależnie od tego, co opowiada babcia Weatherwax.

Shawn skrzywił się nerwowo. Magrat wyciągnęła z łóżka opakowane bryły żelaza i cisnęła je do kąta.

- Nie życzę sobie w tym zamku żadnych bajek. Czy jest coś jeszcze, o czym przypadkiem nikt mi nie powiedział?

Shawn pokręcił głową, choć sumienie przypomniało mu o zamkniętym w lochu stworze.

- Aha! No to możesz odejść. Verence życzy sobie, żeby królestwo było nowoczesne i wydajne, a to oznacza, że nie będzie tu żadnych podków ani innego śmiecia. No, już cię nie ma.

- Tak, panno królowo.

Przynajmniej mogę wprowadzić tu kilka zmian na lepsze, pomyślała Magrat.

Tak jest. Bądź rozsądna. Idź do niego. Porozmawiajcie.

Magrat wierzyła, że praktycznie wszystko da się rozwiązać, jeśli tylko ludzie spokojnie ze sobą porozmawiają.

- Shawn!

Strażnik zatrzymał się w progu.

- Słucham?

- Czy król poszedł już do głównego holu?

- Chyba się jeszcze ubiera, panno królowo. Nie dzwonił na mnie, żebym przyszedł z trąbką, to wiem na pewno.

W rzeczywistości Verence, które nie lubił być poprzedzany przez to, co Shawn uważał za fanfarę, zszedł już na dół incognito.

Magrat przebiegła do jego pokoju i zastukała.

Czego się wstydzić? Przecież od jutra będzie to także jej pokój... Nacisnęła klamkę i nie całkiem pewna, czy postępuje słusznie, weszła do środka.

Trudno powiedzieć, żeby komnaty na zamku należały do kogokolwiek. Miały zbyt wielu mieszkańców w ciągu minionych wieków. Sama ich atmosfera przypominała ściany z rojami dziurek po pinezkach, gdzie studenci ostatnich lat przyczepiali plakaty dawno nieistniejących zespołów. Na takich murach można wycisnąć własną osobowość - one wyciskały mocniej.

Dla Magrat wejście do męskiej sypialni było wyczynem godnym podróżnika, który wkracza na obszar mapy podpisany „Tu żyją Smoki[23]”. Pokój okazał się nie całkiem taki, jaki być powinien. Verence poznał koncepcję sypialni w dość późnym okresie życia. Kiedy był mały, cała jego rodzina sypiała na sianie na strychu. Jako uczeń w Gildii Trefnisiów sypiał na pryczy w długiej sali, wspólnie z innymi smutnymi, załamanymi młodymi ludźmi. Kiedy już został pełnoprawnym błaznem, sypiał - zgodnie z tradycją - zwinięty w kłębek przed drzwiami sypialni swego pana. I nagle - o wiele później niż zwykle się to ludziom zdarza - miał szansę odkryć zalety

miękkiego materaca.

A teraz Magrat poznała jego wielką tajemnicę: odkrycie się nie sprawdziło.

W pokoju stało Wielkie Łoże Lancre, gdzie podobno mogło się wyspać tuzin osób, choć w jakich okolicznościach i dlaczego miałyby się to okazać konieczne, historia nie wspominała. Było wielkie i zrobione z dębowego drewna.

Było też całkiem wyraźnie nieużywane.

Magrat podniosła kołdrę i wyczuła zapach krochmalonego płótna - zapach niczym niezakłócony, jakby nikt nie ruszał pościeli. Rozejrzała się. Oczy jej błysnęły, gdy dostrzegła niewielką martwą naturę przy drzwiach: złożoną nocną koszulę, lichtarz i małą poduszeczkę.

W opinii Verence'a korona zmieniała tylko jedno: po której stronie drzwi się sypia.

Bogowie!... Zawsze spał przed drzwiami swego pana. A teraz, jako król, sypia przed drzwiami do swego królestwa.

Magrat poczuła, że łzy stają jej w oczach.

Jak można nie kochać kogoś tak cudownego...

Zafascynowana i świadoma, że znalazła się w miejscu, gdzie formalnie rzecz biorąc być jej nie powinno, wyczyściła nos i podjęła dalsze badania. Stos odzieży przy łóżku sugerował, że Verence perfekcyjnie opanował sztukę wieszania ubrań w formie praktykowanej przez połowę populacji świata, i że miał podobne kłopoty ze złożonymi manewrami topologicznymi, niezbędnymi do wywracania skarpet na właściwą stronę.

Przy ścianie stała malutka toaletka i lustro. Wciśnięty pod ramę tkwił zasuszony, wyblakły kwiatek, który Magrat wydał się całkiem podobny do tych, jakie zwykle nosiła we włosach.

Nie powinna szukać dalej. Potem sama to przyznawała. Ale w tej

chwili nie umiała się powstrzymać.

Pośrodku blatu stała nieduża drewniana misa wypełniona drobnymi monetami, kawałkami sznurka i zwykłą zawartością opróżnianych wieczorem kieszeni.

I złożona kartka papieru. Mocno poskładana, jakby leżała w kieszeni przez dłuższy czas.

Magrat sięgnęła po nią i rozwinęła.

Na wszystkich osiowych zboczach Ramtopów leżały małe królestwa. Każda wąska dolina, każda skalna półka, na której mogło stanąć coś więcej niż kozica, miała własne. Były w Ramtopach królestwa tak małe, że gdyby pustoszył je smok, gdyby tego smoka zabił młody bohater i gdyby król ofiarował mu pół królestwa - zgodnie z paragrafem 3 Kodeksu Bohaterów - to nie zostałyby mu ani kawałek. Wojny o aneksje trwały często latami tylko dlatego, że ktoś potrzebował miejsca, żeby trzymać tam węgiel.

Lancre było jednym z większych królestw. Mogło sobie nawet pozwolić na taki luksus jak stałą armia[24].

Królowie i królowe oraz rozmaite podzbiory arystokracji już teraz ciągnęły przez most na Lancre, obserwowane przez ponurego i przemoczonego trolla, który na jeden dzień dał sobie wolne.

Drzwi głównego holu stały otworem. Żonglerzy i połykacze ognia popisywali się w tłumie. Na galerii muzycy grali na lancrańskich jednostrunowych skrzypkach i słynnych ramtopowych dudach, na szczęście zagłuszał ich gwar rozmów.

Niania Ogg i babcia Weatherwax szły przez wymieniony wyżej dum. Aby uczcić wyjątkową okazję, niania zmieniła swój czarny szpiczasty kapelusz na inny, tego samego kształtu, ale czerwony, ozdobiony

woskowymi wisienkami.

- Zjechał się cały hout mond - zauważyła, biorąc drinka z mijanej tacy.
- Nawet jacyś magowie z Ankh-Morpork. Nasz Shawn mi mówił. Jeden z nich powiedział, że jestem wyjątkowa i wspaniała. Cały ranek próbuje sobie przypomnieć, który to mógł być.

- Rozpuszczony i znudzony - odparła babcia.

Była to odruchowa złośliwość, w którą wcale nie wkładała serca. Nianię Ogg bardzo to martwiło. Jej przyjaciółka wyraźnie myślała o czymś innym.

- Są tu różni szlachetni, których wolelibyśmy nie oglądać - stwierdziła babcia. - Nie uspokoję się, dopóki to wszystko się nie zakończy.

Niania Ogg wyciągnęła szyję, by spojrzeć ponad głowę małego cesarza.

- Nigdzie nie widzę Magrat - powiedziała. - Tam stoi Verence i rozmawia z innymi królami, ale Magrat ani śladu. Nasz Shawn mówił, że Millie Chillum mówiła, że dziś rano był z niej istny kłębek nerwów.

- Wszyscy ci wysoko urodzeni... - mruzczała babcia. - Czuję się jak ryba wyjęta z wody.

- Moim zdaniem do ciebie należy zrobienie sobie własnej wody - stwierdziła niania. Wzięła z bufetu zimne udko kurczęcia i wcisnęła sobie do rękawa.

- Nie pij za dużo. Musimy zachować czujność, Gytho. Pamiętaj, co ci mówiłam. Uważaj na wszystko...

- Czyżby to była powabna pani Ogg? Niania obejrzała się. Za nią nikogo nie było.

- Na dole - odpowiedział głos. Spojrzała niżej, prosto na szeroki uśmiech.

- A niech to - mruknęła.

- To ja, Casanunda - oznajmił Casanunda, który wydawał się jeszcze niższy pod ogromną[25] upudrowaną peruką. - Pamięta mnie pani? Przetańczyliśmy noc w Genoi.

- Wcale nie.

- Owszem, ale mogliśmy przetańczyć.

- Zabawne, że akurat się tutaj zjawileś - powiedziała słabym głosem niania.

Kłopot z krasnoludem, o ile dobrze pamiętała, polegał na tym, że im mocniej człowiek strącał go w dół, tym szybciej Casanunda odbijał się w górę, często w nieoczekiwanym kierunku.

- Nasze gwiazdy są połączone - oświadczył Casanunda. - Jesteśmy sobie przeznaczeni. Pragnę twego ciała, pani Ogg.

- Wciąż jeszcze go używam.

I chociaż podejrzewała, całkiem słusznie, że takie podejście drugi największy kochanek świata stosuje do wszystkiego, co jest choćby w przybliżeniu żeńskiej natury, musiała przyznać, że jej to pochlebia. Za dawnych dni miała wielu admiratorów, ale czas pozostawił ją z ciałem, które można określić tylko jako wygodne, i twarzą jak u zadowolonej rodziny. Dawno wygasłe ognie prawie już nie dymiły.

Poza tym dosyć lubiła Casanundę. Większość mężczyzn próbowała skrywać swoje zamiary, a jego bezpośredni atak wydawał się krzepiąco szczery.

- Nic z tego nie będzie - rzekła. - Nie pasujemy do siebie. Mam co prawda zaledwie pięć stóp i cztery cale wzrostu, ale ty masz tylko trzy stopy dziewięć cali. Zresztą jestem już stara i mogłabym być twoją matką.

- Nie, nie mogłaby pani. Moja matka ma prawie trzysta lat i o wiele gęściejszą brodę.

To oczywiście kolejna sprawa: według norm krasnoludów, niania Ogg była zaledwie nastolatką.

- La, sir - powiedziała więc i klepnęła go przyjaźnie, od czego zadzwoniło mu w uszach. - Wiesz, jak zawrócić w głowie prostej wiejskiej dziewczynie, nie ma co!

Casanunda podniósł się i z zadowoleniem poprawił perukę.

- Lubię dziewczęta z temperamentem - oświadczył. - A może byśmy urządzili małe tete-a-tete, kiedy to wszystko się skończy?

Niania Ogg znieruchomiała na moment. Jej kosmopolityczne opanowanie języków nagle ją opuściło.

- Przepraszam na chwilę - rzuciła.

Odstawiła kieliszek na głowę Casanundy i ruszyła przez tłum, aż dostrzegła odpowiednio wyglądającą księżną. Szturchnęła ją w okolice turniury.

- Hej, wasza miłość, co to jest tate tat?

- Słucham?

- Tate tat? To się robi w ubraniu czy jak?

- To oznacza intymne spotkanie, moja dobra kobieto.

- I to wszystko? Aha. Tak.

Niania precisnęła się z powrotem do wibrującego niecierpliwością krasnoluda.

- Wchodzę w to - oznajmiła.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść razem kolację, tylko pani i ja - zaproponował Casanunda. - Może w którejś tawernie?

Nigdy jeszcze w długiej historii niani Ogg romansów nikt nie zabrał jej na kolację. Zaloty pamiętała raczej z powodu ilości niż jakości.

- Dobra. - Tyle tylko zdołała wykrztusić.

- Wymknij się swojej opiekunce i spotkajmy się o szóstej. Niania zerknęła na babcię Weatherwax, która obserwowała ich z dezaprobatą.

- Ona nie jest moją... - zaczęła.

I wtedy przyszło jej do głowy, że Casanunda nie mógł naprawdę wziąć babci za jej przyzwoitkę. Komplementy i pochlebstwa także stanowiły bardzo niewielką składową zalotów u niani Ogg.

- Dobrze - zgodziła się zatem.

- A teraz przejdę się wśród gości, żeby ludzie nie zaczęli plotkować i nie zaszkadzili twej reputacji - dodał jeszcze Casanunda, pochylił się i ucałował dłoń niani.

Otworzyła usta. Nikt dotąd nie całował jej w rękę i nikt nie przejmował się jej reputacją - a już najmniej ze wszystkich sama niania.

Kiedy drugi największy kochanek świata oddalił się, by zaczepić jakąś hrabinę, babcia Weatherwax - która obserwowała ich z dyskretną odległości[26] - teraz się zbliżyła.

- Nie masz nawet moralności kota, Gytho - powiedziała przyjaznym tonem.

- Przestań, Esme. Wiesz, że to nieprawda.

- No dobrze. Masz więc moralność kota.

- Tak już lepiej.

Niania Ogg przyglądała swą masę siwych loków. Zastanawiała się, czy zdąży zajrzeć do domu i włożyć gorset.

- Musimy być czujne, Gytho.
- Tak, tak.
- Nie można pozwolić, żeby inne sprawy zawróciły nam w głowach.
- Nie, nie.
- Nie słuchasz, co mówię, prawda?
- Co?
- Mogłabyś przynajmniej sprawdzić, dlaczego nie ma tu Magrat.
- Dobrze.

Rozmarzona niania Ogg odeszła.

Babcia Weatherwax odwróciła się...

...Powinna zabrzmieć muzyka skrzypiec. Gwar rozmów powinien przycichnąć, a tłum rozstać się całkiem naturalnie i otworzyć ścieżkę pomiędzy nią a Ridcullym.

Powinny zabrzmieć skrzypce. W każdym razie coś powinno się stać.

Za to nie powinno być bibliotekarza, który w drodze do bufetu przypadkiem nadepnął jej dłoń na nogę, ale tak właśnie się zdarzyło.

Właściwie go nie zauważyła.

- Esme? - powiedział Ridcully.
- Mustrum? - powiedziała babcia Weatherwax. Podbiegła niania Ogg.
- Esme, spotkałam Millie Chillum. Ona mówi... Ostry łokieć babci odebrał jej oddech. Niania dopiero teraz zauważyła całą scenę.
- Oj - powiedziała. - Jak tylko... Ja tylko... Ja lepiej sobie pójdę...

Spojrzenia spotkały się...

Bibliotekarz przeszedł znowu, niosąc całą tacę owoców. Babcia Weatherwax nie zwróciła na niego uwagi.

Kwestor, obecnie w punkcie pośrednim swego cyklu, stuknął Ridcully'ego w ramię.

- Muszę powiedzieć, nadrektorze, że te przepiórcze jaja są wręcz...

- ZNIKAJ! Panie Stibbons, niech pan znajdzie pigułki z żaby i proszę trzymać noże z dala od niego. Spojrzenia spotkały się znowu.

- Coś podobnego - odezwała się babcia, mniej więcej po roku.

- To czarodziejski wieczór - powiedział Ridcully.

- Tak. Tego się właśnie obawiam.

- To naprawdę ty?

- To naprawdę ja - przyznała babcia.

- Nic się nie zmieniłaś, Esme.

- W takim razie ty też nie. Nadal jesteś obrzydliwym kłamcą, Mustrumie Ridcully.

Ruszyli ku sobie. Bibliotekarz przemaszerował między nimi z tacą wypełnioną bezami. Z tyłu Myślak Stibbons pełzał po podłodze, zbierając rozsypane pigułki z suszonej żaby.

- Coś podobnego - westchnął Ridcully.

- Nie do wiary.

- Świat jest mały.

- Rzeczywiście.

- Ty jesteś tobą, a ja jestem mną. Zadziwiające. I trwa tu i teraz.

- Tak, ale wtedy było wtedy.

- Wysłałem ci mnóstwo listów - przypomniał Ridcully.

- Nie dostałam ich.

W oczach nadrektora pojawił się dziwny błysk.

- To dziwne. A ja rzucałem na nie wszystkie zaklęcia celu... - Przyjrzał się jej krytycznie. - Ile ważysz, Esme? Założę się, że nie masz jednej zbędnej uncji.

- Po co chcesz to wiedzieć?

- Zrób przyjemność staremu człowiekowi.

- No dobrze. Sto dwadzieścia pięć funtów.

- Hmm... Powinno się mniej więcej zgadzać... Trzy mile do Osi... Poczujesz lekkie pchnięcie w lewo, ale nie ma powodu do obaw...

Błyskawicznym ruchem chwycił jej dłoń. Znowu czuł się młody i beztroski. Magowie z Niewidocznego Uniwersytetu byliby zdumieni.

- Pozwól, że zabiorę cię stąd.

Pstryknął palcami.

Trzeba zadbać o chociaż przybliżone zachowanie masy. To fundamentalna zasada magii. Jeśli coś przemieszcza się z punktu A do punktu B, to coś, co dotąd było w B, musi się znaleźć w A.

Ważny jest też moment obrotowy. Choć Dysk obraca się wolno, jednak różne punkty na jego promieniu poruszają się z różnymi prędkościami względem Osi, a mag przenoszący się na większą odległość w stronę Krawędzi powinien być gotów na krótki bieg.

Trzy mile do mostu nad Lancre poskutkowały jedynie lekkim szarpnięciem, na które Ridcully był przygotowany. Wylądował oparty o balustradę, z Esme Weatherwax w ramionach.

Troll ze służby celnej, który siedział tam jeszcze ułamek sekundy wcześniej, znalazł się na podłodze w głównym holu, przypadkiem wyciągnięty jak długi na kwestorze.

Babcia Weatherwax spojrzała na rzekę w dole, a potem na Ridcully'ego.

- Natychmiast zabierz mnie z powrotem - nakazała. - Nie masz prawa tak się zachowywać.

- Och, nie! Chyba wyczerpałem swoją moc! Nie rozumiem tego... Co za wstyd! Palce mam całkiem bezwładne - oświadczył Ridcully. - Oczywiście, możemy się przespacerować. Taki piękny wieczór. Tutaj zawsze były piękne wieczory.

- To było pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu! - przypomniała mu babcia. - Nie możesz wracać tak nagle i udawać, że te lata nie minęły.

- Oczywiście, wiem, że minęły. Jestem teraz głównym magiem. Wystarczy, że wydam rozkaz, a tysiące magów... hm... nie posłucha, o ile mogę to sobie wyobrazić, albo zapyta „co?”, albo zaczną się kłócić. Ale na pewno zwrócą uwagę.

- Byłam parę razy na Niewidocznym Uniwersytecie. Banda grubych staruchów z brodami.

- Zgadza się! To właśnie oni!

- Wielu pochodzi z Ramtopów - zauważyła babcia. - Znałam w Lancre kilku chłopców, którzy zostali magami.

- To bardzo magiczny region - zgodził się Ridcully. - Pewnie coś jest w powietrzu.

W dole mknęły ciemne wody, zawsze tańczące w rytm grawitacji i

nigdy nie płynące pod górę.

- Dawno temu jakiś Weatherwax był nawet nadrektorem - dodał Ridcully.

- Słyszałam. Daleki kuzyn. Nie znałam go. Przez chwilę oboje patrzyli na rzekę. Od czasu do czasu w nurcie wirowała jakaś gałąź czy konar.

- Pamiętasz...

- Mam... bardzo dobrą pamięć, nie narzekam.

- Zastanawiałaś się kiedyś, jakie byłoby życie, gdybyś powiedziała „tak”? - spytał Ridcully.

- Nie.

- Przypuszczam, że byśmy się ustatkowali, mieli dzieci, potem wnuki i w ogóle...

Babcia wzruszyła ramionami. Romantyczni idioci zawsze mówią takie rzeczy. Ale rzeczywiście, tego wieczoru coś unosiło się w powietrzu...

- A co z pożarem? - spytała.

- Jakim pożarem?

- Tym, co wybuchł w naszym domu krótko po ślubie. I zabił nas oboje.

- Jaki pożar? Nic nie wiem o żadnym pożarze! Babcia odwróciła się do niego.

- Oczywiście, że nie wiesz. Bo on się nie wydarzył. Ale chodzi o to, że mógł. Nie wolno mówić: Gdyby to się nie stało, to tamto by się spełniło, bo przecież nie wiesz wszystkiego, co mogło się stać. Może ci się wydawać, że coś było dobre, ale to dobre może się przecież obrócić na gorsze. Nie mów „Gdybym tylko...”, bo nie wiadomo, do czego by to doprowadziło. Chodzi o to, że nigdy nie wiesz na pewno. Chwila przeminęła. Nie warto już o tym myśleć. Więc nie myśl.

- Spodnie Czasu - westchnął smętnie Ridcully. Podniósł ukruszony odłamek balustrady i rzucił go w dół. Zabrzmiało ciche „chlup”, jak to często się dzieje.

- Co?

- O takich rzeczach ciągle gadają ci z budynku Magii Wysokich Energii. I ośmielają się nazywać siebie magami! Powinnaś usłyszeć te ich wywody. Żółtodzioby, nie poznałoby magicznego miecza, choćby ich ugryzł w kolano. Tacy są dzisiaj ci młodzi magowie. Wydaje im się, że to oni wymyślili magię.

- Tak? No to powinienesz sobie obejrzeć te dziewczyny, które ostatnio próbują zostać czarownicami - odparła babcia Weatherwax. - Aksamitne kapelusze, czarna szminka i koronkowe rękawiczki bez palców. A jakie bezczelne...

Stali teraz obok siebie, zapatrzeni w wodę.

- Spodnie Czasu - powtórzył Ridcully. - Jedna ty idziesz jedną nogawką, a druga ty drugą. Wszędzie tam są continuumuiny. Kiedy byłem młody, mieliśmy tylko jeden przyzwoity wszechświat i na tym koniec. Człowiek martwił się o Stwory przebijające się z Piekielnych Wymiarów, ale przynajmniej Wymiary leżały w tym samym wszechświecie i wiadomo było, na czym się stoi. Teraz się okazuje, że są całe miliony tych łobuzów. I jeszcze taki kot, którego odkryli: można go wsadzić do pudełka, a on będzie żywy i martwy równocześnie. Albo coś w tym rodzaju. A oni ciągle biegają w kółko i powtarzają: „Wspaniale, wspaniale, hurra, leci następny kwant”. Poprosisz, żeby rzucili jakieś porządne zaklęcie lewitacji, to patrzą, jakbyś zaczęła się nagle ślinić. Masz szczęście, że nie słyszałaś, co opowiada młody Stibbons. Cały czas gadał, jak to nie zaprosiłem siebie na własny ślub. Ja!

Z bocznej ściany wąwozu sfrunął zimorodek, zanurkował nad wodą i wzleciał, niosąc w dziobie coś srebrzystego i ruchliwego.

- Ciągle tłumaczy, że wszystko dzieje się równocześnie - mówił posępnie Ridcully. - Że niby nie ma czegoś takiego jak wybór. Decydujesz tylko, w którą nogawkę chcesz skrócić. I tłumaczy, że naprawdę się

pobraliśmy. Uważa, że wszystko, co mogło się stać, musiało się stać. Więc gdzieś tam są tysiące mnie, którzy nigdy nie zostali magami, i są tysiące ciebie, które... no, odpowiadały na listy. Ha! Dla nich jesteśmy czymś, co mogło nastąpić. I co, czy dorastający chłopak powinien myśleć o takich rzeczach? Kiedy ja zaczynałem, nadrektorem był stary „Tęgus” Spold. Gdyby któryś z młodych magów choćby wspomniał o czymś takim, zaraz by poczuł jego laskę na grzbiecie. Ot co!

Gdzieś w dole żaba zeskoczyła z kamienia.

- Chociaż przyznaję, że oboje od tego czasu przelaliśmy wiele wody.

Ridcully zaczął sobie nagle uświadamiać, że dialog zmienił się jakoś w monolog. Zerknął na babcię. Patrzyła na rzekę szeroko otwartymi oczami, jakby nigdy w życiu nie widziała wody.

- Głupia, głupia, głupia - szepnęła.

- Słucham? Ja tylko...

- Nie ty! Nie mówiłam do ciebie. To ja byłam głupia! Głupia, ale nie ślepa! To jasne. A bałam się, że pamięć mnie opuszcza. To prawda: opuszczała mnie i wracała, niosąc coś nowego.

- Co?

- Zaczynałam się bać. Ja! I nie myślałam jasno. Tyle że właśnie myślałam.

- Co?

- Mniejsza z tym. Cóż, nie powiem, że to nie było... hm... miłe, ale teraz muszę wracać. Zrób znowu tę sztuczkę z palcami. Tylko szybko.

Ridcully przygarbił się trochę.

- Nie mogę - wyznał.

- Przecież zrobiłeś przed chwilą.

- O to właśnie chodzi. Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że nie dam rady tego powtórzyć. Transmigracja kosztuje sporo energii.

- O ile, pamiętam, kiedyś mogłeś to robić bez przerwy. - Babcia zaryzykowała uśmiech. - Prawie nie dotykaliśmy stopami ziemi.

- Wtedy byłem młody. Teraz wystarczy mi jeden raz. Buty babci zaskrzypiały, gdy odwróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem w stronę miasta. Ridcully pobiegł za nią.

- Skąd ten pośpiech?

- Mam ważne sprawy do załatwienia - odparła, nie oglądając się nawet.
- Zostawiłam tam wszystkich.

- Niektórzy powiedzieliby, że to też było ważne.

- Nie. Tylko osobiste. Osobiste to nie to samo co ważne. Ludziom tylko się tak wydaje.

- Znowu zaczynasz?

- Co?

- Nie wiem, jaka byłaby ta inna przyszłość - oświadczył Ridcully. - Ale na przykład ja chętnie bym jej spróbował.

Babcia przystanęła. Jej myśli aż szalały z ulgi. Czy powinna mu opowiedzieć o tych dziwnych wspomnieniach? Już otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła. Nie warto. Zacznie się roztkliwiać.

- Byłabym złośliwa i robiła ci awantury - stwierdziła tylko.

- To się rozumie samo przez się.

- Tak? A co z tobą? Musiałabym jakoś żyć z tym twoim pijaństwem i uganianiem się za spódniczkami, tak? Ridcully zdumiał się wyraźnie.

- Jakimi spódniczkami?

- Mówimy o tym, co mogłoby być.

- Ale jestem magiem! Praktycznie w ogóle nie oglądamy się za kobietami. Są specjalne prawa, które o tym mówią. No... zasady. W każdym razie wskazówki.

- Ale wtedy przecież nie byłbyś magiem.

- I prawie nigdy się nie upijam.

- Ale byś zaczął, gdybyś się ze mną ożenił. Dogonił ją.

- Nawet młody Myślak nie rozumuje w ten sposób - rzekł z wyrzutem.
- Z góry uznałaś, że byłoby nam okropnie. Prawda?

- Tak.

- Dlaczego?

- A jak myślisz?

- To ja pierwszy spytałem.

- Nie mam czasu na takie rzeczy - wyjaśniła babcia. - Jak już mówiłam, osobiste to nie to samo co ważne. Przydaj się na coś, panie magu. Wiesz chyba, co to jest czas kręgu?

Ridcully odruchowo dotknął kapelusza.

- O tak.

- I wiesz, co to oznacza?

- Tłumaczyli mi, że wtedy mury między rzeczywistościami są słabsze. Kręgi to... Jak to nazywa Stibbons? Izoresony. Łączą poziomy, no, czegoś głupiego... podobne poziomy rzeczywistości. Co jest zupełną bzdurą. Przecież wtedy można by przejść z jednego wszechświata do drugiego.

- Próbowaleś kiedyś?

- Nie.

- Krąg to drzwi na wpół otwarte. Nie trzeba wiele, żeby otworzyć je do końca. Wystarczy nawet wiara. Dlatego przed laty ustawiono Tancerzy. Krasnoludy się tym zajęły. Te kamienie są z gromowego żelaza, rozumiesz. Jest w nim coś niezwykłego. Mają miłość żelaza. Nie pytaj mnie, jak to działa, ale elfy nienawidzą go jeszcze bardziej niż zwykłego żelaza. Ono... zakłóca ich zmysły albo coś w tym rodzaju. Ale myśli mogą się przedostać...

- Elfy? Wszyscy wiedzą, że elfów już nie ma. W każdym razie prawdziwych elfów. Owszem, spotyka się takich, którzy twierdzą, że są elfami...

- A tak. Elfie pochodzenie. Elfy i ludzie mogą się krzyżować bez kłopotów... Jakby to był powód do dumy. Ale powstaje tylko rasa chudych typów ze szpiczastymi uszami, skłonnością do śmiechu i łatwego opalania się na słońcu. Nie o nich mówię. Oni nikomu nie szkodzą. Chodzi mi o prawdziwe, dzikie elfy, cośmy ich tu nie widzieli od...

Droga od mostu do miasta wiała się między wysokimi skarpami. Drzewa rosły gęsto po obu stronach, a gdzieniegdzie nawet stykały się gałęziami w górze. Gęste paprocie, zwijające się już przed wieczorem niby zielone fale przyboju, porastały gliniane zbocza.

Zaszeleściły nagle.

Na drogę wyskoczył jednorożec.

Tysiące wszechświatów, skręcających się razem niczym lina splatana z włókien...

Muszą nastąpić przecieki, rodzaj psychicznego odpowiednika nakładania się kanałów w tanim radiu, kiedy w czasie chwilowego ściszenia muzyki słyszeć wiadomości po szwedzku. Zwłaszcza jeśli ktoś przez całe

życie używał mózgu jako odbiornika.

Wychwytywanie myśli innych ludzkich istot jest bardzo trudne, ponieważ żadne dwa umysły nie pracują, no... na tej samej fali.

Ale gdzieś tam, w punkcie, gdzie splatają się równoległe wszechświaty, istnieją miliony umysłów dokładnie takich samych - z całkiem oczywistych powodów.

Babcia Weatherwax uśmiechnęła się.

Millie Chillum, król i jeden czy dwóch służących stali przy drzwiach do komnaty Magrat, kiedy zjawiała się niania Ogg. - Co się dzieje?

- Wiem, że ona tam jest - rzekł Verence, trzymając w rękach koronę w słynnej pozie „Ai, senor, meksykańscy bandyci ograbili naszą wioskę”. - Millie słyszała, jak krzyczy, żeby ją zostawić. I chyba rzuciła coś w drzwi.

Niania Ogg z powagą kiwnęła głową.

- Przedślubne nerwy - stwierdziła. - To musiało się stać.

- Ale przecież wszyscy mieliśmy uczestniczyć w Rozrywce - przypomniał Verence. - Naprawdę powinna iść na Rozrywkę.

- No, nie wiem... - zastanowiła się niania. - Patrząc na Jasona i całą resztę, jak paradują w słomianych perukach... Znaczą się, mają dobre chęci, ale naprawdę nie wiem, czy młoda... stosunkowo młoda dziewczyna powinna oglądać przed ślubem takie rzeczy. Poprosiłeś, żeby otworzyła drzwi?

- Nawet lepiej. Poleciłem jej otworzyć. Dobrze zrobiłem, prawda? Jeśli nawet Magrat nie chce mnie słuchać, to marnie się zapowiadani jako król.

- Aha - rzekła niania po chwili namysłu. - Niewiele chyba czasu spędzałeś w damskim towarzystwie, co? W sensie ogólnym...

- No, tego...

Verence nerwowo obracał koronę w palcach. Nie tylko bandyci ograbili wioskę, ale siedmiu wspaniałych postanowiło wybrać się na kręgle.

- Coś ci powiem. - Niania poklepała go po ramieniu. - Idź, zasiadaj na Rozrywce, rozmawiaj z innymi królami. Ja się zajmę Magrat. Nic się nie martw. Trzy razy byłam panną młodą, a to i tak tylko oficjalne wyniki.

- Tak, ale powinna...

- Myślę, że jeśli chcemy jakoś dociągnąć do ślubu, musimy na razie dać sobie spokój z powinnościami. A teraz zmykajcie stąd.

- Ktoś powinien zostać - zatroskał się Verence. - Shawn będzie stał na straży, ale...

- Nikt nas nie zaatakuje, prawda? - uspokoiła go niania. - Pozwól, że sama załatwię tę sprawę.

- No... Jeśli jest pani pewna...

- Uciekajcie stąd.

Niania Ogg odczekała chwilę. Usłyszała, jak schodzą po głównych schodach. Po chwili turkot kół poinformował ją, że orszak weselny, minus przyszła panna młoda, opuścił zamek.

Policzyła cicho do stu. Potem...

- Magrat?

- Idź sobie!

- Wiem, jak to jest - mówiła niania. - Sama trochę się martwiłam przed ślubem.

Nie dodała: Bo istniała spora szansa, że Jason pojawi się jako nieprzewidziany gość.

- Nie martwię się! Jestem wściekła!

- Dlaczego?

- Wiesz dobrze!

Niania zdjęła kapelusz i podrapała się w głowę.

- Tu mnie masz - przyznała.

- On wiedział. Wiem, że wiedział, i wiem, kto mu doniósł - odezwał się stłumiony głos zza drzwi. - Wszystko było przygotowane. Wszyscy musieliście się ze mnie naśmiewać!

Niania zmarszczyła czoło, wpatrzona w obojętne drewno.

- Nie - stwierdziła. - Wciąż ciemno.

- Nic już więcej nie powiem.

- Wszyscy pojechali na Rozrywkę - oznajmiła niania. Żadnej odpowiedzi.

- A potem wrócą. Dalszy brak dialogu.

- Będą hulanki, zonglerzy i tacy różni, co sobie wkładają do portek łasice. Milczenie.

- A potem będzie jutro i co wtedy zrobisz? Cisza.

- Zawsze możesz wrócić do swojej chatki. Nikt się tam nie wprowadził. Albo zatrzymaj się u mnie, jeśli wolisz. Ale musisz coś postanowić, rozumiesz, bo przecież nie będziesz tak siedzieć zamknięta w pokoju.

Niania oparła się o ścianę.

- Pamiętam, jak lata temu babcia opowiadała mi o królowej Amonii, właściwie to mówię „królowa”, ale wcale nią nie była, najwyżej jakieś trzy godziny, z powodu tego, co zaraz ci zdradzę. Otóż oni zaczęli się na

przyjęciu bawić w chowanego, a ona schowała się do takiego starego, ciężkiego kufra na jakimś strychu, wieko się zatrzasnęło i nikt jej nie znalazł przez siedem miesięcy. Wtedy już można stanowczo uznać, że weselny kołacz trochę wysechł.

Cisza.

- Jeśli i tak nie odpowiadasz, nie mam zamiaru tkwić tu całą noc - oświadczyła niania. - Rano wszystko będzie wyglądało lepiej. Zobaczysz.

Cisza.

- Może położyć się wcześniej - zaproponowała niania. - Nasz Shawn przyniesie ci coś gorącego do picia; wystarczy zadzwonić. Trochę tu chłodno, szczerze mówiąc. Dziwne, jak chłód trzyma się takich kamiennych murów.

Cisza.

- No to idę, dobrze? - rzuciła niania w stronę nieustępliwego milczenia.
- Widzę, że niewiele tu poradzę. Na pewno nie chcesz porozmawiać?

Cisza.

- Stań przed swoim bogiem, skłoń się przed swoim królem i klęknij przed swoim mężczyzną. To recepta na szczęśliwe życie - poinformowała niania, zwracając się do świata jako całości. - No, chyba już pójdę. Wiesz co? Wrócę jutro rano, pomogę ci się przygotować i takie różne. Co ty na to?

Cisza.

- Czyli załatwione. Bywaj.

Niania odczekała pełną minutę. Zgodnie z mechaniką takich sytuacji, po tym czasie rygle powinny już zostać odsunięte, a Magrat wyglądać na korytarz. Może nawet zawołać nianię? Nic z tego.

Niania pokręciła głową. Przychodziły jej do głowy co najmniej trzy sposoby dostania się do pokoju i tylko jeden z nich łączył się z przejściem

przez drzwi. Ale są chwile i miejsca nieodpowiednie dla czarownictwa - a właśnie to nie było. Niania Ogg przeżyła wiele na ogół szczęśliwych lat, gdyż zawsze wiedziała, kiedy nie być czarownicą. To był jeden z takich momentów.

Zeszła po schodach i wymaszerowała z zamku. Shawn stał na straży przy bramie, potajemnie ćwicząc ciosy karate. Znieruchomiał i spojrzał z zakłopotaniem na zbliżającą się nianię.

- Szkoda, że nie mogłem pójść na Rozrywkę, mamó - poskarżył się.

- Mam nadzieję, że król będzie bardzo dla ciebie łaskawy przy wypłacie, ze względu na twoją służbę - odparła. - Przypomnij mi, żebym mu przypomniała.

- A ty nie idziesz?

- Wiesz, ja... przespaceruję się po mieście - odparła niania. - Esme poszła chyba z nimi, co?

- Nie wiem, mamó.

- Mam parę spraw do załatwienia.

Nie zdążyła się za bardzo oddalić, gdy usłyszała za sobą znajomy głos.

- Witaj, księżycu mej rozkoszy.

- Skradasz się za ludźmi, Casanundo.

- Zamówiłem dla nas kolację Pod Kozłem i Krzakiem - poinformował krasnoludzki hrabia.

- Ooo... To strasznie droga gospoda. Nigdy tam nie jadłam.

- Sprowadzili specjalne potrawy z powodu ślubu i wszystkich szlachetnych gości - wyjaśnił Casanunda. - Ustaliłem specjalne menu.

Nie było to łatwe.

Jedzenie jako afrodyzjak było koncepcją, która w Lancre nigdy się nie przyjęła - z wyjątkiem słynnej zapiekanki z ostryg i marchewek niani Ogg[27]. W opinii kucharza Pod Kozłem i Krzakiem, jedzenie i seks łączyły się ze sobą wyłącznie w pewnych zabawnych gestach z użyciem takich obiektów jak ogórki. Nigdy nie słyszał o czekoladzie, bananach, awokado, imbirze, prawośłazie i tysiącu innych potraw, które ludzie czasem wykorzystywali, by - mijając kręte ścieżki romansu - przejechać autostradą od A do B. Casanunda poświęcił pracowite dziesięć minut, szczegółowo opisując kolejne dania. Spore sumy pieniędzy przeszły z rąk do rąk.

Zamówił romantyczną kolację przy świecach. Wierzył, że uwodzenie jest sztuką.

W rasie krasnoludów wspomniana wyżej sztuka uwodzenia polega głównie na taktownym sprawdzeniu, jakiej płci jest drugi krasnolud pod całą tą skórą i kolczugami. Wiele wysokich, dostępnych dzięki drabinie kobiet na całym kontynencie zastanawiało się często, w jaki sposób taka rasa wydała kogoś takiego jak Casanunda. To tak jakby Eskimosi wydali na świat eksperta od opieki i hodowli rzadkich roślin tropikalnych. Wielkie, spiętrzone wody seksualności krasnoludów znalazły przeciek u stóp tamy - niewielki, ale dość mocny, by napędzać dynamo.

Wszystko, co jego rodacy krasnoludy robiły od czasu do czasu, gdy wymagała tego natura, on robił przez cały czas, niekiedy nawet w lektyce, a raz głową w dół na drzewie. Jednak - i to jest ważne -zawsze z uwagą i troską, które charakteryzują jego rasę. Krasnoludy często przez długie miesiące pracują nad wyjątkowym szlachetnym kamieniem - i z podobnych powodów Casanunda był popularnym gościem na wielu dworach i w pałacach, zwykle wtedy, kiedy pan domu wyjeżdżał. Miał też krasnoludzki talent do zamków i kłódek, zawsze użyteczny w tych kłopotliwych chwilach sur la boudoir.

Niania Ogg natomiast była atrakcyjną damą - co nie oznacza „piękną”. Fascynowała Casanundę. Wydała mu się osobą, w towarzystwie której

niezwykle wręcz przyjemnie jest przebywać. Może z powodu umysłu tak otwartego, że mógłby pomieścić trzy boiska i tor do kręgli.

- Szkoda, że nie mam kuszy - szepnął Ridcully. - Taki łeb na ścianie... Zawsze miałbym gdzie wieszać kapelusz. Jednorożec rzucał głową w dół i w górę, darł kopytami ziemię. Para unosiła się z jego boków.

- Nie jestem pewna, czyby ci się udało - odparła babcia. - Na pewno nie została ci żadna moc w palcach?

- Mógłbym stworzyć iluzję - zaproponował mag. - To nietrudne.

- Iluzja tu na nic. Jednorożce to zwierzęta elfie. Nie działa na nie magia. Potrafią przejrzeć iluzje. Powinny, w końcu same je tworzą. Dasz radę się wdrapać na skarpe?

Oboje spojrzeli na boki. Zbocza pokrywała czerwona glina, śliska jak kapłani.

- Cofajmy się tyłem - zdecydowała babcia. - Tylko powoli.

- Co z jego umysłem? Nie możesz tam wejść?

- Tam już ktoś jest. Ten biedny zwierzak jest jej pupilkiem. Tylko jej słucha.

Jednorożec szedł za nimi, próbując obserwować oboje równocześnie.

- Co zrobimy, kiedy dojdziemy do mostu?

- Umiesz jeszcze pływać, co?

- Rzeka jest daleko w dole...

- Ale jest tam taka głęboka zatoczka. Nie pamiętasz? Nurkowałeś tam

kiedyś. Pewnej księżycowej nocy...

- Byłem wtedy młody i głupi.

- No to co? A teraz jesteś stary i głupi.

- Myślałem, że jednorożce są bardziej... puszyste.

- Patrz uważnie. Nie pozwól, żeby ogarnął cię urok. Musisz wiedzieć to, co masz przed oczami! To tylko wściekle wielki koń z rogiem na głowie! - rzuciła gniewnie babcia.

Jednorożec uderzył kopytem o ziemię.

Buty babci zgrzytnęły o powierzchnię mostu.

- Znalazł się tutaj przypadkiem i nie może wrócić - powiedziała. - Gdyby tu było tylko jedno z nas, już by atakował. Jesteśmy mniej więcej na środku mostu...

- Sporo śniegu spływa tą rzeką - mruknął z powątpiewaniem Ridcully.

- Rzeczywiście - zgodziła się babcia. - Spotkamy się przy jazie.

I zniknęła. Jednorożec, który usiłował dokonać wyboru między dwoma celami, został sam na sam z Ridcullym. Umiał liczyć do jednego.

Opuścił łeb.

Ridcully nigdy nie lubił koni; te zwierzęta, jego zdaniem, ledwie zachowywały normalność.

Gdy jednorożec zaatakował, mag przeskoczył balustradę i runął - bez szczególnej aerodynamicznej gracji - w lodowate wody Lancre.

Bibliotekarz lubił scenę. Zawsze siedział w pierwszym rzędzie na premierze każdego nowego przedstawienia w teatrach Ankh. Chwytne stopy pozwalały mu bić brawo dwa razy głośniejsze od innych, albo też - w razie potrzeby - skuteczniej ciskać łupinami orzeszków.

A teraz czuł się rozczarowany. W zamku prawie nie było książek, jeśli nie liczyć poważnych tomów o etykietach, hodowli zwierząt i zarządzaniu nieruchomościami. Członkowie rodów królewskich zwykle nie czytali wiele.

Nie oczekiwał, że Rozrywka dostarczy niezwykłych wrażeń. Zajrzał za płachtę służącą za garderobę i zobaczył kilku potężnie zbudowanych, kłócących się mężczyzn. Nie wróżyło to najlepiej wieczorowi teatralnych rozkoszy, choć zawsze istniała szansa, że jeden z nich trafi innego tortem w twarz[28].

Udało mu się zająć trzy fotele w pierwszym rzędzie. Nie całkiem było to zgodne z prawami pierwszeństwa, ale aż dziwne, jak wszyscy się odsuwali, żeby zrobić mu miejsce. Znalazł też orzeszki. Nikt nie wiedział, jak mu się to udaje.

- Uuk?

- Nie, dziękuję - odparł Myślak Stibbons. - Mani po nich wzdęcia.

- Uuk?

- Lubię posłuchać takiego, co lubi mówić! Hopsa! Trociny i melasa! Wsadź to w swojego śledzia, zanim go uwędzisz!

- Myślę, że on też nie chce orzeszka - zauważył Myślak.

Kurtyna poszła w górę, a w każdym razie została ściągnięta na bok przez piekarza Woźnicę.

Rozrywka się rozpoczęła.

Bibliotekarz patrzył w zapadającym zmierzchu. Niesamowite... Na ogół lubił źle wystawione sztuki, pod warunkiem że w powietrzu pozostawała dostateczna liczba tortów, ale ci ludzie nie potrafili nawet dobrze zagrać złej

gry. W dodatku nikt jakoś nie zabierał się do rzucania czymkolwiek.

Wyłowił z torby fistaszka i przetoczył go między palcami, patrząc znacząco na lewe ucho Krawca, drugiego tkacza. I nagle poczuł, że włosy mu się jeżą. Gdy się jest orangutanem, trudno tego nie zauważyć.

Spojrzał na wzgórze za niewprawnymi aktorami i warknął pod nosem.

- Uuk? - zapytał.

Myślak szturchnął go łokciem.

- Cicho bądź! - syknął. - Zaczynają się wczuwać... Głos tego w słomianej peruce brzmiał jakby z echem.

- Co on powiedział? - szepnął Myślak.

- Uuk!

- Jak to zrobiła? Niezła charakteryzacja, trzeba...

Umilkł.

Bibliotekarz poczuł się nagle całkiem samotny. Wszyscy widzowie wpatrywali się nieruchomo w trawiastą scenę. Bibliotekarz zamachał ręką przed twarzą Stibbonsa.

Powietrze nad pagórkiem falowało, a trawa po tej stronie poruszała się tak, że małpę bolały oczy.

- Uuk?

Nad wzgórzem, między niewielkimi głazami, zaczął padać śnieg.

- Uuk?!

Sama w komnacie, Magrat odpakowała ślubną suknię.

Jeszcze i to... Powinna jakoś uczestniczyć w szyciu ślubnej sukni. Przecież to ona miała... no, jeszcze niedawno miała ją nosić. Powinna przez całe tygodnie dobierać odpowiedni materiał, dodatki, potem zmienić zdanie, zmienić materiał, zmienić krój i znowu dodatki...

...choć oczywiście była kobietą niezależną i wcale nie potrzebowała takich głupstw...

...ale powinna mieć w tej sprawie wybór.

Suknia była z białego jedwabiu, ozdobiona gustowną ilością koronki. Magrat nie opanowała języka krawiectwa; wiedziała, co jest czym, nie miała tylko pojęcia, jak się co nazywa. Wszystkie te krezy, plisy, kliny i różne takie...

Przycisnęła suknię do ciała i obejrzała się krytycznie w niedużym zwierciadle na ścianie.

Po krótkiej chwili wewnętrznej walki poddała się i przymierzyła suknię. Przecież jutro jej nie włoży. Jeśli nie sprawdzi teraz, do końca życia będzie się zastanawiać, czy pasowała.

Pasowała. A raczej nie pasowała, ale w bardzo pochlebny sposób. Nieważne, jak dużo Verence za nią zapłacił - była tego warta. Szwaczka dokonała chytrych sztuczek z materiałem, tak że wcinął się tam, gdzie Magrat biegła całkiem prosto w górę i w dół, i wyrzusał się tam, gdzie Magrat nie.

Welon miał na opasce jedwabne kwiatki.

Nie rozplącę się znowu, powiedziała sobie Magrat. Będę zagniewana. Rozpalę ten gniew, aż będzie tak gorący, że zmieni się we wściekłość, i kiedy tu wrócą...

...to co?

Może spróbować lodowatej obojętności. Może przejść majestatycznie

między nimi - ta suknia się do tego nadaje. To ich nauczy.

Ale co potem? Nie może tu zostać, przecież wszyscy wiedzą. I odkryją, co z tym listem. Plotki biegły po Lancre szybciej niż terpentyna przez chorego osła.

Musi wyjechać. Może znajdzie jakieś miejsce, gdzie nie ma czarownic, i zacznie od początku... Chociaż w tej chwili jej opinia o czarownicach była taka, że Magrat wolałaby dowolne inne zajęcie - o ile w ogóle istnieją inne zajęcia dla eksczarownic.

Wyprostowała się z godnością. W takim stanie, jak w tej chwili, z goryczą wzbierającą w gardle niczym gejzer, stworzy nową profesję. Przy odrobinie szczęścia nie będzie mieć nic wspólnego z mężczyznami ani wścibskimi staruchami.

I zachowa ten nieszczęsny list, żeby nie zapomnieć.

Przez cały czas zastanawiała się, jak Verence zdołał przygotować wszystko na wiele tygodni przed jej powrotem - a to było takie proste. Wszyscy musieli się z niej naśmiewać...

Niani Ogg przyszło do głowy, że tak naprawdę powinna być teraz gdzie indziej, ale w jej wieku zaproszenia na romantyczną kolację przy świecach nie zdarzają się codziennie. Musi nastąpić taka chwila, kiedy człowiek przestaje się martwić resztą świata i dba trochę o siebie. Musi nadejść czas na spokojne życie wewnętrzne.

- Wściekle dobre to wino - stwierdziła, sięgając po następną butelkę. - Mówiłeś, że jak się nazywa? - Spojrzała na etykietę. - Chateau Maison? Chateau... to po zagranicznemu kocia woda, chociaż oni tylko tak mówią. Wiem, że to nie jest prawdziwa kocia woda. Prawdziwa kocia woda jest ostrzejsza.

Czubkiem noża wbiła korek do butelki, potem zatkała wylot palcem i

potrząsnęła solidnie, żeby „smak się wymieszał”.

- Chociaż nie podoba mi się picie z bucików dam - rzekła. -Słyszałam, że podobno tak się robi, ale nie rozumiem, co niby jest takiego wspaniałego, kiedy człowiek wraca do domu w butach pełnych wina. Nie jesteś głodny? Jeżeli nie chcesz tej chrząstki, ja ją zjem. Są jeszcze homary? Nigdy wżyciu nie jadłam homara. I tego majonezu. I tych małych jajeczek nadzianych różnymi rzeczami. Chociaż powiem szczerze, że dżem jeżynowy smakował rybą.

- To kawior - mruknął Casanunda.

Siedział z głową opartą na dłoni i obserwował nianię Ogg oczarowany. Ze zdumieniem odkrywał, że świetnie się czuje, choć nie jest w pozycji horyzontalnej.

Wiedział, jak powinna przebiegać taka kolacja. Należała do podstawowej broni w arsenale uwodziciela. Amoratrix była zmiękczana dobrym winem i kosztownymi, lecz lekkimi potrawami. Ważny był kontakt wzrokowy nad stołem i splatanie stóp pod nim. A także znaczące zjadanie gruszek, bananów i tak dalej. W ten sposób okręt pożądania kierował się wolno, lecz nieuchronnie do wygodnego doku.

Ale to była niania Ogg.

Niania Ogg doceniała dobre wino na swój własny sposób. Casanundzie nie przyszłoby do głowy, że ktoś może białe wino popijać porto tylko dlatego, że skończyła się butelka.

Co do jedzenia... cóż, także je doceniała. Casanunda nigdy dotąd nie widział takiej pracy łokci. Niani Ogg wystarczyło pokazać dobrą kolację, by ruszyła na nią z nożem, widelcem i młotem. Obserwowanie, jak je homara, było przeżyciem trudnym do zapomnienia. Obsługa przez parę tygodni będzie wydłubywać z desek kawałki szczypiec.

A szparagi... Mógłby zapewne próbować zapomnieć nianię Ogg rozprawiającą się ze szparagami, ale podejrzewał, że wspomnienia i tak powrócą.

To pewnie chodzi o czarownictwo, powiedział sobie. Czarownice zawsze bardzo dobrze wiedzą, czego chcą. Gdyby tak ktoś wspiał się na urwiska, pokonał rzeki, zjechał z gór, by Gycie Ogg przynieść pudełko czekoladek, wyjadłaby nugatowe z dolnej warstwy, zanimby zdążył zdjąć z butów raki. To jest to... Cokolwiek robi czarownica, robi to w stu procentach. Hubba-hubba!

- Będziesz jeszcze jadł krewetki? No to przesun tutaj talerz.

Spróbował dotknięcia stopą, żeby zachować kontrolę nad sytuacją, ale przypadkowe kopnięcie w kostkę jednym z podkutych butów niani przerwało te odruchowe zaloty.

Potem nastąpiła sprawa z cygańskim skrzypkiem. Z początku niania narzekała, że ktoś jej gra nad uchem, kiedy próbuje się skupić na jedzeniu, ale między kolejnymi daniami wyrwała biedakowi instrument, rzuciła smyczek do doniczki z kamelią, przestroila skrzypki na coś przypominającego banjo i odśpiewała Casanundzie trzy dziarskie strofy pieśni, którą - ponieważ był cudzoziemcem - nazwała Il porcupino nil sodomy est.

Potem wypila jeszcze wina.

Podziw Casanundy budziła też jej twarz. Kiedy niania Ogg się śmiała, twarz zmieniała się w masę zabawnych poziomych linii - a śmiała się często.

Prawdę mówiąc, Casanunda odkrywał właśnie, przez delikatną mgiełkę wina, że czuje się doskonale.

- Jak sądzę, nie ma pana Ogga? - zapytał w końcu.

- Ależ jest pan Ogg. Pochowaliśmy go całe lata temu. Nie było wyjścia, bo umarł.

- Życie samotnej kobiety musi być trudne...

- Okropne - przyznała niania, która nigdy nie ugotowała jedzenia ani nie chwyciła miotełki od dnia, gdy jej najstarsza córka była dość duża, by się tym zająć, i której przynoszono dziennie co najmniej cztery posiłki,

przygotowane przez zastraszone synowe.

- Szczególnie nocą musi doskwierać samotność - powiedział Casanunda, głównie z przyzwyczajenia.

- Jest przecież Greebo. Rozgrzewa mi stopy.

- Greebo?

- Kot. Czy podadzą jeszcze jakiś deser?

Później poprosiła o pustą butelkę, żeby zabrać trochę wina do domu.

Pan Brooks, pszczelarz, nalał do szprycy trochę zielonej, cuchnącej cieczy z rondla, zawsze bulgocącego w jego tajemnej szopie. Na ogrodowym murze pojawiły się gniazda os. Rankiem będą już kostnicami.

Zabawna rzecz z tymi pszczołami. Zawsze pilnują wejścia do ula i nawet zginą, by go bronić. Lecz osy potrafią znaleźć jakąś szczelinę w deskach od tyłu i ani się człowiek obejrzy, jak te smukłe dranie siedzą w środku i kradną. A pszczoły im pozwalają. Pilnują wejścia, ale kiedy już osy znajdą drogę do wnętrza, pszczoły nie wiedzą, co robić.

Na próbę wcisnął tłok. Strumień cieczy wystrzelił, zabulgotał i zostawił dymiącą plamę na podłodze.

Osy pięknie wyglądają, to prawda. Ale jeśli człowiek hoduje pszczoły, musi być wrogiem os.

W zamku trwało chyba jakieś przyjęcie. Niejasno sobie przypominał, że dostał nawet zaproszenie, ale takie imprezy nigdy go specjalnie nie interesowały. Zwłaszcza teraz. Działo się coś niedobrego: żaden z uli nie zdradzał oznak wyrojenia. Ani jeden.

Kiedy mijał ule, usłyszał głośne buczenie. Takie rzeczy zdarzały się w

gorące noce: bataliony pszczół unosiły się przy wejściach i skrzydełkami zagarniały powietrze, żeby ochłodzić jajeczka. Teraz jednak słyszał też bzykanie pszczół latających wokół ula. Były zagniewane. I czujne.

Na samej granicy Lancre zbudowano na rzece ciąg jazów. Babcia Weatherwax podciągnęła się na mokre deski i wdrapała na brzeg, gdzie wylała wodę z butów. Po chwili z prądem nadpłynął szpiczasty kapelusz maga; uniósł się, ujawniając pod sobą szpiczastego maga. Babcia wyciągnęła rękę, by pomóc Ridcully'emu wyjść z wody.

- Po wszystkim - rzekła. - Orzeźwiające, prawda? Tak mi się wydawało, że przyda ci się zimna kąpiel.

Ridcully próbował oczyścić ucho z mułu. Spojrzał na babcię ponuro.

- Dlaczego nie jesteś mokra?

- Jestem.

- Nie, nie jesteś. Jesteś wilgotna. A ja przemokłem do suchej nitki. Jak możesz płynąć z prądem i być tylko wilgotna?

- Szybko wysycham.

Babcia Weatherwax rozejrzała się dookoła. Niedaleko stąd stromy trakt prowadził do Lancre, ale babcia знаła też inne, bardziej dyskretne dróżki wśród drzew.

- No tak - mruknęła mniej więcej do siebie. - Ona nie chce dopuścić, żebym tam dotarła, tak? No to zobaczmy.

- Dokąd dotarła? - zdziwił się Ridcully.

- Nie jestem pewna. Wiemy tyle, że skoro ona nie chce, żebym tam doszła, tam właśnie pójdę. Chociaż nie spodziewałam się, że pojawisz się

nagle i krew ci napłynie do serca.

Ridcully wykręcił szatę - odpadła z niej duża część cekinów. Potem zdjął kapelusz i odkręcił czubek.

Nakrycie głowy przechwytuje vibracje morficzne. Swego czasu wiele problemów na Niewidocznym Uniwersytecie spowodował kapelusz byłego nadrektora, który wychwycił zbyt wiele magicznych vibracji, spędzając długie lata na magicznych głowach, i w końcu wykształcił własną osobowość. Ridcully zażegnał niebezpieczeństwo, zamawiając nowy kapelusz. Złożył szczegółową specyfikację w ankh-morporskiej firmie kompletnie obłąkanych kapeluszników.

Nie był to zwykły kapelusz maga. Niewielu magów w ogóle korzystało ze szpiczastego czubka - czasem tylko trzymali tam parę skarpet. Ale kapelusz Ridcully'ego mieścił w środku prawdziwe komody i krył liczne niespodzianki. Miał cztery teleskopowe nogi i zwój natłuszczonego jedwabiu tuż nad rondem, co pozwalało zmienić go w nieduży, ale wystarczający namiot. Miał wewnętrzne kieszenie z żelaznymi racjami na trzy dni. A czubek można było odkręcić, by nalać odpowiednią objętość napoju alkoholowego, do użytku w sytuacjach nadzwyczajnych - na przykład kiedy Ridcully poczuł pragnienie.

Wyciągnął mały, szpiczasty kieliszek w stronę babci.

- Brandy? - zaproponował.

- Co ty masz na głowie?

Ridcully delikatnie dotknął czaszki.

- Tego...

- Moim zdaniem pachnie to jak miód i końskie jabłka. A co to za dziwo?

Ridcully zdjął z głowy niewielką klatkę. Umocowano w niej nieduży pas transmisyjny i skomplikowaną kratownicę szklanych prętów. W klatce

siedziała mała, włochata, a obecnie całkiem przemoczona mysz.

- Och, to taki aparat, który wymyślili młodzi magowie - tłumaczył się zawstydzony Ridcully. - Powiedziałem im, że... że to dla nich wypróbuję. Sierść myszy ociera się o szklane pręty, powstają iskry, rozumiesz, i... i...

Babcia Weatherwax spojrzała na trochę niechlujne włosy nad-rektora i uniosła brew.

- Coś podobnego - mruknęła. - Co oni jeszcze wymyślą?

- Właściwie sam nie wiem, jak to działa. Stibbons się na tym zna. Ja tylko pomyślałem, że mogę im pomóc...

- Mieli szczęście, że akurat zacząłeś łysieć, co?

W mroku swej komnaty Diamanda otworzyła oczy - jeśli to były jej oczy. Lśniły perłowo.

Pieśń brzmiała dotąd na samym progu słyszalności.

Świat był inny. Niewielki fragment umysłu Diamandy pozostał z nią i wyglądał na zewnątrz poprzez mgły oczarowania. Świat pokrył się wzorem cienkich srebrzystych linii, poruszających się bezustannie, jakby wszystko przesłonił filigran - oprócz miejsc gdzie leżało żelazo. Tam linie gięły się, łamały i płątały. Tam świat stawał się niewidzialny.

Trzymaj się z dala od żelaza!

Wyśliznęła się z łóżka, przez róg koca chwyciła klamkę i otworzyła drzwi.

Shawn Ogg stał prawie na baczność.

W tej chwili strzegł zamku Lancre i sprawdzał, jak długo potrafi Stać na Jednej Nodze.

Przyszło mu do głowy, że nie jest to właściwa rozrywka dla artysty sztuki walki, więc zmienił ją na numer 19 - Kopnięcie Latającej Chryzantemy z Podwójnym Zejściem.

Po chwili uświadomił sobie, że coś słyszy. To coś było w przybliżeniu rytmiczne i przywodziło na myśl ćwierkanie konika polnego. Dobiegało z wnętrza zamku.

Odwrócił się ostrożnie, zachowując czujność, na wypadek gdyby zmasowane armie Zagranicznych Krajów próbowały dokonać inwazji akurat w chwili, kiedy stoi do nich plecami.

Sprawa wymagała przemyślenia. Nie po to stał na straży, żeby pilnować zamku przed czymś w środku, prawda? „Na straży” oznaczało pilnować przed czymś rzeczy z zewnątrz. Do tego przecież służą te wszystkie mury i w ogóle. Miał wielki plakat, który dodawali za darmo do każdego egzemplarza Jane's: Machiny oblężnicze świata. Wiedział, o czym mowa.

Nie należał do ludzi szybko myślących; jego myśli wolno, lecz nieuchronnie pobięły do lochu. Ale przecież elf był zamknięty. Shawn przekręcił klucz w zamku. I pełno tam było żelaza, a marna przecież bardzo stanowczo mówiła o żelazie.

Mimo to...

Podszedł do sprawy metodycznie. Podciągnął zwodzony most i opuścił bronę. Na wszelki wypadek wyjrzał jeszcze za mur, ale był tam tylko zmierzch i nocny wiatr.

Teraz Shawn niemal wyczuwał ten dźwięk. Zdawało się, że dochodzi z kamieni; miał zgrzytliwe brzmienie, które drażniło nerwy.

Nie mógł przecież się wydostać. Nie, to niemożliwe. Ludzie w końcu

nie budują lochów po to tylko, żeby można było się z nich wydostać.

Dźwięk przesunął się w górę i w dół po skali.

Shawn oparł o mur swoją zardzewiałą pikę i dobył miecza. Wiedział, jak go używać. Codziennie ćwiczył po dziesięć minut i marnie wyglądał worek siana, kiedy Shawn już z nim skończył.

Wsunął się do twierdzy tylną furtką i ostrożnie ruszył korytarzami do lochów. Nikogo nie zauważył. Oczywiście, wszyscy poszli na Rozrywkę. Wróć lada chwila i zacząć kręcić się wszędzie.

Zamek wydawał się wielki, stary i zimny.

Lada chwila...

Na pewno wróć...

Dźwięk ucichł.

Shawn wyjrzał zza rogu. Zobaczył stopnie i otwarte wejście do lochu.

- Stać! - krzyknął na wszelki wypadek.

Głos odbił się echem od kamiennych murów: ...ać... ać... ać...

Zszedł po stopniach i zajrzał przez drzwi.

- Ostrzegam! Uczę się Drogi Szczęśliwego Nefrytowego Lotosu! Drzwi do celi stały otworem. A obok nich postać w bieli. Shawn mrugnął.

- Czy to... czy to panna Tockley?

Uśmiechnęła się do niego. Oczy jej lśniły w słabym świetle.

- Nosisz kolczugę, Shawn. Z kapturem - powiedziała.

- Tak, panienko. - Znowu popatrzył na otwarte drzwi.

- To straszne. Musisz ją zdjąć, Shawn. Jak możesz słyszeć cokolwiek z tym wszystkim na uszach?

Shawn był nieprzyjemnie świadom pustej przestrzeni za sobą. Ale nie odważył się obejrzeć.

- Bardzo dobrze słyszę, panienko - zapewnił, próbując obrócić się tak, żeby mieć za plecami mur.

- Ale nie słyszysz naprawdę. - Diamanda podeszła bliżej. - Żelazo czyni cię głuchym.

Shawn nie był przyzwyczajony do młodych kobiet w cienkich koszulach, które zbliżają się do niego z rozmarzonym wyrazem twarzy. Nagle pożałował, że nie kształcił się w Drodze Szybkiego Odwrotu.

Zerknął w bok.

Wysoka chuda sylwetka stanęła w drzwiach otwartej celi. Stała ostrożnie, jakby chciała trzymać się jak najdalej od przedmiotów dookoła.

Diamanda uśmiechała się dziwnie.

Shawn rzucił się do ucieczki.

Las zmienił się jakoś. Ridcully był pewien, że w czasach jego młodości rosło tu pełno dzwonków, pierwiosnków, tych, no... dzwonków i czegoś jeszcze. Nie było wielkich ciernistych krzaków porastających całą okolicę. Czepiały się jego szaty, a raz czy dwa jakaś odmiana pnąca strąciła mu kapelusz. A co gorsza, Esme Weatherwax jakoś unikała kolców.

- Jak ci się to udaje?

- Po prostu stale wiem, gdzie się znajduję - wyjaśniła babcia.

- Tak? Ja też wiem, gdzie się znajduję.

- Nie, wcale nie wiesz. Ty tylko jesteś akurat obecny, a to nie to samo.

- A czy przypadkiem wiesz, gdzie się znajduje właściwa ścieżka?

- To jest skrót.

- Znaczy się skrót między dwoma miejscami, gdzie nie jesteś zagubiona?

- Mówiłam ci przecież, że wcale nie jestem zagubiona. Jestem tylko... kierunkowo upośledzona.

- Aha.

Ale musiał przyznać, że Esme Weatherwax miała w sobie coś takiego. Może się czasem gubiła, co - jak nie bez powodów podejrzewał - właśnie się zdarzyło, chyba że w lesie rosły dwa drzewa z identycznym układem gałęzi i na dodatek oddartym skrawkiem jego szaty wiszącym na jednej z nich. Mimo to prezentowała coś, co u każdej innej osoby, nie noszącej wytartego szpiczastego kapelusza i wiekowej czarnej sukni, można by nazwać opanowaniem. Opanowaniem absolutnym. Trudno było sobie wyobrazić Esme, która wykonuje nieporadne gesty - chyba że tego chce.

Zauważył to już przed laty, choć wtedy, oczywiście, przede wszystkim podziwiał sposób, w jaki jej ciało dopasowane jest do otaczającej je przestrzeni. I...

Znów coś go złapało.

- Zaczekaj!

- Zupełnie nieodpowiednie ubranie do lasu.

- Nie spodziewałem się, że będziemy wędrować po lesie. To jest kostium ceremonialny!

- No to go zdejmij.

- Ale skąd ludzie będą wtedy wiedzieli, że jestem magiem?

- Spokojnie, ja im powiem.

Babcia Weatherwax denerwowała się. A także - wbrew temu, co mówiła - gubiła się coraz bardziej. Problem jednak w tym, że nie można się zgubić między jazem pod progami na Lancre a samym miastem Lancre. Wystarczyło iść cały czas w górę. Poza tym chodziła przecież po okolicznych lasach przez całe życie. To były jej lasy.

Miała właściwie pewność, że minęli dwa razy to samo drzewo. Na gałęzi wisiał kawałek szaty Musturma.

To tak jak zgubić się we własnym ogródku.

Była także pewna, że parę razy dostrzegła jednoroźca. Tropił ich. Próbowала dostać się do jego umysłu, ale równie dobrze mogłaby się wspinać na lodową ścianę.

Co prawda jej własny umysł też nie był spokojny. Ale przynajmniej wiedziała teraz, że nie traci rozumu.

Kiedy mury między wszechświatami są cieńsze, kiedy równoległe pasma „jeżeli” splatają się razem, by przepłynąć przez „teraz”, pewne rzeczy mogą przeciekać. Minimalne sygnały, owszem, ale słyszalne dla wyćwiczonego odbiorcy.

W jej głowie sunęły słabe, uparte myśli tysiąca Esm Weatherwax.

Magrat nie była pewna, co powinna zapakować. Odkąd zjawiała się w zamku, większość jej oryginalnych ubrań jakoś wyparowała. A chyba nie byłoby grzecznie zabierać te, które kupił dla niej Verence. To samo dotyczyło pierścionka zaręczynowego. Nie wiedziała, czy ma prawo go zatrzymać.

Gniewnie spojrzała na siebie w lustrze.

Musi przestać myśleć w ten sposób. Miała wrażenie, że przez całe życie starała się nie rzucać w oczy, być grzeczna, przeproszać, kiedy ktoś ją potrącił... Starala się być uprzejma. I co osiągnęła? Ludzie traktowali ją, jakby nie rzucała się w oczy, była grzeczna i uprzejma.

Wetknie ten przeklęty list za ramę lustra, żeby wszyscy wiedzieli, dlaczego odeszła.

Właśnie postanowiła, że wyjedzie do jednego z tych niezwykłych dużych miast i zostanie kurtyzaną. Cokolwiek to słowo oznacza.

I nagle usłyszała śpiew.

Z całą pewnością był to najpiękniejszy dźwięk, jaki słyszała w życiu. Przepływał przez uszy wprost do tyłomózgowia, do krwi, do kości...

Jedwabna koszulka spłynęła z jej palców na podłogę.

Magrat szarpnęła drzwi, a niewielki, wciąż zdolny do racjonalnych myśli fragment umysłu przypomniał sobie o kluczu.

Pieśń wypełniała korytarz. Magrat chwyciła fałdy ślubnej sukni, żeby nie przeszkadzała w biegu, i ruszyła ku schodom...

Coś wypadło z komnaty po drodze, uderzyło w nią i powaliło na ziemię.

Był to Shawn Ogg. Przez kolorową mgiełkę widziała jego zatroskaną twarz, obramowaną zardzewiałym...

...żelazem.

Pieśń zmieniła się, choć pozostała taka sama. Złożone harmonie i fascynujący rytm nie uległy zmianie, ale nagle zazgrzytały, jakby słuchała ich przez cudze uszy.

Została wciągnięta przez drzwi.

- Nic się panience nie stało, panno królowo?

- Co się dzieje?

- Nie wiem, panno królowo. Ale myślę, że mamy tu elfy.

- Elfy?

- Dostały pannę Tockley. Bo ten... No, kiedy panienka wyjęła z jej łóżka żelazo...

- O czym ty mówisz, Shawn? Shawn był blady.

- Ten w lochu zaczął śpiewać, a one ją naznaczyły, więc teraz robi wszystko, co chcą...

- Shawn!

- A mama powiedziała, że nie zabijają, jeśli nie muszą. Nie od razu. Mają więcej zabawy, kiedy człowiek jeszcze żyje. Magrat patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Musiałem uciec! Ona próbowała zdjąć mi kaptur kolczugi! Musiałem ją zostawić, panienko! Rozumie mnie panienka?

- Elfy?

- Trzeba trzymać coś żelaznego, panienko! One nienawidzą żelaza!

Uderzyła go w twarz, raniąc sobie palce o kolczugę.

- Bredzisz, Shawn!

- One tam są, panienko! Słyszałem, jak opada zwodzony most! Są tam, my jesteśmy tutaj, a one nie zabijają, trzymają człowieka żywego...

- Baczność, żołnierzu!

Nic lepszego nie przyszło jej do głowy, ale chyba pomogło. Shawn

wziął się w garść.

- Posłuchaj - rzekła Magrat. - Wszyscy wiedzą, że tak naprawdę elfów już nie... - Umilkła. Zmrużyła oczy. - Wszyscy oprócz Magrat Garlick wiedzą, że jest inaczej, tak?

Shawn dygotał. Magrat chwyciła go za ramiona.

- Moja mama i pani Weatherwax mówiły, że panience nie wolno się dowiedzieć! - jęknął. - Powiedziały, że to sprawa czarownic! Tylko ich i nikogo innego.

- A gdzie są teraz, kiedy powinny przypilnować sprawy czarownic? Nie widzę ich jakoś. Może ty widzisz? Może stoją za drzwiami? Nie! Może schowały się pod łóżkiem? Dziwne, nie ma ich... Jestem tylko ja, Shawnie Ogg. I jeśli natychmiast nie powiesz mi wszystkiego, pożałujesz dnia, kiedy się urodziłeś.

Shawnowi grdyka podskakiwała nerwowo, kiedy rozważał sytuację. Potem strząsnął z ramion ręce Magrat i przyłożył ucho do drzwi.

Pieśń ucichła. Przez moment Magrat zdawało się, że słyszy na korytarzu szybkie, oddalające się kroki.

- No więc, panno królowo, nasza mama i pani Weatherwax były przy Tancerzach... Magrat słuchała. Wreszcie Shawn skończył.

- Gdzie teraz są wszyscy? - spytała.

- Nie wiem, panienko. Poszli na Rozrywkę... Ale powinni już wrócić.

- Gdzie jest ta Rozrywka?

- Nie wiem, panienko. Panno królowo...

- Tak?

- Dlaczego panienka ma na sobie ślubną suknię?

- Co cię to obchodzi?

- To zła wróżba dla pana młodego, jeśli przed ślubem zobaczy narzeczoną w sukni - oświadczył Shawn, w tradycyjnie powtarzanych idiotyzmach szukając ucieczki przed grozą.

- Będzie zła, jeżeli ja zobaczę go pierwsza - warknęła gniewnie Magrat.

- Panno królowo...

- Tak?

- Boję się, co się z nimi stało. Nasz Jason mówił, że wrócą za jakąś godzinę, a to było już dobre parę godzin temu.

- Przecież poszła tani prawie setka gości i prawie wszyscy z miasta. Elfy nic im nie mogą zrobić.

- Nie będą musiały. - Shawn podszedł do okna bez szyb. - Proszę posłuchać, panienko. Mogę stąd zeskoczyć na spichlerz przy stajni. To strzecha, nic mi się nie stanie. Potem przekradnę się obok kuchni i z wojskową precyzją za mur, przez tę furtkę przy osiowej wieży.

- Po co?

- Żeby sprowadzić pomoc.

- Ale przecież nie wiesz, czy jest tam jakaś pomoc do sprowadzania.

- A czy panienka ma lepszy pomysł? Nie miała.

- To... to bardzo odważne, Shawn - powiedziała.

- Panienka zostanie tutaj, a ja wrócę pewnie jak deszcz - obiecał Shawn. - A może... może bym zamknął drzwi i zabrał ze sobą klucz? Wtedy nawet jakby zaczęły na panienkę śpiewać, nie zmuszą panienki do otwarcia drzwi.

Magrat pokiwała głową.

Shawn spróbował się uśmiechnąć.

- Szkoda, że nie mamy drugiej zbroi - powiedział. - Ale wszystkie są w zbrojowni.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła go Magrat. - Idź już.

Shawn skinął głową. Odczekał chwilę na parapecie i skoczył w ciemność.

Magrat przysunęła łóżko do drzwi, usiadła na nim. Przyszło jej do głowy, że może też powinna iść. Ale to by znaczyło, że zamek zostanie pusty, co jakoś nie wydawało się właściwe.

Poza tym była wystraszona.

W komnacie miała jedną świecę, w dodatku do połowy wypaloną. Kiedy jej płomyk zgaśnie, zostanie tylko blask księżyca. Magrat zawsze lubiła blask księżyca - do teraz.

Na zewnątrz panowała cisza. A przecież powinien dochodzić tu gwar miasta.

Nagle wpadło jej do głowy, że może puszczenie Shawna z kluczem nie było najlepszym pomysłem. Bo przecież jeśli go złapią, mogą otworzyć...

Rozległ się krzyk i trwał długo...

A potem znowu opadła cisza nocy.

Po kilku minutach Magrat usłyszała jakieś skrobanie w okolicy zamka, jak gdyby ktoś usiłował wcisnąć klucz trzymany przez kilka warstw tkaniny, żeby przy tym nie dotknąć żelaza.

Drzwi zaczęły się otwierać, aż oparły się o łóżko.

- Czy wyjdiesz do nas, pani? Drzwi zatrzeszczały.

- Zatańczysz z nami, piękna pani?

W głosie brzmiały dziwne harmoniki, a przez kilka sekund po ostatnim słowie w umyśle wibrowało jeszcze echo.

Drzwi się otworzyły i trzy postacie wśliznęły się do komnaty. Jedna sprawdziła łóżko, a dwie pozostałe zajrzały we wszystkie ciemne kąty. Potem jedna z nich wychyliła się za okno.

Pokruszony mur opadał w dół aż do pokrytego strzechą dachu, całkiem pustego.

Postać machnęła do dwóch innych, stojących na dziedzińcu. Ich jasne włosy lśniły w blasku księżyca.

Jeden ze strażników na zewnątrz wskazał w górę, gdzie po murze twierdzy wspinała się inna postać w długiej, wydymanej wiatrem białej sukni.

Elf zaśmiał się głośno. Zapowiadała się jeszcze lepsza zabawa, niż się spodziewał.

Magrat przeciągnęła się przez parapet i zdyszana osunęła na podłogę. Dopiero po chwili wstała i chwiejnie podeszła do drzwi, w których nie tkwił klucz. Były za to dwie solidne drewniane sztaby, które wsunęła na miejsce.

Okno miało drewnianą okiennicę.

Drugi raz nie pozwolą jej na coś takiego. Oczekiwała strzały z łuku, ale nie - coś tak oczywistego nie byłoby zabawne.

Rozejrzała się w ciemności. A więc... trafiła do jakiegoś pokoju. Nie wiedziała nawet którego. Znalazła lichtarz ze świecą i pęczek zapalek. Po kilku próbach udało jej się zapalić świecę.

Obok łóżka leżało kilka pudeł i kufrów. Zatem - pokój gościnny.

Myśli ciekły jedna po drugiej przez milczący umysł.

Zastanawiała się, czy będą dla niej śpiewać i czy zdoła to wytrzymać za drugim razem. Może jeśli człowiek wie, czego ma się spodziewać...

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi.

- Mamy na dole twoich przyjaciół, pani. Wyjdź, zatańcz ze mną.

Magrat rozejrzała się zrozpaczona.

Pokój był taki sam, jak pokoje gościnne wszędzie. DzbANEK i miska na stojaku, okropna wnęka garderoby, nie do końca zakryta zasłoną, łóżko, na które ktoś rzucił kilka toreb i tobołów, porysowane krzesło, z którego zszedł już cały lakier, i mały kwadrat dywanu, szarego ze starości i od wżartego we włókna kurzu.

Drzwi się poruszyły.

- Wpuść mnie, słodka pani.

Okno tym razem nie nadawało się do ucieczki. Mogła się schować pod łóżkiem, ale to pomoże na jakieś dwie sekundy...

Jakaś straszliwa magia ściągała jej wzrok ku ukrytej za zasłoną garderobie.

Magrat uniosła klapę. Szyb był wystarczająco szeroki, by zmieściło się tam ciało. Garderoby były z tego znane. Niejeden niepopularny władca kończył swój żywot właśnie w garderobie, z rąk skrytobójcy uzdolnionego we wspinaczce, z włóczęgią i fundamentalistycznym podejściem do polityki.

Coś mocno uderzyło w drzwi.

- Czy mam zaśpiewać dla ciebie, pani? Magrat podjęła decyzję.

W końcu ustąpiły zawiasy; skorodowane ćwieki przestały się trzymać kamienia.

Na wpół odsunięta zasłona wnąki kołysała się w przeciagu. Elf uśmiechnął się, podszedł i szarpnął ją na bok.

Dębowa klapa była podniesiona.

Elf zajrzał do szybu.

Magrat uniosła się za nim niczym białe widmo i mocno trafiła go w kark krzesłem, które złamało się od uderzenia.

Elf próbował odwrócić się i utrzymać równowagę, lecz w ręku Magrat pozostało dostatecznie dużo krzesła, żeby trafić go jeszcze solidnie z drugiej strony. Przewrócił się do tyłu i rozpaczliwie sięgnął po klapę, ale udało mu się tylko zatrzasnąć ją za sobą. Magrat usłyszała uderzenie i wrzask wściekłości, gdy leciał w cuchnącą ciemność. Trudno raczej liczyć, że upadek go zabije - w końcu wyląduje przecież na czymś miękkim.

- Nie tylko wysoko - powiedziała do siebie - ale jeszcze śmierdzi.

Kryjówka pod łóżkiem jest dobra na jakieś dwie sekundy, ale czasami te dwie sekundy wystarczają.

Wypuściła z dłoni resztki krzesła. Trzęsała się cała... ale nadal żyła i było to przyjemne uczucie. Tak już jest z życiem - człowiek żyje, żeby się nim cieszyć.

Wyjrzała na korytarz.

Nie powinna tkwić w jednym miejscu. Podniosła więc odłamaną nogę krzesła, dającą słabe poczucie pewności, i wyszła.

Od strony głównego holu znowu rozległ się krzyk.

Magrat spojrzała w przeciwnym kierunku, ku Długiej Galerii. Pobieгла. Gdzieś musi być przecież wyjście, niestrzeżona furtka czy okno...

Jakiś przedsiębiorczy monarcha już dawno nakazał oszklić wszystkie okna. Światło księżyca wpadało przez nie wielkimi srebrzystymi blokami poprzedzielanymi przez czarne prostokąty. Magrat biegła nieskończonym

korytarzem przez światło, cień, światło, cień... Monarcha za monarchą przepływał obok, jak w przyspieszonym filmie. Król za królem, z bokobrodami, koronami i brodami. Królowa za królową, z kwiatkami, sztywnymi gorsetami, z kłapodziobymi jastrzębiami, pieskami i...

Jakiś kształt, złudzenie w słabym świetle, jakiś wyraz na mijanej twarzy przebił się przez pokrywę zgrozy i zwrócił uwagę Magrat.

Tego portretu nigdy jeszcze nie widziała. Nigdy jeszcze nie dotarła tak daleko. Idiotycznie znudzone miny zebranych tu królowych wpędzały ją w depresję. Ale ta...

Ta jedna w jakiś sposób do niej przemówiła.

Magrat zatrzymała się.

Ten portret nie mógł być namalowany z żywego modelu. Za czasów tej królowej jedyną lokalnie znaną farbą był rodzaj błękitu, używany właściwie wyłącznie na ciele. Ale kilka pokoleń temu król Lully I okazał się w pewnej mierze historykiem i romantykiem. Przestudiował wszystko, co było wiadomo o przeszłości Lancre, a gdzie materialne zapisy były zbyt skąpe, w najlepszych tradycjach historyków etnicznych wnioskował z ujawnionych, oczywistych zjawisk[29] i ekstrapolował ze źródeł związanych z badaną tematyką[30]. Zamówił też portret królowej Ynci Gwałtownej, jednej z założycielek królestwa.

Miała na głowie hełm ze skrzydełkami i kolcem, i masę czarnych włosów zaplecionych w cienkie warkoczyki, z krwią zamiast pomady. Stosowała ostry makijaż w popularnym barbarzyńskim stylu kosmetycznym: urzet, krew i spirale. Miała też półpancerz z miseczkami rozmiar D-105 i naramienniki z kolcami, a także kolczaste nakolanniki, sandały z kolcami i krótką spódniczkę w modny deseń tartanu i krwi. Jedną jej dłoń spoczywała nonszalancko na podwójnym toporze z kolcem, druga gładziła rękę pojmanego wrogiego wojownika. Reszta pojmanego wrogiego wojownika zwisała z gałęzi kilku sosen w tle. Na obrazie przedstawiono też Kolca, jej ulubionego kucyka bojowego z wymarłej już całkiem odmiany górskich lancrańskich, charakteryzujących się wyglądem i ogólnym charakterem beczki prochu, oraz jej wojenny rydwan, też wykończony zgodnie z

dominującym deseniem kolców. Miał koła, którymi można by się golić.

Magrat patrzyła nieruchomo.

O tym nikt jej nie powiedział.

Mówili o gobelinach, o haftach, o krynolinach i jak podawać rękę książętom. Nikt ani słowem nie wspomniał o kolcach.

Na końcu galerii rozległy się jakieś głosy - z kierunku, skąd przyszła. Uniosła suknię i pobiegła.

Za sobą słyszała kroki i śmiech.

W lewo, krużgankiem, potem ciemnym korytarzem ponad kuchnią, obok...

Jakiś kształt przesunął się w mroku. Błysnęły zęby. Magrat uniosła nogę od krzesła, zamachnęła się i znieruchomiła.

- Greebo?

Kot niani Ogg otarł się o jej nogi. Uszy położył po sobie, co wystraszyło Magrat jeszcze bardziej. Przecież to Greebo, bezsporny władca całej kociej populacji Lancre i ojciec większej jej części. Greebo, w którego obecności wilki chodziły na paluszkach, a niedźwiedzie uciekały na drzewa. Był przerażony.

- Chodź tu, ty nieszczęsny wariacie!

Chwyciła go za skórę na karku i pobiegła dalej. Greebo z wdzięcznością wbił jej w rękę pazury[31] aż do kości i wdrapał się na ramię.

Musiała dotrzeć w okolice kuchni, gdyż tam właśnie leżały tereny Greeba - nieznane, mroczne terytoria, gdzie znikwały tkanki dywanów i gipsowych kolumn, odsłaniając kamienny kościec zamku.

Była pewna, że słyszy za sobą kroki - bardzo szybkie i lekkie.

Jeśli zaraz skręci za róg...

Greebo na jej ramieniu napiął się jak sprężyna. Magrat znieruchomiała.

Za następnym rogiem...

Jakby bez jej woli, ręka trzymająca kawał drewna uniosła się i cofnęła z wolna.

Magrat przesunęła się do rogu i pchnęła jednocześnie. Rozległ się tryumfalny syk, zastąpiony bolesnym wrzaskiem, kiedy drewno przejechało po szyi przyczajonego elfa. Zatoczył się do tyłu. Szlochając niemal z przerażenia, Magrat skoczyła do najbliższych drzwi i szarpnęła za klamkę. Otworzyły się. Wskoczyła do wnętrza, zatrzęsnęła je za sobą, w ciemności wymacała sztaby. Usłyszała, jak ze szczękiem opadają na miejsca. Wtedy dopiero osunęła się na kolana.

Coś uderzyło w drzwi od zewnątrz.

Po chwili Magrat otworzyła oczy, niepewna, czy rzeczywiście otworzyła oczy, ponieważ ciemność pozostała tak samo ciemna jak przedtem. Przed sobą wyczuwała przestrzeń. W zamku były różne pomieszczenia, dawne ukryte cele... Przed nią mogła czaić się przepaść, mur, cokolwiek... Wymacała futrynę, podniosła się ostrożnie i wyciągnęła rękę mniej więcej w kierunku ściany.

Była tam półka. Na półce świeca. I pęczek zapalek.

Czyli, przekonywała samą siebie do wtóru bijącego głośno serca, ktoś niedawno był w tym pokoju. Większość mieszkańców Lancre wciąż używała hubki i krzesiwa; tylko król mógł sobie pozwolić na sprowadzanie zapalek aż z Ankh-Morpork. Babcia Weatherwax i niania Ogg też je miały, ale one nie musiały kupować. Dostawały je. Łatwo jest dostawać różne rzeczy, kiedy się jest czarownicą.

Magrat zapaliła ogarek świecy i odwróciła się, by sprawdzić, w jakim pomieszczeniu się schroniła.

No nie...

- Coś podobnego - odezwał się Ridcully. - Znajome drzewo.

- Cicho bądź!

- Miałem wrażenie, jakby ktoś tu mówił, że mamy tylko podejść kawałek w górę.

- Cicho bądź!

- Pamiętam, kiedy byliśmy w tym lesie, pozwoliłaś... Babcia Weatherwax usiadła na pniu.

- Ktoś płacze drogi - stwierdziła. - Bawi się sztuczkami.

- Pamiętam taką bajkę o dwójce dzieci, które zabłądziły w lesie. Przyleciało do nich mnóstwo ptaków i przykryło je liśćmi. - Nadzieja pojawiła się w jego głosie niczym duży palec sterczący spod krynoliny.

- Bo rzeczywiście tylko durne ptaki mogły wpaść na taki pomysł. - Babcia drapała się w głowę. - Ona to robi - orzekła. - To elfia sztuczka: prowadzić wędrowców na manowce. Ona miesza mi w głowie. W mojej własnej głowie! Przyznaję, dobra jest. Idziemy tam, gdzie ona chce. Chodzimy w kółko. I robi to mnie!

- Może zajęta jesteś myślami o czymś innym - odpowiedział Ridcully, nie całkiem jeszcze rezygnując z nadziei.

- Oczywiście, że myślę o czymś innym, skoro ty wiecznie się przewracasz i gadasz bez sensu. Gdyby pewnego sprytnego maga nie naszła ochota, żeby odgrzebywać sprawy, które w ogóle nigdy nie istniały, nie byłoby mnie tutaj. Byłabym w samym centrum zdarzeń i wiedziałabym, co się dzieje. - Zacisnęła pięści.

- Przecież wcale nie musisz. Jest piękna noc. Możemy tu posiedzieć i...

- Na ciebie też to działa - zauważyła babcia. - Całe te marzenia-wspomnienia, spojrzenie przez zatłoczoną salę i w ogóle. Nie mam pojęcia, jak udaje ci się zachować stanowisko szefa magów.

- Głównie sprawdzając wieczorem łóżko i pilnując, żeby ktoś inny spróbował wcześniej trochę tego, co mam zamiar zjeść - wyjaśnił z rozbijającą szczerością Ridcully. - To naprawdę nie takie trudne. Polega przede wszystkim na podpisywaniu różnych papierów. I trzeba mieć mocny głos...

Poddał się w końcu.

- Ale naprawdę byłaś zaskoczona, kiedy mnie zobaczyłaś - stwierdził. - Całkiem zbladłaś na twarzy.

- Każdy by zbladł, gdyby zobaczył dorosłego mężczyznę wyglądającego jak owca, która właśnie ma się udławić.

- Nie ustąpisz, co? Zdziwiałeś. Nie popuścisz ani trochę. Liść spłynął w dół. Ridcully nawet nie drgnął.

- A wiesz - powiedział całkiem spokojnym głosem. - Albo jesień w tych stronach przychodzi wcześniej, albo tutejsze ptaki to właśnie te z bajki, o której mówiłem, albo ktoś siedzi na drzewie nad nami.

- Wiem.

- Wiesz?

- Tak, ponieważ uważałam, kiedy ty pędziłeś na złamanie karku szlakiem wspomnień. Jest ich co najmniej pięciu, i to dokładnie nad nami. Jak tam te twoje magiczne palce?

- Myślę, że dałbym radę wystrzelić kulę ognistą.

- Nie podziała. Możesz nas stąd zabrać?

- Nie oboje.

- Tylko siebie?

- Prawdopodobnie, ale nie zostawię cię samej. Babcia przewróciła oczami.

- Wiesz, to prawda - powiedziała. - Wszyscy mężczyźni są jak ła-będzie. Uciekaj stąd, cikliwy mięczaku. Oni nie chcą mnie zabijać. Przynajmniej na razie. Ale przecież nic nie wiedzą o magach, więc załatwią cię bez namysłu.

- I kto tu jest cikliwy?

- Nie chcę widzieć, jak umierasz, kiedy mógłbyś zrobić coś po-żytecznego.

- Ucieczka nie jest pożyteczna.

- O wiele bardziej niż pozostawanie tutaj.

- Gdybym oszedł, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

- A ja nigdy ci nie wybaczę, jeśli zostaniesz, a jestem bardziej pamiętliwa od ciebie - ostrzegła babcia. - Kiedy już będzie po wszystkim, spróbuj odszukać Gythę Ogg. Powiedz, żeby zajrzała do mojego pudełka. Będzie wiedziała, co tam jest. A jeśli zaraz nie znikniesz...

Strzała wbiła się w pień obok Ridcully'ego.

- Ci dranie do mnie strzelają! - zawołał. - Gdybym tu miał swoją kuszę...

- Na twoim miejscu poszłabym po nią - poradziła babcia.

- Słusznie! Za moment będę z powrotem! Ridcully zniknął. Po chwili kilka wyrwanych z zamkowych murów brył opadło na ziemię z przestrzeni, którą przed chwilą zajmował.

- Przynajmniej o niego nie muszę się martwić - rzekła babcia, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Wstała i rozejrzała się dookoła.

- W porządku - powiedziała. - Jestem tutaj. Nie uciekam. Przyjdźcie po mnie. Jestem. Jestem tu cała.

Magrat uspokoiła się trochę. Oczywiście, że istniała. Musiała być w każdym zamku. I oczywiście, że była używana. Wydeptana w kurzu ścieżka prowadziła do wieszaka o kilka stóp od drzwi, gdzie na kołkach wisiały nadprute kolczugi. Obok stały piki.

Shawn bywał tu pewnie co dzień.

Greebo zeskoczył z ramienia Magrat i ruszył przesłoniętymi pajęczyną zaułkami w nieustającym poszukiwaniu czegoś małego i piszczącego.

Magrat szła za nim oszołomiona.

Królowie Lancre nigdy niczego nie wyrzucali. A przynajmniej nie wyrzucali nic, czym dało się kogoś zabić.

Były tu zbroje dla ludzi. Były zbroje dla koni. Były zbroje dla psów bojowych. Były nawet zbroje dla kruków, choć plan króla Gurnta Głupkowatego, by stworzyć powietrzną grupę uderzeniową, nigdy tak naprawdę nie wystartował. Dalej znalazła następne piki, a także miecze, jatagany, rapiery, szpady, szable, cepy, morgensterny, maczugi, buławy i wielkie kule z kolcami. Wszystkie leżały na stosach, a w miejscach, gdzie przeciekał dach, rdza zmieniała je w bryły żelaza. Były też długie łuki, krótkie łuki, kusze ciężkie, ręczne i pistoletowe, rzucone z lekceważeniem niczym drewno na opał. Różne kawałki pancerzy także leżały bezładnie, czerwone teraz od rdzy. Właściwie rdza pokrywała tu wszystko. Całe wielkie pomieszczenie wypełniała śmierć żelaza.

Magrat szła niczym nakręcana zabawka, która nie zmienia kierunku,

dopóki nie wpadnie na przeszkodę.

Świeca odbijała się mgliście w hełmach i napierśnikach. Najstraszniej wyglądały zbroje dla koni na gnijących drewnianych ramach - stały niczym zewnętrzne szkielety i jak szkielety skłaniały umysł do myśli o śmiertelności. Puste oczodoły nieruchomo obserwowały drobną postać w kręgu światła.

- Pani?

Głos dobiegał zza drzwi, daleko za plecami Magrat. Ale echa odezwały się wokół niej, odbijane od stuleci gnijącej broni.

Nie mogą tu wejść, pomyślała. Za dużo żelaza. Tutaj jestem bezpieczna.

- Jeśli piękna pani ma ochotę na zabawę, przyprowadzimy jej przyjaciół.

Magrat odwróciła się. Światło padło na coś błyszczącego. Odsunęła na bok wielką tarczę.

- Pani? Wyciągnęła rękę.

- Pani?

Dłoń natrafiła na zardzewiały hełm ze skrzydełkami.

- Chodź, pani, zatańcz na weselu.

Jej palce mocno chwyciły obficie wyposażony napierśnik z kolcami.

Greebo, który ścigał myszy przez leżącą na brzuchu zbroję, wystawił głowę z pancernej nogawki.

Nadeszła przemiana, dostrzegalna w oddechu Magrat, która do tej chwili dyszała szybko, ze strachu i ze zmęczenia. Teraz, przez kilka sekund, jej oddechu nie było w ogóle słychać. Potem wrócił: powolny, głęboki, równy.

Greebo zobaczył, że Magrat - którą zawsze uważał za coś w rodzaju myszy w ludzkiej postaci - podnosi kapelusz ze skrzydełkami i wkłada go sobie na głowę.

Magrat wiedziała o mocy nakryć głowy. W myślach słyszała już turkot rydwanów bojowych.

- Pani? Przyprowadzimy twoich przyjaciół, żeby dla ciebie zaśpiewali.

Odwróciła się. Odbicie płomyka świecy zaiskrzyło jej w oku.

Greebo wycofał się do bezpiecznej zbroi. Pamiętał, jak kiedyś wyskoczył znienacka na lisicę. Zwykle rozprawiał się z lisami bez szczególnego wysiłku, ale ta samica miała młode. Odkrył to, dopiero kiedy pogonił za nią do nory. Stracił kawałek ucha i sporo sierści, zanim udało mu się wyrwać.

Lisica miała wyraz mordki bardzo podobny do tego, jaki zobaczył u Magrat.

- Greebo! Chodź tu, kotku!

Kot odwrócił się i zaczął szukać bezpiecznego miejsca pod napierśnikiem zbroi. Wątpił, czy uda mu się przetrwać.

Elfy grasowały po ogrodach. Pozabijały ryby w ozdobnej sadzawce - nie od razu.

Pan Brooks stał na kuchennym stołku i pracował przy szczelinie w ścianie stajni. Zdawał sobie sprawę z pewnego poruszenia w zamku, ale dotyczyło ono ludzi, zatem nie było szczególnie ważne. Zauważył jednak zmianę tonu uli i trzaski łamanego drewna.

Ul leżał już przewrócony. Rozgniewane pszczoły krążyły wokół trzech intruzów rozdeptujących plastry, miód i młode.

Śmiech elfów urwał się nagle, gdy wyrosła przed nimi postać w białym płaszczu i masce. Uniosła długą metalową rurę.

Nikt nie wiedział, co pan Brooks wlewa do swojej szprycy. Był tam stary tytoń, wygotowane korzenie, ścinki kory i zioła, o których nawet Magrat nie słyszała. Z rury wystrzeliła nad żywopłotem lśniąca struga, która trafiła środkowego elfa między oczy i rozprysnęła się na dwa pozostałe.

Pan Brooks patrzył obojętnie, dopóki nie ustały ich drgawki. - Osy - mruknął.

Potem znalazł pudło z narzędziami i z wielką troską, nie dbając o użądlenia, zaczął naprawiać połamane ramki.

Shawn nie miał już właściwie czucia w ręce - tylko ten tępy, gorący ból, który sugerował, że ma złamaną przynajmniej jedną kość. Wiedział też, że jego dwa palce nie powinny tak wyglądać. Pocił się, choć został jedynie w koszuli i kalesonach. Nie należało zdejmować kolczugi, ale trudno odmówić, kiedy elf mierzy do człowieka z łuku. Shawn wiedział coś, z czego wielu ludzi szczęśliwie nie zdaje sobie sprawy - że kolczuga nie stanowi zbyt trudnej przeszkody dla strzały. Zwłaszcza jeśli ta strzała celuje prosto między oczy.

Pociągnęli go korytarzami aż do zbrojowni. Elfów było co najmniej cztery, choć z trudem rozpoznawał ich twarze. Pamiętał, jak kiedyś przybyła do Lancre wędrowną Laterna Magiczna. Oglądał wtedy oczarowany różne obrazki rzucane na jedno z prześcieradeł niani Ogg. Twarze elfów przypominały mu tamto doświadczenie: gdzieś tkwiły oczy i usta, ale wszystko inne zdawało się chwilowe; rysy i wygląd przepływały po nich jak tamte obrazki po prześcieradle.

Niewiele mówiły. Za to często się śmiały. Były wesołym ludem, zwłaszcza kiedy wykręcały człowiekowi rękę, żeby sprawdzić, jak daleko się wygnie.

Przez chwilę rozmawiały we własnym języku. W końcu jeden z nich zwrócił się do Shawna, wskazując drzwi zbrojowni.

- Chcemy, żeby piękna pani wyszła do nas - wyjaśnił. - Musisz jej powiedzieć, że jeżeli nie wyjdzie, pobawimy się z tobą jeszcze trochę.

- A co z nami zrobicie, jeśli wyjdzie? - zapytał Shawn.

- Och, i tak się z tobą pobawimy. Dlatego to jest takie śmieszne. Ale ona musi mieć nadzieję, prawda? Pomów z nią. Teraz.

Pchnęli go do drzwi. Zastukał w sposób - miał nadzieję - pełen szacunku.

- Ehm... Panno królowo?

- Słucham - odpowiedział mu stłumiony głos Magrat.

- To ja, Shawn.

- Wiem.

- Stoję przed drzwiami. Hm. Myślę, że oni zranili pannę Tockley. Hm. Powiedzieli, że mnie zranią bardziej, jeśli panna królowa nie wyjdzie. Ale niech panna królowa nie wychodzi, oni nie mogą tam wejść przez to całe żelazo. Dlatego na miejscu panny królowej bym ich nie słuchał.

Usłyszał dalekie szczęknięcia i cichy brzęk, jakby struny.

- Panno Magrat!

- Zapytaj ją - polecił elf- czy ma tam wodę i jedzenie.

- Panno królowo, oni mówią...

Jeden z elfów odsunął go szarpnięciem. Dwa stanęły po obu stronach drzwi, a trzeci przyłożył do drewna swe szpiczaste ucho. Po chwili uklęknął i zajrzał przez dziurkę od klucza. Cały czas pilnował, żeby nie dotknąć żelaza zamka.

Zabrzmiął dźwięk - nie głośniejszy niż trzask klucza. Elf przez chwilę trwał nieruchomo, po czym przewrócił się wolno, nie wydając z siebie głosu.

Shawn zamrugał.

Z oka elfa sterczał jakiś cal bełtu z kuszy. Pióra były ścięte po przelocie przez dziurkę od klucza.

- Łoj - powiedział Shawn.

Drzwi zbrojowni się otworzyły. Za nimi była tylko ciemność.

Jeden z elfów wybuchnął śmiechem.

- I już po nim - stwierdził. -Jaki głupi... Pani! Czy posłuchasz swojego wojownika?

Chwycił Shawna za złamaną rękę i wykręcił.

Shawn próbował nie krzyczeć. Fioletowe gwiazdki zapalały mu się przed oczami. Zastanawiał się, co będzie, jeśli straci przytomność.

Żałował, że nie ma przy nim mamy.

- Pani - odezwał się elf. -Jeśli...

- Dobrze - przerwał mu głos Magrat z ciemności. - Wyjdę. Ale musicie obiecać, że nie zrobicie mi krzywdy.

- Ależ oczywiście, pani.

- I puścicie Shawna.

- Tak.

Elfy po obu stronach drzwi skinęły sobie głowami.

- Proszę...

- Tak.

Shawn jęknął. Gdyby tu była mama albo pani Weatherwax, walczyłyby do końca. Mama miała rację - Magrat to taka miła, czuła osoba, która...

...która przed chwilą wystrzeliła z kuszy przez dziurkę od klucza.

Jakiś ósmy zmysł kazał mu przesunąć ciężar ciała. Jeśli tylko elf choć na sekundę osłabi uchwyt, Shawn będzie gotów się zatoczyć.

Magrat stanęła w progu. Trzymała w rękach stare drewniane pudełko z wymalowanym łuszczącą się farbą słowem „Świece”.

Shawn rozejrzał się z nadzieją po korytarzu.

Magrat uśmiechnęła się promiennie do stojącego obok elfa.

- To dla ciebie - powiedziała i wręczyła mu pudełko. Elf wziął je odruchowo. - Ale nie możesz go otwierać. I pamiętaj, obiecałeś, że nie zrobicie mi krzywdy.

Dwa elfy zbliżyły się od tyłu do Magrat. Jeden z nich uniósł rękę z kamiennym nożem.

- Pani... - odezwał się elf trzymający pudełko. Poruszało się lekko w jego rękach.

- Słucham? - spytała potulnie Magrat.

- Okłamałem cię.

Nóż uderzył ją w plecy.

I pękł.

Elf spojrzał na niewinną twarz Magrat, po czym otworzył pudełko.

Greebo spędził we wnętrzu irytujące dwie minuty. Technicznie rzecz biorąc, kot zamknięty w pudle może być żywy albo martwy. Nigdy nie

wiadomo, dopóki nie zajrzy się do środka. W istocie sam fakt otwarcia pudła określa stan kota, chociaż w tym przypadku były trzy stany deterministyczne, w jakich kot mógł się znaleźć: Żywy, Martwy i Piekielnie Wściekły.

Shawn odskoczył na bok - Greebo eksplodował jak mina claymore.

- Nie przejmuj się nim - powiedziała w zadumie Magrat, gdy elf próbował się opędzać od rozwścieczonego zwierza. - To tylko duży pieszczoł.

Z fałd sukni wyjęła nóż, odwróciła się i wbiła go w elfa za sobą. Nie było to precyzyjne pchnięcie, ale nie musiało - nóż miał żelazne ostrze.

Dokończyła obrotu, zalotnie unosząc skraj sukni i kopiąc trzeciego elfa tuż pod kolanem.

Shawn dostrzegł błysk metalu, gdy jej stopa cofała się pod jedwab.

Uderzeniem łokcia odepchnęła na bok wrzeszczącego elfa, pobiegła do zbrojowni i wróciła z kuszą.

- Shawn, który cię skrzywdził?

- Wszyscy - odparł słabym głosem. - Ale ten walczący teraz z Greebem pchnął nożem pannę Diamandę.

Elf zdarł sobie Greeba z twarzy. Zielononiebieska krew spływała z kilku ran, a kot wbił się pazurami w rękę, gdy elf uderzał nim o ścianę.

- Przestań! - rozkazała Magrat. Elf spojrzał na kuszę i zamarł.

- Nie będę błagał o litość - oświadczył.

- To dobrze - pochwaliła go Magrat i wystrzeliła.

Pozostał już tylko jeden. Przetaczał się po kamiennej posadzce i oburącz ścisnął kolano.

Magrat z gracją przestąpiła nad ciałem innego elfa, wyszła do

zbrojowni i wróciła z toporem.

Elf znieruchomiał i obserwował ją czujnie.

- Wiesz - powiedziała tonem pogawędki - nie zamierzam cię okłamywać co do twoich szans, bo nie masz żadnych. Chcę zadać ci kilka pytań. Ale przede wszystkim muszę cię skłonić do koncentracji.

Elf oczekiwał ataku, więc zdołał się jakoś odtoczyć, a topór skruszył kamienie.

- Panno królowo - odezwał się słabo Shawn, gdy Magrat zamachnęła się po raz drugi.

- Tak?

- Mama mówiła, że one nie czują bólu, panno królowo.

- Nie? Ale z pewnością bywa im niewygodnie. - Opuściła topór. - Są na przykład zbroje. Moglibyśmy wsadzić go w zbroję. Co ty na to?

- Nie! - Elf próbował odczołgać się pod ścianę.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Magrat. - To chyba lepsze niż topór.

- Nie!

- Dlaczego?

- To jak być pogrzebanym w ziemi - syknął elf. - Nie ma oczu, nie ma uszu, nie ma ust.

- No to kolczuga.

- Nie!

- Gdzie jest król? Gdzie są wszyscy?

- Nie powiem.

- Jak chcesz.

Magrat znowu zniknęła w zbrojowni i wróciła, ciągnąc za sobą kolczugę.

Elf usiłował odsunąć się jak najdalej.

- Nie włożysz mu tego, panno królowo - ostrzegł Shawn z miejsca, gdzie leżał. - Nie przeciągniesz mu tego przez ręce. Magrat podniosła topór.

- Och, nie - jęknął Shawn. - Panno królowo!

- Nigdy go nie odzyskasz - oznajmił elf. - Ona go ma.

- Zobaczymy- odparła Magrat. - No dobrze, Shawn... Co z tym czymś zrobimy?

W końcu zawlekli elfa do składu obok zbrojowni i przykuli do kraty w oknie. Ciągłe jeszcze skamlał od dotyku żelaza., gdy Magrat zatrzęsnęła drzwiami.

Shawn zachowywał pełen szacunku dystans, bo Magrat wciąż się uśmiechała.

- Powinniśmy opatrzyć twoją rękę - stwierdziła.

- Nic mi nie jest. Ale w kuchni pchnęli nożem Diamandę.

- To jej krzyk słyszałam?

- Uhm. Częściowo. Hm. - Patrzył zafascynowany na martwe elfy. Magrat przestąpiła nad nimi.

- Zabiłaś je, panno królowo - stwierdził.

- Czy postąpiłam źle?

- Eee... nie - zapewnił ostrożnie Shawn. - Bardzo... bardzo dzielnie panna królowa się zachowała.

- Jest jeszcze jeden w dziurze. No wiesz, w tej w garderobie... Jaki dziś dzień?

- Wtorek.

- A czyścisz tam kiedy?

- W środy. Tylko w ostatnią środę nie zdążyłem, bo musiałem...

- W takim razie chyba nie musimy się o niego martwić. Zostały jeszcze jakieś?

- Ja, tego... nie, chyba nie. Ale... panno królowo...

- Słucham, Shawn.

- Czy mogłaby panna królowa odłożyć ten topór? Czułbym się o wiele lepiej, gdyby panna królowa go zostawiła. Topór, panno królowo. Ciągłe panna królowa nim wymachuje. A przecież w każdej chwili może polecieć.

- Jaki topór?

- Ten, który panna królowa trzyma.

- Ach, ten... - Magrat chyba dopiero teraz zauważyła broń. - Twoja ręka marnie wygląda. Chodźmy do kuchni, wezmę ci ją w łubki. I z palcami też nie jest najlepiej. Zabiły Diamandę?

- Nie wiem. I nie wiem dlaczego. Przecież ona im pomagała.

- Tak. Zaczekaj chwilę. - Magrat po raz kolejny zniknęła we wnętrzu zbrojowni. Wróciła po chwili, niosąc worek. - Chodź tu, Greebo.

W chwilę później schodzili już na dół.

- Wiesz, jaki w Lancre mamy zabawny zwyczaj? - zapytała Magrat.

- Co takiego, panno królowo?

- Nigdy niczego nie wyrzucamy. A wiesz jeszcze coś?

- Nie, panno królowo.

- Nie mogli jej namalować z żywego modelu. Ludzie wtedy nie malowali portretów. Ale zbroja... Ha! Musieli tylko dobrze poszukać. Wiesz co?

Shawn poczuł nagle lęk. Bywał już przestraszony, lecz zawsze chodziło o coś fizycznego, bezpośredniego. Ale Magrat, taka jak w tej chwili, budziła w nim lęk większy nawet niż elfy. To tak jakby człowieka zaatakowała owca.

- Nie, panno królowo.

- Nikt mi o niej nie wspominał. Można by pomyśleć, że to wyłącznie gobeliny i spacerowanie dookoła w długich sukniach.

- Co takiego, panno królowo?

Magrat wymownie zatoczyła ramieniem krąg.

- To wszystko!

- Panno królowo! - odezwał się Shawn z poziomu kolan. Magrat spojrzała w dół.

- Co?

- Proszę uważać z tym toporem.

- A tak. Przepraszam.

Hodgesaargh spędzał noce w niewielkiej szopie przylegającej do stajni. On także dostał zaproszenie na ślub, ale zostało mu wyrwane z ręki i zjedzone, gdyż Lady Jane, stary i złośliwy sokół białożół, omyłkowo wzięła

je za jego palec. Dlatego wieczorem zachowywał się jak zawsze - obmył rany, zjadł kolację złożoną z suchego chleba i starożytnego sera, po czym położył się wcześniej do łóżka, żeby krwawić spokojnie przy świecy nad egzemplarzem Dziobów i szponów.

Podniósł głowę, słysząc jakieś odgłosy z ptaszarni. Wstał, sięgnął po lichtarz i wyszedł.

Elf oglądał ptaki. Lady Jane siedziała mu na dłoni.

Hodgesaargh, podobnie jak pan Brooks, nie interesował się zbyt wydarzeniami, które nie miały związku z jego pasją. Zdawał sobie sprawę, że w zamku jest mnóstwo gości. Jeśli o niego chodziło, każdy, kto oglądał sokoły, był współentuzjastą.

- To mój najlepszy ptak - oznajmił z dumą. - Już prawie ją wyszkoliłem. Jest świetna. Ćwiczę ją. Bardzo inteligentna. Zna jedenaście rozkazów.

Elf z powagą kiwnął głową. Potem zdjął sokołowi kapturek i skinał na Hodgesaargha.

- Zabij - polecił.

Oczka Lady Jane błysnęły w świetle pochodni. Potem skoczyła. Dwoma kompletami pazurów i dziobem trafiła elfa w krtąń.

- Mnie też tak robi - rzekł pocieszającym tonem Hodgesaargh. - Bardzo mi przykro. Jest bardzo inteligentna.

Diamanda leżała na kuchennej podłodze w kałuży krwi.

Magrat przyklękła obok.

- Jeszcze żyje. Ale ledwie, ledwie... - Chwyciła kraj sukni ślubnej i

spróbowała go oderwać. - A niech to lichy! Pomóż mi, Shawn.

- Panno królowo...

- Potrzebujemy bandaża.

- Ale...

- Przestań się gapić.

Materiał ustąpił. Rozwinęło się kilkanaście koronkowych róż.

Shawn nie wiedział, co królowe noszą pod ubraniem. Ale nawet rozpoczynając od pewnych obserwacji Millie Chillum i wnioskując na tej podstawie, nigdy nie wpadłby na pomysł metalowej bielizny.

Magrat stuknęła o napierśnik.

- Nieźle pasuje - stwierdziła, jakby wyzywając Shawna, by zauważył, że w pewnych obszarach między metalem a Magrat pozostało całkiem sporo pustej przestrzeni. - Parę zakładek, jakiś nit tu czy tam, a będzie idealny. Dobrze wygląda, prawda?

- O tak - zgodził się Shawn. - Ehm. To żelazo naprawdę dobrze leży na pannie królowej.

- Szczerze mówisz?

- Oczywiście. - Shawn zmyślał jak szalony. - Ma panna królowa odpowiednią figurę.

Nastawiła i usztywniła mu rękę i palce. Pracowała metodycznie, używając jako bandaży pasów ślubnej sukni. Z Diamanda sprawa była trudniejsza. Magrat czyściła, szyła i bandażowała, a Shawn siedział i patrzył, starając się ignorować natrętny, ostry ból w ręce.

- One tylko się śmiały i ją kłuły - powtarzał. - Nawet nie próbowała uciekać. Całkiem jakby się bawiły.

Z jakiegoś powodu Magrat spojrzała z ukosa na Greeba, który zachował dość przyzwoitości, by zrobić zakłopotaną minę.

- Szpiczaste uszy i włosy, które chce się pogłaskać - rzuciła niezbyt zrozumiale. - A kiedy są zadowolone, wydają miły dźwięk.

- Co?

- Tylko głośno myślałam. - Magrat wstała. - No dobrze. Rozpalę teraz ogień i przyniosę parę kusz. Naładuję ci je. A ty zamknij drzwi i nikogo tu nie wpuszczaj. Słyszałeś? Gdybym nie wróciła... Uciekaj gdzieś, gdzie są ludzie. Spróbuj dotrzeć do krasnoludów na Miedziance. Albo do trolli.

- Dokąd idziesz, panno królowo?

- Muszę sprawdzić, gdzie się wszyscy podziali.

Magrat otworzyła worek, który przyniosła ze zbrojowni. Wyjęła hełm. Hełm miał małe skrzydełka i - według Shawna - był całkiem niepraktyczny[32]. Potem znalazła jeszcze parę pancernych rękawic i spory zestaw pordzewiałych elementów uzbrojenia.

- Ale tam na pewno jest więcej tych drani!

- Lepiej tam niż tutaj.

- Potrafi panna królowa walczyć?

- Nie wiem - przyznała Magrat. - Nigdy nie próbowałam.

- Jeżeli zaczekamy, na pewno ktoś tu przyjdzie.

- Owszem. Tego się właśnie obawiam.

- Chodzi mi o to, że nie musi panna królowa tego robić.

- Muszę. Jutro wychodzę za mąż. Tak czy inaczej.

- Ale...

- Zamknij się.

Zabijają, myślał Shawn. Nie wystarczy, że ktoś umie złapać miecz. Trzeba jeszcze wiedzieć, którym końcem kłuje się przeciwnika. Niby ja tu jestem strażnikiem, a to ją zabiją.

Ale...

Ale...

Jednego z nich trafiła w oko przez dziurkę od klucza. Ja bym tak nie potrafił. Krzyknąłbym najpierw jakieś „ręce do góry”. Lecz one stanęły jej na drodze, więc po prostu... usunęła je z drogi.

Ale i tak zginie. Tyle że prawdopodobnie zginie bohatersko.

Chciałbym, żeby była tu mama.

Magrat zwinęła i wcisnęła do worka poplamione krwią resztki ślubnej sukni.

- Mamy jakieś konie?

- Są... konie elfów na dziedzińcu, panno królowo. Ale chyba panna królowa nie zdoła na nich jeździć.

Shawn natychmiast uświadomił sobie, że nie była to właściwa odpowiedź.

Był czarny i większy niż wszystko, co Magrat mogłaby uznać za ludzkiego konia. Toczył przekrwionymi oczami i usiłował zająć odpowiednią pozycję do kopnięcia. Magrat zdołała go dosiąść dopiero wtedy, kiedy praktycznie uwiązała każdą z jego nóg do pierścieni w ścianie stajni. Gdy jednak znalazła się już w siodle, koń nagle się zmienił. Był potulny jak zwierzę okrutnie chłostane; zdawało się, że nie ma własnego umysłu.

- To żelazo - wyjaśnił Shawn.
- Co ono z nimi robi? Przecież nic ich nie boli.
- Nie wiem, panno królowo. Wydaje się, że tak jakby zastygają albo co.
- Opuść bronę, kiedy wyjadę.
- Panno królowo...
- Znów chcesz mnie powstrzymywać?
- Ale...
- No to sobie daruj.
- Ale...

- Pamiętam ludową piosenkę o takiej właśnie sytuacji. Królowa elfów porwała narzeczonego pewnej dziewczyny, ale ta nie jęczała, tylko raźnie dosiadła konia, pojechała i go uratowała. No więc ja mam zamiar zrobić to samo.

Shawn spróbował się uśmiechnąć.

- Będiesz śpiewać, panno królowo? - zapytał.
- Będę walczyć. Mam wszelkie powody, aby walczyć, prawda? I spróbowałam wszystkich innych możliwości.

Shawn miał ochotę jej powiedzieć: przecież to nie to samo! Jechać tam i walczyć, kiedy jest się prawdziwą osobą, to co innego niż w piosenkach! W prawdziwym życiu się umiera! W piosence trzeba tylko pamiętać, żeby trzymać palec w uchu i jak dotrzeć do kolejnego refrenu. W prawdziwym życiu nikt nie woła la-la-fol-a-didle-di-tra-la-ra-li-la!

Ale powiedział tylko:

- Jeżeli nie wrócisz, panno królowo... Magrat obejrzała się w siodle.

- Wrócę.

Shawn patrzył, jak pogania ociężałego wierzchowca do truchtu i znika za zwodzonym mostem.

- Powodzenia! - zawołał jeszcze.

Potem opuścił bronę i wrócił do zamku, gdzie na kuchennym stole czekały trzy naciągnięte kusze. Była też książka o sztukach militarnych, którą król sprowadził specjalnie dla niego.

Dołożył do ognia, odwrócił krzesło tak, by siedzieć przodem do drzwi, i poszukał rozdziału dla zaawansowanych.

Magrat była już w połowie drogi do rynku, kiedy adrenalina wyczerpała się i nagle doścignęło ją dawne życie. Spojrzała na swoją zbroję, spojrzała na konia i pomyślała: Chyba zwariowałam.

To przez ten przekłety list. I jeszcze byłam wystraszona. Pomyślałam, że pokażę im, z czego jestem zrobiona. A teraz pewnie zobaczą: z masy rurek i takich sinofioletowych, galaretowatych kawałków.

Z tymi elfami po prostu miałam szczęście. I nie myślałam. Kiedy tylko zaczynam myśleć, wszystko psuję. I nie myślę, żeby szczęście nadal mi sprzyjało.

Szczęście?

Z żalem przypomniała sobie torbę talizmanów i amuletów na dnie rzeki. Nigdy właściwie nie działały, jeśli chodzi o poprawienie jej życia, ale może... to straszliwa myśl... może sprawiały, że nie stawało się gorsze...

W miasteczku nie paliły się żadne światła, a wiele domów miało zamknięte okiennice.

Kopyta głośno stukały o bruk. Magrat wpatrywała się pilnie w mrok. Kiedyś był to zwyczajny mrok, dzisiaj mógł się zmienić w bramę - do czegokolwiek.

Chmury nadpływały od Osi. Magrat zadrżała. Czegoś takiego nie widziała jeszcze nigdy.

Nadeszła prawdziwa noc.

Pradawna noc zapadła nad Lancre. To nie był zwykły brak słońca, patrolowany przez księżyc i gwiazdy. To było rozszerzenie czegoś, co istniało o wiele wcześniej, niż pojawiło się światło, by definiować cokolwiek swoją nieobecnością. To coś pełzło przez krainę, wyłaniając się spod korzeni drzew i z wnętrza kamieni.

Worek z tym, co Magrat uważała kiedyś za niezbędne rekwizyty swego fachu, mógł sobie leżeć na dnie rzeki, ale ona sama była czarownicą przez ponad dziesięć lat. Wyczuwała grozę w powietrzu.

Ludzie mają słabą pamięć. Ale społeczności pamiętają dobrze - rój pamięta, kodując informację tak, by prześliznęła się przez cenzorów umysłu. Historia przechodzi z babci na wnuki w drobnych nonsensownych fragmentach, których nie chce im się nawet zapominać. Czasami prawda utrzymuje się przy życiu chytrymi sposobami, mimo wszelkich wysiłków oficjalnych strażników informacji.

Urywki starych bają rozbrzmiewały równocześnie w głowie Magrat:

Na szczyt, gdzie wiatry wieją, w dolinę porosłą wrzosami...

Od duchów i strachów, i długonogich bestii...

Mama mówiła, że grzeczne dziecię...

Na łowy nie ruszaliśmy ze strachu przed...

I stworów, co stukają...

Nie bawi się z elfami w lesie...

Magrat siedziała na koniu, któremu nie ufała, ścisnęła miecz, którego nie potrafiła używać, a szyfry wypływały z jej pamięci i układały się w informacje.

Porywają bydło i dzieci...

Wykradają mleko...

Kochają muzykę i porywają grajków...

Właściwie to kradną wszystko.

Nigdy nie będziemy tak swobodni jak oni, tak piękni jak oni, tak mądrzy jak oni, tak świetliści jak oni: jesteśmy zwierzętami.

Chłodny wiatr poruszał gałęziami w lesie za miastem. Zawsze był to miły las, w którym przyjemnie jest spacerować nocą. Dziś jednak wiedziała, że to się skończyło. Drzewa będą miały oczy. Wśród wiatru będzie słyszeć dalekie śmiechy.

W końcu zabierają wszystko.

Magrat uderzyła konia piętami. Ruszył klusem. Gdzieś w mieście trzasnęły drzwi.

A to, co nam dają, to strach.

Z drugiej strony ulicy dobiegło głośnie stukanie -jakiś mężczyzna przybijał coś nad wejściem. Obejrzał się przerażony, zauważył Magrat i skoczył do wnętrza.

To, co przybijał, okazało się podkową.

Magrat mocno przywiązała konia i zsunęła się z siodła. Nikt nie odpowiedział na jej pukanie.

Zaraz, kto tu mieszka? Chyba Woźnica, ten tkacz... A może Tkacz, piekarz?

- Otwieraj, człowieku! To ja, Magrat Garlick!

U progu stało coś białego. Okazało się, że to miseczka z mlekiem.

I znowu Magrat przyszedł na myśl Greebo. Cuchnący, niesolidny, okrutny i mściwy - ale za to mruczał miło, więc co wieczór miał swoją miseczkę mleka.

- No już! Otwierać!

Po chwili szcęknięty rygle i w bardzo wąskiej szczelinie ukazało się oko.

- Kto tam?

- Jesteś Woźnica, piekarz. Tak?

- Jestem Tkacz, dekarz.

- Wiesz, kim jestem?

- Panną Garlick?

- Tak. Wpuść mnie.

- Jesteś sama, panienko?

- Tak!

Szczelina poszerzyła się do rozmiaru Magrat.

W izbie paliła się świeca. Tkacz ustępował przed Magrat, aż oparł się niezgrabnie o blat. Magrat zajrzała za niego.

Reszta rodziny Tkaczów chowała się pod stołem. W mroku błyszczały cztery pary przerażonych oczu.

- Co się dzieje? - spytała.

- Tego... - zająknął się Tkacz. - Nie poznałem panienki w tym latającym kapeluszu...

- Myślałam, że występujesz w Rozrywce? Co się stało? Gdzie są wszyscy? I gdzie jest mój przyszły mąż?!

- Tego...

Tak, to chyba rzeczywiście był hełm. Do takiego wniosku doszła Magrat już po wszystkim. Istnieją pewne obiekty, takie jak miecze, kapelusze magów, korony i pierścienie, które przejmują w pewnym stopniu naturę swych właścicieli. Królowa Ynci pewnie nigdy w życiu nie haftowała makatki i na pewno wybuchała gniewem szybciej, niż spadał krowi placek[33]. Lepiej wierzyć, że coś z jej charakteru przeszło na hełm i teraz działało na Magrat. Lepiej pozwolić Ynci przejąć ster.

Chwyciła Tkacza za kołnierz.

- Jeżeli jeszcze raz powiesz „tego” - ostrzegła - obetnę ci uszy.

- Te... aaargh... znaczy się, panienko... to Panowie i Damy, panienko.

- Naprawdę elfy?

- Panienko -jęknął błagalnie Tkacz. - Nie mów tego głośno. Słyszałem, jak idą ulicą. Dziesiątki. Porwały starą krowę Dekarza, kozę Skindle’a, wyłamały drzwi do...

- Dlaczego wystawiłeś miseczkę mleka? - przerwała mu Magrat.

Tkacz kilka razy otworzył i zamknął usta.

- Widzisz, panienko - wydusił z siebie w końcu. - Moja Ewa powiedziała, że jej babcia zawsze wystawiała im miseczkę mleka, żeby były zado...

- Rozumiem - rzekła lodowatym tonem Magrat. - A król?

- Król, panienko? - Tkacz usiłował zyskać na czasie.

- Król - powtórzyła Magrat. - Niewysoki, załzawione oczy, uszy trochę odstające, w przeciwieństwie do innych uszu w pobliżu, i to już niedługo.

Palce Tkacza splatały się wokół siebie nawzajem niczym udręczone węże.

- No więc... no... no...

Dostrzegł wyraz twarzy Magrat i zgarbił się lekko.

- Przedstawiliśmy tę sztukę - wyjaśnił. - Mówiłem im, pokażmy zamiast tego taniec kijów i wiader, ale oni uparli się na sztukę. Wszystko zaczęło się dobrze, a potem... potem... Nagle byli tam Oni, całe setki, wszyscy zaczęli uciekać, ktoś wpadł na mnie, a ja potoczyłem się do strumienia, zrobił się straszny hałas, zobaczyłem Jasona Ogga, jak trafia cztery elfy pierwszą rzeczą, jaka mu wpadła w rękę...

- Piątym elfem?

- Właśnie, a potem znalazłem Ewę i dzieciaki, mnóstwo ludzi uciekało do domów, jakby się paliło, ale były te... te... te Szlachetne na koniach, słyszałem, jak się śmieją. Jakoś wróciliśmy do domu i Ewa kazała mi przybić nad drzwiami podkowę, i...

- Co z królem?

- Nie wiem, panienko. Ostatnie, co pamiętam, to jak się śmiał z Dekarza w słomianej peruce.

- A niania Ogg i babcia Weatherwax? Co się z nimi stało?

- Nie wiem, panienko. Nie pamiętam, żebym je tam widział, ale ludzie biegali we wszystkie strony...

- Gdzie to było?

- Panienko?

- Gdzie to się stało? - Magrat starała się mówić powoli i wyraźnie.

- Przy Tancerzach, panienko. No wie panienka. Te stare kamienie.

Magrat wypuściła go.

- No tak - mruknęła. - Nie mówcie Magrat. Magrat nie powinna wiedzieć o takich sprawach. Tancerze, tak?

- To nie myśmy zrobili, panienko! To było tylko takie udawanie!

- Ha! Odsunęła rygiel.

- Gdzie idziesz, panienko? - spytał Tkacz, który nie miałby szans w Lancrańskich Mistrzostwach Refleksu.

- A jak myślisz?

- Ale panienko, nie możesz przenosić żelaza... Magrat zatrzęsnęła drzwii. Potem kopnęła miseczkę tak mocno, że mleko rozprysnęło się aż na ulicę.

Jason Ogg czołgał się ostrożnie przez mokre paprocie. O kilka stóp od siebie zauważył jakąś postać. Mocniej chwycił kamień...

- Jason?

- To ty, Tkacz?

- Nie, to ja, Krawiec.

- Gdzie są wszyscy?

- Przed chwilą Druciarz i Piekarz znaleźli Cieślę. Nie widziałeś Tkacza?

- Nie, ale widziałem Woźnicę i Dekarza.

Mgła się kłębiła, a deszcz bębnił o ciepłą ziemię. Siedmiu ocalałych członków Zespołu Tańca Morris zebrało się pod ociekającym wodą krzakiem.

- Rano nam się dostanie, na demony! - jęczał Woźnica. - Kiedy się dowie, już po nas!

- Nic nam nie grozi, byle tylko znaleźć jakieś żelazo - uspokajał go Jason.

- Żelazo na nią nie działa. Wygarbuje nam skóry! Woźnica skulił się ze zgrozy, obejmując rękami kolana.

- Kto?

- Pani Weatherwax!

Dekarz szturchnął go pod żebro. Kaskada wody spłynęła z liści nad nimi i pociekła za kołnierze.

- Ależ ty dumny! Widziałeś te stwory? I teraz jeszcze się martwisz tym starym tobołem?

- Zobaczysz, wygarbuje nam skóry jak nic. To nasza wina, powie.

- Chciałbym tylko, żeby miała okazję - burknął Druciarz.

- Jesteśmy między młotem i kowadłem - ocenił Dekarz.

- Nie, wcale nie - szlochał Woźnica. - Młot stoi pod ścianą, a między nim a kowadłem jest przecież u Jasona taki kawałek wolnego miejsca, gdzie czasem siadamy, żeby pogadać. Nie jesteśmy tam. A chciałbym, żebyśmy byli. Siedzimy pod krzakiem! A one będą nas szukać! I ona też!

- Ale co się stało, kiedy wystawialiśmy Roz... - zaczął Cieśla.

- Nie pytałbym o to w tej chwili - przerwał mu Jason Ogg. - Teraz należy pytać, jak wrócimy dzisiaj do domu.

- Ona będzie tam na nas czekać! - skamlał Woźnica. W ciemności rozległy się ciche brzęknięcia.

- Co tam masz? - zdziwił się Jason.

- Worek z naszymi rzeczami - odparł Woźnica. - Powiedziałeś, że to moja robota, żeby pilnować rekwizytów!

- I ciągnąłeś to wszystko za sobą?

- Nie chcę mieć jeszcze większych kłopotów z powodu tego, że zgubiłem worek.

Woźnica zaczął dygotać.

- Kiedy wrócimy do domu - stwierdził Jason - pogadam z naszą mamą. Niech ci da trochę tych nowych pigulek z suszonej żaby. Przyciągnął do siebie worek i rozwiązał go.

- Tu są nasze dzwonki - oznajmił. - I kije. A po co zapakowałeś akordeon?

- Pomyślałem, że może pokażemy taniec kijów i...

- Nikt nie będzie tu...

Daleko na mokrym zboczu zabrzmiał śmiech i trzask łamanych paproci. Jason poczuł nagle, że znalazł się w centrum uwagi.

- Tam są! - wystraszył się Woźnica.

- A my nie mamy broni - dodał Druciarz.

Ciężki zestaw mosiężnych dzwonek trafił go w pierś.

- Przymknij się - rzucił Jason. - I zakładaj dzwonki. Woźnica!

- Czekają na nas!

- Tylko raz to powiem - ostrzegł Jason. - Po dzisiejszej nocy nikt już nigdy nie wspomni o tańcu kijów i wiader. Zgoda?

Członkowie Lancrańskiego Zespołu Tańca Morris stanęli twarzami do siebie. Mokre od deszczu ubrania kleiły im się do skóry.

Woźnica, któremu łyzy przerażenia mieszały się z charakteryzacją i deszczem, ścisnął akordeon. Rozległa się długa nuta, która zgodnie z prawem musi poprzedzać wszelką muzykę ludową, żeby przypadkowi przechodnie mieli czas na ucieczkę. Jason podniósł rękę i zaczął liczyć mną palcach.

- Raz, dwa... - Zmarszczył czoło. - Raz, dwa, trzy...

- ...cztery - szepnął Druciarz.

- ...cztery - powtórzył Jason - Tańczymy, chłopcy.

Sześć ciężkich jesionowych kijów zderzyło się w powietrzu.

- ...raz, dwa, naprzód, raz, w tył, obrót...

Powoli, w rytm płynących przez mgłę trochę fałszywych nut Lokatora pani Widgery, tancerze podskakiwali i chlupali w drodze przez noc...

- ...dwa, w tył, podskok... Kije znów uderzyły o siebie.

- Patrzą na nas! - wysapał Krawiec, kiedy przeskakiwał obok Jasona. - Widzę ich!

- ...raz... dwa... nic nie robią, dopóki nie ucichnie muzyka... w tył, dwa, obrót... kochają muzykę... naprzód, skok, obrót... pierwszy i szósty, deptacz chrząszczy... skok, w tył, obrót...

- Wychodzą spod paproci! - wrzasnął Cieśla, gdy kije znów o siebie stuknęły.

- Widzę ich... dwa, trzy, naprzód, obrót... Woźnica... w tył, obrót... zrób podwójnego... dwa, w tył... wędrującego kozła przez środek...

- Gubię się, Jason!

- Graj! Dwa, trzy, obrót...

- Otaczają nas!

- Tańczyć!

- Patrz! Zbliżają się!

- Obrót, w tył... podskok... Jesteśmy już prawie na drodze.

- Jason!

- Pamiętacie jak... trzy, obrót... wygraliśmy puchar z Ormiańskimi Amatorami? Obrót...

Kije zderzyły się z głośnym trzaskiem. Grudy mokrej ziemi wylatywały w ciemność.

- Jason, chyba nie chcesz...

- Powrót, dwa... Zróbcie to...

- Woźnica traci... raz, dwa... siły...

- Dwa, obrót...

- Jason, akordeon mi się topi! -jęknął Woźnica.

- Raz, dwa, naprzód... wbijanie tyczek!

Akordeon zazgrzytał. Elfy zacieśniły krąg. Kątem oka Jason widział kilkanaście uśmiechniętych, zafascynowanych twarzy.

- Jason!

- Raz, dwa... Woźnica w środek... raz, dwa, obrót... Siedem par butów tupnęło o ziemię.

- Jason!

- Raz, dwa... obrót... Gotowi? Raz, dwa... w tył... w tył... raz, ...dwa... obrót... ZABIĆ... i powrót, raz, dwa...

Gospoda była zrujnowana. Elfy wyniosły wszystko, co nadawało się do jedzenia, i wytoczyły wszystkie beczki, choć parę twardych serów w piwniczce stawiało mężny opór. Stół leżał złamany. Szczypce homara i niedopalone świece walały się pośród rozrzuconych potraw. Panowała martwa cisza.

Potem ktoś kichnął i trochę sadzy posypało się na wygasłe palenisko. Po sadzy wysunęła się niania Ogg, a po niej mała, czarna i rozgniewana figura Casanundy.

- Łoj... - Niania Ogg rozejrzała się wśród zniszczeń. - To była niezła awantura.

- Powinna pani pozwolić, bym stanął z nimi do walki.

- Było ich zbyt wiele, mój chłopcze.

Casanunda z niechęcią cisnął szpadę na podłogę.

- Ledwie zaczynamy się jako tako poznawać, a tu nagle wpada pięćdziesiąt elfów! Nich to lichy! Wiecznie spotyka mnie coś takiego.

- Najlepsze w czarnym jest to, że całkiem nie widać plam z sadzy - odparła niezbyt jasno niania Ogg. - Czyli jednak im się udało. Esme miała rację. Ciekawe, gdzie się podziewa... Mniejsza z tym. Idziemy.

- Ale dokąd? - chciał wiedzieć krasnolud.

- Do mojej chatki.

- Aha!

- Żeby zabrać miotłę - wyjaśniła stanowczym tonem niania. - Nie pozwolę, żeby Królowa Elfów władała moimi dziećmi. Musimy sprowadzić pomoc. To wszystko zaszło już za daleko.

- Możemy wyruszyć w góry - zaproponował Casanunda, kiedy ostrożnie zsuwali się po schodach. - Tam żyją tysiące krasnoludów.

- Nie - odparła niania Ogg. - Esme mi za to nie podziękuje, ale to właśnie ja muszę pomachać torbą cukierków, kiedy ona przeliczy się z siłami. Myślę o kimś, kto naprawdę nienawidzi Królowej.

- Nie znajdziesz nikogo, kto jej nienawidzi bardziej niż krasno-ludy.

- Ależ znajdziesz. Jeśli tylko wiesz, gdzie szukać.

Elfy odwiedziły też chatkę niani Ogg. Chyba ani jeden mebel nie pozostał cały.

- Czego nie zabierają, muszą rozbić - stwierdziła niania. Zamieszała nogą w odłamkach. Brzęknęło szkło.

- Ta waza to prezent od Esme - wyjaśniła, zwracając się do świata w ogólności. - Nigdy jej nie lubiałam.

- Dlaczego to zrobiły?

- Och, rozbiłyby cały świat, gdyby sądziły, że wyda ładny dźwięk. Wyszła na dwór, pomacała ręką pod niskim okapem strzechy i z tryumfalnym pomrukiem wyciągnęła swoją miotłę.

- Zawsze tu ją chowam - wyjaśniła. - Inaczej dzieciaki mi ją podkradają

i robią sobie przejażdżki. Polecisz za mną i mówię to, choć wiem, że to bardzo nierozsądne.

Casanunda zadrżał lekko. Krasnoludy zwykle boją się wysokości, przede wszystkim dlatego, że rzadko mają okazję się do niej przyzwyczaić.

Niania pogładziła się po brodzie, z odgłosem, jakby to był papier ścierny.

- Potrzebny będzie łom - stwierdziła. - Jason na pewno ma taki w kuźni. Wskakuj, chłopcze.

- Nie na to liczyłem - mruczał Casanunda, wsiadając na miotłę po omacku, z zaciśniętymi powiekami. - Spodziewałem się miłego wieczoru we dwoje, pani i ja.

- Przecież jesteśmy we dwoje.

- Tak, ale nie sądziłem, że zjawi się też miotła. Miotła oderwała się od ziemi powoli. Casanunda rozpaczliwie ścisnął witki.

- Dokąd lecimy? - zapytał żałośnie.

- W takie jedno miejsce, które znam na wzgórzach - odparła niania. - Nie byłam tam od wieków. Esme nawet się do niego nie zbliży, a Magrat jest jeszcze za młoda, żeby jej mówić. Aleja kiedyś bywałam tam często. Kiedy byłam dziewczyną. Dziewczeta chodziły tam, gdy chciały... A niech to!

- Co?

- Zdawało mi się, że coś przeleciało na tle księżyca i jestem wściekle pewna, że to nie Esme.

Casanunda spróbował się rozejrzeć, nie otwierając oczu.

- Elfy nie potrafią latać - wymamrotał.

- To ty tak myślisz. Dosiadają pędów krwawnika.

- Pędów krwawnika?

- Tak. Sama też kiedyś próbowałam. Można wyciągnąć z nich jakąś siłę nośną, ale przy podmuchach całkiem wariują. Nie ma to jak porządna wiązka witek. Zresztą - szturchnęła Casanundę znacząco - powinieneś czuć się tu jak w domu. Magrat twierdzi, że miotła to jedna z tych, no, metyfor seksualnych[34].

Casanunda otworzył jedno oko akurat na czas, by zobaczyć, jak w dole wolno przepływa dach. Zrobiło mu się niedobrze.

- Różnica polega na tym - mówiła dalej niania - że miotłę można podnieść na dłużej. I można jej też użyć do sprzątania, a to więcej, niż... Dobrze się czujesz?

- Naprawdę wcale mi się to nie podoba, pani Ogg.

- Próbowałam tylko podnieść pana na duchu, panie Casanunda.

- Na duchu może być, pani Ogg. Ale czy moglibyśmy darować sobie podnoszenie?

- Niedługo lądujemy.

- To mi się podoba.

Buty niani Ogg zaszurały po ubitej ziemi na podwórzu kuźni.

- Zostawię magię włączoną. Zaraz wracam - rzuciła.

Nie zwracając uwagi na błaganie krasnoluda o litość, zeskoczyła z miotły i pobiegła do tylnych drzwi.

Przynajmniej tutaj elfy nie zajrzały - za dużo żelaza. Niania porwała z warsztatu łom i szybko wyszła.

- Możesz to trzymać. - Wręczyła łom Casanundzie. Zawahała się. - Trudno wciąż liczyć na szczęście - stwierdziła i wróciła do kuźni. Tym razem zjawiała się o wiele szybciej. Wsunęła coś do kieszeni. - Gotów? - spytała.

- Nie.

- No to lecimy. I uważaj, co się dzieje. Z otwartymi oczami.

- Mam szukać elfów? - spytał Casanunda, kiedy miotła wzniosła się ku księżycowi.

- Możliwe. To nie była Esme, a jedynym, który oprócz niej tu lata, jest pan Ixolite, banshee. On zawsze pamięta, by wsunąć nam liścik, że zamierza się zjawić w okolicy. Dla kontroli ruchu powietrznego.

Większa część miasteczka była pogrążona w ciemności. Księżyc rzucał na ziemię szachownicę srebrno-czarnych prostokątów. Po chwili Casanunda poczuł się lepiej. Łagodne poruszenia miotły wręcz uspokajały.

- Woziła pani już sporo pasażerów, co? - zapytał.

- Zdarzało się, nie powiem - przyznała niania Ogg. Casanunda zastanowił się nad czymś. Po czym odezwał się głosem wyrażającym czysto naukowe zaciekawienie:

- Niech pani powie, pani Ogg, czy ktoś próbował uprą...

- Nie - odparła stanowczo niania. - Wtedy by spadł.

- Przecież nie wie pani, o co chciałem zapytać.

- Założymy się o pół dolara?

Przez kilka minut lecieli w ciszy. Potem Casanunda klepnął nianię po ramieniu.

- Elfy na godzinie trzeciej!

- No to nie ma zmartwienia. Mnóstwo czasu.

- Chciałem powiedzieć, że są tam!

Mrużąc oczy, niania spojrzała w gwiazdy. Coś poszarpanego

przesuwało się wśród nocy.

- A niech to!

- Możemy im uciec?

- Nie. W czterdzieści minut potrafią zamknąć pętlę wokół świata.

- Czemu? Nie jest aż taki gruby. - Casanunda czuł, że chętnie połknąłby garść pigułek z suszonej żaby.

- Chciałam powiedzieć, że są szybkie. Nie wyprzedzimy ich, nawet jeśli stracimy trochę na wadze.

- Mam wrażenie, że ja już tracę - stwierdził Casanunda, gdy miotła zanurkowała w stronę drzew.

Liście zaszeleściły na butach niani Ogg. Księżyc zabłysnął przez moment na popielatoblonde włosach po lewej stronie.

- Niech to lichy, stwory i demony!

Trzy elfy otaczały miotłę. Tak zwykle postępowały. Ścigały człowieka, aż opadł z sił, aż krew zakrzepła mu ze zgrozy. Jeśli na przykład krasnolud chciał kogoś zabić, ciął go toporem przy pierwszej okazji. Ale krasnoludy są o wiele bardziej dobroduszne od elfów.

- Doganiają nas! - poinformował Casanunda.

- Masz ten łom?

- Tak.

- To dobrze.

Miotła zniżyła się, zygzakując nad milczącym lasem. Jeden z elfów dobył miecza i zanurkował. Zepchnij ich między drzewa, zachowaj przy życiu, póki to możliwe...

Miotła przeskoczyła na wsteczny bieg. Głowa i nogi niani Ogg wysunęły się do przodu tak, że częściowo siedziała na własnych rękach, ale głównie na pustce. Elf pikował na nią ze śmiechem...

Casanunda wysunął łom.

Rozległo się głośnie „doioinnng!”.

Miotła znów skoczyła naprzód, a niania Ogg wylądowała w objęciach Casanundy.

- Przepraszam.

- Nie ma o czym mówić, pani Ogg. Właściwie nawet może to pani zrobić jeszcze raz.

- Trafiłeś go?

- Aż mu dech odebrało.

- Dobrze. Gdzie są pozostałe?

- Nie widzę ich.

Casanunda uśmiechnął się tryumfalnie.

- Pokazaliśmy im, co?

Coś świsnęło w powietrzu i trafiło w kapelusz niani.

- Wiedzą, że mamy żelazo - powiedziała. - Teraz już nie podlecą blisko. Nie potrzebują - dodała z goryczą.

Miotła skrzyła obok drzewa i wryła się w paprocie. Potem skrzyła znowu nad porośniętą drózką.

- Już nas nie ścigają - zauważył po chwili Casanunda. - Odstraszyliśmy je, prawda?

- Nie my. Denerwują się, kiedy są blisko Długiego. To nie ich teren. Ale popatrz tylko, w jakim stanie jest ta dróżka. Drzewa na niej rosną. Kiedy byłam młoda, nie znalazłbyś tu ani źdźbła trawy. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - Długi był bardzo popularny w letnie noce.

Zmieniła się faktura lasu. Był teraz stary, nawet według norm lasów w Lancre. Zastłony mchu zwisały z poskręcanych niskich gałęzi. Coś usłyszało ich i pobiegło, hałasując w poszyciu. Sądząc po odgłosach, było to coś z rogami.

Niania wyhamowała miotłę.

- Jesteśmy - oznajmiła, odgarniając liście paproci. - To jest Długi.

Casanunda wyrzwał spod jej łokcia.

- To wszystko? Przecież to tylko kopiec pogrzebowy.

- Trzy kopce pogrzebowe - poprawiła go niania. Casanunda rozejrzał się po porośniętej drzewami okolicy.

- Rzeczywiście, widzę - przyznał. - Dwa okrągłe i jeden podłużny. I co?

- Kiedy pierwszy raz zobaczyłam je z powietrza, myślałam, że z miotły spadnę ze śmiechu.

Nastąpiła chwila milczenia, określana czasem mianem opóźnionego zapłonu. Krasnolud układał sobie w głowie topografię okolicy.

W końcu...

- A niech mnie! - powiedział. - Myślałem, że ludzie, którzy wznoszą grobowe kopce, kurhany i różne takie, to poważni druidzi i tego typu osobnicy, a nie... Nie tacy, którzy piszą po ścianach wygodki dwustu tysiącami ton ziemi, że tak powiem.

- Jakoś do ciebie nie pasuje to zdziwienie. Niania mogłaby przysiąc, że krasnolud zarumienił się pod peruką.

- Istnieje coś takiego jak styl - wyjaśnił. - Coś takiego jak subtelność. Nie można wrzeszczeć na całe gardło: Mam strasznie wielkiego stukacza.

- To trochę bardziej skomplikowane. - Niania Ogg przeciskała się przez krzaki. - Tutaj sama okolica krzyczy: Mam strasznie wielkiego stukacza. To krasnoludzie słowo?

- Tak.

- Bardzo dobre.

Casanunda spróbował wyplątać się z krzaka malin.

- Esme nigdy tu nie przychodzi - odezwała się niania Ogg gdzieś z przodu. - Mówi, że wystarczą jej piosenki ludowe, gaiki i różne takie, nawet bez całej scenerii, która robi aluzje. Oczywiście - mówiła dalej - dawniej to nie było miejsce dla kobiet. Moja prababka opowiadała, że za dawnych, ale naprawdę dawnych dni przychodzili tu mężczyźni i dokonywali dziwnych rytuałów, których nikt nigdy nie oglądał.

- Z wyjątkiem pani prababki, która chowała się w krzakach - dokończył Casanunda.

Niania zatrzymała się jak wryta.

- Skąd wiesz?

- Powiedzmy tylko, że zaczynam nieco pojmować kobiecość rodu Oggów - odparł krasnolud. Malinowy krzew rozerwał mu płaszcz.

- Opowiadała, że budowali szałas, cuchnęli jak u kowala pod pachą, pili jabłkownik i tańczyli przy ognisku z rogami na głowach. I sikali pod drzewami jak nie wiem co. Mówiła, że byli trochę jak dzieci. Ale moim zdaniem mężczyzna musi być mężczyzną, nawet jeśli to trochę dziecinne. Co się stało z twoją peruką?

- Jest chyba na tym drzewie za nami.

- Ale masz łom?

- Tak, pani Ogg.

- No to jesteśmy na miejscu.

Stanęli u stóp podłużnego kopca. Trzy duże, nieregularne kamienie tworzyły tam niewielką grootę. Niania Ogg schyliła się i pod poziomym głazem weszła w wilgotną, pachnącą amoniakiem ciemność.

- Tyle powinno wystarczyć - stwierdziła. - Masz zapalki?

Siarkowy blask odsłonił płaską powierzchnię kamienia z wykreślonym na niej rysunkiem. W rysy ktoś wtarł ochrę. Malowidło przedstawiało człowieka z wielkimi jak sowa oczami, noszącego zwierzęcą skórę i rogi.

W migotliwym świetle zdawał się tańczyć.

Pod malowidłem biegły znaki runicznej inskrypcji.

- Ktoś odczytał, co tu jest napisane? - zainteresował się Casanunda.

Niania Ogg przytaknęła.

- To wariant ogghamu - wyjaśniła. - W największym skrócie napis głosi „Mam bardzo wielkiego stukacza”.

- Oggham? - zdziwił się krasnolud.

- Moja rodzina żyje w tych częściach... częściach Ramtopów, oczywiście, już od bardzo dawna.

- Poznać panią to prawdziwa edukacja, pani Ogg - zapewnił dwornie Casanunda.

- Wszyscy tak mówią. A teraz wciśnij ten łom z boku kamienia, dobrze? Zawsze chciałam mieć jakiś pretekst, żeby tam wejść.

- A co tam jest?

- To wejście do Lancrańskich Jaskiń. Podobno sięgają wszędzie. Nawet

pod szczyt Miedzianki. Słyszałam, że jest też przejście do zamku, ale nigdy go nie znalazłam. Przede wszystkim jednak prowadzą do świata elfów.

- Myślałam, że Tancerze prowadzą do świata elfów.

- To jest inny świat elfów.

- Myślałam, że mają tylko jeden.

- O tym wolą nie rozmawiać.

- A pani chce tani wejść?

- Tak.

- Chce pani szukać elfów?

- Zgadza się. Masz zamiar stać tu całą noc, czy jednak podważysz ten kamień? - Szturchnęła go porozumiewawczo. - Wiesz, tam na dole jest złoto.

- A tak, dziękuję pani uprzejmie - odparł sarkastycznie Casanunda. - To gatunkizm w czystej postaci. Tylko dlatego, że jestem pionowo upośledzony, próbuje pani skusić mnie na złoto, tak? Krasnoludy to taka chciwość na nogach, co?

Niania westchnęła.

- No dobrze - powiedziała. - Mam inny pomysł. Kiedy wrócimy do domu, upiekę ci prawdziwy chleb krasnoludów. Co ty na to? Twarz Casanundy rozciągnęła się w pełnym niedowierzania uśmiechu.

- Prawdziwy chleb krasnoludów?

- Tak. Chyba mam jeszcze gdzieś przepis, a zresztą już od paru tygodni nie zmieniałam piasku w kocie skrzynce[35].

- No... No dobrze.

Casanunda wbił jeden koniec łomu pod kamień i pociągnął z całą swą

krasnuludzką siłą. Głaz przez chwilę stawiał opór, po czym uniósł się wolno.

Za nim były stopnie przysypane ziemią i suchymi korzeniami.

Niania ruszyła w dół, nie oglądając się za siebie. Po kilku krokach uświadomiła sobie, że idzie sama.

- O co chodzi?

- Nigdy nie lubiłem zamkniętych przestrzeni.

- Co? Przecież jesteś krasnoludem!

- Z pochodzenia. Urodziłem się krasnoludem. Ale robię się nerwowy nawet wtedy, kiedy muszę się ukrywać w szafie. To pewne utrudnienie przy moim trybie życia.

- Nie żartuj. Ja się nie boję.

- Ale pani nie jest mną.

- Wiesz co? Upiekę go z dodatkowym żwirem.

- Jest pani kusicielką, pani Ogg.

- I zabierz pochodnie.

Jaskinie były suche i ciepłe. Casanunda dreptał koło niani, starając się nie wychodzić z kręgu światła.

- Jeszcze tu pani nie była?

- Nie, ale znam drogę.

Po chwili Casanunda poczuł się lepiej. Jaskinie okazały się przestronniejsze od szaf. Przede wszystkim nie potykał się bez przerwy o jakieś buty i raczej trudno było oczekiwać, że mąż z mieczem w dłoni otworzy nagle drzwi.

Właściwie zaczynał nawet czuć się całkiem szczęśliwy.

Słowa wezbrały niewzywane gdzieś z tylnych zakamarków genów.

- Hej ho, hej ho...

Niania Ogg uśmiechnęła się w ciemności. Tunel doprowadził ich do wielkiej podziemnej komory. Blask pochodni odsłaniał sugestię dalekich ścian.

- To tutaj? - Casanunda mocniej ścisnął łom.

- Nie. To gdzie indziej. Ale... wiemy o tym miejscu. Jest mityczne.

- Nierzeczywiste?

- Ależ jest rzeczywiste. I mityczne.

Pochodnia zapłonęła jaśniej. Wokół groty tkwiły setki zakurzonych kamiennych płyt ustawionych w spiralę; nad jej środkiem ogromny dzwon zwisał na linie, której koniec ginął w mroku pod sklepieniem. Tuż pod dzwonem leżał stos srebrnych i stos złotych monet.

- Nie dotykaj pieniędzy - ostrzegła niania. - A teraz popatrz. Ojciec mi o tym mówił. Niezła sztuczka.

Wyciągnęła rękę i bardzo delikatnie stuknęła w wielki dzwon. Rozległo się ciche „ting!”.

Kurz spłynął kaskadą z najbliższej płyty. To, co Casanunda uważał za rzeźbę, usiadło powoli i niepewnie. Był to uzbrojony wojownik. Ponieważ usiadł, prawie na pewno był żywy, choć wyglądał, jakby przeszedł od życia do stężenia pośmiertnego, omijając po drodze zgon.

Skupił na niani spojrzenie swych głęboko osadzonych oczu.

- Co to za czas pykielny, co?

- Jeszcze nie pora - odparła.

- Po cóż więc przychodzisz i we dzwon walisz? Od dwustu lat nawet oka zmrużyć nie mogłem, bo wciąż żartowniś yakiś zyawia się i we dzwon uderza. Idź sobye.

Wojownik położył się znowu.

- To jakiś dawny król i jego żołnierze - szepnęła niania, kiedy oddalali się szybko. - Słyszałam, że śpią magicznym snem. Jakiś mag ich tak urządził. Podobno mają się obudzić na ostateczną bitwę, kiedy wilk pożre słońce.

- Ci magowie zawsze palą coś dziwnego - mruknął Casanunda.

- Możliwe. Tutaj skręć w prawo. Zawsze w prawo.

- Krążymy w koło?

- Po spirali. Jesteśmy dokładnie pod Długim.

- Nie, to się nie zgadza - zaprotestował krasnolud. - Zeszliśmy do dziury pod Długim... Chwileczkę. Chce pani powiedzieć, że jesteśmy w miejscu, gdzie zaczęliśmy, ale to inne miejsce?

- Widzę, że zaczynasz rozumieć.

Podążali spiralą...

...która, po pewnym czasie, doprowadziła ich do wrót - w pewnym sensie.

Było tu bardziej gorąco. Czerwony blask gorzał w bocznych korytarzach.

Dwa masywne głazy ustawiono pod skalnymi ścianami, a trzeci ułożono na nich. Powstałe w ten sposób prymitywne przejście zasłaniały zwierzęce skóry. Wokół nich wirowały smużki pary.

- Ustawili je w tym samym czasie co Tancerzy - wyjaśniła swobodnym tonem niania. - Ale dziura tutaj jest pionowa, więc wystarczyły trzy. Możesz zostawić łom. I zdejmij buty, jeśli są podkute gwoździami.

- Te buty zszywał najlepszy szewc w Ankh-Morpork - zapewnił Casanunda. - Pewnego dnia mu zapłacę.

Niania odsunęła skóry. Para buchnęła na zewnątrz.

Wewnątrz panował mrok, gęsty i gorący jak melasa, pachnący szatnią dla lisów. Idąc za nianią, Casanunda wyczuwał w cuchnącym powietrzu niewidoczne postacie, słyszał ciszę przerywanych nagle, prowadzonych półgłosem rozmów. W pewnym momencie miał wrażenie, że dostrzega misę rozgrzanych do czerwoności kamieni; zaraz jednak niewyraźna ręka przesunęła się nad nimi, przechyliła chochlę i wszystko zniknęło w kłębach pary.

To niemożliwe, żebyśmy byli pod Długim. To przecież nie grota, tylko długi namiot ze skór.

Nie może być jednym i drugim naraz.

Uświadomił sobie, że ocieka potem.

W wirujących kłębach pary pojawiły się dwie żagwie; ich światło było zaledwie czerwonym poblaskiem w ciemności. Ale wystarczyło, by ukazać ogromną postać wyciągniętą przy następnej misie gorących kamieni.

Podniosła głowę. Jelenie rogi poruszyły się w wilgotnym, lepkiem upale.

- Aha. To pani Ogg.

Głos brzmiał jak czekolada.

- Wasza wysokość - powiedziała niania Ogg.

- Przypuszczam, że oczekiwałbym zbyt wiele, chcąc, by pani uklękła?

- W samej rzeczy, wasza miłość. - Niania uśmiechnęła się.

- Pani Ogg, zna pani sposoby okazywania szacunku swemu bogowi, na widok których przeciętny ateista zzieleniałby z zazdrości - stwierdziła

mroczna postać. Ziewnęła.

- Dziękuję, wasza łaskawość.

- Dzisiaj nikt nawet dla mnie nie tańczy. Czy o zbyt wiele proszę?

- Sam powiedziałeś, wasza wysokość.

- Wy, czarownice, już we mnie nie wierzycie.

- I znowu się zgadza, wasza rogowatość.

- Ale, ale, mała pani Ogg, skoro pani już tu dotarła, jakim sposobem może pani sądzić, że się stąd wydostanie?

- Bo mam żelazo - odparła niania ostrym nagle tonem.

- Oczywiście, że pani nie ma, mała pani Ogg. Żadne żelazo nie może się dostać do tej dziedziny.

- Mam żelazo, które dotrze wszędzie.

Niania sięgnęła do kieszeni i wyjęła podkowę.

Casanunda usłyszał ruch wokół siebie - to niewidoczne elfy usiłowały odsunąć się jak najdalej. Zasyczała para, gdy któryś z nich przewrócił naczynie z gorącymi kamieniami.

- Zabierz to!

- Zabiorę odchodząc - obiecała niania. - A teraz mnie wysłuchaj. Ona znowu zaczyna. Musisz z tym skończyć. Trzeba grać uczciwie. Nie chcemy znowu Dawnych Kłopotów.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- A więc chcesz, żeby stała się potężna? Rozległo się głośne parsknięcie.

- Nie możesz znowu władać w świecie - powiedziała niania. - Zbyt wiele jest muzyki. Zbyt wiele jest żelaza.

- Żelazo rdzewieje.

- Ale nie to w głowie. Król parsknął znowu.

- Mimo wszystko... nawet ono... pewnego dnia...

- Pewnego dnia. - Niania kiwnęła głową. - Tak, za to mogę wypić. Pewnego dnia. Kto wie? Pewnego dnia. Każdy potrzebuje pewnego dnia. Ale jeszcze nie dzisiaj. Rozumiesz chyba? Dlatego musisz wyjść i wszystko ustawić jak należy. A jeśli nie, powiem ci, co zrobię. Każę im rozkopać Długiego żelaznymi łopatami, rozumiesz, a oni powiedzą: Przecież to tylko stare kopce. Emerytowani magowie i kapłani, którzy nie mają nic lepszego do roboty, będą grzebać w ziemi i pisać nudne, grube księgi o tradycjach pogrzebowych i takich różnych, a to będzie kolejny żelazny gwóźdź do twojej trumny. Będzie mi trochę żal, bo wiesz, że zawsze cię lubiałam. Ale mam dzieci, rozumiesz, i one nie chowają się pod schodami ze strachu przed burzą, nie wystawiają mleka dla elfów i nie uciekają do domu przed nocą. I zanim powrócą te mroczne, dawne dni, dopilnuję, żeby cię przygwoździć.

Słowa rozcinały powietrze.

Rogaty mężczyzna wstał. I wyprostował się. Końce rogów dotknęły stropu.

Casanunda rozdziawił usta.

- Sam widzisz - ciągnęła już spokojnie niania. - To jeszcze nie dzisiaj. Pewnego dnia... może. Więc siedź tu pod ziemią i oblewaj się potem aż do Pewnego Dnia. Nie dzisiaj.

- Ja... zdecyduję.

- Bardzo dobrze. Decyduj. A ja już pójdę. Rogaty mężczyzna spojrzał na Casanundę.

- Czemu się tak przyglądasz, krasnoludzie? Niania szturchnęła

towarzysza.

- No, odpowiedz temu miłemu panu. Casanunda przełknął ślinę.

- Niech mnie lichy - powiedział. - Zupełnie nie jesteś podobny do swojego portretu.

O kilka mil dalej, w wąskiej dolince, grupa elfów znalazła gniazdo z małymi króliczkami, co w połączeniu z pobliskim mrowiskiem dało im chwilę rozrywki.

Nawet pokorni, ślepi i pozbawieni głosu mają swoich bogów.

Herne Ścigany przeczołgał się pod płataniną kolczastych gałęzi, napiął mięśnie i skoczył.

Zatopił zęby w łydce elfa i zaciskał szczęki, aż zęby się spotkały, a on sam odleciał na bok, gdy elf wrzasnął i odwrócił się szybko.

Herne opadł na ziemię i rzucił się do ucieczki.

Na tym polegał problem. Nie był zbudowany do walki, nie miał w sobie nawet uncji drapieżcy. Atak i ucieczka - to jego jedyna szansa. A elfy biegały szybciej.

Przeskakiwał nad wykrotami, ślizgał się na opadłych liściach... Choć mgła przesłaniała mu oczy, dostrzegał, że elfy wyprzedzają go z obu stron, zaganiają, czekają...

Liście eksplodowały. Pomniejsze bóstwo przez moment widziało zębatą postać, długie ramiona i wściekłość. Potem zjawilo się dwóch ludzi w poszarpanych strojach; jeden z nich wywijał nad głową żelaznym prętem.

Herne nie czekał, co się stanie. Skoczył między nogami groźnej zjawy i biegł dalej. Tylko odległy krzyk bojowy odbijał się echem w jego długich

uszech:

- Ależ oczywiście, że skorzystam z pańskiego skorupiaka! Jak to robimy? Głośniej!

Niania Ogg i Casanunda w milczeniu wrócili do wyjścia z jaskini i wspięli się na stopnie. Wreszcie wyszli na otwartą przestrzeń.

- Niech to... - powiedział krasnolud.

- To się sączy nawet tutaj - stwierdziła niania. - Bardzo maczowa okolica, nie ma co.

- Ale chodzi mi o to, na bogów...

- Jest mądrzejszy niż ona. Albo bardziej leniwy. Chce to przeczekać.

- Przecież to był...

- Dla nas mogą wyglądać, jak tylko zechcą. Widzimy kształt, jaki sami im nadaliśmy. - Niania opuściła głaz na miejsce i otrzepała ręce.

- Ale dlaczego miałby ją powstrzymywać?

- No, w końcu jest przecież jej mężem. I nie może z nią wytrzymać. To coś, co można by określić małżeństwem otwartym.

- Ale co przeczekać? - dopytywał się Casanunda. Rozglądał się, czy nie zauważy jakichś elfów.

- No wiesz... - Niania Ogg machnęła ręką. - Całe to żelazo, książki, uniwersytety, czytanie i całą resztę. Uważa, rozumiesz, że to wszystko minie. I pewnego dnia, kiedy się skończy, ludzie spojrzą na linię horyzontu o zachodzie słońca i on tam będzie.

Casanunda mimowolnie zerknął w stronę słońca zachodzącego za kopcem. Niemal wyobrażał sobie ogromną sylwetkę widoczną w gasnącym blasku.

- Pewnego dnia on powróci - powiedziała cicho niania. - Kiedy nawet żelazo w umysłach zardzewieje.

Casanunda przechylił głowę. Nie można przez całe życie obracać się wśród różnych gatunków, żeby nie nauczyć się przy tym nieźle odczytywać mowy ich ciał, zwłaszcza jeśli wiadomość wypisana jest takimi wielkimi literami.

- Nie będzie pani tak całkiem tego żałować, co? - zapytał.

- Ja? Nie chcę, żeby wróciły. Nie można im ufać, są okrutnymi, aroganckimi pasożytami i wcale ich nam nie potrzeba.

- Założymy się o pół dolara? Niania zirytowała się nagle.

- Nie patrz tak na mnie! Esme ma rację. Oczywiście, że ma rację. Nie chcemy tu elfów. To rozsądne.

- Esme to ta niska?

- A skąd! Esme to ta wysoka z nosem. Znasz ją.

- Rzeczywiście, znam.

- Niska to Magrat. Ma dobre serce i jest trochę za miękka. Nosi kwiaty we włosach, wierzy w pieśni... Moim zdaniem nie zdążymy się nawet obejrzeć, a już będzie tańczyła z elfami. Taka jest.

W myślach Magrat pojawiało się coraz więcej wątpliwości. Dotyczyły na przykład kusz. Kusza to bardzo użyteczna i wygodna broń, zaprojektowana dla szybkości i wygody użytkowania oraz śmiertelnej

skuteczności w rękach niedoświadczonego strzelca. Ale jest też skonstruowana do użytku jednorazowego - dla kogoś, kto ma się gdzie schować i załadować ją. Inaczej staje się tylko kawałkiem metalu i drewna z przyczepionym sznurkiem.

Albo taki miecz. Mimo obaw Shawna, Magrat teoretycznie wiedziała, co się robi z mieczem. Człowiek próbuje gwałtownym ruchem ramienia wetknąć go w przeciwnika, a przeciwnik stara się do tego nie dopuścić. Nie była całkiem pewna, co się dzieje potem. Miała nadzieję, że przysługuje prawo do kolejnej próby.

Dręczyło ją także zwątpienie co do zbroi. Hełm i napierśnik były w porządku, ale cała reszta to kolczuga. A z punktu widzenia strzały -jak to wiedział Shawn Ogg - kolczugę można uznać za zbiór luźno połączonych otworów.

Wciąż gorzała w niej wściekłość, czysta furia zaciskająca się w samym sercu. Trudno jednak nie dostrzec, że to ściśnięte serce obudowane jest resztą Magrat Garlick, starej panny w parafii, z wszelkimi szansami na zachowanie tego stanu.

W mieście nie spotkała żadnych elfów, ale widziała, gdzie były wcześniej. Drzwi wisiały na zawiasach, a cała okolica wyglądała jak splądrowana przez Dżyngisa Cohena.

Znalazła się na szlaku do kamieni. Ścieżka była teraz szersza niż kiedyś; konie i powozy zryły ją po drodze w górę, a uciekający ludzie po drodze na dół zmienili w trzęsawisko.

Wiedziała, że jest obserwowana. Dlatego niemal z ulgą powitała trzy elfy, które wyszły spod drzew, zanim jeszcze zdążyła stracić z oczu zamek.

Środkowy uśmiechnął się szeroko.

- Dobry wieczór, dziewczyno - rzekł. - Nazywam się Lankin, pan Lankin, i będziesz dygać, kiedy się do mnie zwracasz.

Ton głosu sugerował, że nieposłuszeństwo absolutnie nie wchodzi w

rachubę. Magrat poczuła, że jej mięśnie napinają się, by wykonać polecenie.

Królowa Ynci na pewno by nie posłuchała...

- Tak się składa, że jestem praktycznie królową - oznajmiła.

Po raz pierwszy patrzyła w twarz elfa w chwili, gdy była w stanie dostrzegać szczegóły. Ten przed nią miał wysokie kości policzkowe i włosy związane w kucyk; ubrany był w kawałki tkaniny, koronek i futra, absolutnie pewien, że na elfie wszystko wygląda dobrze.

Zmarszczył swój doskonały nos.

- W Lancre włada tylko jedna Królowa - powiedział. - A ty z całą pewnością nią nie jesteś.

Magrat starała się skoncentrować.

- Gdzie więc ją znajdę? - spytała. Dwa pozostałe elfy uniosły łuki.

- Szukasz Królowej? W takim razie zaprowadzimy cię - postanowił Lankin. - Jeszcze jedno, pani. Gdybyś czuła ochotę skorzystania z tego brzydkiego żelaznego łuku, to wiedz, że w drzewach kryją się inni łucznicy.

Rzeczywiście, szelest liści dobiegł spośród drzew obok ścieżki, po nim jednak nastąpiło głucho uderzenie. Elfy zaniepokoiły się trochę.

- Zejdźcie mi z drogi - rzuciła Magrat.

- Mam wrażenie, pani, że nie całkiem rozumiesz sytuację - ostrzegł elf. Uśmiechnął się szerzej, ale spoważniał nagle, gdy kolejny trzask rozległ się po drugiej stronie szlaku.

- Czuliśmy, że nadjeżdżasz od samego początku ścieżki - oświadczył elf. - Dzielna dziewczyna wyrusza, by ocalić swego ukochanego. Jakież to romantyczne! Bierzcie ją.

Cień wyrósł nagle za plecami dwójki uzbrojonych elfów, chwycił je za głowy i zderzył razem. Potem przestąpił nad ciałami i gdy Lankin odwrócił

się, trafił go w szczękę szerokim ciosem, który uniósł elfa w powietrze i cisnął o drzewo.

Magrat dobyła miecza.

Czymkolwiek był ów przybysz, wyglądał jeszcze gorzej od elfów. Zabłocony, owłosiony, podobny budową do trolla, sięgnął po uzdę ręką, która zdawała się nie mieć końca. Magrat uniosła miecz...

- Uuk?

- Proszę odłożyć miecz, pani! Proszę!

Głos dobiegał gdzieś z tyłu, ale brzmiał jak ludzki i zatroskany. Elfy nie bywają zatroskane.

- Kim jesteś? - spytała, nie odwracając się.

Potwór przed nią uśmiechnął się szeroko, szczerząc żółte zęby.

- Ja... jestem Myślak Stibbons. Mag. I on też jest magiem.

- Nie ma żadnego ubrania.

- Mogę spróbować go namówić, żeby się wykąpał - powiedział Myślak nieco histerycznym tonem. - Zawsze po kąpieli wkłada taki stary zielony szlafrok.

Magrat uspokoiła się trochę. Ktoś, kto tak mówi, nie może być poważnym zagrożeniem - chyba że dla siebie.

- Po której stronie pan stoi, panie magu?

-A ile ich jest?

- Uuk?

- Kiedy zsiądę z tego konia - ostrzegła Magrat - poniesie. Niech więc poprosi pan tego... kolegę, żeby puścił uzdę. Inaczej może doznać szkody.

- Uuk?

- Hm... Raczej nie.

Magrat zsunęła się z siodła. Koń, uwolniony od obecności żelaza, rzeczywiście poniósł. Na jakieś cztery łokcie.

- Uuk.

Koń usiłował wstać na nogi.

Magrat zamrugła.

- Ehm... W tej chwili jest trochę zirytowany - wyjaśnił Myślak. -Jeden z tych... elfów... postrzelił go z łuku.

- Ale one to robią, żeby zawładnąć daną osobą!

- Hm... On nie jest osobą.

- Uuk!

- Znaczy, nie w sensie genetycznym.

Magrat spotykała już kiedyś magów. Od czasu do czasu któryś z nich przybywał do Lancre, chociaż nigdy nie zostawał na długo. W babci Weatherwax było coś takiego, że sama jej obecność skłaniała ich do wyjazdu.

I nie byli podobni do Myślaka Stibbonsa. Stracił już duży kawał szaty, z kapelusza pozostało mu tylko rondo, większą część twarzy miał zasmarowaną błotem, a pod okiem wielobarwnego siniaka.

- Czy one to panu zrobiły?

- No, błoto i podarte ubranie to skutek, wiesz, pani, lasu. Kilka razy wbiegliśmy też...

- Uuk.

- Przebiegliśmy się po elfach. A to tutaj, to kiedy uderzył mnie bibliotekarz.

- Uuk.

- I całe szczęście. Zwalił mnie z nóg. Gdyby nie to, byłbym teraz jak inni.

Złe przeczucie ogarnęło Magrat.

- Jacy inni? - spytała z naciskiem.

- Jesteś sama, pani?

- Jacy inni?

- Czy domyślasz się, pani, co się dzieje? Magrat przypomniła sobie zamek i miasteczko.

- Chyba potrafiłabym zgadnąć. Myślak pokręcił głową.

- Jest o wiele gorzej - stwierdził.

- Jacy inni? - powtórzyła Magrat.

- Jestem pewien, że nastąpiło przebicie intercontinuumalne. Pojawiła się wyraźna różnica w poziomach energetycznych.

- Ale jacy inni? - nie ustępowała Magrat. Myślak Stibbons rozejrzał się nerwowo, badając spojrzeniem las.

- Zejdźmy ze ścieżki - zaproponował. - Tu się kręci o wiele więcej elfów.

Po czym zniknął w krzakach. Magrat ruszyła za nim i zobaczyła drugiego maga, opartego o drzewo jak drabina. Miał na twarzy szeroki uśmiech.

- To kwestor - przedstawił kolegę Myślak. - Obawiam się, że trochę

przesadziliśmy z pigułkami z suszonej żaby. - Podniósł głos. - Jak... się... pan... czuje?

- Może zjem trochę tej pieczonej łąsicy, skoro pan taki miły -odparł kwestor, uśmiechając się promiennie do pustki.

- Dlaczego jest taki sztywny? - zdziwiła się Magrat.

- Sądzimy, że to skutek uboczny.

- Nie możecie jakoś temu zaradzić?

- Jak to? A po czym byśmy przekraczali strumienie?

- Zgłóście się jutro, piekarzu. Wezmę te chrupiące! - rzekł kwestor.

- Poza tym jest chyba całkiem zadowolony - dodał Myślak. - Czy jesteś wojowniczką, pani?

- Co? - nie zrozumiała Magrat.

- No, w tej zbroi i w ogóle...

Magrat spojrzała na siebie. Wciąż trzymała miecz. Hełm zsuwał się jej na oczy, ale wypchała go trochę strzępami ślubnej sukni.

- Ja, tego... Tak. Tak jest, zgadł pan. Właśnie nią jestem - oznajmiła. - Stanowczo.

- I przyjechałaś pani na ślub, jak sądzę? Tak jak my?

- Rzeczywiście. Zdecydowanie na ślub. To prawda. - Mocniej ścisnęła miecz. - A teraz proszę mi opowiedzieć, co zaszło. Zwracając szczególną uwagę na to, co się stało z innymi.

- No więc... - Myślak z roztargnieniem ujął skraj swej podartej szaty i zaczął nawijać go na palec. - Wszyscy pojechaliśmy, żeby obejrzeć tę Rozrywkę. Sztukę. Rozumiesz, pani? Aktorstwo. I... była bardzo zabawna. Występowali wieśniacy w ciężkich butach i słomianych perukach, i łazili

dookoła udając, że są panami i damami, i w ogóle. Wszystko mylili. Bardzo zabawne. Kwestor śmiał się do rozpuku. Chociaż muszę zaznaczyć, że śmiał się też z drzew i kamieni. Ale wszyscy się dobrze bawili... I wtedy...

- Chcę wiedzieć wszystko - wtrąciła Magrat.

- No więc... więc... zdarzyło się coś, czego tak naprawdę nie pamiętam. Chyba miało to coś wspólnego ze sztuką. Znaczy... nagle wszystko stało się całkiem rzeczywiste. Rozumiesz mnie, pani?

- Nie.

- No, był tam taki jeden z czerwonym nosem i krzywymi nogami, grał Królową Elfów czy coś takiego, i nagle nadal był sobą, ale... wszystko zdawało się... wszystko dookoła zniknęło, zostali tylko aktorzy... i ten wzgórek... Znaczy się, musieli być rzeczywiście dobrzy, bo naprawdę uwierzyłem... Pamiętam chyba, że w pewnej chwili ktoś poprosił, żebyśmy klasnęli w ręce... Wszyscy wyglądali bardzo dziwnie, słyszeć było ten śpiew, i był cudowny... i...

- Uuk.

- I wtedy bibliotekarz mnie uderzył - dokończył Myślak.

- Dlaczego?

- Lepiej żeby sam opowiedział.

- Uuk uk ik. Uk! Uuk!

- Odkaszlnij, Julio! Napij się czegoś! -wtrącił kwestor.

- Nie zrozumiałam, co mówił bibliotekarz - powiedziała Magrat.

- Uhm... Byliśmy wszyscy obecni przy rozdarcu międzywymiarowym - wyjaśnił Myślak. - Wywołanym wiarą. Sztuka była ostatnim czynnikiem, który doprowadził do otwarcia. Gdzieś w pobliżu musiał leżeć niezwykle delikatny obszar niestabilności. Trudno to opisać, ale gdybyś pani miała gumową membranę i kilka ołowianych ciężarków, mógłbym

zademonstrować...

- Chce pan mi wmówić, że te... te stwory istnieją, ponieważ ludzie w nie wierzą?

- Ależ nie. Podejrzewam, że istnieją niezależnie. Ale są tutaj, bo ludzie wierzą w nie tutaj.

- Uk.

- On pobiegł z nami. Wystrzeliły do niego z łuku.

- Iik.

- Ale to go tylko zaswędziało.

- Uk.

- Normalnie jest łagodny jak baranek. Naprawdę.

- Uk.

- Ale nie może znieść elfów. Uważa, że nieodpowiednio pachną.

Bibliotekarz rozszerzył nozdrza.

Magrat niewiele wiedziała o dżunglach, ale wyobraziła sobie drzewa, a na nich małpy, które wyczuwają ostrą woń tygrysa. Małpy nigdy nie podziwiają lśniącego futra ani błysku w oku, bo zbyt dobrze wiedzą o zębach w paszczy.

- Tak - zgodziła się. - Wcale mnie to nie dziwi. Krasnoludy i trolle też ich nienawidzą. Choć nie przypuszczam, żeby nienawidziły tak bardzo jak ja.

- Nie możesz walczyć z nimi wszystkimi, pani - ostrzegł ją Myślak. - Tam na wzgórzu roją się jak pszczoły. Są też między nimi latające. Bibliotekarz mówił, że każą ludziom przyciągać powalone pnie i różne takie, żeby przewracać te, no wiesz, pani, kamienie. Na wzgórzu stało kilka

kamieni. Elfy je atakują. Nie wiem dlaczego.

- Widzieliście jakieś czarownice na Rozrywce? - spytała Magrat.

- Czarownice, czarownice... - mruczał Myślak.

- Nie można ich przeoczyć. Jedna chuda, patrząca na wszystkich surowo, druga niska i gruba, łupie orzechy i często się śmieje. Na pewno rozmawiały ze sobą bardzo głośno. I obie noszą wysokie, szpiczaste kapelusze.

- Nikogo takiego nie zauważyłem.

- Czyli ich nie było. Być zauważaną to właśnie to, o co chodzi w czarownictwie.

Magrat chciała jeszcze dodać, że jej samej nigdy to za dobrze nie wychodziło, ale zrezygnowała.

- Jadę tam na górę - oznajmiła tylko.

- Potrzebowałabyś całej armii, pani. Przecież i tak już miałabyś przed chwilą poważne kłopoty, gdyby bibliotekarz nie schował się na drzewie.

- Ale nie mam armii. Dlatego muszę spróbować sama, prawda? Tym razem udało jej się zmusić konia do galopu. Myślak spoglądał za nią w zadumie.

- Szczerze mówiąc, ludowe pieśni zrobiły wiele złego - zwrócił się do nocnego powietrza.

- Uuk.

- Przecież ją tam całkiem zabiją.

- Uuk.

- Witam, panie Donico. Dwa kufle węgorki, jeśli można.

- Oczywiście, to może być jej przeznaczenie albo coś w tym rodzaju.
- Uuk.
- Tysiącletnia wskazówka i krewetki. Myślak Stibbons zrobił zakłopotaną minę.
- Ktoś chce ruszać za nią?
- Uuk.
- Hej, tam idzie, z tym wielkim zegarem.
- To znaczy „tak”?
- Uuk.
- Nie twoje. Jego.
- Husiu-husiu, idzie nasza galaretka.
- Sądzę, że można to uznać za „tak” - stwierdził z wahaniem Myślak.
- Uuk?
- Mam piękną nową kamizelkę.
- Chociaż z drugiej strony - mówił dalej Myślak - cmentarze pełne są ludzi, którzy rzucali się do ataku mężnie, ale nierozsądnie.
- Uuk.
- Co on powiedział? - zapytał kwestor, który w drodze do innych miejsc mijał właśnie rzeczywistość.
- Myślę, że powiedział: „Prędzej czy później cmentarze są pełne wszystkich” - odparł Myślak. - A co tam! Ruszamy.
- Tak, w istocie - zgodził się kwestor. - Ręce w rękawice, bosmanie!

- Zamknij się, co?

Magrat zsunęła się z siodła i puściła konia. Wiedziała, że jest już niedaleko Tancerzy. Na niebie migotały kolorowe światełka. Chciałaby wrócić do domu.

Było wyraźnie chłodniej - za zimno jak na letnią noc. Kiedy ruszyła naprzód, płatki śniegu zawirowały na wietrze i zmieniły się w deszcz.

Ridcully zmaterializował się wewnątrz zamku. Oparł się o kolumnę, czekając, aż odzyska oddech. Po transmigracji zawsze przed oczami krążyły mu niebieskie plamki.

Nikt go nie zauważył. W zamku panowało zamieszanie.

Nie wszyscy pochowali się po domach. W ciągu ostatnich kilku tysiącleci wrogie armie niejednemu raz maszerowały przez Lancre, więc świadomość grubych, bezpiecznych murów zamku praktycznie wryła się w zbiorową pamięć. Uciekać do zamku... A teraz zebrała się tu prawie cała ludność małego królestwa.

Ridcully zamrugał niepewnie. Ludzie krążyli dookoła, wypytywani przez niewysokiego młodego człowieka w za luźnej kolczudze i z ręką na temblaku. Wydawało się, że tylko on zachował rozsądek.

Kiedy Ridcully był już pewien, że zdoła chodzić prosto, podszedł do niego.

- Co się tu dzieje, młody... - zaczął i urwał nagle. Shawn Ogg obejrzał się.

- O, podstępna lisico! - zawołał Ridcully, zwracając się ogólnie do powietrza. - „Na twoim miejscu poszłabym po nią”, mówi, a ja słucham jak dureń! Gdybym nawet potrafił znowu się przenieść, przecież nie wiem, gdzie byliśmy!

- Proszę pana... - odezwał się Shawn.

Ridcully otrząsnął się.

- Co się dzieje? - powtórzył.

- Nie wiem! - odparł Shawn, niemal we łzach. - Myślę, że zaatakowały nas elfy! To, co opowiadają, zupełnie nie ma sensu! Pojawiły się chyba w czasie Rozrywki! Albo jakoś tak!

Ridcully spojrzał na przerażonych, oszołomionych ludzi.

- A panienka Magrat pojechała z nimi walczyć. Sama! Ridcully zdziwił się wyraźnie.

- Kto to jest panienka Magrat?

- Ma zostać królową! To panna młoda! Słyszał pan? Magrat Garlick.

Umysł Ridcully'ego potrafił przetrwać jeden fakt naraz.

- A po co pojechała?

- One schwytały króla!

- Wiedziałeś, że schwytały też Esme Weatherwax?

- Jak to? Babcię Weatherwax?

- Wróciłem, żeby ją ratować - dodał Ridcully i uświadomił sobie, że brzmi to albo bzdurnie, albo tchórzliwie.

Shawn był zbyt poruszony, żeby cokolwiek zauważyć.

- Mam tylko nadzieję, że nie zaczęły zbierać czarownic. - Westchnął. - Potrzebna im jeszcze nasza mama, a będą miały komplet.

- Mnie nie złapały - odezwała się niania Ogg za jego plecami.

- Mamo! Jak się tu dostałaś?

- Na miotle. Lepiej wyślij na dach paru ludzi z łukami. Ja tamtędy weszłam, więc inni też mogą próbować.

- Co teraz zrobimy, mamo?

- Bandy elfów włóczą się po okolicy - poinformowała niania. - A nad Tancerzami widać łunę...

- Musimy ich zaatakować! - krzyknął Casanunda. - Niech pokosztują zimnej stali!

- Mężny człowiek z tego krasnoluda - pochwalił go Ridcully. - Ma rację. Idę po kuszę.

- Jest ich zbyt wiele - wtrąciła spokojnie niania.

- Tam są babcia i panienska Magrat, mamo - wtrącił Shawn. - Na panienkę Magrat naszło coś dziwnego. Włożyła zbroję i pojechała walczyć ze wszystkimi!

- Ale na wzgórzach aż się roi od elfów. Mamy tu podwójną porcję piekła z paroma demonami na dodatek. Pewna śmierć.

- Śmierć i tak jest pewna - zauważył Ridcully. - To właśnie podstawowa cecha Śmierci: pewność.

- Nie mamy żadnych szans.

- Owszem, mamy jedną. Nie bardzo rozumiem tych wszystkich continuinuumów, ale z tego, co tłumaczył młody Stibbons, pojąłem tyle, że wszystko może się gdzieś przydarzyć. To znaczy, że może się przydarzyć tutaj. Nawet, droga pani, jeśli to szansa jedna na milion.

- Doskonale - mruknęła ironicznie niania Ogg. - To znaczy, że na każdego Mustruma Ridcully'ego, który przeżyje dzisiejszą noc, 999 999 zginie?

- Tak, ale te oferty mnie nie obchodzą. Niech sami się o siebie troszczą. Będą mieli nauczkę za to, że nie zaprosili mnie na swoje śluby.

- Co?

- Nic.

Shawn przeskakiwał z nogi na nogę.

- Musimy z nimi walczyć, mamó!

- Popatrz na tych ludzi - uspokajała go niania. - Są przemoknięci, zmęczeni i wystraszeni. To żadna armia!

- Mamó... mamó... mamó...

- Co?

- Rozgrzeję ich, mamó! To właśnie trzeba zrobić, mamó, zanim żołnierze ruszą do bitwy! Czytałem o tym! Można wziąć zwykły motłoch z czegoś tam, wygłosić odpowiednią mowę, rozgrzać ich i zmienić w straszną siłę bojową!

- I tak już strasznie wyglądają.

- Chodziło mi o „straszną” w sensie „waleczną”.

Niania Ogg spojrzała na mniej więcej setkę obywateli Lancre. Sama myślała o tym, że będą zdolni do walki z kimkolwiek, wymagała długiego przyzwyczajania.

- Studiowałeś te sprawy, Shawn? - spytała.

- Mam z pięć roczników Łuków i amunicji, mamó - odparł Shawn z wyrzutem.

- No to próbuj. Jeśli sądzisz, że to poskutkuje. Drżąc z podniecenia, Shawn wdrapał się na stół, zdrową ręką wydobył miecz i kilka razy uderzył nim o deski. Ludzie umilkli. Wygłosił mowę.

Uświadomił im, że ich król został uwięziony, a przyszła królowa wyruszyła mu na ratunek. Przypomniwał im o odpowiedzialności lojalnych poddanych. Zapewnił, że ludzie w tej chwili nieobecni tutaj, ale w domach chowający się pod łózkami, po wspianym zwycięstwie będą żałować, że także nie zjawili się tutaj, zamiast pod wspomnianymi uprzednio łózkami, pod którymi się chowają, no wiecie, tymi łózkami, co o nich przed chwilą mówił. Właściwie to nawet lepiej, że tak nieliczni staną do bitwy, bo większa porcja honoru przypadnie na głowę ocalałego. Trzy razy użył słowa „chwała”. Powiedział, że kiedyś ludzie będą wspominać ten dzień i z dumą pokazywać swoje blizny, a przynajmniej ci, co przeżyją, będą pokazywać blizny, i pewnie inni będą im stawiać drinki. Poradził wszystkim, żeby naśladowali działanie lancrańskiego lisa posuwisto-zwrotnego i natężyli mięśnie, pozostawiając je jednak dostatecznie elastycznymi, żeby mogli poruszać rękami i nogami; właściwie lepiej nawet, żeby teraz je rozluźnić dla odpoczynku, a natężyć potem, kiedy nadejdzie czas. Zasugerował także, iż Lancre od każdego oczekuje, że wypełni swój obowiązek. I um. I tego. Pytania?

Ciszę, która nastąpiła, przerwała dopiero niania Ogg.

- Ludzie muszą to sobie przemyśleć, Shawn. Może zaprowadzisz tymczasem pana maga do zbrojowni i pomożesz mu przy kuszach?

Znacząco skinęła głową w kierunku schodów.

Shawn wahał się chwilę, ale niedługo. Dostrzegł błysk w oku matki.

Kiedy zniknął, niania Ogg wspięła się na ten sam stół.

- No więc - zaczęła - sprawa wygląda tak. Jeśli pójdziecie, możecie spotkać elfy. Ale jeśli zostanieie tutaj, na pewno spotkacie mnie. Owszem, elfy są gorsze ode mnie. Przyznaję. Ale ja jestem bardziej uparta.

Tkacz ostrożnie podniósł rękę.

- Przepraszam, pani Ogg.

- Słucham cię, Tkacz.

- Co właściwie robi ten lancrański lis posuwisto-zwrotny? Niania podrapała się za uchem.

- O ile pamiętam - wyjaśniła - tylnymi nogami robi o tak, ale przednimi tak.

- To nie jest ruch posuwisto-zwrotny, tylko oscylujący - zaprotestował ktoś z tłumu. - Pani myśli o pierścieniogonnym ocelocie. Niania skinęła głową.

- Czyli wszystko jasne - stwierdziła.

- Chwileczkę! Nie jestem pewien...

- Tak, panie Quarney?

- No... właściwie...

- Dobrze, dobrze - powiedziała niania, gdy Shawn pojawił się znowu. - Właśnie mi mówili, Shawn, jak porwała ich twoja mowa. Naprawdę są rozgrzani.

- O rany!

- Jak sądzę, są gotowi pójść za tobą w same wrota piekieł. Ktoś podniósł rękę.

- Czy pani też pójdzie, pani Ogg?

- Przespaceruję się tylko za wami.

- Aha. No tak. W takim razie może... pod wrota piekieł.

- Zadziwiające - mruknął Casanunda, kiedy tłum niechętnie ruszył w kierunku zbrojowni.

- Po prostu trzeba wiedzieć, jak trafić do ludzi - odparła niania.

- Pójdą tam, gdzie zaprowadzi ich Ogg?

- Niezupełnie. Ale jeśli wiedzą, co dla nich dobre, pójdą tam, gdzie Ogg idzie za nimi.

Magrat wyszła pomiędzy drzew i przed sobą zobaczyła wrzosowisko.

Lej chmur wirował nad Tancerzami, a przynajmniej nad miejscem, gdzie dawniej stali Tancerze. W migotliwym blasku zauważyła jeden czy dwa kamienie leżące na boku albo odtoczone w dół po zboczu.

Samo wzgórze lśniło. Coś się nie zgadzało z pejzażem - zaginał się tam, gdzie nie powinien, odległości się nie zgadzały. Magrat przypomniała sobie drzeworyt wciśnięty jako zakładka do którejś ze starych ksiąg. Ukazywał twarz staruchy, ale kiedy człowiek dłużej mu się przyglądał, widział, że jest to również głowa młodej kobiety: nos stawał się szyją, brew zmieniała się w naszyjnik. Obrazy przeskakiwały jeden w drugi i - jak wszyscy - Magrat zezowała zabawnie, usiłując zobaczyć oba równocześnie.

Pejzaż zachowywał się podobnie. Wzgórze było jednocześnie śnieżną równiną. Lancre i kraina elfów próbowały zająć tę samą przestrzeń.

Atakująca kraina nie wkraczała łatwo. Lancre się broniło.

Na styku walczących pejzaży, niczym przyczółek na obcym brzegu, stał krąg namiotów w jaskrawych kolorach - wszystko pochodzące od elfów było piękne, dopóki obraz nie przekrzywił się nagle i człowiek nie patrzył z innej strony.

Coś się działo. Kilka elfów siedziało już w siodłach, a między namiotami prowadzono konie.

Wyglądało, jakby zwijały obóz.

Królowa siedziała na zaimprovizowanym tronie w swoim namiocie. Oparła łokieć o poręcz, a palcami w zadumie gładziła podbródek. Inne elfy siedziały wokół niej w półokręgu... tyle że „siedziały” nie jest odpowiednim słowem. Rozpierały się - elfy potrafią ułożyć się wygodnie nawet na drucie. Te tutaj miały na sobie więcej koronek i aksamitu, a mniej piór, choć trudno powiedzieć, czy to sugerowało elfią arystokrację - elfy noszą to, na co im tylko przyjdzie ochota, przekonane, że i tak wyglądają oszłamiająco[36].

Każdy z nich wpatrywał się w Królową i był zwierciadłem jej nastrojów. Kiedy się uśmiechała, one też się uśmiechały. Kiedy powiedziała coś, co uważała za zabawne, śmiały się.

W tej chwili obiektem jej uwagi była babcia Weatherwax.

- Co się dzieje, stara kobieto? - zapytała.

- To nie takie proste - odparła babcia. - Myślałaś, że pójdziesz ci łatwo, co?

- Rzuciłaś jakiś czar, prawda? Coś z nami walczy.

- Nie czar. Żadnych czarów. Po prostu zbyt długo was tu nie było. Wszystko się zmienia. Kraina należy teraz do ludzi.

- To nie może być prawda - orzekła Królowa. - Ludzie biorą. Orzą żelazem. Pustoszą krainę.

- Niektórzy rzeczywiście, muszę ci to przyznać. Inni oddają więcej, niż zabrali. Oddają miłość. Mają ziemię w kościach. Pokazują krainie, czym jest. Do tego służą ludzi. Bez ludzi Lancre byłoby tylko kawałkiem gruntu z rosnącymi na nim zielonymi kawałkami. Nie wiedziałyby nawet, że są drzewami. Żyjemy tu razem, madame; my i kraina. To już nie jest ziemia, to państwo. Jest jak koń ujeżdżony i podkuty, jak oswojony pies. Za każdym razem, kiedy ludzie tną pługiem ziemię, kiedy sieją ziarno, odsuwają krainę dalej od ciebie. Wszystko się zmienia.

Verence siedział obok Królowej. Źrenice miał małe niczym główki szpilek i uśmiechał się słabo, ale bezustannie, w sposób przywodzący na

myśl kwestora.

- Aha. Kiedy jednak się pobierzemy, kraina musi mnie uznać - stwierdziła Królowa. - Według twoich reguł. Wiem, jak to działa. Być królem to coś więcej niż tylko nosić koronę. Król i kraina są jednym. Król i królowa są jednym. A ja będę królową.

Uśmiechnęła się do babci.

Elfy stały po bokach babci i przynajmniej jeden za jej plecami, wiedziała o tym. Nie były skłonne do wahań -jeśli poruszy się bez pozwolenia, zginie.

- A czym ty będziesz, jeszcze nie zdecydowałam - mówiła dalej Królowa.

Uniosła przepięknie szczupłą dłoń. Kciuk i palec wskazujący ułożyła w pierścień, który przyłożyła do oka.

- A teraz ktoś nadchodzi - powiedziała. - W zbroi, która nie pasuje, z mieczem, którego nie potrafi użyć, i toporem, który ledwie może podnieść. Nadchodzi, bo to takie romantyczne, prawda? Jak się nazywa?

- Magrat Garlick - poinformowała babcia.

- Jest potężną czarodziejką?

- Nieźle sobie radzi z ziołami. Królowa zaśmiała się.

- Mogłabym ją zabić z tego miejsca.

- To prawda - przyznała babcia. - Ale to nie byłoby zabawne. Najważniejsze jest upokorzenie. Królowa przytaknęła.

- Wiesz, myślisz zupełnie jak elf.

- Sądzę, że wkrótce nadejdzie świt - powiedziała babcia. - Piękny dzień. Jasne słońce.

- Nie dość szybko.

Królowa wstała. Jej suknia zmieniła się z czerwonej w srebrzystą, odbijając światło żagwi niczym błyszczące rybie łuski. Włosy rozwinęły się, przeformowały, stały jasne jak słoma. Delikatne fale zmian popłynęły po twarzy.

- Co o tym myślisz? - spytała.

Wyglądała jak Magrat. A raczej tak jak Magrat chciałaby wyglądać, może tak jak myślał o niej Verence. Babcia kiwnęła głową - jak prawdziwa specjalistka, poznawała u innej doskonałą złośliwość.

- Chcesz się z nią spotkać w tej postaci?

- Oczywiście. Ostatecznie. Na końcu. Ale nie żałuj jej. Ona tylko umrze. Czy chcesz, żebym ci pokazała, kim mogłaś się stać?

- Nie.

- Mogę to zrobić bez trudu. Istnieją czasy inne niż ten. Mogę ci pokazać prababkę Weatherwax.

- Nie.

- To musi być straszne: wiedzieć, że nie masz przyjaciół. Że nikt się nie przejmie, kiedy umrzesz. Że nigdy nie poruszyłaś niczyjego serca.

- Tak.

- Jestem pewna, że o tym myślisz... w te długie wieczory, kiedy jedynym towarzystwem jest tykający zegar i chłód pokoju, a ty otwierasz pudełko i patrzysz na...

Królowa machnęła łaskawie ręką, kiedy babcia próbowała się wyrwać.

- Nie zabijajcie jej - powiedziała. - Żywa jest dużo zabawniejsza.

Magrat wbiła miecz w błoto i sięgnęła po topór.

Las napierał z obu stron. Elfy na pewno przejdą tą drogą.

Wydawało się, że są ich setki, a tylko jedna Magrat Garlick.

Wiedziała, że istnieje coś takiego jak heroiczna walka. Pieśni, ballady, baśnie i poematy pełne były opowieści o samotnym bohaterze, który w pojedynkę atakował i pokonywał wielką liczbę wrogów. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to jednak tylko pieśni, ballady, baśnie i poematy; mówiły o rzeczach, które są - wyrażając się oględnie - nieprawdziwe.

Teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, nie mogła sobie przypomnieć ani jednego przykładu z historii.

Elf ukryty między drzewami uniósł łuk i wymierzył starannie.

Jakaś gałązka trzasnęła za jego plecami. Odwrócił się.

Kwestor uśmiechnął się promiennie.

- Siup-stokrotka, stary portku. Fasola mi przecieka.

Elf przesunął łuk.

Para chwytnych stóp opadła spośród listowia, chwyciła go za ramiona i mocno szarpnęła w górę. Coś trzasnęło, kiedy głowa uderzyła od dołu o konar.

- Uuk!

- Ruszaj dalej!

Po drugiej stronie ścieżki celował inny elf. A nagle świat od niego odpłynął...

Oto wewnątrz umysłu elfa:

Są tu normalne zmysły w liczbie pięciu, ale wszystkie podlegają szóstemu zmysłowi. Na Dysku nie ma on oficjalnej nazwy, ponieważ sita jest tak słaba, że widzą ją tylko spostrzegawczy kowale - i nazywają miłością żelaza. Żeglarze mogliby ją odkryć, gdyby nie o wiele bardziej niezawodne, stojące pole magiczne Dysku. Ale pszczoły ją wyczuwają, ponieważ pszczoły wyczuwają wszystko. Gołębie kierują się według niej. I wszędzie w multiwersum elfy zawsze dokładnie wiedzą, gdzie się znajdują.

To trudne dla istot ludzkich, wiecznie przedzierających się przez niewygodną geografię. Ludzie zawsze są odrobinę zagubieni. To ich podstawowa cecha. I wiele wyjaśnia na ich temat.

Elfy nigdy się nie gubią. To ich podstawowa cecha. I wiele wyjaśnia na ich temat.

Elfy z absolutną dokładnością znają swoje położenie. Przepływ srebrzystych linii siły mgliście obrysowuje świat. Istoty żywe same generują niewielkie jej ilości i są dostrzegalne w zawirowaniach. Ich mięśnie iskrzą od tej siły, umysły brzęczą od niej. Dla tych, którzy się tego nauczyli, nawet myśli są czytelne dzięki minimalnym, lokalnym zmianom przepływu.

Dla elfa szmat jest czymś, co można chwycić i wziąć. Z wyjątkiem straszego metalu, który wypija tę siłę, deformuje wszechświat przepływu niczym ołowiany ciężar na gumowej membranie. Oślepia elfy, ogłusza je, pozostawia zagubione i bardziej samotne, niż człowiek to mógłby pojąć...

Elf runął na twarz.

Myślak Stibbons opuścił miecz.

Właściwie nikt by się dłużej nad tym nie zastanawiał. Ale los skazał nieszczęsnego Myślaka na poszukiwanie wzorców w obojętnym świecie.

- Przecież tylko go dotknąłem - wymruczał do nikogo prócz siebie.

- „I całowałem ją pod krzakami, gdzie słowiki”... No, śpiewać mi tu! Dwa, trzy!

Nie wiedzieli, gdzie się znaleźli. Nie wiedzieli, gdzie byli wcześniej. Nie byli całkiem pewni, kim są. Ale członkowie Lancrańskiego Zespołu Tańca Morris osiągnęli taki stan, w którym łatwiej było kontynuować, niż przerwać. Śpiew przyciągał elfy, ale też je fascynował...

Tancerze wirowali, skakali, kołysali się i przebiegali po ścieżkach. Tańczyli przez odosobnione sioła, gdzie elfy pozostawiły tych, których dręczyły. Skupiali się razem w świetle płonących domów...

- „Śpiewają... WAL... lala-di-do-la, śpiewają to-ra-lilaj!”. Sześć kijów dokonało dzieła, idealnie w rytmie.

- Gdzie idziemy, Jason?

- Chyba minęliśmy już Oślizłą Kotlinę i skręcamy w stronę miasta - odparł Jason, przebiegając obok Piekarza. - Nie przerywaj, Woźnica!

- Deszcz zmoczył zapadki!

- Nieważne! I tak nie zauważą różnicy! Jak na muzykę ludową, całkiem wystarczy!

- Jason, na tym ostatnim złamałem kij!

- Bylebyś tańczył, Druciarz! A teraz, chłopaki... Spróbujmy Zbierania straków. Możemy trochę poćwiczyć, skoro i tak...

- Jacyś ludzie przed nami - oznajmił Tkacz, przesuając się obok. - Widzę pochodnie i w ogóle.

- Prawdziwi ludzie, dwa, trzy, czy znowu elfy?

- Nie wiem!

Jason okręcił się i zatańczył tyłem.

- To ty, Jason? - usłyszał.

Wybuchnął śmiechem, aż echo poniosło między mokrymi drzewami.

- To nasza mama! I nasz Shawn! I... i mnóstwo ludzi! Udało się, chłopaki!

- Jason - odezwał się Woźnica.

- Co?

- Nie jestem pewien, czy potrafię przerwać!

Królowa obejrzała swą twarz w zwierciadle umocowanym do masztu namiotu.

- Po co? - zdziwiła się babcia. - Co takiego widzisz? - To, co chcę zobaczyć - odparła Królowa. - Wiesz dobrze. A teraz... Jedźmy do zamku. Zwiążcie jej ręce, ale nogi zostawcie wolne.

Znów padał deszcz, niezbyt gęsty; w pobliżu kamieni zmieniał się w deszcz ze śniegiem. Woda ściekała Magrat po włosach i chwilowo rozplątywała supły.

Mgła kłębiła się wokół drzew, gdzie walczyły ze sobą zima i lato.

Magrat patrzyła, jak elfi dwór dosiada wierzchowców. Zauważyła Verence'a poruszającego się jak marionetka. I babcię Weatherwax przywiązaną na długim sznurze za koniem Królowej.

Końskie kopyta rozpryskiwały błoto. Zwierzęta miały na uprzężach

srebrne dzwonki - całe mnóstwo.

Elfy w zamku, noc duchów i cieni - wszystko to było tylko twardym guzem w jej pamięci. Ale brzęk dzwonków był niczym pilnik przeciągnięty po zębach.

Kilkanaście stóp od niej Królowa zatrzymała orszak.

- Ach, nasza dzielna dziewczynka - powiedziała. - Przybyłaś całkiem sama, żeby ratować narzeczonego? Jakież to słodkie. Niech ktoś ją zabije.

Elf spiął konia i ruszył do przodu, wznosząc miecz. Magrat ścisnęła topór.

Gdzieś za jej plecami brzęknęła o drewno cięciwa. Coś szarpnęło elfem. I tym, który był za nim. Bełt leciał nadal, skręcając odrobinę, gdy mijał powalonego Tancerza.

Naprawdę sformowana armia Shawna Ogga ruszyła do szturmów spod drzew - cała z wyjątkiem Ridcully'ego, który gorączkowo usiłował napiąć kuszę.

Królowa nie wydawała się zdziwiona.

- Jest ich tylko setka - powiedziała. - Co o tym myślisz, Esme Weatherwax? Ostatnia reduta? To piękne. Uwielbiam ludzki sposób myślenia. Oni myślą jak w pieśniach.

- Złaż z tego konia! - krzyknęła Magrat.

Królowa uśmiechnęła się do niej.

Shawn to poczuł. Ridcully także. I Myślak. Urok ogarnął ich jak fala.

Elfy boją się żelaza, ale wcale nie muszą się do niego zbliżać.

Nie można walczyć z elfami, ponieważ człowiek jest o wiele mniej wartościowy niż one. To słuszne, że jest wobec nich bez wartości. Są takie piękne. A człowiek nie. Człowiek zawsze jest tym, którego - metaforycznie -

ostatniego biorą do drużyny, nawet po tym grubym chłopaku ze stale zapchany, ciekącym nosem; zawsze jest tym, któremu nikt nie wyjaśnił reguł, dopóki nie przegrał, a potem nie wyjaśnił mu nowych reguł; tym, który wie, że wszystko, co ciekawe, zdarza się innym. Wszystkie te zabójcze uczucia mieszały się razem. Nie można walczyć z elfem. Ktoś tak bezużyteczny, tak tępy, tak... ludzki nie może zwyciężyć. Wszechświat nie działa w ten sposób.

Myśliwi opowiadają, że czasami zwierzę samo wychodzi z gęstwiny i stoi nieruchomo, czekając na cios.

Magrat zdołała na wpół unieść topór, ale zaraz opuściła bezwładnie ręce. Zwiesiła głowę. Właściwą postawą człowieka wobec elfa jest wstyd. Tak szorstko krzyknęła na coś tak cudownego jak elf...

Królowa zeskoczyła z siodła.

- Nie dotykaj jej - ostrzegła babcia. Królowa skinęła głową.

- Potrafisz się oprzeć - przyznała. - Ale widzisz, to nie ma znaczenia. Możemy wziąć Lancre bez walki. Nic na to nie poradzisz.

Spójrz na tę dzielną małą armię stojącą jak stado owiec. Ludzie są tacy... entuzjastyczni...

Babcia spojrzała na czubki swych butów.

- Nie możesz tu rządzić, dopóki ja żyję.

- Teraz nie będzie żadnych sztuczek. Żadnych głupich kobiet z torbami cukierków.

- Zauważyłaś to? Myślę, że Gytha miała dobre chęci. Głupia kwoka. Pozwolisz, że usiądę?

- Ależ oczywiście - zgodziła się łaskawie Królowa. - Przecież jesteś teraz starą kobietą.

Skinęła elfom. Babcia z westchnieniem usiadła na kamieniu; ręce

wciąż miała związane za plecami.

- Na tym polega kłopot z czarownictwem - powiedziała. - Nie pozwala zachować młodości, za to starość trwa o wiele dłużej. Podczas gdy ty, oczywiście, wcale się nie starzejesz.

- Istotnie, nie starzejemy się.

- Ale podejrzewam, że możesz być... zredukowana.

Uśmiech Królowej nie zniknął, ale zastygł, jak często się zdarza uśmiechom, których właściciel nie jest pewien, co właśnie zostało powiedziane, i nie wie, jak powinien zareagować.

- Mieszałaś w sztuce - mówiła dalej babcia. - Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robiłaś. Sztuki i książki... Trzeba je mieć na oku, łobuzy, bo zwrócą się przeciwko tobie. Dopilnuję, żeby tak się stało. - Skinęła przyjaźnie głową elfowi okrytemu barwnikiem i źle wyprawioną skórą. - Co ty na to, elfie Dobry Druhu?

Królowa zmarszczyła brwi.

- On się tak nie nazywa - zauważyła.

Babcia Weatherwax rzuciła jej kolejny promienny uśmiech.

- Zobaczymy - rzekła. - Jest teraz dużo więcej ludzi, a wielu mieszka w miastach i nie ma pojęcia o elfach. Żelazo mają w głowach. Spóźniłaś się.

- Nie - odparła Królowa. - Ludzie zawsze nas potrzebują.

- Wcale nie. Czasami was pragną. To co innego. Ale wy możecie im dać tylko złoto, które znika o świcie.

- Niektórzy powiedzieliby, że złoto na jedną noc to i tak dużo.

- Nie.

- Jest lepsze od żelaza, ty durna starucho, głupi dzieciaku, który

zestarzał się i nie dokonał niczego, jest nikim.

- Nie. Złoto jest tylko miękkie i błyszczące. Ładnie wygląda, ale nie ma z niego pożytku. - Głos babci wciąż był spokojny, obojętny. - To jest prawdziwy świat, madame. Tego musiałam się nauczyć. I żyją tu prawdziwi ludzie. Nie masz do nich prawa. Ludzie mają dość roboty z byciem ludźmi. Nie potrzebują was, puszających się dookoła z waszymi błyszczącymi włosami, błyszczącymi oczami i błyszczącym złotem, idących na ukos przez życie, wiecznie młodych, wiecznie rozśpiewanych i niezdolnych niczego się nauczyć.

- Nie zawsze tak uważałaś.

- To było dawno temu. I wiedz, moja pani, że mogę być staruchą, mogę być wiedźmą, ale nie jestem głupia. A ty nie jesteś żadną boginią. Nic nie mam przeciwko bogom i boginiom, byle znali swoje miejsce. To muszą być te bóstwa, które stwarzamy sami. Możemy rozebrać je na części, kiedy już nie są potrzebne. Rozumiesz? Elfy daleko stąd, w krainie czarów... Możliwe, że ludzie potrzebują ich, by przetrwać czas żelaza.. Ale nie pozwolę na elfy tutaj. Budzicie w nas pragnienie tego, czego nie możemy zdobyć; to, co nam dajecie, jest nic niewarte, to, co bierzecie, jest wszystkim, a nam pozostaje tylko zimne zbocze, pustka i śmiech elfów.

Nabrała tchu.

- Więc wynoście się!

- Spróbuj nas zmusić, stara kobieto.

- Miałam nadzieję, że to powiesz.

- Nie chcemy całego świata. To małe królestwo wystarczy. I weźmiemy je, czy nas zechce, czy nie.

- Po moim trupie.

- Jeśli taki jest warunek...

Królowa uderzyła mentalnie, jak kot.

Babcia Weatherwax skrzywiła się i odchyliła głowę.

- Madame?

- Słucham? - rzuciła Królowa.

- Nie obowiązują żadne reguły, prawda?

- Reguły? A co to są reguły?

- Tak myślałam - stwierdziła babcia. - Gytho Ogg! Niania zdołała jakoś odwrócić głowę.

- Tak, Esme?

- Moje pudełko. Wiesz które. To w komodzie. Będziesz wiedziała, co robić.

Babcia uśmiechnęła się. Królowa zatoczyła się w bok, jakby ktoś ją uderzył.

- Czegoś się nauczyłaś - syknęła.

- Tak. Wiesz, że nigdy nie wkroczyłam do kręgu. Domyślałam się, dokąd to prowadzi. Dlatego musiałam się uczyć. Przez całe życie. Trudniejszym sposobem. A trudniejszy sposób rzeczywiście jest trudny, ale nie tak jak ten łatwy. Nauczyłam się. Od trolli, od krasnoludów i od ludzi. Nawet od kamieni.

Królowa zniżyła głos.

- Nie zostaniesz zabita - szepnęła. - To ci obiecuję. Będziesz żyła. Będziesz się ślinić, bełkotać i robić pod siebie, będziesz chodzić od drzwi do drzwi i błagać o resztki. A wszyscy powiedzą: oto idzie stara wariatka.

- Już teraz to mówią - mruknęła babcia Weatherwax. - Myślą, że nie słyszę.

- Ale wewnątrz... - Królowa nie zwracała uwagi na jej słowa. - Wewnątrz zatrzymam część ciebie, która będzie wyglądać przez twoje oczy i widzieć, czym się stałaś. Nikt ci nie pomoże. - Jej oczy stały się dwoma punktami gorejącej nienawiści. - Żadnej litości dla starej wariatki. Zobaczysz, co musisz jeść, żeby przeżyć. A my będziemy z tobą przez cały czas, w twoim umyśle, tylko po to, żeby ci przypominać. Mogłaś być wielka, mogłaś tak wiele dokonać. Gdzieś w głębi będziesz o tym pamiętać i w ciemne noce będziesz błagała elfy o milczenie.

Królowa nie spodziewała się tego - babcia Weatherwax błyskawicznie wyciągnęła rękę z wiszącymi kawałkami sznurka i uderzyła ją w twarz.

- Ty chcesz mi grozić? - zapytała. - Mnie, która się starzeje? Królowa wolno uniosła dłoń do czerwonych śladów na policzku. Elfy naciągnęły łuki, czekając na rozkaz.

- Wracaj - powiedziała babcia. - Możesz uważać się za boginię, ale nie wiesz niczego, madame, niczego! Co nie umiera, nie żyje. Co nie żyje, to się nie zmienia. Co się nie zmienia, to się nie uczy. Najmniejsze stworzenie ginące wśród trawy wie więcej od ciebie. Masz rację. Jestem starsza. Ty żyłaś dłużej ode mnie, ale ja jestem starsza od ciebie. I lepsza od ciebie. Ale wiesz, madame, to wcale nietrudne.

Królowa zaatakowała wściekle.

Odbita moc psychicznego ciosu powaliła nianię Ogg na kolana. Babcia Weatherwax zamrugła.

- To było niezłe - wychrypiała. - Ale nadal stoję, nadal nie uklęknęłam. I wciąż mam dość siły...

Elf przewrócił się bezwładnie. Tym razem nawet Królowa się zachwiała.

- Nie mam czasu na te zabawy - rzekła i pstryknęła palcami. Przez chwilę nic się nie działo. Królowa obejrzała się na swoje elfy.

- Nie mogą wystrzelić - wyjaśniła babcia. - Zresztą nie chcesz tego,

prawda? Taki zwykły koniec?

- Nie możesz powstrzymywać ich wszystkich! Nie masz takiej mocy!

- Chcesz się przekonać, madame, jaką mam moc? Tutaj, na trawie Lancre?

Zrobiła krok do przodu. Moc iskrzyła w powietrzu. Królowa musiała się cofnąć.

- Na moim gruncie? - spytała babcia.

Znów uderzyła Królową w twarz, niemal delikatnie.

- Co się dzieje? - zdziwiła się. - Nie potrafisz mi się oprzeć? Gdzie jest twoja moc, madame? Zbierz siły, madame!

- Ty durna starucho!

Poczuły to wszystkie żywe istoty w promieniu mili. Małe stworzonka zginęły. Ptaki po spiralach spadały z nieba. Elfy i ludzie tak samo runęli na ziemię, chwytając się za głowy.

A w ogrodzie babci Weatherwax pszczoły wyfrunęły z uli.

Wylatywały jak dym, zderzając się ze sobą w pośpiechu, by jak najszybciej znaleźć się w powietrzu. Na tle głębokiego brzęczenia trutni słyszeć było gorączkowe bzykanie robotnic.

Ale głośniejsze od trutni były cienkie piski królowych.

Roje wzniosły się nad polaną, okrążyły ją i poleciały dalej. Dołączały do nich inne, z uli na podwórzach i barci w dziuplach drzew. Niebo pociemniało.

Po chwili w wirującej chmurze objawił się porządek. Trutnie frunęły na skrzydłach, bucząc jak bombowce. Robotnice tworzyły klin zbudowany z tysięcy drobnych ciałek. A na jego ostrzu leciała setka królowych.

Pola leżały ciche, kiedy przefrunął nad nimi rój rojów w kształcie strzały.

Kwiaty stały samotne, zapomniane. Nektar płynął niewypity. Słupki i pręciki mogły teraz same się zapylać. Pszczoły leciały ku Tancerzom.

Babcia Weatherwax osunęła się na kolana, ściskając rękami głowę. - Nie...

- Ależ tak - powiedziała Królowa.

Esme Weatherwax wyciągnęła ręce przed siebie. Palce miała zakrzywione z wysiłku i z bólu.

Magrat odkryła, że może poruszać oczami. Cała reszta czuła się słaba i bezużyteczna, nawet w kolczudze i pancerzu. Więc to jest to... Słyszała wzgardliwy śmiech ducha królowej Ynci z otchłani tysięcy minionych lat. Ona by się nie poddała. Magrat okazała się kolejną z dziesiątków niemądrych, słabych kobiet, które tylko snuły się w długich sukniach i dbały o przedłużenie dynastii.

Pszczoły spłynęły z nieba...

Babcia Weatherwax spojrzała w stronę Magrat. A Magrat usłyszała w głowie jej wyraźny głos.

- Chcesz być królową?

I nagle była wolna.

Poczuła, że opada z niej znużenie. Poczuła się też tak, jakby z hełmu wylewała się czysta królowa Ynci.

Coraz więcej pszczół opadało z góry, pokrywając zgarbioną postać starej czarownicy.

Królowa odwróciła się, a jej uśmiech zamarł, kiedy Magrat wyprostowała się, ruszyła do przodu, niemal bez udziału świadomości zamachnęła się toporem i cięła szeroko.

Królowa była szybsza. Błyskawicznie wyciągnęła rękę i chwyciła Magrat za przegub.

- Ach tak - syknęła, uśmiechając się jej prosto w twarz. - Doprawdy? Tak sądzisz?

Skręciła dłoń. Topór wypadł z palców Magrat.

- I ty chciałaś być czarownicą?

Pszczoły były niczym brunatna mgła skrywająca elfy - za małe, by je trafić, nieczułe na urok, ale przybyłe, by zabijać.

Magrat poczuła, że zachrzęściły jej kości.

- Stara czarownica jest skończona - powiedziała Królowa, zmuszając Magrat do przyklęknienia. - Nie powiem, że nie była dobra. Ale nie była dostatecznie dobra. A ty nie jesteś na pewno.

Magrat powoli i nieuchronnie opadała na kolana.

- Dlaczego nie spróbujesz jakiegoś czaru? - spytała Królowa.

Magrat kopnęła. Trafiła stopą w kolano i usłyszała trzask. Gdy Królowa zatoczyła się do tyłu, Magrat skoczyła, chwyciła ją w pasie i powaliła na ziemię.

Zdumiała się jej lekkością. Sama była dość chuda, ale zdawało się, że Królowa nic nie waży.

- I co? - powiedziała, podciągając się w górę, aż ich twarze znalazły się na naprzeciw siebie. - Jesteś niczym. Wszystko tkwi w myślach. Bez uroku jesteś...

...niemal trójkątna twarz, wąskie usta, ledwie zaznaczony nos, ale oczy

większe niż ludzkie i teraz wpatrzone w Magrat z wyrazem skoncentrowanej grozy.

- Żelazo - szepnęła Królowa.

Chwyciła Magrat za ramiona, ale nie miała siły. Siła elfów polega na przekonywaniu innych, że są słabi.

Magrat czuła, że Królowa rozpaczliwie usiłuje wedrzeć się do jej umysłu, ale bez skutku. Hełm...

...leżał w błocie o kilka stóp dalej.

Miała akurat tyle czasu, by pożałować, że go zauważyła. Potem Królowa zaatakowała znowu i niepewność Magrat eksplodowała niczym supernowa.

Była nikim. Nie miała żadnego znaczenia. Była tak bezwartościowa i nieważna, że nawet coś absolutnie bezwartościowego i całkiem nieważnego uznałoby ją za niegodną wzgardy. Podnosząc rękę na Królową, zasłużyła sobie na całą wieczność bólu. Nie panowała nad swoim ciałem. Nie zasługiwała na to. Na nic nie zasługiwała.

Pogarda uderzała w Magrat, rozrywając na strzępy jej istotę.

Nigdy niczego nie osiągnie. Nigdy nie będzie piękna, inteligentna ani silna. Będzie nikim.

Wiara w siebie? Niby w co?

Widziała tylko oczy Królowej. Chciała w nich zatonać...

Rozpad Magrat trwał nadal, atak zdzierał kolejne warstwy jej duszy...

Aż odsłonił samo jądro.

Zacisnęła pięść i trafiła Królową między oczy.

Nastąpił moment śmiertelnego zdumienia, nim Królowa krzyknęła, a

Magrat uderzyła znowu.

Tylko jedna królowa w ulu. Tnij! Kłuj!

Potoczyły się w bok, lądując w błocie. Magrat poczuła, że coś użądliło ją w nogę, ale wcale się tym nie przejęła. Podobnie jak głosami dookoła. Zauważyła jednak, że gdy obie wtoczyły się do kałuży, trafiła ręką na topór. Królowa próbowała ją drapać, ale tym razem całkiem bez sił. Magrat powstała jakoś na kolana, zamachnęła się...

...i wtedy zdała sobie sprawę, że panuje cisza.

Cisza ogarniała elfy Królowej i zebraną naprędce armię Shawna Ogga. Znikał urok.

Na tle zachodzącego księżyca rysowała się ciemna sylwetka. Wietrzyk przedświt u aż tutaj niósł jej zapach.

Pachniała klatkami lwów i gnijącymi liśćmi.

- On wrócił - szepnęła niania Ogg.

Zerknęła w bok i zobaczyła rozjaśnioną twarz Ridcully'ego. Nadrektor uniósł kuszę.

- Odłóż ją - powiedziała.

- Proszę spojrzeć na rogi tego stwora...

- Odłóż!

- Ale...

- Bełt przeleci na wylot. Niech pan popatrzy, widać przez niego drzewo. Jego naprawdę tu nie ma. Nie może przekroczyć bramy. Ale może przesłać swoje myśli.

- Przecież czuję...

- Gdyby naprawdę tu był, nie stalibyśmy na nogach.

Elfy rozstępowały się, gdy szedł Król. Jego tylne nogi nie zostały stworzone do takiego chodzenia: kolana zginały się w odwrotną stronę, a kopyta były za wielkie.

Nie zwracając uwagi na nikogo, zbliżył się wprost do powalonej Królowej. Magrat wstała i niepewnie ważyła w ręku topór.

Królowa wyprostowała się, skoczyła na nogi i podniosła ręce. Wargi formowały już pierwsze słowa jakiejś klątwy...

Król wyciągnął rękę i powiedział coś.

Tylko Magrat słyszała.

Coś o spotkaniu przy księżycu, mówiła później.

Potem się obudzili.

Słońce stało już wysoko ponad Krawędzią. Ludzie dźwigali się wolno na nogi i spoglądali na siebie nawzajem.

Nie było widać nawet jednego elfa.

Niania Ogg odezwała się pierwsza. Czarownice na ogół godzą się na to, co jest, zamiast się upierać przy tym, co być powinno.

Rozejrzała się po wrzosowiskach.

- Pierwsze, co zrobimy - rzekła - na samym początku, to ustawimy z powrotem kamienie.

- Drugie - poprawiła ją Magrat.

Obie spojrzały na nieruchome ciało babci Weatherwax. Kilka spóźnionych pszczół smętnie zataczało kręgi w trawie obok jej głowy. Niania Ogg mrugnęła do Magrat.

- Dobrze sobie poradziłaś, dziewczyno. Nie wierzyłam, że dasz radę przeżyć taki atak. Niewiele brakowało, a sama bym się zmoczyła.

- Miałam praktykę - odparła posępnie Magrat. Niania Ogg uniosła brwi, ale powstrzymała się od komentarzy. Zamiast tego trąciła babcię butem.

- Obudź się, Esme! - zawołała. - Wygraliśmy. Esme? Ridcully przyklęknął sztywno i ujął dłoń babci.

- Taki wysiłek musiał ją wykończyć - paplała niania. - Uwolniła Magrat i w ogóle...

Ridcully uniósł głowę.

- Ona nie żyje - oznajmił.

Wsunął ramiona pod ciało i wyprostował się chwiejnie.

- Nie, czegoś takiego by nie zrobiła - oświadczyła niania, ale głosem kogoś, kogo ustami porusza całkiem automatycznie, bo mózg się wyłączył.

- Nie oddycha i nie ma pulsu - powiedział mag.

- Na pewno tylko odpoczywa.

- Tak.

Pszczoły krążyły wysoko pod błękitnym niebem.

Myślak i bibliotekarz pomogli przeciągnąć kamienie na miejsce. Od

czasu do czasu używali kwestora jako dźwigni - znowu wszedł w fazę zeszywnienia.

Myślak zauważył, że to niezwykle kamienie - bardzo twarde i wyglądające tak, jakby kiedyś, bardzo dawno temu zostały roztopione i zastygły.

Jason Ogg znalazł go zamyślonego przy jednym z nich. Myślak trzymał gwóźdź na sznurku. Ale zamiast zwisać w dół, gwóźdź sterczał niemal pod kątem prostym, jakby rozpaczliwie próbował dosięgnąć kamienia. Sznurek brzęczał cicho. Myślak patrzył jak zahipnotyzowany.

Jason zawahał się. Rzadko spotykał magów i nie był pewien, jak powinno się ich traktować.

Usłyszał, że mag coś mówi.

- Ssie... Ale dlaczego ssie? Jason milczał.

- Może istnieje żelazo i... i żelazo, które kocha żelazo? - mówił Myślak.
- Albo żelazo męskie i żelazo żeńskie? Albo zwykłe żelazo i żelazo królewskie? Jakies żelazo, które zawiera coś innego? Żelazo, które tworzy ciężar w tym świecie, więc inne żelazo stacza się po gumowej membranie?

Kwestor i bibliotekarz podeszli do niego i razem obserwowali kołyszący się gwóźdź.

- Niech to licho! - zaklął Myślak i puścił sznurek. Gwóźdź uderzył o kamień z cichym „plink!”.

Myślak zwrócił się do kolegów z udręczonym wyrazem twarzy człowieka, który ma do rozmontowania całą ogromną, wirującą maszynę wszechświata, a jako jedyne narzędzie wykrzywiony spinacz.

- Cześć, słoneczko! - zawołał kwestor, który czuł się prawie radośnie dzięki świeżemu powietrzu i braku krzyków.

- Głazy... Po co w ogóle zajmuję się tymi bryłami kamienia? Czy kiedykolwiek coś komuś powiedziały? - zapytał Myślak. - Wie pan,

kwestorze, czasami mam uczucie, że przede mną rozpościera się wielki ocean prawdy, a ja siedzę na plaży i... i bawię się kamykami.

Kopnął kamień.

- Ale pewnego dnia nauczymy się po nim żeglować. - Westchnął. - Chodźcie. Powinniśmy już wracać do zamku.

Bibliotekarz patrzył, jak dołączają do procesji zmęczonych ludzi wlokących się wolno przez dolinę. Potem kilka razy odciągnął gwóźdź i obserwował, jak leci z powrotem do kamienia.

- Uuk.

Spojrzał prosto w oczy Jasona Ogga.

Ku zdumieniu Jasona, orangutan mrugnął porozumiewawczo. Czasami, kiedy naprawdę dobrze przyjrzymy się kamieniom, możemy odkryć coś na temat oceanu.

Zegar tykał.

W chłodnym mroku przedświt, w chatce babci Weatherwax niania Ogg otworzyła pudełko.

Wszyscy w Lancre wiedzieli o tajemniczym pudełku Esme Weatherwax. Plotki na przemian głośiły, że zawiera księgi zaklęć, nieduży prywatny wszechświat, leki na wszystkie choroby, historie zaginionych lądów i kilka ton złota, co jest niezłym wynikiem jak na przedmiot o długości poniżej stopy. Nawet niania Ogg nie wiedziała nic o zawartości - z wyjątkiem testamentu.

Była trochę rozczarowana, choć wcale nie zaskoczona, kiedy w pudełku nie znalazła nic ciekawszego niż kilka dużych kopert, plik listów i zbiór całkiem zwyczajnych drobiazgów na dnie.

Wyjęła papiery. Pierwsza koperta była zaadresowana do niej i miała napis: „Dla Gythy Ogge, Przeczytaj Zaraz”.

Druga była trochę mniejsza i podpisana: „Testament Esmeraldy Weatherwax, zmarłej w wigilię Nocy Letniej”.

Pod nimi leżał plik listów przewiązanych sznurkiem. Były bardzo stare; kiedy Magrat wzięła je do ręki, ukruszyło się kilka skrawków pożółkłego papieru.

- To listy do niej - powiedziała.

- Co w tym dziwnego? Każdy może dostawać listy.

- I jeszcze to wszystko pod spodem - dodała Magrat. - Wygląda jak kamyki.

Podniosła jeden.

- Ten ma taką skręconą skamielinę - zauważyła. - A ten... przypomina czerwoną skałę, z której zrobieni są Tancerze. Igła się do niego przyczepiła. Dziwne.

- Nasza Esme zawsze zwracała uwagę na szczegóły. Taka już była. Próbowала zajrzeć do wnętrza rzeczy.

Obie umilkły na chwilę; cisza oplatała je z wolna, a ciche tykanie zegara cięło ją delikatnie na fragmenty.

- Nie sądziłam, że kiedyś będę to robiła - odezwała się po chwili Magrat. - Nie myślałam, że będę czytała jej testament. Wierzyłam chyba, że będzie żyła wiecznie.

- Cóż, tak bywa - odparła niania Ogg. - Tempus fuggit.

- Nianiu...

- Słucham, kochanie?

- Czegoś nie rozumiem. Była twoją przyjaciółką, a nie wyglądasz na... na bardzo zmartwioną.

- Wiesz, pochowałam paru mężów i jedno czy dwoje dzieci. Człowiek się przyzwyczaja. Zresztą jeśli nawet nie trafiła do lepszego świata, to na pewno już próbuje go poprawić.

- Nianiu...

- Słucham, kochanie.

- Czy wiesz coś o liście?

- Jakim liście?

- Do Verence'a.

- Nic nie wiem o liście do Verence'a.

- Musiał go dostać całe tygodnie przed naszym powrotem. Musiała go wysłać, zanim jeszcze dotarliśmy do Ankh-Morpork.

Niania Ogg wyglądała - o ile Magrat mogła to ocenić - na szczerze zdumioną.

- Do licha - powiedziała Magrat. - Chodzi mi o ten list. - Wyjęła go spod pancerza. - Widzisz? Niania Ogg zaczęła czytać.

„Drogi sire, chcę poinformować, iż Magrat Garlick do Lancre powraca w bądź około Wtorku Ślepego Prosięcia. Yest onaż Zmokłą Kurą, ale czysta yest i Zęby ma Zdrowe. Yeśli życzysz sobie poślubić yą, zacznij więc sprawy załatwiać beze zwłoki, bo gdy zwykle oświadczysz się i podobne, prawdziwy Taniec onaż zacznie, albowiem nikt lepiej od Magrat nie potrafi przeszkadzać sobie w życiu. Sama nie wie, czegoż by chciała. Tyś Królem yest i czynić możesz, co zechcesz. Musisz postawić yą przede Fate Accompli. PS. Słyszałam, iż mówi się o nałożeniu podatku na czarownice. Żaden Król Lancre nie próbował tego od wielu lat. Korzystay więc z ich przykładu. Oddanaż i w zdrowiu dobrem (chwilowo). ŻYCZLIWA.”

Tykanie zegara przeszywało koc ciszy.

Niania Ogg obejrzała się, by zerknąć na tarczę.

- Ona to zorganizowała - powiedziała Magrat. - Sama wiesz, jaki jest Verence. Przecież nawet nie próbowała specjalnie ukryć, kto pisze. Prawda? Wróciłam i wszystko już było załatwione...

- A co byś zrobiła, gdyby nic nie było załatwione? - spytała niania. Magrat zaniemówiła na moment.

- No więc... Ja... Przecież gdyby on... Ja bym...

- Wychodziłabyś dzisiaj za męża, tak? - Niania mówiła teraz z roztargnieniem, jakby myślała o czymś innym.

- No, to zależy od...

- Ale chcesz tego?

- Hm... tak, oczywiście, ale...

- No to ślicznie - podsumowała niania głosem, jakiego używała w rozmowach z dziećmi.

- Tak, ale ona pchnęła mnie do tego, i zamknęła mnie w zamku, a ja miałam tego...

- Byłaś tak wściekła, że stanęłaś do walki z Królową. Uderzyłaś ją. Dobra robota. Dawna Magrat by się na to nie odważyła, prawda? Esme zawsze dostrzegała sedno spraw. A teraz wyjrzyj no za kuchenne drzwi, kochana, i zobacz, czy znajdziesz zapas drewna.

- Ale ja jej nienawidziłam, nienawidziłam, a teraz ona nie żyje!

- Tak, kochanie. Idź i sprawdź, ile jest opału.

Magrat otworzyła usta, by wyrzucić z siebie: „Tak się składa, że jestem tu prawie królową”, ale zrezygnowała. Zamiast tego wstała z godnością i

wyszła na podwórze.

- Stos drewna jest całkiem wysoki - oznajmiła, kiedy wróciła i wytarła nos. - Wygląda, jakby niedawno go ułożyła.

- A wczoraj nakręciła zegar - dodała niania. - Puszka z herbatą też jest pełna, przed chwilą sprawdziłam.

- I co?

- Nie była pewna - mruknęła niania. - Hm.

Otworzyła zaadresowaną do siebie kopertę. Była większa i bardziej płaska od tej, która kryła testament. Zawierała pojedynczy arkusz kartonu.

Niania przeczytała i upuściła go na stół.

- Chodźmy! - powiedziała. - Nie ma wiele czasu.

- Co się stało?

- Zabierz cukiernicę! - Niania szarpnięciem otworzyła drzwi i pobiegła do miotły. - No chodź!

Magrat podniosła kartkę. Napis był znajomy, widziała go już wiele razy, kiedy niezapowiedziana odwiedzała chatkę babci. Brzmiał:

NIE JESTEM MARTFA.

- Stój! Kto idzie?

- Co robisz na straży z ręką na temblaku, Shawn?

- Obowiązek wzywa, mamó.

- W takim razie wpuść nas natychmiast.
- A jesteś Przyjacielem czy Wrogiem, mamó?
- Shawn, jest tu ze mną prawie królowa Magrat!
- Tak, ale musicie...
- Natychmiast!
- Ojej, mamó!

Magrat usiłowała dotrzymać kroku biegnącej po korytarzach niani.

- Mag miał rację. Ona była martwa. Nie dziwię się, że wciąż masz nadzieję, ale naprawdę potrafisz odróżnić tych, którzy nie żyją.

- Nie, nie potrafisz. Pamiętam, parę lat temu przybiegłaś do mnie we łzach, a okazało się, że ona tylko Pożyczała. Wtedy zaczęła używać tej kartki.

- Ale...

- Nie była pewna, co się stanie - powiedziała niania. - To mi wystarczy.

- Nianiu...

- Nigdy nie wiesz, dopóki się nie przyjrzysz - rzekła niania Ogg, wykładając swą własną Zasadę Nieoznaczoności.

Kopniakiem otworzyła drzwi do wielkiego holu.

- Co się tu dzieje?

Ridcully poderwał się z fotela, wyraźnie zakłopotany.

- Pomyślałem, że może nie należy zostawiać jej teraz samej...

- Coś podobnego! - Niania objęła spojrzeniem żalobną scenę. - Świece i lilie... Założę się, że kwiaty sam pan pozrywał w ogrodzie. A potem zamknął ją pan w murach.

- No...

- I nikt nawet nie pomyślał, żeby zostawić otwarte choć jedno okno! Czy pan ich nie słyszy, panie magu?

- Czego nie słyszę?

Niania rozejrzała się szybko i chwyciła srebrny lichtarz.

- Nie!

Magrat wyrwała go z jej dłoni.

- Tak się składa... - wzięła zamach - ...że to już prawie... - wymierzyła - ...mój zamek.

Lichtarz pofrunął, wirując w powietrzu. Trafił w wielki witraż pośrodku ściany.

Jasne światło słońca sięgnęło stołu, poruszając się wyraźnie w powolnym polu magicznym Dysku. A w jego promieniach, niczym piasek przez lejek, kaskadą spłynęły pszczoły.

Rój osiadł na głowie babci Weatherwax niby bardzo niebezpieczna peruka.

- Co wy... - zaczął Ridcully.

- Będzie się przechwalać przez całe tygodnie - stwierdziła niania. - Nikt jeszcze nie dokonał tego z pszczołami. Ich umysł jest wszędzie, rozumie pan? Nie w jednej pszczole, ale w całym roju.

- Co pani...

Babcia Weatherwax poruszyła palcami. Drgnęły jej powieki. Bardzo powoli usiadła. Z pewnym wysiłkiem skupiła wzrok na Magrat i niani Ogg.

- Chzzzę buzzzzkiet kwiazzztów, garnek mzzzziodu i kogozzzś do uzzzządlenia.

- Przyniosłam cukiernicę, Esme - poinformowała niania.

- Dodaj trochę wozzzzdy i wylej dla nich na zzzztół. Spojrzała tryumfalnie, gdy niania Ogg wybiegła.

- Zzzzrobiłam to zzzz pszzzczołami. Nikt nie potrafi zzzz pszzzczołami, a ja tak! Potem umyzzzł czzzłowiekowi fruwa na wszzzzyzzztkie zzzztrony! Trzzzeba być naprawdę dobrym, żzzeby się udało zzz pszzzczołami.

Niania Ogg wróciła i rozlała na blacie cukrowy syrop. Rój wylądował.

- Ty żyjesz? - wykrztusił Ridcully.

- Oto zzzalety uniwerzzzyteckiego wyksszzztałcenia - mruknęła babcia, masując sobie ramiona. - Wyzzztarczy, że się siedzzzzi i rozzzzmawia przezzzz pięć minut, a już potrafią odgadnąć, żzze czzzłowiek żzzzyje.

Niania Ogg podała jej kubek wody. Przez moment wisiał w powietrzu, po czym rozbił się o podłogę, ponieważ babcia próbowała go chwycić piętą nogą.

- Przzzepraszzzzam.

- Wiedziałam, że nie byłaś pewna - powiedziała niania.

- Pewna. Oczzzywiście, żzze byłam pewna. Nie miałam zzzupełnie zzzadnych wątpliwości.

Magrat przypomniała sobie testament.

- Nie wątpiłaś? Ani przez chwilę?

Babcia Weatherwax miała dość przyzwoitości, by nie patrzeć jej w oczy. Zamiast tego zatarła ręce.

- Co się dzziało, kiedy mnie nie było?

- No wiesz - zaczęła niania. - Magrat walczyła z...

- Och, wiedziałam, że to zzzrobi. Zzzałatwiliście już ślub?

- Ślub? - Cała trójka wymieniła zdumione spojrzenia.

- Oczywiście, że nie! - zawołała Magrat. - Brat Perdore ze Zdziwionych Dnia Dziewiątego miał przeprowadzić ceremonię, ale jakiś elf go dopadł. Zresztą ludzie i tak...

- Żadnych usprawiedliwień - oświadczyła stanowczo babcia. - Zresztą starszy mag może bez żadnego kłopotu zająć się ceremonią. Mam rację?

- Ja... Ja... Chyba tak - przyznał Ridcully, który zaczynał nie nadążać za wydarzeniami na świecie.

- Słusznie. Mag to w końcu kapłan, tyle że bez boga i bez wilgotnych dłoni.

- Ale przecież połowa gości uciekła! - zawołała Magrat.

- Zagonimy nowych.

- Pani Scorbic nie zdąży z przyjęciem weselnym!

- Będziesz jej musiała nakazać.

- Nie ma druhen!

- Wystarczymy my dwie.

- Ani sukni!

- A co masz na sobie?

Magrat spojrzała na pordzewiałą kolczugę, oblepiony błotem pancerz i kilka wilgotnych strzępków białego jedwabiu, który wisiał na metalu jak podarty kasak.

- Jak dla mnie, wyglądasz całkiem dobrze - uznała babcia. - Niania zajmie się fryzurą.

Magrat odruchowo zdjęła z głowy skrzydlaty hełm i przygładziła włosy. Drobne gałązki i kawałki wrzосу wplątały się w nie z łamiącą grzebienie złożonością. Jej fryzura nigdy nie wyglądała dobrze nawet przez pięć minut, ale teraz przypominała raczej ptasie gniazdo.

- Myślę, że je tak zostawię - powiedziała. Babcia z aprobatą kiwnęła głową.

- Bardzo słusznie - stwierdziła. - Nieważne, co masz, ale jak to zdobyłaś. W takim razie jesteśmy właściwie gotowe. Niania szepnęła jej coś do ucha.

- Co? A tak. Gdzie pan młody?

- Jest trochę nieswój - poskarżyła się Magrat. - Nie wiem, co mu się stało.

- To całkiem normalne - zapewniła ją niania. - Po wieczorze kawalerskim.

Były też inne trudności.

- Potrzebny jest pierwszy drużba.

- Uuk. - Dobrze, ale przynajmniej włóż coś na siebie.

Pani Scorbic, kucharka, założyła swe potężne, różowe ramiona na piersi. - To niemożliwe - oznajmiła stanowczo.

- Myślałam, że może jakieś sałatki, tarty, jakieś lekkie... - zaczęła prosząco Magrat.

Pani Scorbic dumnie wysunęła pokryty szczeciną podbródek.

- Elfy wywróciły całą kuchnię do góry nogami - wyjaśniła. -Parę dni będę musiała tu robić porządek. Zresztą wszyscy wiedzą, że surowe jarzyny szkodzą, a ja nie chcę mieć nic wspólnego z tymi jajecznymi zapiekankami.

Magrat spojrzała błagalnie na nianię Ogg; babcia Weatherwax poszła do ogrodu, by usunąć z organizmu skłonność do wtykania nosa w kwiaty.

- Nic nie poradzę - zastrzegła się niania. - To nie moja kuchnia, kochana.

- Nie. Jest moja. Robię tu za kucharkę od lat - oświadczyła pani Scorbic. - Wiem, jak się co podaje i żadna koza nie będzie się rządzić w mojej własnej kuchni.

Magrat przygarbiła się, załamana. Niania Ogg stuknęła ją w ramię.

- Myślę, że teraz może ci się przydać - stwierdziła i wręczyła jej skrzydlaty hełm.

- Król zawsze był zadowolony z... - zaczęła pani Scorbic. Coś szcęknięło. Pani Scorbic spojrzała wzdłuż łóżyska kuszy prosto w zimne oczy Magrat.

- Do roboty! - powiedziała cicho królowa Lancre. - Zrób mi tarte.

Verence siedział w nocnej koszuli, z głową opartą na dłoniach. Niewiele pamiętał z minionej nocy oprócz uczucia chłodu. I nikt jakoś nie chciał mu nic zdradzić.

Cicho zgrzytnęły otwierane drzwi.

Uniósł głowę.

- Cieszę się, że już wstałeś - powitała go babcia Weatherwax. - Przyszłam pomóc ci się ubrać.

- Przejrzałem garderobę - odparł Verence. - Elfy... to były elfy, prawda? Splądrowały tu wszystko. Nie mam co na siebie włożyć.

Babcia rozejrzała się, po czym sięgnęła do niskiego kufra i otworzyła wieko. Zabrzmiał cichy brzęk dzwoneczków, błysnęła czerwień i żółć.

- Podejrzewałam, że tego nie wyrzucisz - stwierdziła. - Nie przytyłeś, więc będzie pasować. Śmieję się, pajacu. Magrat będzie zachwycona.

- O nie - rzeki Verence. - W tej sprawie będę stanowczy. Jestem teraz królem. To by było poniżające dla Magrat, gdyby miała poślubić błazna. Muszę dbać o swoją reputację, dla dobra państwa. Poza tym jest jeszcze coś takiego jak duma.

Babcia przyglądała mu się nieruchomo, aż zaczął się kręcić.

- No, przecież jest...

Babcia kiwnęła głową i podeszła do drzwi.

- Dlaczego pani wychodzi? - zapytał nerwowo Verence.

- Nie wychodzę. Chciałam tylko zamknąć drzwi.

Potem zdarzył się jeszcze incydent z koroną. Ceremonie i protokoły królestwa Lancre zostały w końcu odnalezione po szybkim przeszukaniu pokoju Verence'a. Procedura była tam opisana całkiem wyraźnie: nową królową koronował sam król, w ramach uroczystości ślubnej. Czynność nie była technicznie trudna dla żadnego władcy, który wiedział, który koniec królowej jest którym. Nawet najmniej inteligentni dochodzili do tego najdalej w drugiej próbie.

Myślak Stibbons miał jednak wrażenie, że rytuał zaciął się trochę w tym punkcie.

Zdawało się, że kiedy król miał właśnie włożyć koronę na głowę małżonki, spojrzał poprzez salę w stronę starej, chudej czarownicy. I prawie wszyscy obecni też na nią spojrzeli, nie wyłączając panny młodej.

Stara czarownica ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

Magrat została koronowana.

Tra la la, dzyń, dzyń i tak dalej.

Państwo młodzi stali obok siebie, ściskając ręce stojącym w długim rzędzie gościom. Byli trochę nieprzytomni, co jest normalne w tym punkcie ceremonii.

- Na pewno będziecie bardzo szczęśliwi...

- Dziękujemy.

- Uuk!

- Dziękujemy.

- Przybić to do kontuaru, lordzie Ferguson, i niech lichy porwie mleczarzy!

- Dziękujemy.

- Czy mogę pocałować pannę młodą?

Z pewnym opóźnieniem Verence zdał sobie sprawę, że zwraca się do niego powietrze. Spojrzał w dół.

- Przepraszam bardzo - powiedział. - Pan...?

- Oto moja karta. - Casanunda podał mu wizytówkę. Verence przeczytał i uniósł brew.

- Aha - wymruczał. - Tego... niech mnie... no, no, no... numer drugi, tak?

- Ale się staram - zapewnił Casanunda.

Verence rozejrzał się niepewnie, po czym schylił się tak, że jego usta znalazły się przy uchu krasnoluda.

- Czy za chwilę moglibyśmy zamienić kilka słów?

Członkowie Lancrańskiego Zespołu Tańca Morris po raz pierwszy spotkali się wszyscy na przyjęciu. Trudno im było ze sobą rozmawiać. Niektórzy, mówiąc, odruchowo podskakiwali i przykucali.

- No dobra - zaczął Jason. - Ktoś pamięta?

- Pamiętam początek - odparł Krawiec, drugi tkacz. - Dokładnie pamiętam początek. I taniec w lesie. Ale Rozrywka...

- Były tam elfy - dodał Druciarz, druciarz.

- Właśnie dlatego wszystko się pomieszało - wyjaśnił Dekarz, woźnica.
- I jeszcze wszyscy krzyczeli.

- Potem zjawił się jeszcze ktoś z rogami - dodał Woźnica. - I takim wielkim...

- To wszystko było jak sen - podsumował Jason.

- Hej, Woźnica! Spójrz tylko - zawołał Tkacz, mrugając do kolegów. - Tam stoi ten małpison. Chciałeś go o coś zapytać, prawda? Woźnica zamrugał niepewnie.

- O rany, rzeczywiście.

- Na twoim miejscu nie marnowałbym takiej okazji. - Tkacz zachęcał kolegę ze złośliwą radością, często okazywaną ludziom prostym przez ludzi bystrzejszych.

Bibliotekarz rozmawiał właśnie z Myślakiem i kwestorem. Obejrzał się, gdy szturchnął go Woźnica.

- Znaczy się, byłeś pod Kromką, tak? - zapytał Woźnica szczerym, bezpośrednim tonem.

Bibliotekarz spojrzał na niego z uprzejmym niezrozumieniem.

- Uuk?

Woźnica stropił się lekko.

- Tam schowałeś orzech, prawda?

Bibliotekarz przyjrzał mu się uważnie i pokręcił głową.

- Uuk.

- Tkacz! - krzyknął Woźnica. - Małpison mówi, że wcale nie chował orzecha tam, gdzie słońce nie dochodzi! A ty powiedziałeś, że tak! - Zwrócił się do bibliotekarza. - Nie chowałeś, prawda? A on mówił, że chowałeś. Widzisz, Tkacz? Wiedziałem, że musiałeś coś pokręcić. Tępak z ciebie. W Kromce nie ma żadnych małpisonów.

Fala milczenia rozlewała się z wolna wokół nich.

Myślak Stibbons wstrzymał oddech.

- To wspaniale przyjęcie - powiedział kwestor do krzesła. - Żałuję, że mnie tu nie ma.

Bibliotekarz wziął ze stołu dużą butlę. Klepnął Woźnicę w ramię. Potem nalał mu solidnego drinka i pogłaskał po głowie.

Myślak odetchnął i wrócił do poprzedniego zajęcia. Przywiązał do sznurka nóż i patrzył smętnie, jak obraca się wkoło...

Kiedy Tkacz nocą wracał do domu, został porwany przez tajemniczego napastnika i wrzucony do Lancre. Nikt nigdy nie odgadł dlaczego. Nie należy wtrącać się w sprawy magów, zwłaszcza małych. Nie są szczególnie subtelni.

Inni wrócili tej nocy do domu.

- Może jej się w głowie przewrócić od tego awansu - stwierdziła babcia Weatherwax, kiedy razem z nianią szły wolno wśród zapachu pól.

- Jest królową. To rzeczywiście wysokie stanowisko - zauważyła niania Ogg. - Prawie tak wysokie jak czarownica.

- No tak... właściwie... ale to nie powód, żeby zadzierać nosa. Owszem, mamy pewne przewagi, lecz jesteśmy skromne i nie wysuwamy się na czoło. Nikt nie mógłby mi zarzucić, że przez całe życie nie byłam doskonale skromna.

- Zawsze mówiłam, że jesteś wręcz nieśmiała - zgodziła się niania. - Wszystkim powtarzam, że jeśli chodzi o pokorę, nie znajdzie się osoby bardziej pokornej niż Esme Weatherwax.

- Nigdy się nie wtrącam i pilnuję własnego nosa...

- Czasami w ogóle trudno cię zauważyć.

- Ja teraz mówię, Gytho.

- Przepraszam.

Przez chwilę szły w milczeniu. Wieczór był ciepły i suchy. Ptaki śpiewały wśród drzew.

- Zabawne - odezwała się w końcu niania. - Pomyśleć, że nasza Magrat wyszła za mąż i w ogóle.

- Co masz na myśli, mówiąc „w ogóle”?

- No wiesz, tego... za mąż. Udzieliłam jej kilku wskazówek. Zawsze miej coś na sobie w łóżku. To wzbudza w mężczyźnie ciekawość.

- Ty zawsze miałaś kapelusz.

- Właśnie.

Niania machnęła kielbaską na patyku. Uważała, że należy korzystać z dostępu do darmowego jedzenia.

- Bankiet weselny był bardzo udany, nie sądzisz? A Magrat wręcz promieniała.

- Moim zdaniem wydawała się zgrzana i podenerwowana.

- U panien młodych to właśnie znaczy „promieniała”.

- Ale masz rację - zgodziła się babcia, która szła nieco z przodu. - Bankiet się udał. Nigdy jeszcze nie jadłam tych wegetariańskich dziwactw.

- Kiedy ja wychodziłam za pana Ogga, mieliśmy na przyjęciu weselnym trzy tuziny ostryg. Chociaż nie wszystkie podziały.

- I podobało mi się, że dali nam w torebkach po kawałku weselnego tortu - dodała babcia.

- Rzeczywiście. Wiesz, podobno jeśli włożysz taki tort pod poduszkę, przyśni ci się twój przyszły m... - Język niani potknął się nagle o ząb. Zatrzymała się zakłopotana, co u Oggów było rzeczą niezwykłą.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła ją babcia. - Nie gniewam się.

- Przepraszam, Esme.

- Wszystko gdzieś się wydarza. Wiem o tym. Wiem dobrze... Wszystko gdzieś się wydarza. Więc w sumie wychodzi na to samo.

- Bardzo continuinuuumalne myślenie, Esme.

- Tak, tort to miły gest. Ale... w tej chwili... sama nie wiem czemu... wiesz, Gytho, teraz naprawdę chętnie zjadłabym... cukierka.

Ostatnie słowo zawisło w wieczornym powietrzu niby echo wystrzału.

Niania przystanęła. Odruchowo sięgnęła do kieszeni, gdzie zwykle trzymała torbę lepkich cukierków. Spojrzała na tył głowy Esme Weatherwax, na ciasno zwinięty kok siwych włosów pod rondem szpiczastego kapelusza.

- Cukierka? - powtórzyła.

- Na pewno masz już następną torebkę - dodała babcia, nie oglądając się za siebie.

- Esme...

- Masz mi coś do powiedzenia, Gytho? Coś na temat toreb cukierków?

Babcia Weatherwax wciąż się nie odwracała. Niania zwiesiła głowę.

- Nie, Esme - powiedziała potulnie.

- Wiesz, domyślałam się, że pójdziesz do Długiego. Jak się dostałaś do

środka?

- Zabrałam jedną z tych specjalnych podków. Babcia skinęła głową.
- Nie powinnaś go w to wciągać, Gytho.
- Tak, Esme.
- Jest równie przebiegły jak ona.
- Tak, Esme.
- Stosujesz potulność uprzedzającą, Gytho.
- Tak, Esme. Ruszyły dalej.
- Co to był za taniec, który tańczył Jason i jego ludzie, kiedy się upili? - spytała babcia.
- To stary lancrański taniec kijów i wiader, Esme.
- Jest legalny?
- Formalnie nie powinni go wykonywać w obecności kobiet. W przeciwnym razie jest to morrisowanie seksualne.
- Mam wrażenie, że Magrat była dość zaskoczona, kiedy na przyjęciu powiedziałaś ten wiersz. -Jaki wiersz?
- Ten, przy którym wykonywałaś gesty.
- Ach, ten wiersz.
- Zauważyłam, że Verence notował coś na serwetce. Niania znów sięgnęła w bezkształtne głębiny swej sukni i wyjęła całą butelkę szampana, na którą - można by przysiąc - nie było tam miejsca.
- Wyglądała na szczęśliwą - rzekła. - Kiedy tak stała, ubrana mniej więcej w połowę podartej sukni i kolczugę pod spodem. A wiesz, co mi

powiedziała?

- Co?

- Znasz ten stary portret królowej Ynci? Wiesz, tej w żelaznej bluzce? Z tymi wszystkimi kolcami i ostrzami na rydwanie? No więc Magrat była pewna, że... że duch Ynci jej pomagał. Powiedziała, że tylko dlatego włożyła zbroję i robiła takie rzeczy, na jakie normalnie nigdy by się nie ośmieliła.

- Coś podobnego - mruknęła obojętnie babcia.

- Dziwny ten świat - zgodziła się niania. Przez chwilę szły w milczeniu.

- Czyli nie powiedziałaś jej, że królowa Ynci nigdy nie istniała?

- Nie warto.

- Stary król Lilly ją wymyślił, bo uważał, że w historii potrzebne jest nieco romantyzmu. Trochę wariował na tym punkcie. Kazał nawet przygotować zbroję.

- Wiem. Mąż mojej prababki wyklepał ją z cynowej balii i dwóch rondli.

- Ale nie uznałaś, że należy jej to wyjaśnić?

- Nie.

Babcia kiwnęła głową.

- Zabawne - stwierdziła. - Nawet kiedy Magrat jest zupełnie inna, i tak jest taka sama.

Niania Ogg gdzieś spod fartucha wyjęła drewnianą łyżkę. Następnie zdjęła kapelusz i ostrożnie podniosła ukrytą tam salaterkę z bitą śmietaną, budyniem i galaretką[37].

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ciągle podkradasz jedzenie - rzekła z wyrzutem babcia. - Gdybyś poprosiła, Verence przysłałby ci całą

balie. Przecież wiesz, że nie tyka budyniu.

- Tak jest zabawniej - wyjaśniła niania. - Należy mi się trochę zabawy.

W gęstych krzakach rozległ się głośny szelest i na drogę wyskoczył jednorożec.

Był oszalały. Był wściekły. Był w świecie, do którego nie należał. I był sterowany.

O pięćdziesiąt sążni od czarownic uderzył kopytem o ziemię i potrząsnął rogiem.

- Oj! - Niania Ogg odrzuciła swój zasłużony deser. - Chodź! Tu jest drzewo, no chodź!

Babcia Weatherwax pokręciła głową.

- Nie. Tym razem nie mam zamiaru uciekać. Poprzednio jej się nie udało, więc teraz próbuje przez zwierzaka, tak?

- Popatrz tylko, jaki ma wielki róg!

- Widzę całkiem wyraźnie.

Jednorożec opuścił głowę i zaatakował. Niania Ogg podbiegła do najbliższego drzewa z nisko rosnącymi konarami i podskoczyła...

Babcia Weatherwax skrzyżowała ręce na piersi.

- Szybciej, Esme!

- Nie. Dotąd nie myślałam jasno, ale to się zmieniło. Są rzeczy, przed którymi nie muszę uciekać.

Biała sylwetka pędziła między drzewami: tysiąc funtów mięśni za dwunastoma calami lśniącego rogu. Za jednorożcem unosiła się para.

- Esme!

Czas kręgu dobiegał końca. Poza tym wiedziała już, dlaczego miała wrażenie, że umysł ją zawodzi. To pomagało. Przestała słyszeć widmowe myśli wszystkich innych Esm Weatherwax.

Być może, niektóre z nich żyły w światach rządzonych przez elfy. Albo umarły dawno temu. Albo wiodły to, co uważały za szczęśliwe życie. Babcia Weatherwax rzadko kiedy czegoś żałowała, bo żałować to roztkliwiać się nad sobą; teraz jednak pomyślała, że trochę szkoda, że nigdy nie będzie mogła się z nimi spotkać.

Być może, niektóre mają umrzeć teraz, na tej ścieżce. Cokolwiek robił człowiek, miliony jego kopii robiło inaczej. Niektóre zginą. Wyczuwała ich śmierć... śmierć Esme Weatherwax. Nie mogła ich ocalić, bo szansa nie działa w taki sposób.

Na milionie wzgórz uciekała dziewczyna; na milionie mostów dziewczyna dokonywała wyboru; na milionie dróg stała kobieta...

Każda inna, wszystkie takie same.

Jedynie, co mogła dla nich zrobić, to być sobą, tu i teraz, jak tylko potrafi najlepiej.

Wyciągnęła przed siebie rękę.

Kilkanaście stóp przed nią jednorożec trafił w niewidzialny mur. Zamachał nogami, próbując wyhamować; ciało skręciło się z bólu... Resztę drogi przejechał na grzbiecie.

- Gytho! - zawołała babcia, gdy zwierzę usiłowało się podnieść. - Zdejmij pończochy, zwiąż je w uzdę i podaj mi ostrożnie.

- Esme...

- Co?

- Nie mam na sobie pończoch, Esme.

- A co z tą śliczną parą czerwono-białych, które ci podarowałam na

Noc Strzeżenia Wiedźm? Sama je zrobiłam, a wiesz, że nie znoszę robótek na drutach.

- To ciepła noc. Wolałam, no wiesz, zachować przepływ powietrza.

- Strasznie się namęczyłam przy piętach.

- Przepraszam, Esme.

- To może chociaż pobiegnij do mnie i przynieś wszystko, co znajdziesz na dnie szuflady.

- Tak, Esme.

- Ale przedtem zajrzyj jeszcze do waszego Jasona. Powiedz, żeby rozgrzał palenisko w kuźni.

Niania Ogg spojrzała z góry na wyrywającego się jednoroźca. Zdawało się, że utknął - przerażony, ale niezdolny uciec od babci.

- Ależ Esme, chyba nie poprosisz naszego Jasona, żeby...

- O nic go nie poproszę. Tak jak ciebie nie proszę teraz.

Babcia Weatherwax zdjęła kapelusz i cisnęła go w krzaki. Potem, nie odrywając wzroku od zwierzęcia, sięgnęła do stalowosiwego koku i wyjęła kilka kluczowych spinek.

Kok wypuścił skręconego węża cienkich włosów; opadły jej do pasa, gdy kilka razy potrząsnęła mocno głową.

Niania obserwowała ją zafascynowana i nieruchoma. Babcia uniosła rękę i wyrwała pojedynczy włos. Jej dłonie wykonały niezwykle taniec, gdy zawiązała coś niemal zbyt cienkiego, by było widoczne. Nie zważając na groźny róg, założyła pętlę na szyję jednoroźca i pociągnęła.

Szarpiąc się i wyrzucając kopytami bryły ziemi, zwierzę stanęło na nogach.

- To go nie utrzyma - ostrzegła niania Ogg, przesuwając się z drugiej strony drzewa.

- Mogłabym go utrzymać na pajęczynie, Gytho Ogg. Na pajęczej nici. No, teraz weźmie się do roboty.

- Tak, Esme.

Jednorożec uniósł głowę i zarżał.

Pół miasta patrzyło, jak babcia prowadziła jednorożca, jak kopyta ślizgały się po kamieniach. Bo kiedy mówi się coś niani Ogg, to jakby się powiedziało wszystkim. Zwierzę tańczyło na niemożliwie cienkiej uwięzi, próbowało kopać nieostrożnych, ale nie udawało mu się wyrwać.

Jason Ogg, ciągle jeszcze w swym najlepszym ubraniu, czekał nerwowo w otwartej bramie kuźni. Rozgrzane powietrze falowało nad kominem.

- Mistrzu kowalu - rzekła babcia. - Mam dla ciebie pracę.

- Tego... - odpowiedział Jason. - To przecież jednorożec, nie?

- Zgadza się.

Jednorożec zarżał znowu, łypiąc przekrwionymi oczami.

- Nikt jeszcze nigdy nie przybił podków jednorożcowi - oświadczył Jason.

- Myśl o tym jak o wielkiej chwili swego życia - odparła babcia Weatherwax.

Tłum zebrał się wkoło. Ludzie starali się wszystko widzieć i słyszeć, jednocześnie trzymając się z dala od kopyt.

Jason pogładził brodę młotem.

- Sam nie wiem...

- Posłuchaj mnie, Jasonie Ogg. - Babcia mocniej pociągnęła za włos, gdy zwierzę przebiegło dookoła niej. - Potrafisz podkuć wszystko, co ci się przyprowadzi. I jest za to cena, prawda?

Jason rzucił niani przerażone spojrzenie; łaskawie zrobiła zdumioną minę.

- Ona nic mi o tym nie mówiła - zapewniła babcia, demonstrując swą zwykłą umiejętność czytania wyrazu twarzy niani przez tył własnej głowy. Pochyliła się bliżej do Jasona. - Ceną za to, że umiesz podkuć wszystko, wszystko co ci przyprowadzą... jest to, że musisz podkuć wszystko, co ci przyprowadzą. Cena za bycie najlepszym to zawsze... zawsze to, że musisz być najlepszy. I płacisz ją, tak samo jak ja.

Jednorożec wykopał kilka cali drewna z framugi.

- Ale żelazo... - protestował Jason. - I gwoździe...

- Tak?

- Żelazo go zabije. Jeśli przybiję mu do kopyt żelazo, on umrze. Zabijanie nie należy do fachu. Nigdy niczego nie zabiłem. Całą noc męczyłem się z mrówką, ale niczego nie poczuła. Nie skrzywdzę żywego stworzenia, które nic mi nie zrobiło.

- Przyniosłaś to z mojej komody, Gytho?

- Tak, Esme.

- Podaj tutaj. A ty, Jasonie, rozgrzej ogień.

- Ale jeśli przybiję żelazo...

- Czy mówiłam coś o żelazie?

Róg wyrwał kamień z muru o stopę od głowy Jasona. Kowal zrezygnował.

- Ale musi pani go przytrzymać - ostrzegł. - Nigdy nie podkuwałem takiego rumaka bez dwóch mężczyzn i chłopca, którzy by na nim wisieli.

- Zrobi, co mu każę - obiecała babcia. - Nie może mi się sprzeciwić.

- Zamordował starego Scrope'a - przypomniała niania. - Wcale by mi nie przeszkadzało, gdyby Jason go zabił.

- Więc wstydz się, kobieto - rzuciła jej babcia. - To zwierzę. Zwierzęta nie mogą mordować. Tylko my, rasy wyższe, jesteśmy zdolni do mordu. To jedna z cech, które odróżniają nas od zwierząt. Daj mi worek.

Wciągnęła wyrywającego się jednoroźca przed wrota, a kilku gapiów pospiesznie zatrzasnęło je za nimi. Po krótkiej chwili kopyto wybiło dziurę w deskach.

Ridcully pojawił się zdyszany, przez ramię miał przewieszoną wielką kuszę.

- Słyszałem, że jednorożec znów się pojawił!

Kolejna deska rozpadła się w drzazgi.

- Tam jest? Niania przytaknęła.

- Przyciągnęła go tutaj aż z lasu - dodała.

- Przecież ta bestia jest całkiem dzika! Niania potarła nos.

- Niby tak... Ale ona ma kwalifikacje, prawda? Jeśli chodzi o poskramianie jednorożców. Nie ma to nic wspólnego z czarownictwem.

- Nie rozumiem...

- Myślałam, że wszyscy wiedzą o pewnych sprawach dotyczących łapania jednorożców - rzekła z godnością niania. - Usiłuję delikatnie

zasugerować, kto konkretnie może je łapać. Przecież nasza Esme zawsze umiała biec szybciej od pana. Potrafiła prześcignąć każdego mężczyznę.

Ridcully stał nieruchomo z otwartymi ustami.

- Bo ja, na ten przykład - mówiła dalej niania - zawsze się potykałam o pierwszy z brzegu korzeń. Czasami całe wieki musiałam jakiegoś szukać.

- Chce pani powiedzieć, że kiedy wyjechałem, ona nigdy...

- Niech się pan nie roztkliwia. Zresztą w naszym wieku to i tak wszystko jedno. Pewnie nigdy by jej to nie przyszło do głowy, gdyby się pan znów nie pojawił. - Nagle w jej umyśle pojawiło się inne skojarzenie. - Nie widział pan przypadkiem Casanundy?

- Witaj, mój pączku różany - odezwał się wesoły i pełen nadziei głos.

Niania nie obejrzała się nawet.

- Jak zawsze podchodzisz, kiedy się akurat nie patrzy - stwierdziła.

- Jestem z tego znany, pani Ogg.

W kuźni zapanowała cisza. Potem usłyszeli stukanie Jasonowego młotka.

- Co oni tam robią? - zdziwił się Ridcully.

- Cokolwiek to jest, zwierzak przestał kopać.

- A co było w worku, pani Ogg? - zapytał Casanunda.

- To, co kazała mi przynieść - odparła niania. - Jej srebrny serwis do herbaty. Rodzinna pamiątka. Widziałam go tylko dwa razy, z czego jeden przed chwilą, kiedy ładowałam go do worka. Nie sądzę, żeby go kiedyś używała. Był tam taki dzbanek do śmietanki w kształcie śmiesznej krowy.

Coraz więcej ludzi zjawiało się przy kuźni. Tłum zajmował już cały rynek.

Stukanie młotka ucichło. Całkiem blisko odezwał się głos Jasona.

- Teraz wychodzimy.
- Teraz wychodzą - powtórzyła niania.
- Co powiedziała?
- Powiedziała, że teraz wychodzą!
- Wychodzą!

Tłum rozstał się. Wrota stanęły otworem.

Pojawiła się babcia prowadząca jednoroźca. Kroczył statecznie; mięśnie poruszały się pod białą sierścią niczym żaby w oleju. A kopyta stukały o bruk. Ridcully nie mógł nie zauważyć, jak błyszczą.

Jednorożec przeszedł grzecznie obok czarownicy aż na środek placu. Wtedy go puściła i klepnęła lekko po zadzie. Zarżał cicho, odwrócił się i pogalopował ulicą w stronę lasu...

Niania Ogg podeszła do babci Weatherwax obserwującej biegnące zwierzę.

- Srebrne podkowy? - spytała cicho. - Nie wytrzymają długo.
- I srebrne gwoździe. Wytrzymają dostatecznie długo - stwierdziła babcia. - A ona nigdy go już nie odzyska, choćby wołała przez tysiąc lat.
- Podkuć jednoroźca... - Niania pokręciła głową. - Tylko ty mogłaś pomyśleć o podkuciu jednoroźca..
- Robię to przez całe życie - odparła babcia. Jednorożec był już tylko białą plamką na wrzosowisku. Patrzyły, póki nie rozpląnął się w wieczornym mroku. Niania Ogg westchnęła i przełamała czar.
- I po wszystkim.

- Tak.

- Wracasz do zamku na tańce?

- A ty?

- Cóż... Pan Casanunda zapytał, czy mogłabym pokazać mu Długiego. No wiesz. Jak należy. Pewnie dlatego, że jest krasnoludem, bardzo interesują go takie kopce.

- Nigdy nie mamy ich dosyć - potwierdził Casanunda.

Babcia westchnęła ciężko.

- Pomyśl, ile masz lat, Gytho.

- Nie muszę o tym myśleć. To mi przychodzi samo z siebie. Myśleć, że mam o połowę mniej, tak, to by była trudna sztuka. Ale mi nie odpowiedziałaś.

Ku zdziwieniu niani, Ridcully'ego i może nawet samej babci Weatherwax, babcia wsunęła rękę pod ramię nadrektora.

- Pan Ridcully i ja wybieramy się na spacer do mostu.

- Wybieramy się? - powtórzył Ridcully.

- Och, jak to miło.

- Gytho Ogg, jeśli dalej będziesz mi się tak przyglądać, to przyłożę ci w ucho, aż zadzwoni.

- Przepraszam, Esme - powiedziała niania.

- Bardzo słusznie.

- Zapewne chcecie porozmawiać o starych czasach - dodała niania.

- Może o dawnych, a może o innych czasach. Jednorożec dobiegł do

lasu i galopował dalej.

Wody Lancre płynęły w dole. Nikt dwa razy nie przekracza tej samej rzeki, nawet po moście. Ridcully zrzucił kamyk. Wpadł do wody z cichym „chlup!”.

- Wszystko jakoś się dzieje - rzekła babcia Weatherwax. - Gdzieś. Ten twój młody mag wie o tym, tylko ubiera to w głupie słowa. Byłby całkiem mądry, gdyby umiał patrzeć na to, co ma przed oczami.

- Chciałby tu zostać na jakiś czas - odparł smętnie Ridcully. - Fascynują go chyba te kamienie. Nie mogę mu przecież odmówić, prawda? Król też jest za tym. Mówi, że inni królowie zawsze mieli błaznów, więc on spróbuje mieć przy sobie dla odmiany kogoś mądrego. Może tak będzie lepiej.

Babcia zaśmiała się.

- A młoda Diamanda już lada dzień będzie zdrowa - zauważyła.

- O co ci chodzi?

- Och, nic. To jest właśnie najważniejsze w przyszłości. Może się w niej zdarzyć cokolwiek. I wszystko.

Podniosła kamyk. Trafił w wodę w tej samej chwili co kamyk Ridcully'ego, z podwójnym „chlup!”.

- Czy sądzisz - spytał Ridcully - że... gdzieś tam... wszystko ułożyło się dobrze?

- Tak. Tutaj.

Zlitowała się, widząc jego przygarbione ramiona.

- Ale tam również - dodała.

- Co?

- Chciałam powiedzieć, że gdzieś tam Mustrum Ridcully ożenił się z Esmeraldą Weatherwax i żyli... - Babcia zacisnęła zęby. - Żyli długo i szczęśliwie. Mniej więcej. Tyle, ile każdy.

- Skąd wiesz?

- Docierały do mnie strzępy jej wspomnień. Wydawała się dość szczęśliwa. A mnie nie tak łatwo zadowolić.

- Jak to możliwe?

- Staram się być dobra we wszystkim, co robię.

- Czy ona mówiła coś o...

- Ona nic nie mówiła! Ona nie wie, że istniejemy! Nie zadawaj pytań. Wystarczy wiedzieć, że wszystko gdzieś się wydarza. Prawda?

Ridcully spróbował się uśmiechnąć.

- To najlepsze, co możesz mi powiedzieć? - zapytał.

- To najlepsze, co możliwe. No, może drugie w kolejności.

Gdzie to się kończy[38]?

W letnią noc, kiedy pary odchodzą swoimi drogami, a jedwabisty, fiołkowy zmierzch wypływa spomiędzy drzew. Z zamku, długo po zakończeniu uroczystości, dobiega cichy śmiech i brzęk srebrnych dzwoneczków. A na pustym zboczu tylko milczenie elfów.

[1] Zapewne wymierzony w pierwszego pionka.

[2] Bogowie lubią żarty, jak wszyscy.

[3] Która jest innym krajem.

[4] Choćby nie wiem jak starannie go zwijać, nocą i tak się rozwinie i oplącze razem kosiarkę do trawy z rowerami.

[5] Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy, w całym multiwersum, nawet na lodowatych planetach zalanych ciekłym metanem. Nikt nie wie, czemu tak jest, ale w dowolnej grupie zatrudnionych osobników jedynym, który w naturalny sposób budzi się o świcie, jest zawsze kierownik biura, który zostawia pełne wyrzutu krótkie notki (albo, co też się zdarza, grawerowane kryształły helu) na biurkach swoich podwładnych. Jedynym miejscem, gdzie coś takiego nie zdarza się zbyt często, jest planeta Zyrix - a to tylko dlatego, że Zyrix ma osiemnaście słońc i wstać o świcie można jedynie raz na 1789,6 lat. Ale nawet wtedy, co 1789,6 lat, odpowiadając na niezwykle, uniwersalny sygnał, małostkowi pracodawcy wślizgują się do biur z macką pełną przygotowanych, wytrawionych z wyrzutem muszli frimptów.

[6] Żył nerwami.

[7] Badanie niewidzialnych tekstów było nową dyscypliną wiedzy, której rozwój umożliwiło odkrycie dwukierunkowej natury przestrzeni bibliotecznej. Wzory thaumicznej matematyki są skomplikowane, ale wnioski można w skrócie wyrazić tak, że wszystkie książki, wszędzie, oddziałują na wszystkie inne książki. To oczywiste: napisane książki inspirują książki przyszłości i cytują książki przeszłości. Jednak ogólna teoria Lrprzestrzeni* sugeruje, że w danym przypadku także zawartość książek jeszcze nie napisanych można wydedukować z książek obecnie istniejących.

* Istnieje również szczególna teoria, ale nikt się nią nie przejmuje, ponieważ w oczywisty sposób jest stekiem bzdur i gazu bagiennego.

[8] Widać głównie ciemność.

[9] Trzy razy w zwykłym czasie, raz po jedenastu godzinach dogrywki, a dwa razy z powodu ucieczki innych finalistów.

[10] Był też fachowym kłusownikiem, czyścicielem szamba, a nawet w przybliżeniu cieślą*”.

*,Jak się przywali parę gwoździ, postoi całą noc”.

[11] Przy pracy z żelazem na ogół nie trzeba szybko myśleć.

[12] To było tak... Rodzice Woźniców tworzyli spokojną, szanowaną rodzinę, ale trochę im się pomyliły kwestie imion dzieci. Najpierw mieli cztery córki, które nazwali Nadzieją, Cnotą, Rozwagą i

Szczodrością, ponieważ nazywanie dziewczynek od rozmaitych zalet jest tradycją starą i niezbyt ciekawą. Potem narodził się ich pierwszy syn. Z powodu nieporozumienia co do zasad nadawania imion, nazwali go Złością Woźnicą. Po nim przyszli na świat Zazdrość Woźnica, Bestialstwo Woźnica i Pożądliwość Woźnica. Życie płata czasem figle, Nadzieja miała skłonności do depresji, Cnota cieszyła się życiem jako dama negocjowalnego afektu w Ankh-Morpork, Rozwaga miała trzynaścioro dzieci, a Szczodrość oczekiwała dolara reszty z siedemdziesięciu pięciu pennów. Chłopcy tymczasem wyrosli na mężczyzn uprzejmych, spokojnych. Na przykład Bestialstwo Woźnica był bardzo dobry dla zwierząt.

[13] W tej kwestii Stibbons mylił się całkowicie.

[14] Jeśli nie był to zbyt duży kij.

[15] Właśnie tutaj udało się wykazać, że thaum - uznawany dotąd za najmniejszą możliwą cząstkę magii - składa się z resonów*, czyli fragmentów rzeczywistości. Najnowsze badania sugerują, że każdy reson z kolei zbudowany jest z co najmniej pięciu „smaków”, znanych jako „górny”, „dolny”, „boczny”, „seksapil” i „peppermint”.

* Dosł. „cosie”.

[16] Tylko niania Ogg robiła to stale, chociaż nieumyślnie.

[17] Jak wspomniano już wcześniej w kronikach świata Dysku, całe gospodarki rolnicze opierały się często na sile nośnej niskich staruszek w czarnych sukniach.

[18] Tzn. prowadząca wśród gęstwiny.

[19] To rzeczywiście prawda. Właśnie dlatego ludzie rozstępują się, kiedy przechodzi król.

[20] Lancrańczycy nie uważają geografii za naukę szczególnie oryginalną.

[21] Troll, forma życia oparta na krzemie, zamiast na węglu, w rzeczywistości nie jest w stanie strawić człowieka. Zawsze jednak znajdzie się ktoś, kto chciałby spróbować.

[22] Jeśli czytelnik ma ochotę, może w to miejsce wstawić klasyczny opis: „rozżarzone do czerwoności grudy piasku”.

[23] W przypadku *Mappy ulic Ankh-Morpork od á do Ů* napis brzmiałby raczej: „Słoneczne Schronisko dla Chorych Smoków, ul. Morficzna. Datki węgla prosimy zostawiać przy drzwiach kuchennych. Pamiętaj, smok jest na cafe życie, nie tylko na Noc Strzeżenia Wiedźm”.

[24] Shawn Ogg*

* Chyba że się położył.

[25] Ale nie gigantyczną według norm perukarstwa. W dekadencej historii istniało wiele dużych peruk, często z wbudowanymi drobnymi ciekawostkami, żeby ludzie nie musieli bez przerwy patrzeć na nudne włosy. Zdarzały się tak wielkie, że mieściły w sobie oswojone myszy albo nakręcane zabawki. Mme Cupidor, metresa obłąkanego króla Zupy II, miała perukę z klatką na ptaki, ale z okazji świąt państwowych nosiła taką, w której tkwił wieczny kalendarz, zegar kwiatowy i bar makaronowy z daniami na wynos.

[26] Tzn. dostatecznie daleko, żeby nie wyglądało na to, że przeszkadza w rozmowie, ale dostatecznie blisko, żeby dobrze wiedzieć, co się dzieje.

[27] Marchewki, żeby widzieć po ciemku, i ostrygi, żeby było na co patrzeć.

[28] Bibliotekarz był małą o gustach prostych, ale wyrazistych. Uważał epizod z tortami, wiadrami białej farby, a zwłaszcza ten kawałek, kiedy ktoś zdejmuje komuś innemu kapelusz, napełnia go czymś gęstym i lepkiem, po czym wciska z powrotem na śmiertelnie poważną głowę, a orkiestra gra „LA... La... ia... laaaa...”, za absolutnie niezbędny w każdym przedstawieniu teatralnym. Ponieważ prażony orzeszek jest pociskiem groźnym i bolesnym, jeśli zostaje ciśnięty z absolutną precyzją, reżyserzy w Ankh-Morpork już dawno zrozumieli aluzję. Wskutek tego niektóre melodramaty grand guignol wypadały odrobinę dziwnie, uznawano jednak zwykle, że takie sztuki jak Ociekająca krwią Tragedia Szalonego Mnicha z Quirmu (ze sceną z tortami) są i tak lepsze niż pięciodniowa głuchota na jedno ucho.

[29] Zmyślał.

[30] Czytał dużo tekstów innych ludzi, którzy też zmyślali.

[31] „To tylko wielki pieszczoch” (z książki Kocich Mądrości niani Ogg).

[32] Wiedział o tym, ponieważ w zeszłomiesięcznym numerze *Zbroi dla wszystkich* ukazał się artykuł „Testy najlepszych dwudziestu hełmów poniżej 50 dolarów”. Zamieszczono też drugi artykuł „Topory bojowe: Sprawdzamy dziesięć typowych modeli”, a także ogłoszenie, że redakcja zatrudni dziesięciu nowych testerów.

[33] Najkrótszą jednostką czasu w multiwersum jest nowojorska sekunda, definiowana jako okres pomiędzy zmianą światła na zielone i uruchomieniem klaksonu przez taksówkę z tyłu.

[34] To falluszywa teoria.

[35] Istnieje wiele przepisów na płaskie, okrągłe bochenki lancrańskiego chleba krasnoludów. Jednak ich zasadniczym celem jest wyprodukowanie żelaznej racji, która wytrzyma przez długi czas i którą można wypruć wrogowi flaki, jeśli ciśnie się ją płasko i dostatecznie mocno. Jadalność jest opcjonalnym dodatkiem. Większość przepisów to pilnie strzeżone sekrety-jedynym powszechnie znanym składnikiem jest żwir.

[36] Mnisi Luzu, których niewielki, ekskluzywny klasztor ukryty jest w swobodnej, luźnej dolinie w dolnych partiach Ramtopów, przeprowadzają specjalną próbę dla nowicjuszy. Młody człowiek wprowadzony zostaje do pokoju pełnego ubrań wszelkiego typu, i zapytany: „Yo*, mój synu, która z tych rzeczy będzie najbardziej stylowa?”. Poprawna odpowiedź brzmi: „Hej, ta, którą wybiorę!”.

* To Luzacy, ale trochę staromodni.

[37] Niania Ogg także była doskonałą podnoszącą porzucone okruchy.

[38] Kiedy Hwel, autor sztuk, zjawił się następnego dnia z resztą trupy, opowiedzieli mu wszystko, a on to zapisał. Opuścił jednak te części, które nie dały się wystawić na scenie, albo byłyby zbyt kosztowne, albo te, w które nie wierzył. W każdym razie nazwał tę sztukę Poskromienie elficy, bo przecież nikogo by nie zainteresowała sztuka o tytule To, co wydarzyło się w czasie Nocy Letniej.